

JOHN TWELVE HAWKS



MROČNA
RZEKA

Kontynuacja bestsellerowego *Travelera*

JOHN TWELVE HAWKS

Mroczna
rzeka

Druga część trylogii
„Czwarty wymiar”
DARK RIVER. BOOK TWO OF THE FOURTH REALM TRILOGY

Z języka angielskiego przełożył: Cezary Murawski

SONIA DRAGA



Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Słowo od autora](#)

[Dramatis personae](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

SŁOWO OD AUTORA

Mroczna rzeka to fikcja literacka, zainspirowana światem rzeczywistym.

Żądny przygód czytelnik może dotknąć zegara słonecznego ukrytego pod ulicami Rzymu, udać się w podróż do Etiopii i stanąć u wrót świątyni w Aksum albo przemierzyć wzdłuż i wszerz dworzec Grand Central w Nowym Jorku, zadrzeć głowę i spojrzeć na tajemniczy sufit hali.

Różne opisane tutaj aspekty Rozległej Sieci również są prawdziwe albo też bliskie realizacji. W niedalekiej przyszłości totalne systemy informatyczne, zarówno prywatne, jak i rządowe, pozwolą na monitorowanie niemal każdego zakamarka naszego życia. Centralny komputer zapamięta, dokąd idziemy, co kupujemy, do kogo piszemy e-mail i jakie książki czytamy.

Każdy atak na sferę prywatności jest usprawiedliwiany wszechobecną kulturą strachu, która wydaje się otaczać nas zewsząd i rosnąć w siłę każdego dnia. Ostateczne następstwa tego strachu przedstawiłem w swojej wizji pierwszego wymiaru. Tamtejszy mrok będzie trwał wiecznie i zawsze jego przeciwieństwo będą stanowić współczucie, odwaga i miłość.

John Twelve Hawks

DRAMATIS PERSONAE

W powieści Traveler John Twelve Hawks wprowadził czytelników w odwieczny konflikt, rozgrywający się w cieniu współczesnego świata. Uczestniczą w nim trzy grupy ludzi: Bracia, Travelerzy i Arlekin.

Kennard Nash to przywódca Braci, ludzi bogatych i wpływowych, sprzeciwiających się wszelkim zmianom w ustalonych strukturach społecznych. Nathan Boone jest szefem służb ochrony tej tajemniczej organizacji. Przeciwnicy Braci nazywają ich Tabularni, ponieważ postrzegają oni ludzkość i ludzką świadomość jako *tabula rasa* – czystą tablicę, na której mogą zapisać własne przesłanie nietolerancji i strachu. W XVII stuleciu brytyjski filozof Jeremy Bentham stworzył koncepcję Panoptikon – model więzienia, w którym jeden strażnik może obserwować setki więźniów, sam pozostając niewidzialnym. Zarówno Nash, jak i Boone są do głębi przekonani, że stworzone przez świat przemysłu i technologii informatyczne systemy monitoringu i inwigilacji pozwolą im stworzyć Wirtualny Panoptikon.

Przez długie wieki Bracia usiłowali unicestwić Travelerów: mężczyzn i kobiety, dysponujących mocą przemieszczania swojej energii do jednego z sześciu wymiarów. Wymiary są równoległymi światami, opisywanymi przez proroków i wizjonerów rozmaitych religii i wyznań. Travelerzy powracają do swojego świata z nowymi ideami i pogłębionym rozumieniem rzeczywistości, co stanowi wyzwanie wobec istniejącego porządku. Zdaniem Braci, Travelerzy stanowią główną przyczynę społecznych niepokojów i zmian. Jednym z ostatnich Travelerów, którzy zdołali przetrwać, jest Matthew Corrigan, lecz znika w trakcie ataku tabulskich najemników na jego dom. Dwaj jego synowie, którzy uchodzą cało z ataku, Michael i Gabriel Corrigan, żyją poza Siatką do czasu, kiedy się dowiadują, że oni również mogą zostać Travelerami.

Travelerzy wyginęliby już dawno temu, gdyby ich nie chroniła niewielka grupa oddanych wojowników, Arlekinów. Matthew Corrigan chronił niegdyś niemiecki Arlekin Thorn,

zamordowany w Pradze przez Nathana Boone'a. Maya, córka Thorny, została wysłana do Ameryki z misją odnalezienia młodych Corriganów. W tych wysiłkach wspiera ją francuski Arlekin Linden, ona zaś w myślach często przywołuje legendarną Arlekinę, Mother Blessing, która zniknęła bez śladu. Kiedy Maya dociera do Los Angeles, znajduje dwoje sojuszników: instruktora sztuk walki, Hollisa Wilsona, oraz młodą kobietę, Vicki Fraser.

W miarę rozwoju fabuły Michael Corrigan przechodzi na stronę Braci, a jego młodszy brat, Gabriel, ukrywa się wraz z Mayą, Hollisem i Vicki. W Nowej Harmonii, osadzie, powstałej dzięki Matthew Corriganowi, ciemne chmury przesłaniają niebo i zaczyna padać śnieg...

PROLOG

Płatki śniegu zaczęły opadać z ciemniejącego nieba, kiedy mieszkańcy wspólnoty Nowa Harmonia powracali do domów na wieczorny posiłek. Dorośli, którzy pracowali przy murze oporowym w pobliżu wspólnotowego centrum, chuchali w zimne dłonie i rozmawiali o nadchodzącym froncie burzowym, podczas gdy dzieci zadzierały głowy, otwierały usta i kręciły piruety, usiłując językami wychwycić śnieżynki.

Alice Chen była małą, poważną dziewczynką. Miała na sobie dżinsy, robocze buty oraz nylonową parkę w kolorze niebieskim. Niedawno skończyła jedenaście lat, ale jej najlepsze przyjaciółki, Helen i Melissa, miały już ponad rok więcej. Ostatnio wdały się w długi dyskurs na temat dziecięcego zachowania i tych chłopców z Nowej Harmonii, których uważały za niemądrych i niedojrzałych.

Chociaż Alice pragnęła poznać smak śniegowych płatków, doszła do wniosku, że kręcenie piruetów z wywieszonym językiem raczej nie jest zachowaniem dojrzałym i bardziej przystoi maluchom z pierwszej klasy. Naciągając czapkę z dzianiny, podążyła za przyjaciółkami jedną ze ścieżek przecinających kanion. Dorastanie wcale nie było łatwe. Odczuła ulgę, kiedy Melissa klepnęła Helen.

– Berek! – zawołała i pobiegła w te pędy.

Trójka przyjaciółek pognała w głąb kanionu, śmiejąc się i ścigając. Wieczne powietrze było chłodne i przesycone żywicznym aromatem sosen, wilgotnym zapachem ziemi oraz słabą wonią drewna używanego do ogrzewania szklarni. Kiedy mijały polanę, śniegowe płatki na moment przestały opadać i zawirowały w powietrzu – jak gdyby rodzina leśnych gnomów postanowiła zabawić się nimi między drzewami.

Z oddali dobiegł mechaniczny dźwięk, który przybierał na sile. Dziewczynki stanęły. Kilka sekund później helikopter z napisem Arizona Forest Service przeleciał nad nimi z rykiem i podążył dalej wzdłuż kanionu. Już wcześniej widywały helikoptery podobne do tego, lecz zawsze działo się to latem. Widok śmigłowca w lutym był osobliwy.

– Pewnie kogoś szukają – skomentowała Melissa. – Założę się, że jakiś turysta wyruszył obejrzeć ruiny indiańskiej osady i się zgubił.

– A teraz robi się ciemno – dodała Alice. Pomyślała, że to musi być straszne tak się zgubić, samemu przedzierać się przez śnieg i czuć coraz większe zmęczenie i strach.

Helen pochyliła się do przodu i klepnęła Alice w ramię.

– Teraz gonisz ty! – zawołała.

I znów pobiegły.

Noktowizor oraz sensor termiczny były zamontowane pod helikopterem. Pierwsze z urządzeń rejestrowało światło widzialne oraz dolny zakres promieni podczerwonych, drugie natomiast wykrywało ciepło emitowane przez rozmaite obiekty. Dane przez nie rejestrowane były i przesyłane do komputera, który łączył je z sobą i generował jeden skojarzony obraz wideo.

W odległości osiemnastu mil od Nowej Harmonii Nathan Boone siedział z tyłu ciężarówki dowożącej pieczywo, przerobionej na pojazd monitorujący. Pociągnął kilka łyków kawy – bez cukru i śmietanki – i patrzył, jak na ekranie monitora pojawia się czarno-biały obraz osady.

Szef służby ochrony Bractwa był elegancko ubranym mężczyzną o krótko ostrzyżonych, siwych włosach. Nosił okulary w stalowych oprawkach. W jego zachowaniu było coś surowego, niemal krytycznego. Policjanci oraz funkcjonariusze służby granicznej zazwyczaj zwracali się do niego „Tak, proszę pana” już przy pierwszym spotkaniu. Cywile na ogół spuszczały wzrok, kiedy zadawał im pytania.

Boone posługiwał się noktowizorem, kiedy służył w wojsku, lecz nowa, podwójna kamera stanowiła istotny postęp. Teraz mógł jednocześnie widzieć cele znajdujące się wewnątrz pomieszczeń oraz na zewnątrz. Jedna osoba spacerowała pod koronami drzew, inna zmywała naczynia w kuchni. Jeszcze bardziej pomocny okazał się fakt, że komputer potrafił ocenić każde źródło światła i z dużą dozą prawdopodobieństwa rozstrzygnąć, czy jakiś obiekt to istota ludzka czy też rozgrzana patelnia. W oczach Boone'a nowa kamera była potwierdzeniem tezy, iż nauka i technologia – oraz tak naprawdę również przyszłość – są po jego stronie.

George Cossette, druga osoba siedząca w ciężarówce, był ekspertem od nadzoru. Przybył tu z Genewy. Młodego mężczyznę o bladej cerze męczyły niezliczone alergie pokarmowe. W ciągu ośmiu dni prowadzenia obserwacji od czasu do czasu wykorzystywał łącze internetowe do licytowania na aukcji plastikowych figurek postaci rodem z książkowych komiksów.

– Proszę mi podać namiar – odezwał się Boone, obserwując obraz rejestrowany na żywo przez aparaturę zainstalowaną na helikopterze.

Cossette skupił uwagę na monitorze i zaczął wstukiwać polecenia.

– Wszystkie źródła ciepła czy tylko ludzkie? – Tylko ludzkie. Dziękuję.

Klik-klik. Palce przesuwają się sprawnie po klawiaturze. Po kilku sekundach na ekranie pojawiło się położenie sześćdziesięciu ośmiu osób zamieszkujących Nową Harmonię.

– Jaka jest dokładność tych wskazań?

– Dziewięćdziesiąt osiem do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Być może pominęliśmy jedną lub dwie osoby znajdujące się blisko skraju strefy skanowania.

Boone zdjął okulary, przetarł je małą szmatką z flaneli i po raz drugi spojrzął na obraz wideo. Przez lata Travelerzy oraz ich nauczyciele Przewodnicy opowiadali o tak zwanym Świetle, istniejącym w każdej ludzkiej istocie. Jednak prawdziwe światło – niemające nic wspólnego z duchowością – posłużyło do opracowania nowej metody detekcji. Znalezienie kryjówki, nawet w ciemności, nie było już możliwe.

Płatki śniegu przylgnęły do włosów Alice, kiedy weszła do kuchni, ale stopiły się, nim zdjęła kurtkę. Jej dom rodzinny, zbudowany w stylu południowo-zachodnim, z płaskim dachem i niewielkimi oknami, miał nieliczne zdobienia na zewnątrz. Podobnie jak inne budynki w kanionie, wykonano go ze słomy – bele ustawiano jedną na drugiej i łączono, przebijając długimi stalowymi piętami niczym różnem, z wierzchu zaś pokrywano wodoodpornym tynkiem. Na parterze znajdowało się jedno duże, wspólne pomieszczenie, podzielone na kuchnię, salon oraz schody, prowadzące na sypialne

poddasze. Drzwi wiodły do sypialni Alice, gabinetu oraz łazienki. Z uwagi na grubość ścian, przy każdej ramie okna była nisza. Ta w kuchni była wypełniona koszami z dojrzewającymi owocami awokado oraz starymi kośćmi znalezionymi na pustyni.

Z rondla ustawionego na elektrycznej kuchence para buchała na okienne szyby. Podczas takich mroźnych nocy jak dzisiejsza Alice czuła się, jak gdyby żyła w kosmicznej kapsule porzuconej na dnie tropikalnej laguny. Gdyby starła mgiełkę z szyb, zapewne dostrzegłaby rybę pilota, sunącą majestatycznie wzdłuż białych koralowców.

Jej matka jak zwykle zostawiła w kuchni spory bałagan. Brudne talerze i sztućce, łydźki po bazylii oraz otwarty pojemnik na mąkę, który stanowił jawne zaproszenie dla myszy. Czarne warkocze Alice śmigwały w powietrzu, kiedy szybkimi ruchami krzątała się, odstawiając żywność na miejsce i ścierając okruchy. Potem umyła salaterki oraz sztućce i ułożyła je na czystej ścierece, niczym narzędzia chirurgiczne przy stole operacyjnym. Kiedy odstawiła mąkę, z poddasza zeszła jej matka, ze stosem czasopism medycznych.

Doktor Joan Chen, drobna kobieta o krótko obciętych czarnych włosach, była lekarzem. Do Nowej Harmonii przeniosła się z córką, po tym jak jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Każdego wieczora przed kolacją zdejmowała dzinsy oraz flanelową koszulę i przebierała się w długą spódnicę i jedwabną bluzkę.

– Dziękuję, skarbie. Ale nie musiałaś sprzątać. Zrobiłabym to wszystko... – Joan usiadła na rzeźbionym krześle w pobliżu kominka i położyła czasopisma na kolana.

– Kto przyjdzie na kolację? – zapytała Alice. Mieszkańcy Nowej Harmonii zawsze spożywali posiłki, odwiedzając siebie nawzajem.

– Martin oraz Antonio. Komisja budżetowa musi rozstrzygnąć pewną sprawę.

– Czy kupiłaś chleb w piekarni?

– Ależ oczywiście, że tak – odparła bez zająknięcia Joan, potem wykonała gest ręką, jak gdyby przeczesywała zakamarki pamięci. – To znaczy, wydaje mi się, że kupiłam. Tak sędzę.

Alice rozglądnęła się po kuchni i znalazła bochenek chleba, który wyglądał na trzydniowy. Włączyła piecyk, przekroiła bochenek na połówki, posmarowała obie strony świeżym czosnkiem oraz spryskała odrobiną oliwy. Gdy chleb zapiekał się na stalowym ruszcie, dziewczynka nakryła do stołu i wyciągnęła półmisek, służący do serwowania dań z makaronem. Zamierzała potem przejść – w milczeniu obok matki, protestując tym samym przeciwko nawałowi prac, które musiała wykonać. Kiedy jednak zbliżyła się do krzesła, Joan wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni córki.

– Dziękuję ci, skarbie. Jestem szczęściarą, że mam taką cudowną córkę.

Zwiadowcy zajęli już stanowiska na obrzeżach Nowej Harmonii, a reszta najemników przed chwilą opuściła motel w San Lucas. Boone przesłał wiadomość pocztą elektroniczną do Kennarda Nasha, obecnie piastującego funkcję szefa zarządu Bractwa. Kilka minut później otrzymał odpowiedź: „Potwierdzenie wcześniej omawianej operacji”.

Boone zadzwonił do kierowcy sportowej furgonetki, w której jechała pierwsza drużyna.

– Przejdźcie do punktu Delta. Personel powinien teraz zażyć środki przeciwurazowe.

Każdy z najemników miał przy sobie plastikową torebkę z dwiema pigułkami przeciwurazowymi. Nazywali je twardzielkami i łykali przed rozpoczęciem akcji. Przez określony czas zapobiegały pojawianiu się poczucia winy i wyrzutów sumienia u Osoby, która miała użyć przemocy.

Pierwotne badania dotyczące stosowania środków przeciwigazowych przeprowadzono na

Uniwersytecie Harvarda, kiedy neurologowie odkryli że u ofiar wypadków, które zażywały lek nasercowy o nazwie propranolol, występował znacznie słabszy wstrząs fizjologiczny. Naukowcy zatrudnieni w grupie badawczej Bractwa, Fundacji Evergreen, zdali sobie sprawę z ewentualnych następstw tego odkrycia. Uzyskali grant od Departamentu Obrony USA na prowadzenie badań nad lekiem stosowanym przez żołnierzy w trakcie walki. Pastylki przeciwurazowe hamowały reakcje hormonalne mózgu na wstrząs, odrazę oraz strach. A to z kolei w znaczącym stopniu ograniczało powstawanie traumatycznych wspomnień.

Nathan Boone nigdy nie zażywał pastylek przeciwurazowych ani żadnych innych leków przeciwtraumatycznych. Ktoś, kto wierzy w to, co robi, i wie, że ma rację, nigdy nie doświadcza poczucia winy.

Alice pozostała w swojej sypialni do czasu, kiedy reszta komisji finansowej przybyła na kolację. Martin Greenwald jako pierwszy zastukał delikatnie w drzwi kuchni i zaczekał, aż Joan otworzy i go przywita. Był to starszy mężczyzna o dość krótkich nogach, w okularach z mocnymi soczewkami. Wcześniej odnosił sukcesy jako biznesmen w Houston, do chwili, kiedy pewnego popołudnia jego samochód zepsuł się na autostradzie, a pewien mężczyzna nazwiskiem Matthew Corrigan zatrzymał się i udzielił mu pomocy. Matthew okazał się Travelerem, duchowym nauczycielem, dysponującym zdolnością opuszczania własnego ciała i podróżowania do innych światów. Na rozmowach z rodziną Greenwalda i jej przyjaciółmi spędził kilka tygodni, potem zebrał ich wszystkich na wspólnym spotkaniu, a następnie odszedł. Nowa Harmonia stanowiła odzwierciedlenie idei Travelera – próbę stworzenia nowego sposobu na życie, z dala od zasięgu Rozległej Sieci.

Alice dowiedziała się o Travelerach od innych dzieciaków, lecz nie do końca orientowała się, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Wiedziała, że istnieje sześć światów, nazywanych wymiarami. Ten świat, w którym istniał świeży chleb oraz brudne naczynia, był czwartym wymiarem. W trzecim znajdowała się puszcza i przyjazne zwierzęta, i to brzmiało obiecująco. Jednak istniał również wymiar wiecznie nienasyconych duchów, a także inne miejsce, gdzie ludzie nieustannie z sobą walczyli.

Syn Matthew, dwudziestoparoletni Gabriel, też był Travelerem. W październiku spędził jedną noc w Nowej Harmonii wraz ze strzegącą go Arlekinką Mayą. Teraz był początek lutego, a dorośli wciąż jeszcze rozmawiali o Gabrielu, podczas gdy dzieci toczyły spory na temat Arlekinki. Ricky Cutter twierdził, że Maya prawdopodobnie zabiła dziesiątki ludzi i że знаła coś, co nazywano Ciosem Tygrysięgo Pazura – uderzenie prosto w serce, po którym przeciwnik padał martwy. Alice doszła do wniosku, że Cios Tygrysięgo Pazura to wielka bzdura z Internetu. Maya była najzupełniej rzeczywistą osobą, młodą kobietą o gęstych czarnych włosach oraz przenikliwych niebieskich oczach. Nosila miecz w przewieszzonej przez plecy metalowej pochwie.

Kilka minut po tym, jak pojawił się Martin, do drzwi zastukał Antonio Cardenas i wszedł, nie czekając. Antonio był butnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną, i wcześniej prowadził firmę budowlaną w Houston. Kiedy pierwsza grupa osadników przeniosła się do kanionu, na płaskowzgórzu zbudował trzy wiatraki, które dostarczały społeczności energii elektrycznej. Każdy z mieszkańców Nowej Harmonii lubił Antonia, niektórzy z młodszych chłopców nosili nawet pasy z narzędziami w taki sam sposób, nisko zawieszane na biodrach.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do Alice i zapytali, jak jej idzie nauka gry na wiolonczeli. Potem wszyscy zasiedli przy dębowym stole – jak większość mebli w domu, pochodził z Meksyku. Podano makaron, a dorośli zaczęli omawiać kwestię, którą miała rozstrzygnąć komisja budżetowa.

Wspólnota zdołała zaoszczędzić dostatecznie dużo pieniędzy, by kupić doskonały system akumulatorów do gromadzenia energii elektrycznej. Obecny system zasilania pozwalał na to, by każda rodzina miała kuchenkę, lodówkę oraz dwa grzejniki elektryczne. Większa liczba akumulatorów oznaczałaby możliwość zastosowania większej ilości urządzeń elektrycznych, lecz być może nie był to wcale najlepszy pomysł.

– Sądzę, że bardziej ekonomiczne będzie pozostawienie pralek w centrum wspólnoty – oświadczył Martin. – Poza tym nie uważam, iż potrzebne nam są ekspresy do kawy oraz kuchenki mikrofalowe.

– Nie zgadzam się – zaproponowała Joan. – Kuchenki mikrofalowe w rzeczywistości zużywają mniej prądu.

Antonio przytaknął z aprobatą.

– Poza tym chciałbym czasami napić się z rana cappuccino.

Gdy Alice posprzątała brudne naczynia ze stołu, skierowała uwagę na zegar zawieszony na ścianie nad zlewem. W Arizonie był późny środowy wieczór, co oznaczało, że w Australii jest czwartkowe popołudnie. Pozostało jej około dziesięciu minut do rozpoczęcia lekcji muzyki. Dorośli nie zauważyli, kiedy szybko włożyła długi zimowy płaszcz, sięgnęła po futerał z wiolonczelą i wyszła na zewnątrz.

Na dworze wciąż padał śnieg. Gumowe podeszwy jej butów wydawały skrzypiący odgłos, gdy pokonywała odcinek od drzwi frontowych do furtki. Mur wysokości około metra osiemdziesiąt z cegły suszonej na słońcu otaczał dom oraz ogród warzywny. Latem chronił przed szkodami czynionymi przez zwierzynę płową. W zeszłym roku Antonio zamontował dużą bramę z rzeźbionymi scenami, przedstawiającymi rajski ogród. Jeśli stanęło się dostatecznie blisko, to na ciemnym dębowym drewnie można było zobaczyć Adama i Ewę, kwitnące drzewo Złego i Dobrego oraz węża.

Alice otworzyła furtkę i przeszła pod łukiem. Ścieżka prowadząca kanionem w stronę wspólnotowego centrum była pokryta śniegiem, lecz to jej wcale nie przeszkadzało. Lampa naftowa, którą niosła z sobą, bujała się do przodu i do tyłu, gdy wokół niej opadały płatki śniegu. Białe czapy przykrywały sosny oraz górskie mahoniowce. Zamieniły też stos drewna na opał w wypukłe wzniesienie, wyglądające jak śpiący niedźwiedź.

Centrum wspólnoty składało się z czterech dużych budynków rozmieszczonych wokół dziedzińca. W jednym mieściła się szkoła średnia dla starszych dzieci. Osiem pomieszczeń przeznaczono do pobierania nauki w systemie *online*. Router zainstalowany w pomieszczeniu magazynowym był połączony przewodem z anteną satelitarną, umieszczoną na płaskowzgórzu nad nimi. W Nowej Harmonii nie było linii telefonicznych, a wewnątrz kanionu nie działały telefony komórkowe. Mieszkańcy używali zatem Internetu bądź telefonu satelitarnego, zainstalowanego we wspólnotowym centrum.

Alice włączyła komputer, wyciągnęła wiolonczelę z futerału, ustawiła krzesło z prostym oparciem przed obiektywem kamery internetowej. Połączyła się z siecią i po chwili na ekranie dużego monitora pojawiła się jej nauczycielka gry na wiolonczeli. Panna Harwick, starsza dama, swego czasu grała w orkiestrze Opery w Sydney.

– Ćwiczyłaś, Alice?

– Tak, proszę pani.

– Zacznijmy dzisiaj od Greensleeves.

Alice pociągnęła smyczkiem, a jej ciało wchłonęło głębokie wibracje już od pierwszej nuty.

Grając na wiolonczeli, czuła się większa i ważniejsza. Uczucie to dawało jej dodatkową siłę jeszcze przez kilka godzin po skończonej lekcji.

– Bardzo dobrze – pochwaliła ją panna Harwick. – A teraz chciałabym raz jeszcze przesłuchać ustęp B. Tym razem skoncentruj się na tonacji w trzecim takcie i...

Ekran monitora nagle zrobił się czarny. W pierwszej chwili Alice pomyślała, że coś jest nie tak z generatorem prądu. Diody wciąż jednak migwały, poza tym słyszała szum wentylatorka w komputerze.

Gdy sprawdzała podłączenie kabli, skrzypnęły otwierane drzwi, a do pokoju wszedł Brian Bates. Brian był piętnastoletnim chłopcem o ciemnobrązowych oczach i blond włosach sięgających do ramion. Helen i Melissa uważały, że jest fajny, Alice jednak nie bardzo lubiła rozmawiać na te tematy. Ona i Brian byli muzycznymi przyjaciółmi. On uczył się grać na trąbce i pracował z nauczycielami z Londynu i Nowego Orleanu.

– Cześć, Celloissima. Nie wiedziałem, że masz lekcje dzisiejszego wieczora.

– Na dobrą sprawę miałam mieć lekcję, ale przed chwilą komputer wysiadł.

– Ruszałeś coś?

– Oczywiście, że nie. Nawiązałam połączenie online i skontaktowałam się z panną Harwick. Jeszcze przed paroma sekundami wszystko było w porządku.

– Nie martw się. Zaraz to naprawię. Mam lekcję za czterdzieści minut z nowym nauczycielem z Londynu. On gra w zespole Jazz Tribe.

Brian położył na podłodze futerał z instrumentem i zdjął ocieplaną parkę.

– Jak ci idzie nauka, Celloissima? Słyszałem, jak grałeś w czwartek. Brzmiało całkiem nieźle.

– Muszę wymyślić ci jakieś przydomki – oznajmiła Alice. – Może Brianissima?

Brian uśmiechnął się, gdy siadał przy komputerze.

– Issima to końcówka żeńska. Musisz wymyślić coś innego.

Wkładając płaszcz, Alice zdecydowała, że zostawi wiolonczelę we wspólnotowym centrum i wróci do domu. Boczne drzwi w salce ćwiczeniowej prowadziły do niewielkiego magazynku. Ominęła koło garncarskie i postawiła futerał z instrumentem, opierając go o ścianę w rogu, gdzie znajdowały się dwa plastikowe worki z gliną ceramiczną. Wtedy właśnie usłyszała męski głos dobiegający z sali ćwiczeniowej.

Podeszła do częściowo uchylonych drzwi, spojrzała ostrożnie przez szczelinę i wstrzymała oddech. Rosły mężczyzna z brodą celował z karabinu w Briana. Miał na sobie brązowo-zielone ubranie maskujące, podobne do strojów łowców jeleni, których Alice widziała kiedyś na drodze do San Lucas. Jego policzki były wysmarowane ciemnozieloną maskującą mazią. Miał też na głowie specjalne gogle, przytroczone gumowym paskiem. Gogle zsunął na czoło, oba okulary łączyły się w pojedynczy układ soczewek, które przypominały jej róg potwora.

– Jak się nazywasz? – zapytał mężczyzna Briana; jego głos był pozbawiony wszelkich emocji. Chłopiec nie odpowiadał. Odsunął krzesło i powoli wstał.

– Zadałem ci pytanie, koleś.

– Brian Bates.

– Czy ktoś poza tobą jest w tym budynku?

– Nie, tylko ja.

– Więc co tutaj robisz?

– Usiłuję nawiązać połączenie *online*.

Brodaty mężczyzna roześmiał się cicho.

– Marnujesz czas. Przed chwilą odcięliśmy kabel prowadzący do płaskowzgórza.

– A kim pan jest?

– Nie martwiłbym się o to, koleś. Jeśli chcesz dorosnąć, uprawiać seks, posiadać samochód i tego typu gadzety, lepiej, żebyś odpowiadał na moje pytania. Gdzie jest Traveler?

– Kto? Od czasu gdy spadł pierwszy śnieg, nikt tutaj nie przyjeżdżał.

Mężczyzna przesunął karabin.

– Nie bądź taki cwany. Wiesz dobrze, o czym mówię. Był tu u was Traveler razem z Arlekiną imieniem Maya. Dokąd pojechali?

Brian poruszył się odrobinę, jakby zamierzał ruszyć pędem w stronę drzwi.

– Czekam na odpowiedź, koleś.

– Idź do diabła...

Brian skoczył do przodu, a mężczyzna z brodą wystrzelił z karabinu. Huk był tak głośny, że Alice odskoczyła od drzwi. Stała teraz w mroku przez całą minutę, a huk wciąż jeszcze wibrował w jej ciele. Potem podeszła do światła. Mężczyzna z karabinem zniknął, ale Brian leżał na boku, jak gdyby zasnął na podłodze, w kałuży jasnoczerwonej krwi. Ciało Alice pozostało takie samo jak przed chwilą, ale jej jaźń, dziewczynki, która śmiała się z przyjaciółkami i grała na wiolonczeli, nagle stała się bez porównania mniejsza. Miała wrażenie, że żyje w jakiejś pustej powłoce, która spogląda na świat.

Głosy. Alice cofnęła się w strefę mroku, gdy zabójca Briana pojawił się wraz z szóstką innych mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w maskującą odzież. Na głowach mieli zestawy słuchawek z małymi mikrofonami, wygiętymi tak, żeby przylegały do ust. Każdy miał inny rodzaj broni, ale wszyscy zostali wyposażeni w laserowy przyrząd celowniczy. Ich dowódca – starszy mężczyzna o krótko obciętych włosach, w okularach z drucianą oprawą – mówił cicho do mikrofonu. Przytaknął, potem wyłączył transmiter przymocowany do paska.

– Okay, Summerfield i Gleason zajęli pozycje wyposażeni w czujniki termiczne. Zatrzymają każdego, kto będzie usiłował uciec. Nie życzę sobie jednak, żeby do tego doszło.

Kilku ludzi przytaknęło, jeden wypróbował laserowy celownik, a niewielka czerwona plamka zatańczyła na białej ścianie.

– Pamiętajcie... Broń, którą otrzymaliście, jest zarejestrowana na ludzi, którzy tutaj mieszkają. Jeśli z jakiegoś powodu użyjecie niezarejestrowanej broni, proszę żebyście zapamiętali miejsce, cel oraz liczbę wystrzelonych pocisków – dowódca odczekał moment, aż wszyscy zebrani przytaknęli. – W porządku. Wiecie, co robić. Ruszajmy.

Sześciu mężczyzn wyszło, zakładając noktowizory na oczy, ale ich dowódca pozostał w pomieszczeniu. Chodząc do przodu i do tyłu, od czasu do czasu mówił coś do mikrofonu.

– Tak. Potwierdzam. Następny cel.

Dowódca nie zwrócił uwagi na martwe ciało Briana. Niemal tak, jakby go nie zauważył. Kiedy jednak wąska smużka krwi popłynęła po podłodze, z gracją przeskoczył nad nią i poszedł dalej.

Alice siedziała w rogu pomieszczenia magazynowego z kolanami dociągniętymi do klatki piersiowej i z mocno zaciśniętymi oczyma. Musiała coś zrobić – odnaleźć matkę, ostrzec innych – ale jej ciało się nie poruszyło. Mózg dziewczynki wciąż generował myśli, postrzegala je jednak w sposób bierny, jak gdyby były jakimiś rozmytymi obrazami na ekranie telewizora. Usłyszała czyjś płacz, potem głośną rozmowę. W końcu rozpoznała znajomy głos.

– Gdzie są moje dzieci? Chcę zobaczyć moje dzieci...

Alice przesunęła się ponownie ku drzwiom i ujrzała, jak dowódca bandytów wprowadza do sali Janet Wilkins. Rodzina Wilkinsów przyjechała z Anglii; przeprowadzili się do Nowej Harmonii zaledwie przed kilkoma miesiącami. Pani Wilkins była osobą pulchną, grymasną i zdawała się bać

wszystkiego – grzechotników, skalnych lawin oraz błyskawic.

Dowódca trzymał panią Wilkins mocno za rękę. Poprowadził ją przez salkę i posadził na krześle z prostym oparciem.

– Siądź sobie tutaj, Janet. Rozsiądź się wygodnie. Czy mam podać ci szklankę wody?

– Nie. To nie jest konieczne. – Pani Wilkins dostrzegła martwe ciało, potem odwróciła głowę w drugą stronę. – Chcę zobaczyć moje dzieci.

– Nie martw się, Janet. Są bezpieczne. Zabiorę cię do nich za kilka minut, ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić – dowódca napastników sięgnął do kieszeni, wyciągnął kartkę papieru i przekazał ją kobiecie. – Proszę, przeczytaj to.

W pomieszczeniu stała na trójnogu kamera wideo. Dowódca umieścił ją w odległości około półtora metra od pani Wilkins i upewnił się, że kobietę widać w wizjerze.

– Okay – powiedział do niej. – Zaczynaj. Ręce kobiety drżały, gdy zaczęła czytać.

– W ostatnich kilku tygodniach członkowie wspólnoty Nowa Harmonia otrzymali przekaz od Boga. Nie wątpimy w prawdziwość tego przekazu. Wiemy, że jest prawdziwy...

Przestała czytać i pokręciła przecząco głową. – Nie. Nie mogę tego zrobić.

Stojący za kamerą dowódca wyciągnął pistolet z kabury pod ramieniem.

– Są jednak wśród nas niewierni – podjęła czytanie pani Wilkins. – Ludzie, którzy postępują zgodnie z naukami Szatana. Musimy dokonać aktu oczyszczenia, dzięki któremu wszyscy będziemy mogli wejść do Królestwa Niebieskiego.

Dowódca opuścił pistolet i wyłączył kamerę.

– Dziękuję ci, Janet. To był właściwy pierwszy krok, ale to jeszcze wciąż za mało. Wiesz, dlaczego tu jesteśmy i kogo szukamy. Potrzebna mi informacja o Travelerze.

Pani Wilkins zaczęła płakać, a jej twarz wykrzywiła się w maskę, wyrażającą smutek i strach.

– Nic nie wiem, przysięgam...

– Każdy coś wie.

– Tego młodego człowieka już tutaj nie ma. Odszedł. Mój mąż mówił, że przed kilkoma tygodniami Martin Greenwald dostał list od Travelera.

– Gdzie jest ten list?

– Prawdopodobnie w domu Martina. Ma tam niewielkie biuro.

Dowódca powiedział kilka słów do mikrofonu.

– Idźcie do domu Greenwalda w piątym sektorze. Poszukajcie w jego biurze listu od Travelera. To zadanie o najwyższym priorytecie – wyłączył radio i zrobił krok w stronę pani Wilkins. – Czy możesz jeszcze coś mi powiedzieć?

– Nie popieram Travelerów ani Arlekinów. Nie jestem po niczyjej stronie. Po prostu chcę tylko być z moimi dziećmi.

– Oczywiście. Rozumiem. – Głos dowódcy znowu był cichy i kojący. – Może więc do nich dołączysz?

Uniósł pistolet i strzelił do niej. Ciało upadło do tyłu z głuchym odgłosem. Dowódca spojrzał na martwą kobietę, jak gdyby był to śmieć rzucony na podłogę, potem wsunął pistolet do kabury i opuścił pomieszczenie. Alice odnosiła wrażenie, że czas stanął w miejscu, a potem znów zaczął pędzić w szaleńczym tempie. Wydawało się jej, iż trwało bardzo długo, zanim otworzyła drzwi od magazynku i przeszła przez salę ćwiczeń. Kiedy dotarła do korytarza, czas znów pędził na łeb na szyję, a ona uświadamiała sobie tylko kilka rzeczy – betonowe ściany, otwór drzwiowy, który ją kusił, przy drugim końcu korytarza mężczyzna w okularach ze stalowymi oprawkami, który uniósł pistolet i coś do niej krzyknął.

Alice pobiegła w drugą stronę, otworzyła drzwi i popędziła w mrok nocy. Na dworze wciąż padało i zrobiło się bardzo zimno. Ciemność otoczyła ją niczym magiczna peleryna. Czuła pieczenie na odkrytej skórze twarzy i dłoni, kiedy się wyłoniła z kępy krzaków jałowca i zbliżyła do domu. W środku wciąż świeciło się światło; to musiał być dobry znak. Kiedy przeszła pod łukowym wejściem, wyciągnęła rękę i dotknęła kwitnącego drzewa Złego i Dobrego, które Antonio wyrzeźbił na skrzydłach furty.

Drzwi frontowe nie były zamknięte. Alice weszła do domu i dostrzegła, że naczynia, które nakryto do kolacji, wciąż znajdują się na stole.

– Halo – powiedziała cicho.

Nikt nie odpowiedział. Przemieszczając się jak najciszej, zajrzała do kuchni, potem weszła do salonu. Dokąd właściwie miała pójść? I gdzie ukrywali się dorośli?

Stała nieruchomo i starała się usłyszeć jakieś odgłosy. Cokolwiek, co mogłoby jej podpowiedzieć, co powinna zrobić. Wiatr uderzał płatkami śniegu o szyby, a elektryczny grzejnik cicho furczał. Zrobiła kilka kroków do przodu i usłyszała cichy odgłos, jak gdyby woda skapywała z ciekącego kranu w kuchni. Dźwięk znów się powtórzył, nieco głośniejszy, potem obeszła dookoła kanapę i dostrzegła kałużę krwi. Kolejna kropla krwi spadła z poddasza i rozprysła się na podłodze. Jej ciało znów zaczęło się przemieszczać – powoli wchodziła po schodach. To było tylko czternaście stopni, ale Alice odniosła wrażenie, że to najdłuższa wędrówka w jej życiu. Krok. Kolejny krok. Chciała się zatrzymać, ale jej nogi wciąż szły.

– Błagam, mamusi – szeptała, jak gdyby prosiła o jakiś specjalny przywilej. – Błagam...

Potem była już na górze i stała obok ciała matki.

Frontowe drzwi otworzyły się z impetem. Alice przesunęła się w sferę mroku o kilka centymetrów od łóżka. Jakiś mężczyzna wszedł do domu. Mówił głośno do mikrofonu.

– Tak, sir. Jestem ponownie w sektorze dziewiątym...

Po chwili rozległ się odgłos rozchlapywanej cieczy. Alice wyrzała znad krawędzi górnej kondygnacji. Mężczyzna w maskującym ubraniu wylewał coś przezroczystego na meble. W powietrzu unosił się wyraźny zapach benzyny.

– Nie ma tu żadnych dzieci, tylko obiekty z mojego sektora. Raymond wychwycił dwóch ludzi biegnących w stronę drzew, ale oboje byli dorośli. Potwierdzam. Wnieśliśmy ciała do środka.

Mężczyzna rzucił już pusty kanister na podłogę, obrócił się w kierunku wyjścia i zapalił zapałkę. Trzymał ją przez moment przed twarzą, a Alice dostrzegła, że nie wyrażała ona ani okrucieństwa, ani nienawiści, lecz po prostu posłuszeństwo. Mężczyzna rzucił zapałkę na podłogę, a benzyna natychmiast strzeliła w górę płomieniami. Zadowolony z siebie bandyta wyszedł przez drzwi, zamykając je za sobą.

Czarny dym wypełnił już pomieszczenie, kiedy Alice zbiegała schodami w dół. Po północnej stronie domu, na wysokości niecałych dwóch metrów nad podłogą znajdowało się pojedyncze okno. Przesunęła biurko matki do ściany, odsunęła zasuwkę w oknie, wypelzła na zewnątrz i spadła na śnieg.

Pragnęła tylko ukryć się niczym zwierzątko zwinięte w kłębek w norze. Kaszląc i płacząc od dymu, po raz ostatni przeszła obok ozdobionej płaskorzeźbami bramy. Powietrze było przesycone chemicznym zapachem, przypominającym płonące wysypisko śmieci. Alice podbiegła wzdłuż muru w stronę kępy niedźwiedziej trawy i zaczęła wchodzić po skalistym stoku, który prowadził do krawędzi skalnego grzbietu nad kanionem. Gdy się wspinała coraz wyżej, zobaczyła, że wszystkie domy stoją już w ogniu, a płomienie strzelają w górę niczym ognista rzeka. Zbocze kanionu stało się bardziej strome i musiała chwycić się rękami gałęzi oraz kęp traw, podciągając się ku górze.

Gdy znalazła się już blisko krawędzi usłyszała suchy trzask, a kula uderzyła tuż przed nią w ziemię pokrytą śniegiem. Padła na bok i stoczyła się w dół zbocza, zakrywając twarz dłońmi. Jej ciało sturlało się około sześciu metrów, potem zahaczyła o krzewy głogu i zatrzymała się. Gdy chciała już wstać, przypomniała sobie, co powiedział dowódca napastników we wspólnotowym centrum. „Summerfield i Gleason są na pozycjach. Sensory termiczne”. Co znaczy wyraz „termiczny”? Ciepło. Ubrojeni bandyci widzieli ją, ponieważ jej ciało emituje ciepło.

Leżąc na plecach, Alice zaczęła gołymi dłońmi zagarniać śnieg. Najpierw przysypała nogi, potem leżała na płask i zagarniała śnieg na brzuch i klatkę piersiową. W końcu przysypała lewą rękę i na koniec posłużyła się prawą, żeby przykryć śniegiem szyję oraz twarz, pozostawiając jedynie niewielki otwór wokół ust. Naga skóra zaczęła mrowieć i piec, ale dziewczynka wciąż leżała przy krzewie głogu i starała się nie ruszać. Kiedy zimno przenikało jej ciało, ostatnia cząstka jaźni Alice zamigotała, zbladła i w końcu zgasła.

1

Michael Corrigan siedział w pomieszczeniu bez okien w Ośrodku Badawczym Fundacji Evergreen na północ od Nowego Jorku. Obserwował młodą Francuzkę, gdy przechadzała się po domu towarowym Printemps w Paryżu. Kamery monitorujące w sklepie generowały czarno-biały obraz, ale po rozmaitych odcieniach szarości mógł się zorientować, iż kobieta jest brunetką, dość wysoką i atrakcyjną. Podobała mu się jej krótka spódnica, czarna skórzana kurtka oraz obuwie – szpilki z cienkimi paskami w kostce.

Pomieszczenie monitoringowe przypominało prywatną salkę projekcyjną. Duży, płaski ekran wideo i głośniki wbudowano w ścianę. Jednak znajdowało się tu tylko jedno miejsce do siedzenia – skórzany, wygodny fotel w kolorze masła orzechowego, z monitorem i klawiaturą na stalowym ramieniu. Ktokolwiek korzystał z tego pomieszczenia, mógł wpisywać komendy do systemu lub założyć zestaw słuchawek z mikrofonem i przeprowadzić rozmowę z personelem obsługującym nowe centrum komputerowe w Berlinie. Gdy Michael po raz pierwszy zasiadł w tym fotelu, musiał słuchać podpowiedzi, uruchamiając programy skanujące i otwierając sekretne kanały dostępu w systemach monitorujących. Teraz samodzielnie potrafił wykonać proste operacje inwigilujące.

Młoda brunetka szła przez dział kosmetyczny. Michael sprawdził ten sklep kilka dni wcześniej i miał nadzieję, że jego obiekt skorzysta z windy i pojedzie wyżej do działu mody. Chociaż kamerom monitorującym nie wolno było robić zdjęć w samych przebieralniach, mogły to robić tuż obok. Od czasu do czasu Francuzki wychodziły w bieliźnie, żeby przejrzeć się w lustrze pełnej wysokości.

Obecność Michaela w pokoju monitoringowym stanowiła jeszcze jedno potwierdzenie jego rosnących wpływów wśród Braci. Tak jak jego ojciec, Matthew, oraz młodszy brat Gabriel, on również był Travelerem. W przeszłości Travelerów postrzegano jako proroków, mistyków, szaleńców czy też wyzwolicieli. Dysponowali zdolnością uwalniania się z cielesnej powłoki i przesyłania świadomej energii – swego Światła – do innych rzeczywistości. Po powrocie doznawali wizji oraz głębokich przemyśleń, które zmieniały świat.

Travelerowie zawsze natrafiali na opór ze strony władz, ale w epoce współczesnej grupa ludzi nazywanych Braćmi zaczęła rozpoznawać Travelerów i zabijać ich, zanim zdolali zmienić istniejący ład. Zainspirowani ideami Jeremy ego Benthama, osiemnastowiecznego brytyjskiego filozofa, Bracia pragnęli ustanowić Wirtualny Panoptikon, niewidzialne więzienie, w którego murach znalazłby się

każdy mieszkaniec uprzemysłowionego świata. Wierzyli, że kiedyś ludzką populację będzie można obserwować nieustannie i że ludzie będą automatycznie stosowali się do ustalonych zasad i reguł.

Prawdziwym symbolem nowoczesności były systemy kamer nadzorujących, działających w obwodach zamkniętych. Systemy komputerowej informacji tworzyły Rozległą Sieć, która łączyła obrazy oraz informacje, obserwując duże populacje. Przez tysiące lat władcy usiłowali zapewnić trwałość określonych systemów społecznych. W końcu sen o społecznej kontroli stał się realną możliwością.

Bracia wkroczyli w życie Michaela i Gabriela, gdy chłopcy wychowywali się na farmie w Dakocie Południowej. Grupa namiestników, poszukująca ich ojca, zaatakowała ich dom i podłożyła ogień pod budynek. Bracia Corrigan zdołali przeżyć napaść, ale ich ojciec zniknął. Po latach, gdy matce udało się ich wychować poza Siecią, zamieszkali w Los Angeles. Nathan Boone oraz jego ludzie najpierw schwytali Michaela, potem Gabriela. Następnie przetransportowali braci do Ośrodka Badawczego Fundacji Evergreen.

Naukowcy pracujący dla Braci zbudowali potężny komputer kwantowy. Jego procesor bazował na cząstkach subatomowych i umożliwiał nawiązanie kontaktu ze światami, które do tej pory byli zdolni eksplorować wyłącznie Travelerowie. Nowy komputer miał umożliwić tropienie szlaków, jakimi podążali Travelerowie, przekraczając cztery bariery do innych światów, ale młoda Arlekinka Maya zniszczyła to urządzenie, ratując Gabriela. Gdy Michael oceniał nową zmianę swego statusu, musiał przyznać, że atak Mai na centrum badawcze stanowił kluczowy krok w jego osobistej transformacji. Okazał wtedy lojalność – nie wobec brata – lecz w stosunku do Braci. Kiedy szczątki maszyny pozbierano i ustanowiono nowe zabezpieczenia, Michael wrócił do ośrodka. Wciąż był więźniem, ale w końcu każdy na tym świecie miał stanowić część kolosalnego więzienia. Jedyna prawdziwa różnica wiązała się z poziomem świadomości. Na świecie miał zapanować nowy porządek, on zaś zamierzał być po stronie tych, którzy zwyciężą.

Po zaledwie kilku sesjach w pomieszczeniu monitoringowym Michael dał się uwieść potędze Rozległej Sieci. Kiedy siedział w fotelu, czuł się wyjątkowo, niczym Bóg spoglądający z niebios. W tej chwili młoda kobieta ubrana w skórzaną kurtkę zatrzymała się przy stoisku z kosmetykami i rozmawiała z ekspedientką. Michael nasunął na głowę słuchawki i nacisnął guzik. Natychmiast został połączony z centrum komputerowym Bractwa w Berlinie.

– Mówi Michael. Chciałbym rozmawiać z Larsem.

– Chwileczkę, proszę – odparła jakaś kobieta z niemieckim akcentem.

Po kilku sekundach na linii usłyszał już Larsa. Jak zwykle był pomocny i nigdy nie zadawał wścibskich pytań.

– Okay. Jestem w domu towarowym Printemps w Paryżu – oznajmił Michael. – Obserwowany obiekt znajduje się przy stoisku z kosmetykami. Jak mogę zdobyć jej dane osobowe?

– Pozwól, że zerknę – odparł Lars.

W prawym dolnym rogu ekranu pojawiło się małe czerwone światełko. Oznaczało, że Lars uzyskał dostęp do tego samego obrazu. Często kilku techników było podłączonych do tego samego systemu inwigilacji albo też można się było podłączyć do poczynań znużonego ochroniarza, siedzącego gdzieś w pomieszczeniu monitoringowym. Strażnicy – którzy z założenia mieli stanowić pierwszą linię ochrony przed terrorystami i kryminalistami – spędzali lwią część czasu, śledząc kobiety w domach towarowych i potem, gdy wychodziły na parking, po włączeniu audio można było słyszeć rozmowy ochrony oraz ich śmiechy, kiedy kobieta w wąskiej spódnicy wsiadała do

sportowego auta.

– Możemy przetransponować jej twarz na algorytm i porównać to ze zdjęciami zgromadzonymi w bazie danych francuskich paszportów – wyjaśnił Lars. – Ale dużo łatwiej jest po prostu zdobyć numer jej karty kredytowej. Spójrz na osobisty monitor i kliknij myszką opcję dedykowanej telekomunikacji. Wpisz jak najwięcej informacji: umiejscowienie telefonu, data, czas – czyli oczywiście chwila obecna. Mięsożerca przejmie jej numer w momencie transmisji danych.

Ekspedientka przesunęła kartę kredytową młodej kobiety przez szczelinę czytnika, a na ekranie pojawiły się numery.

– No i mamy – odezwał się Lars, jak gdyby był magikiem, który uczył terminatora nowej sztuczki. A teraz podwójne kliknięcie...

– Wiem, co robić dalej – Michael przesunął kursor na link i niemal natychmiast zaczęły się wyświetlać dodatkowe informacje. Kobieta nazywała się Clarisse Marie du Portail. Dwadzieścia trzy lata. Żadnych zaległości kredytowych. W następnej kolejności pojawił się jej numer telefonu, potem domowy adres. Program przetłumaczył też z francuskiego na angielski listę zakupów, za które płaciła kartą w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

– Popatrz na to – dodał Lars, a w kwadracie umieszczonym w prawym górnym rogu ekranu pojawił się ziarnisty obraz z ulicznej kamery monitorującej. – Widzisz ten budynek? Tam właśnie mieszka, na trzecim piętrze.

– Dzięki, Lars. Z resztą już sobie poradzę.

– Jeśli przewiniesz dane związane z rachunkami zapłaconymi kartą kredytową, przekonasz się, że zapłaciła za wizytę w klinice zdrowia kobiecego. Chcesz sprawdzić, czy zapłaciła za pigułki antykoncepcyjne, czy za dokonanie aborcji?

– Dziękuję ci, ale to nie będzie konieczne – odparł Michael.

Niewielkie czerwone światełko zniknęło z ekranu, on zaś znów był sam na sam z Clarisse. Młoda kobieta niosła plastikową torebkę z kosmetykami i szła dalej przez sklep. Następnie wsiadła do windy. Michael wpisał kilka nowych komend i przełączył się na obraz z kolejnej kamery. Kosmyk brązowych włosów wisiał nad czołem Clarisse i niemal dotykał jej oczu. Odgarnęła go na bok jedną ręką, potem rozejrzała się po wystawie z nowymi towarami. Michael zastanawiał się, czy szuka sukienki, którą włożyłaby na jakąś specjalną okazję. Z odrobiną pomocy ze strony Larsa mógł też zdobyć dostęp do jej poczty elektronicznej.

Elektronicznie aktywowane drzwi otworzyły się, a do pomieszczenia wszedł Kennard Nash. Kiedyś był generałem sił zbrojnych, później doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, obecnie zaś przewodniczył zarządowi Bractwa. Z powodu przysadzistej postury oraz szorstkich manier kojarzył się Michaelowi z trenerem piłkarskim.

Michael przełączył obraz na inną kamerę monitorującą – żegnaj, Clarisse – lecz generał zdążył już dostrzec na ekranie wizerunek młodej kobiety. Uśmiechnął się zupełnie jak wuj, który przyłapał siostrzeńca na przeglądaniu magazynu dla panów.

– Jaka lokalizacja? – zapytał.

– Paryż.

– Ładniutka?

– Oczywiście.

Gdy Nash podchodził do Michaela, jego głos przybrał bardziej poważny ton.

– Mam kilka informacji, które mogą cię zainteresować. Boone oraz jego ludzie przeprowadzili udaną operację terenową w osadzie Nowa Harmonia w Arizonie. Najprawdopodobniej twój brat oraz Arlekinka odwiedzili to miejsce przed paroma miesiącami.

– Więc gdzie są teraz?

– Nie wiemy tego dokładnie, ale pętla się zaciska. Analiza zgromadzonych na laptopie listów, przesłanych pocztą elektroniczną, wskazuje na to, że Gabriel jest prawdopodobnie o zaledwie kilka mil stąd. W Nowym Jorku. Wciąż nie dysponujemy jeszcze potencjałem obliczeniowym, który pozwoliłby nam inwigilować cały świat, ale z pewnością jesteśmy w stanie skoncentrować się na tej lokalizacji.

Następstwem faktu, że Michael stał się Travelerem, były konkretne zdolności, które pomagały mu przetrwać. Jeśli zrelaksował się w odpowiedni sposób – przestał myśleć i skupiał się wyłącznie na obserwacji – mógł spowolnić percepcję, a dzięki temu widzieć na czyjejs twarzy zmiany trwające zaledwie ułamki sekund. W ten sposób potrafił stwierdzić, czy ktoś kłamie; umiał też wykryć myśli lub uczucia, które ludzie na co dzień ukrywali.

– Jak długo potrwa odnalezienie mojego brata? – zapytał.

– Nie jestem w stanie określić, ale jest to bardzo pozytywny krok. Do tej pory szukaliśmy ich od Kanady aż po Meksyk. Nie sądziłem nigdy, że przyjadą do Nowego Jorku – Nash zachichotał cicho. – Ta młoda Arlekinka jest szalona.

W tym momencie świat w umyśle Michaela zaczął zwalniać. Dostrzegł zawahanie w uśmiechu Nasha, potem szybkie spojrzenie w lewo. W następnym ułamku sekundy jego usta wykrzywiły się w szyderczym uśmieszku. Być może generał nie kłamał, ale z całą pewnością ukrywał jakiś fakt, dzięki któremu odczuwał wyższość.

– Niech ktoś inny dokończy operację w Arizonie – oznajmił Michael. – Sądzę, że Boone powinien natychmiast przylecieć do Nowego Jorku.

Raz jeszcze Nash się uśmiechnął, jak gdyby miał silne karty w pokerowej rozgrywce.

– Boone pozostanie tam jeszcze przez jeden dzień, oceniając znaczenie pewnych dodatkowych informacji. Jego zespół w trakcie przeszukiwań osady natrafił na pewien list.

Generał Nash przerwał na moment, dla podkreślenia znaczenia wiadomości.

Michael spojrzał mu w oczy.

– Z jakiego powodu jest to ważne?

– To list od twojego ojca. Ukrywał się przed nami przez spory czas, a teraz okazuje się, że wciąż żyje.

– Co? Jest pan pewien? – Michael zerwał się z fotela i niemal przebiegł przez pokój.

Czy Nash mówił mu prawdę, czy też był to kolejny test jego lojalności? Spojrzał badawczo na twarz generała, przeanalizował ruch jego oczu. Nash wyglądał władczo i epatował dumą – jak gdyby cieszyła go demonstracja władzy.

– Gdzie więc jest? Jak możemy go znaleźć?

– W tej chwili nie umiem tego powiedzieć. Nie wiemy, kiedy list został napisany. Boone nie zdołał odnaleźć koperty ze znaczkiem czy adresem zwrotnym.

– O czym jest mowa w liście?

– Twój ojciec zainspirował powstanie wspólnoty Nowa Harmonia. Pragnął zachęcić przyjaciół i ostrzec ich przed Braćmi. – Nash patrzył, jak Michael chodzi po pokoju. – Nie wyglądasz na zbyt uszczęśliwionego tą nowiną.

– Po tym jak pańscy ludzie spalili nasz dom, Gabe i ja karmiliśmy się fantazjami. Przekonywaliśmy sobie nawzajem, że nasz ojciec przeżył i że szuka nas, tułających się po kraju. Kiedy byłem już starszy, zdałem sobie sprawę, że nasz ojciec nie zamierza nam pomóc. Byłem zdany na siebie.

– Doszedłeś więc wtedy do wniosku, że on nie żyje?

- Dokądkolwiek mój ojciec się udał, nie zamierzał wrócić. A zatem równie dobrze mógł umrzeć.
 - Kto wie, być może zdołamy zorganizować zjazd waszej rodziny.
- Michael chciał walnąć Nashem o ścianę i uderzyć w jego beczelnie roześmianą twarz, ale tylko się odwrócił. Odzyskał panowanie nad sobą. Wciąż był więźniem, pojawiły się jednak pewne możliwości. Musiał zyskać więcej pewności siebie i poprowadzić Braci w określonym kierunku.
- Zabiliście wszystkich w Nowej Harmonii. Zgadza się?
- Nash sprawiał wrażenie rozdrażnionego otwartością Michaela.
- Oddział Boone'a osiągnął wyznaczone cele.
 - Czy policja wie o tym, co się wydarzyło? Czy w gazetach pojawiły się doniesienia?
 - Dlaczego się tym interesujesz?
 - Mówię panu, jak odnaleźć Gabriela. Jeśli media nic o tym nie wiedzą, niech Boone sprawi, żeby się dowiedziały czego trzeba.
- Nash kiwnął głową.
- To z pewnością część planu.
 - Znam mojego brata. Gabriel był w Nowej Harmonii i poznał jej mieszkańców. Te zdarzenia z pewnością głęboko go poruszają. Zapewne zareaguje impulsywnie. Musimy zatem być gotowi.

2

Gabriel i jego przyjaciele mieszkali teraz w Nowym Jorku. Dzięki Oscarowi Hernandezowi, duchownemu ze wspólnoty kościelnej Vicki, mogli zająć opuszczony lokal przemysłowy w Chinatown. Usytuowany na parterze sklep spożywczy przyjmował zakłady bukmacherskie, toteż dysponował pięcioma liniami telefonicznymi – każdą zarejestrowaną na inne nazwisko. Do tego dochodził telefaks, skaner oraz szybkie łącze internetowe. Za niewielką opłatą właściciel sklepu pozwolił im wykorzystać te elektroniczne zasoby do stworzenia nowej tożsamości. Chinatown świetnie się nadawało do tego typu transakcji, ponieważ wszyscy sklepikarze, bez wyjątku, woleli gotówkę od kart kredytowych lub płatniczych, jak wiadomo – monitorowanych przez Rozległą Sieć.

W pozostałej części budynku prowadzono rozmaitego rodzaju działalność, do której zatrudniano nielegalnych imigrantów. Na parterze tanią siłą roboczą wyzyskiwał zakład odzieżowy, a na pierwszym piętrze jakiś człowiek wytwarzał pirackie DVD. Obcy ludzie pojawiali się w budynku i wychodzili z niego nieustannie przez cały dzień, ale na noc wszyscy znikali.

Na trzecim piętrze znajdowało się długie i wąskie pomieszczenie z lakierowanymi deskami podłogowymi oraz oknami na obu końcach. Kiedyś znajdował się tutaj zakład, w którym szyci podróbki firmowych damskich torebek, a do podłogi obok łazienki wciąż jeszcze była przynitowana przemysłowa maszyna do szycia. Kilka dni po przyjeździe Vicki rozwiesiła plandeki malarskie na sznurkach od prania, tworząc w ten sposób męską sypialnię dla Gabriela i Hollisa oraz damską dla siebie i Mai.

Ta odniosła rany w trakcie ataku na Ośrodek Badawczy Fundacji Evergreen i wracała do zdrowia małą krokami. Gabriel wciąż pamiętał, jak po raz pierwszy o własnych siłach usiadła na krześle wieczorem i zjadła kolację, i jak wreszcie bez pomocy Vicki wzięła poranny prysznic. Po dwóch miesiącach zdołała wyjść z budynku wraz z innymi, kuśtykając na trasie od Mosco Street aż do Hong Kong Cake Company. Czekwała na zewnątrz przy ulicznym kiosku – wciąż jeszcze słaba, lecz zdecydowana stać o własnych siłach – podczas gdy stara Chinka piekła płaskie

ciasteczka na poczeriałym żelaznym ruszcie.

Pieniądze nie stanowiły problemu; otrzymali już dwie przesyłki z banknotami studolarowymi od Lindena, Arlekina mieszkającego w Paryżu. Stosując się do poleceń Mai, stworzyli fałszywe tożsamości, na co składały się metryki urodzenia, paszporty, prawa jazdy oraz karty kredytowe. Hollis i Vicki znaleźli rezerwowe mieszkanie w Brooklynie i wynajęli skrzynki na listy oraz skrytki pocztowe. Kiedy każdy z członków grupy zdobędzie dokumenty potwierdzające dwie fałszywe tożsamości, będą mogli opuścić Nowy Jork i udać się do kryjówki w Kanadzie lub Europie.

Czasami Hollis wybuchał śmiechem i nazywał ich grupą „czworga uciekinierów”, a Gabriel czuł, że się zaprzyjaźnili. Wieczorami czworo mieszkańców loftu gotowało niekiedy kolację złożoną z jednego dużego posiłku, potem siadało razem przy stole, grało w karty, przekomarzało się na kogo wypada zmywanie naczyń. Nawet Maya uśmiechała się od czasu do czasu i stała się członkiem ich grupy. W takich chwilach Gabriel tracił pewność siebie i zapominał, że on jest Travelerem, a Maya Arlekinką. I że jego zwykłe życie nigdy nie wróci.

Pewnej środy, wieczorem, wszystko uległo zmianie. Cała grupa spędziła dwie godziny w klubie jazzowym w dzielnicy West Village. Kiedy wracali spacerem przez Chinatown, kierowca dostawczego trucka zrzucił na chodnik przewiązaną stertę bulwarowych gazet. Gabriel zerknął na nagłówek i stanął jak wryty.

ZABILI WŁASNE DZIECI

67 ofiar religijnego samobójstwa w Arizonie

Artykuł dotyczył Nowej Harmonii, gdzie Gabriel zaledwie kilka miesięcy wcześniej odwiedził Sophię Briggs, Przewodnika.

Kupili trzy różne gazety i ruszyli pospiesznie do mieszkania na poddaszu. Zdaniem policji stanu Arizona, przyczyną mordu była mania religijna. Reporterzy zdążyli już przeprowadzić wywiady z byłymi sąsiadami nieżyjących rodzin. Wszyscy zgadzali się co do jednego. Ludzie, którzy żyli w osadzie Nowa Harmonia, musieli być obłąkani. Zostawili dobre posady oraz piękne domy, żeby żyć na pustyni.

Hollis przebiegł oczyma artykuł w „New York Timesie”.

– Tu piszą, że broń była zarejestrowana na tamtejszych mieszkańców.

– To niczego nie dowodzi – zauważyła Maya.

– Policja znalazła nagranie zrobione przez pewną Brytyjkę – dodał Hollis. – Najwyraźniej była to swego rodzaju przemowa o konieczności unicestwienia zła.

– Martin Greenwald wysłał do mnie e-maila kilka tygodni temu – powiedziała Maya. – Nie wspominał nic o żadnych problemach.

– Nie wiedziałem, że miałaś jakieś wieści od Martina. – Gabriel nie krył zaskoczenia i jednocześnie obserwował zmiany na twarzy Mai.

Od razu zrozumiał, że ukryła przed nimi coś bardzo ważnego.

– Tak, miałam – usiłując uniknąć spojrzenia Gabriela, Maya przeszła do kuchni.

– Co ci przekazał?

– Podjęłam decyzję. Sądziłam, że będzie najlepsza...

Gabriel wstał i zrobił krok w jej kierunku.

– Powiedz mi, co on ci przekazał!

Maya była już blisko drzwi prowadzących na klatkę schodową. Gabriel zastanawiał się, czy zamierza uciec, żeby nie odpowiedzieć na jego pytanie.

– Martin otrzymał list od twojego ojca – wyznała Maya. – Pytał, jak się wiedzie mieszkańcom wspólnoty Nowa Harmonia.

Przez kilka sekund Gabriel miał wrażenie, że ich poddasze, budynek oraz całe miasto zniknęły. On zaś był chłopcem, stał na śniegu i patrzył, jak sowa zatacza kręgi nad dymiącymi zgliszczami ich rodzinnego domu. Jego ojciec odszedł, zniknął na zawsze.

Potem zamrugał oczami i wrócił do teraźniejszości. Hollisa ogarnęła wściekłość, Vicki sprawiała wrażenie głęboko dotkniętej, a Maya wyzywająco broniła swojej decyzji.

– Mój ojciec żyje?

– Tak.

– A więc co się stało? Gdzie jest?

– Tego nie wiem – odparła Maya. – Martin zachował ostrożność, przesyłając informację przez Internet.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałaś...

Maya przerwała mu, wyrzucając z ust potok słów.

– Ponieważ wiedziałam, że pojechałbyś do Nowej Harmonii, a to byłoby ryzykowne. Sama planowałam podróż do Arizony, kiedy opuścimy Nowy Jork, a ty znajdziesz się w kryjówce.

– Myślałem, że współpracujemy – wtrącił Hollis. – Żadnych sekretów, wszyscy gramy na jedną bramkę.

Jak zwykle Vicki wystąpiła w roli rozjemcy.

– Jestem pewna, iż Maya zdaje sobie sprawę z popełnionego błędu.

– Sądysz, że Maya zamierza kogoś przeprosić? – zapytał Hollis. – Nie jesteśmy przecież Arlekinami, więc nie dorastamy do jej poziomu. Przez cały czas traktowała nas jak gromadkę dzieci.

– Nie popełniłam błędu! – zaprotestowała Maya. – Wszyscy mieszkańcy Nowej Harmonii są martwi. Gdyby Gabriel tam był, również by nie żył.

– Mam prawo podejmować decyzje za siebie – oznajmił Gabriel. – Teraz Martina już nie ma i nie mamy żadnej informacji.

– Wciąż żyjesz, Gabrielu. Tak czy inaczej ochroniłam cię. To mój obowiązek jako Arlekina. Moje jedyne zobowiązanie.

Obróciła się, odsunęła z impetem rygiel i wypadła z mieszkania na korytarz, zatrzasnując za sobą drzwi.

3

Wyraz „zombie” czał się w umyśle Nathana Boone'a niczym szept. Wydawał się nie na miejscu w gościnnej sali odlotów prywatnego portu lotniczego w pobliżu Phoenix w Arizonie. Znajdowały się tu meble w pastelowych kolorach oraz oprawione w ramki fotografie tancerzy Indian Hopi. Uprzejma młoda kobieta imieniem Cheryl upiekła właśnie ciastka z kawałkami czekolady i parzyła kawę dla niewielkiej grupy pasażerów.

Boone włączył laptopa i połączył się z Internetem. Na zewnątrz terminala był pochmurny i wietrzny dzień, a wiatr hulał i wirował po płycie lotniska niczym trąba powietrzna. Jego ludzie załadowali już na pokład wycarterowanego odrzutowca zaplombowane pojemniki, zawierające

broń oraz kamizelki kuloodporne. Kiedy obsługa naziemna lotniska zakończy tankowanie samolotu, Boone i jego drużyna będą mogli odlecieć na wschód.

Bez trudu dało się zmanipulować opinię policji i mediów na temat wydarzeń w Nowej Harmonii. Technicy pracujący dla Bractwa już wcześniej włamali się do komputerów rządowych i zarejestrowali długą listę broni palnej na nazwiska Martina Greenwalda oraz innych członków społeczności. Badania balistyczne oraz nagrane na wideo oświadczenie Janet Wilkins o przesłaniu od Boga przekonało władze, że Nowa Harmonia była sektą, która dokonała samozagłady. Tragiczne zdarzenia opisano w odpowiednio skrojonej formie w wieczornych gazetach, a żaden z reporterów nie odczuł potrzeby głębszego drążenia tematu. Sprawa była zamknięta.

Jeden z najemników zameldował wprawdzie o dziecku biegnącym ku obrzeżom osady, a Boone zastanawiał się, czy to ta sama azjatycka dziewczynka, którą widział w centrum wspólnoty. To mógłby być problem, ale policja nie znalazła nikogo żywego. Jeśli dziewczynka zdołała uciec w trakcie ataku, najprawdopodobniej zmarła z zimna na pustyni albo też ukryła się w jednym z domów i spłonęła żywcem.

Uaktywnił system szyfrowania, podłączył się do Internetu i sprawdził pocztę elektroniczną. Znalazł obiecujące nowiny na temat poszukiwań Gabriela Corriganu w Nowym Jorku i odpowiedział na nie natychmiast. Przeglądając kolejne e-maile, natrafił na trzy od Michaela, w których ten pytał o postępy poszukiwań jego ojca. „Proszę o przesłanie raportu co do postępów. Bractwo życzy sobie podjęcia natychmiastowych działań w tej sprawie”.

– Bezczelny sukinsyn – mruknął pod nosem Boone i natychmiast spojrzął przez ramię, czy ktoś przypadkiem go nie usłyszał.

Szef służby ochrony Bractwa stwierdził, że nie czuje się zbyt komfortowo w sytuacji, gdy polecenia wydaje mu Traveler. Michael stał teraz po ich stronie, ale zdaniem Boone'a wciąż był wrogiem.

Jedynie dane biometryczne o ojcu Corriganów składały się ze zdjęcia do prawa jazdy sprzed dwudziestu sześciu laty i z odcisku kciuka, przystawionego obok podpisu poświadczonego notarialnie. Stratą czasu było zatem sprawdzanie rządowych banków danych. Program skanujący Bractwa mógł monitorować pocztę elektroniczną oraz rozmowy telefoniczne, a także każdy rodzaj przekazu informacji, w którym padnie nazwisko Matthew Corriganu lub pojawi się jakieś odniesienie do Travelerów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zakończono budowę nowego centrum komputerowego w Berlinie, ale Boone'owi nie pozwolono z niego skorzystać w operacjach związanych z bezpieczeństwem. Generał Nash był bardzo tajemniczy w kwestii planów zarządu względem centrum w Berlinie, ale było jasne, że ośrodek stanowi duży przełom w realizacji celów Bractwa. Najprawdopodobniej testowano tam coś o nazwie Program Cień, który miał stanowić pierwszy krok do ustanowienia Wirtualnego Panoptikonu. Kiedy Boone narzekał na brak środków technicznych i potencjału obliczeniowego, personel ośrodka w Berlinie zasugerował rozwiązanie tymczasowe. Zamiast pozwolić mu korzystać z komputerów centrum, dostarczą mu „zombie”, które dopomogą w poszukiwaniach.

Zombie to przydomek każdego komputera zainfekowanego wirusem lub trojanem, umożliwiającym dyskretną inwigilację z zewnątrz. Serwery zarządzające pracą zombie na całym świecie wykorzystywały je do rozsyłania spamu lub do wymuszania pieniędzy od właścicieli co bardziej wrażliwych witryn internetowych. Jeśli odmawiali uiszczenia zapłaty, ich serwery zapychały się tysiącami zapytań wysyłanych jednocześnie.

Sieci zombie, nazywane „bot nets”, można było kupować, wykradać bądź też wymieniać na czarnym rynku w Internecie. W ciągu ostatniego roku personel techniczny Bractwa zakupił takie sieci

od różnych grup przestępczych oraz opracował nowe oprogramowanie, zmuszające zainfekowane komputery do wykonywania bardziej złożonych zadań. Chociaż system nie dysponował dostatecznym potencjałem, by monitorować wszystkie komputery na świecie, z pewnością mógł sobie poradzić z poszukiwaniem konkretnego obiektu.

Boone zaczął wystukiwać na klawiaturze polecenie do ośrodka w Berlinie: „Jeśli system pomocniczy już działa, zaczynajcie szukać Matthew Corriganą”.

– Przepraszam, panie Boone...

Zaskoczony podniósł wzrok znad klawiatury. Pilot czarterowej maszyny – elegancko ostrzyżony młody człowiek w granatowym mundurze – stał o jakiś metr od stołu.

– Jakiś problem?

– Żadnego problemu. Skończyliśmy tankować i jesteśmy gotowi do startu.

– Właśnie otrzymałem nowe informacje – oznajmił Boone. – Proszę zmienić cel naszej podróży na Westchester County Airport i skontaktować się z działem transportu. Proszę ich powiadomić, że potrzebuję dostatecznej liczby pojazdów, aby zawieźć moich ludzi do Nowego Jorku.

– Tak jest. Już do nich dzwonię.

Boone odczekał, aż pilot się oddali, potem wznowił pisanie. Niech komputery ścigają to widmo, pomyślał. Odnajdę Gabriela w ciągu dwóch dni.

Minutę później gotowy list wysyłał do Berlina. W chwili gdy dotarł na płytę lotniska, ukryte oprogramowanie ożyło na zainfekowanych komputerach na całym świecie. Fragmenty informatycznej świadomości zaczęły zbierać się niczym armia zombie siedzących cicho w ogromnym pomieszczeniu. Czekały bez oporu, bez świadomości czasu, do chwili gdy polecenie zmusi je do rozpoczęcia poszukiwań.

Na przedmieściach Madrytu czternastoletni chłopiec grał *online* w grę fantasy. W Toronto emerytowany inspektor nadzoru budowlanego pisał komentarz na temat ulubionej drużyny na forum hokejowym. Kilka sekund później oba ich komputery zaczęły pracować odrobinę wolniej, ale żaden z nich nie zauważył zmiany. Z pozoru wszystko pozostało takie samo, tyle że teraz elektroniczni niewolnicy okazywali posłuszeństwo nowemu panu, który wydał nową komendę.

Znajdźcie Travelera.

4

Gabriel nacisnął klawisz telefonu komórkowego i sprawdził godzinę. Była pierwsza w nocy, ale z ulicy wciąż dobiegały hałasy. Słyszał klakson samochodu i policyjne syreny w oddali. Jakiś samochód z łomoczącym głośno stereo jeździł po okolicy, a dudniące basy rapowej piosenki brzmiały niczym przytłumione uderzenia serca.

Traveler rozsunął górną połówkę śpiwora i usiadł. Światło ulicznych latarni przebijało się przez pobielone szyby w oknach. Widział Hollisa Wilsona, który leżał na polowym łóżku o jakieś dwa metry od niego. Były nauczyciel wschodnich sztuk walki oddychał równomiernie, a Gabriel doszedł do wniosku, że Hollis śpi.

Upłynęły dwadzieścia cztery godziny od momentu, kiedy się dowiedział, że mieszkańcy Nowej Harmonii są martwi, a jego ojciec wciąż żyje. Zastanawiał się, jak ma odnaleźć kogoś, kto zniknął przed piętnastoma laty. Czy ojciec wciąż jest na tym świecie, czy może przeszedł do innego wymiaru? Gabriel leżał na plecach na rozkładanym łóżku i uniósł lewą rękę. Późnym wieczorem czuł się podatny na pokusy i zagrożenia nowej mocy, którą posiadał.

Przez kilka minut koncentrował się na Świetle wewnątrz własnego ciała. Później nadszedł trudny moment. Wciąż koncentrując się na Świetle, usiłował poruszyć ręką, nie myśląc jednocześnie o tym w świadomy sposób. Czasami wydawało się niemożliwe, że można podjąć decyzję o ruchu części ciała, a potem tę decyzję zignorować. Gabriel oddychał głęboko, a palce jego dłoni przesuwały się do przodu. Drobne punkciki światła, jak gwiazdy w niebieskiej konstelacji – zaczęły się unosić w ponurej ciemności, podczas gdy jego fizyczna ręka stała się bezwładna i martwa.

Poruszył ręką, a Światło zostało ponownie wchłonięte przez jego ciało. Drżał i oddychał z trudem. Ponownie usiadł, wyciągnął nogi ze śpiwora i postawił bose stopy na drewnianej podłodze. Zachowujesz się jak idiota, powiedział do siebie. To nie jest sztuczka do pokazywania na przyjęciach. Albo przenosisz się do innego wymiaru, albo zostajesz na tym świecie.

W T-shircie i bawełnianych spodniach od dresu Gabriel prześlizgnął się przez szczelinę między zasłonami i wszedł do głównej części lottu. Skorzystał z łazienki, potem udał się do kuchni, by napić się wody z kranu. Maya siedziała na kanapie w pobliżu kobiecej sypialni. Kiedy leczyła się z ran po postrzale, większość czasu spędzała na spaniu. Teraz znów mogła chodzić po mieście i wypełniała ją niewyczerpana energia.

– Wszystko w porządku? – zapytała szeptem.

– Tak, po prostu chce mi się pić.

Odkręcił kurek z zimną wodą i napił się prosto z kranu. Jedną z rzeczy, która mu się podobała w Nowym Jorku, była woda. Kiedy mieszkał w Los Angeles wraz z Michaeliem, woda wodociągowa zawsze miała delikatny chemiczny posmak.

Gabriel przeszedł z powrotem przez pomieszczenie i usiadł obok Mai. Nawet po kłótni na temat jego ojca, wciąż lubił na nią patrzeć. Dziewczyna odziedziczyła po sikhijskiej matce czarne włosy, a po niemieckim ojcu mocne rysy. Jej oczy wyróżniały się jasnoblękitną barwą, niczym dwie krople akwareli, dryfujące na białym tle. Na ulicy ukrywała je za przeciwsłonecznymi okularami, a na włosy zakładała perukę. Nie mogła jednak zamaskować ruchów ciała. Wchodziła do sklepu spożywczego lub stawała w wagonie metra w pozycji zrównoważonej. Jak bojownik gotujący się na odparcie ciosu.

Kiedy się poznali w Los Angeles, uważał Mayę za najbardziej niezwykłą osobę, jaką spotkał w życiu. Była kobietą na wskroś nowoczesną. Ekspertem we wszystkich aspektach technologii inwigilacji. Jednocześnie była też spadkobierczynią liczącej setki lat tradycji, która leżała ciężkim brzemieniem na jej barkach. Ojciec Mai, Thorn, już od małości uczył ją, że Arlekini są: „Potępieni ciałem. Zbawieni krwią”. Można było odnieść wrażenie, iż Maya nosi poczucie winy za jakiś fundamentalny błąd, który może odpokutować jedynie narażając własne życie.

Maya postrzegала świat wyraziście – wszelka lekkomyślność czy zakłócenia jej percepcji zostały wyteplone już lata temu. Gabriel wiedział, że nigdy nie złamie zasad i nie zakocha się w Travelerze. A teraz, kiedy jego własna przyszłość była tak niejasna, czuł, że równie nieodpowiedzialne byłyby jego dążenia do zmiany ich relacji.

On i Maya pełnili określone role jako Traveler i Arlekinka, a mimo to wciąż czuł do niej fizyczny pociąg. Kiedy leczyła się z ran, brał ją na ręce i przenosił z łóżka na kanapę, czując ciężar jej ciała i jednocześnie zapach skóry i włosów. Czasem przez szparę pomiędzy zasłonami widział, jak rozmawia z Vicki, kiedy się ubiera. Między nimi nic nie było, ale jednocześnie było wszystko. Nawet siedząc obok niej na kanapie, czuł jednocześnie przyjemność i udrękę.

– Powinnaś przespać się trochę – powiedział łagodnie.

– Nie mogę zamknąć oczu. – Kiedy Maya była zmęczona, jej brytyjski akcent przybierał na sile.

– Umysł nie przestaje pracować.

– Rozumiem to. Czasami mam wrażenie, że w mojej głowie kłębi się zbyt wiele myśli i nie mogą się w niej pomieścić.

Znów zapadła cisza. On wsłuchiwał się w jej oddech. Przypomniawszy sobie, jak okłamała go w sprawie ojca. Czy miała też inne sekrety? Co jeszcze powinien wiedzieć? Arlekinka odsunęła się o kilka centymetrów od Gabriela, nie chcąc, żeby byli tak blisko siebie. Jej ciało było spięte, on zaś słyszał jej głęboki oddech, jakby szykowałą się do zrobienia czegoś niebezpiecznego.

– Myślałam o naszej wczorajszej sprzeczce.

– Powinnaś była mi powiedzieć o ojcu – powiedział Gabriel.

– Usiłowałam cię chronić. Nie rozumiesz tego?

– Ale to mi nie wystarcza – Gabriel pochylił się ku niej. – W porządku, mój ojciec wysłał list do mieszkańców Nowej Harmonii. Jesteś pewna, że nie wiesz, skąd wysłano ten list?

– Mówiłam ci o Carnivore, Mięsożercy. Rząd nieustannie monitoruje korespondencję elektroniczną. Martin nigdy nie przesłałby tak istotnej informacji przez Internet.

– Skąd mogę wiedzieć, że mówisz mi prawdę?

– Jesteś przecież Travelerem, Gabrielu. Wystarczy, że spojrzysz w moją twarz i będziesz wiedział, czy kłamię.

– Nie sądziłem, że muszę to robić. Nie w twoim wypadku.

Gabriel wstał z kanapy i wrócił na swoje łóżko. Położył się, lecz nie mógł zasnąć. Wiedział, iż Maya troszczyła się o niego, ale zdawała się nie rozumieć, jak bardzo on pragnie odnaleźć ojca. Jedyne ojciec mógł mu powiedzieć, co powinien robić teraz, gdy stał się Travelerem. Wiedział, że ulega jakiejś transformacji, staje się inną osobą, lecz nie miał pojęcia dlaczego.

Gdy zamknął oczy, miał sen, w którym ojciec szedł ciemną ulicą w Nowym Jorku. Gabriel zawołał go i pobiegł za nim, lecz ojciec znajdował się zbyt daleko, by go usłyszeć. Skręcił za rogiem, a nim Gabriel dotarł do skrzyżowania, zniknął.

W tym śnie Gabriel stał pod uliczną latarnią na chodniku ciemnym i błyszczącym od deszczu. Rozglądał się dookoła i dostrzegł kamerę monitorującą na dachu jednego z budynków. Była też inna kamera na innej latarni oraz z pół tuzina w różnych miejscach opustoszałej ulicy. Wtedy właśnie zrozumiał, że Michael również wyruszył na poszukiwania, ale dysponuje kamerami i skanerami oraz wszelkimi urządzeniami Rozległej Sieci. Przypominało to wyścig – straszną rywalizację – a on nie miał najmniejszej szansy na zwycięstwo.

5

Chociaż Arlekini czasami postrzegali siebie jako ostatnich obrońców w dziejach, ich historyczna wiedza bazowała w większym stopniu na tradycji niż faktach zamieszczonych w podręcznikach. Dorastając w Londynie, Maya zapamiętywała miejsca egzekucji, rozrzucone po mieście. Ojciec pokazywał jej każde z nich podczas codziennych lekcji na temat broni oraz walk ulicznych. Tyburn było miejscem przeznaczonym dla zbrodniarzy, Tower dla zdrajców, natomiast wysuszone truchła piratów całymi latami wisały w Execution Dock w Wapping. W różnych epokach władze mordowały żydów, katolików oraz długą listę dysydentów, wyznających wiarę w innego boga bądź też modlących się o inną wizję tego świata. W pewnym miejscu w okolicach West Smithfield uśmiercano heretyków, czarownice oraz kobiety, które zamordowały swoich mężów – a także nieznanymi z imienia Arlekinów, stających w obronie Travelerów.

Maya poczuła tę samą boleść w momencie, gdy weszła do siedziby sądu karnego w dolnym

Manhattanie. Stojąc przy głównym wejściu, podniosła do góry wzrok na zegar zawieszony pod stropem na wysokości drugiej kondygnacji. Ściany budowli wykonane z białego marmuru, żyrandole w stylu art déco oraz zdobione poręcze schodów pozwalały się domyślać, iż jest to przepych właściwy dla poprzedniej epoki. Potem opuściła wzrok i przyjrzała się światu, który ją otaczał: policjantom i przestępcom, prawnikom i komornikom, ofiarom oraz świadkom – wszyscy oni mieszały się w tłumie, stąpającym po brudnej posadzce w stronę czekającej na nich bramki do wykrywania metalu.

Dimitri Aronov, rosyjski imigrant, był starszym mężczyzną o sporej tuszy, z trzema pasmami przetłuszczonych czarnych włosów, zaczesanymi na tył łysawej głowy. Z podniszczoną skórzaną teczką wszedł do bramki. Zatrzymał się na sekundkę i spojrzął przez ramię w kierunku Mai.

– Ma pan jakiś problem? – zapytał strażnik. – Proszę iść dalej...

– Oczywiście, oficerze. Oczywiście.

Aronov przeszedł przez bramkę, potem westchnął i wywrócił oczyma, jak gdyby właśnie przypominał sobie, iż zostawił ważny dokument w aucie. Przeszedł ponownie przez punkt kontrolny i podążył za Mayą, przechodząc przez obrotowe drzwi. Przez moment stali na szczycie szerokich schodów i spoglądali na wierzchołki wieżowców dolnego Manhattanu. Dochodziła czwarta po południu. Szare chmury wisiały nad miastem, a słońce przebijało się niemrawo po zachodniej stronie.

– A zatem? Jakie jest pani zdanie, panno Strand?

– Nie mam zdania, jak na razie.

– Sama pani widziała, nie ma alarmu, nie ma aresztowania.

– Przyjrzyjmy się pańskiemu produktowi.

Razem zeszli schodami w dół, potem ruszyli zygżakiem przez zatłoczoną Centre Street i w końcu dotarli do niewielkiego parku, usytuowanego pośrodku dużego placu. Collect Pond Park był kiedyś potężnym zbiornikiem, do którego odprowadzano nieoczyszczone ścieki w początkach istnienia Nowego Jorku. Wciąż było to ponure miejsce, pogrążone w cieniu przez wysokie budynki, otaczające ten skrawek terenu. Kilka znaków zabraniało nowojorczykom karmienia gołębi, a stado tych ptaków przelatywało z miejsca na miejsce i szukało karmy w błocie. Usiedli na drewnianej ławce tuż poza zasięgiem dwóch kamer monitorujących, zainstalowanych na terenie parku. Aronov położył torbę na ławce i poruszał palcami.

– Proszę, niech pani sprawdzi towar.

Maya odchyliła klapę teczek. Zajrzała do środka i zobaczyła pistolet, który wyglądał na automatyczny, kaliber dziewięć milimetrów. Miał dwie lufy: górną i dolną, oraz żłobkowany uchwyt. Gdy wzięła go do ręki, stwierdziła, że jest bardzo lekki – niemal jak dziecięca zabawka.

Aronov zaczął przemawiać kupieckim żargonem.

– Kabłąk, kolbę oraz spust wykonano z plastiku o wysokiej gęstości. Lufy, zamek oraz iglica to supertwarda ceramika, wytrzymała jak stal. Jak sama pani miała okazję się przekonać, złożona broń przechodzi przez każdy standardowy wykrywacz metalu. Na lotniskach nie będzie tak łatwo – większość z nich jest wyposażona w skanery albo w urządzenia emitujące fale milimetrowe. Może pani jednak rozłożyć broń na dwie lub trzy części i ukryć je, dajmy na to, w laptopie.

– Z jakiej amunicji się strzela?

– Pociski zawsze stanowiły problem. CIA opracowało taki sam rodzaj broni, wykorzystując amunicję bezłuskową. Zabawne, co? Mają zwalczać terroryzm, a więc stworzyli broń idealną dla terrorystów. Jedną moją przyjaciółkę w Moskwie zastosowali nieco bardziej wyrafinowane rozwiązanie. Pozwoli pani?

Aronov sięgnął do teczki. Odciągnął zamek i odsłonił coś, Co wyglądało jak grube brązowe cygaro z czarną końcówką.

– To jest papierowy ładunek z ceramiczną kulą. Może pani potraktować to jako nowoczesny odpowiednik systemu stosowanego w siedemnastowiecznych muszkietach. Materiał miotający zapala się w dwóch etapach i wypycha pocisk z lufy. Przeładowanie jest zatem kłopotliwe... – Aronov przełożył broń do lewej dłoni i umieścił drugą lufę na miejscu. – Ma więc pani możliwość oddania dwóch szybkich strzałów, ale w zasadzie więcej pani nie trzeba. Kula przecina cel niczym odłamek szrapnela.

Maya odsunęła się od teczki i rozejrzała dookoła, by się upewnić, że nikt ich nie obserwuje. Wysoko nad nimi wznosiła się szara fasada budynku sądu. Policyjne radiowozy oraz małe białoniebieskie autobusy do przewożenia więźniów stały zaparkowane w dwóch rzędach wzdłuż ulicy. Słyszała odgłosy ulicznego ruchu, dobiegające ze wszystkich stron małego parku, czuła też zapach wody kwiatowej Aronova zmieszanej z nieco spleśniałą wonią mokrych liści.

– Robi wrażenie, co? Musi pani przyznać.

– Ile?

– Dwanaście tysięcy dolarów. Gotówką.

– Za pistolet? To absurd.

– Moja droga panno Strand... – Rosjanin uśmiechnął się i pokręcił z dezaprobatą głową. – Byłoby pani trudno znaleźć kogoś innego, kto sprzedałby pani taką broń. O ile w ogóle jest to możliwe. Poza tym już wcześniej robiliśmy interesy. Orientuje się pani, że mój towar jest najlepszej jakości.

– Nawet nie wiem, czy pańska broń strzela.

Aronov zamknął teczkę i postawił ją na chodniku przy swoich nogach.

– Jeśli pani sobie życzy, możemy pojechać do garażu, którego właścicielem jest jeden z moich przyjaciół w New Jersey. Nie ma tam żadnych sąsiadów, ściany są grube. Naboje są drogie, ale pozwolę pani wystrzelić dwa, zanim wręczy mi pani pieniądze.

– Muszę to przemyśleć.

– O siódmej po południu będę przejeżdżał obok wejścia do kompleksu Lincoln Center. Jeśli będzie tam pani, дам pani specjalną ofertę tylko na dziś wieczór: dziesięć tysięcy dolarów oraz sześć naboji.

– Oferta specjalna to osiem tysięcy.

– Dziewięć.

Maya przytaknęła.

– Zapłacę panu, jeśli wszystko będzie działało tak, jak pan obiecał.

Kiedy wyszła z parku i przecięła Center Street, zadzwoniła z komórki do Hollisa. Natychmiast odebrał, ale się nie odezwał.

– Gdzie jesteś? – zapytała.

– Columbus Park.

– Będę tam za pięć minut.

Wrzuciła telefon do podręcznej torebki i sięgnęła po generator liczb losowych – elektroniczne urządzenie wielkości pudełka do zapalek, zawieszzone na tasiemce na szyi.

Maya oraz inni Arlekini nazywali swych wrogów Tabularni, ponieważ uważali oni, że ludzka świadomość stanowi *tabula rasa* – niezapisaną tablicę, którą można wypełnić hasłami o nienawiści i strachu. Tabulowie wierzyli, iż wszystko można poddać kontroli, Arlekini natomiast kultywowali filozofię przypadkowości. Niekiedy podejmowali decyzję, posługując się kostką do gry lub

generatorem liczb losowych.

Liczba nieparzysta oznaczasz skręt w lewo, parzysta zaś w prawo. Nacisnęła guzik, a kiedy na wyświetlaczu pojawiła się liczba 365, skręciła w lewo i ruszyła w dół Hogan Place.

Dojście do Columbus Park zajęło jej około dziesięciu minut. Był to prostokątny skrawek asfaltu i mizernych drzew, oddalony o kilka przecznic od Chinatown. Gabriel lubił przychodzić tu po południu, kiedy park wypełniał się starszymi Chińczykami. Tworzyli oni złożone sojusze, zdając się na ziomek, pochodzących z tej samej prowincji czy nawet wioski. Plotkowali i bez pośpiechu zjadali posiłki na wynos, przyniesione w plastikowych pojemnikach, grając jednocześnie w madżonga i czasami w szachy.

Hollis Wilson siedział na ławce. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, która maskowała automatyczny pistolet kaliber .45, kupiony od Dimitriego Aronova. Kiedy Maya po raz pierwszy spotkała Hollisa w Los Angeles, nosił dredy długie do ramion i ubierał się w modne ciuchy jak mężczyzna, który się cieszy względami licznych przyjaciółek. W Nowym Jorku Vicki obcięła mu włosy na krótko, on zaś opanował zasady maskowania się, stepowane przez Arlekinów. Zawsze nosił ubiór lub miał coś przy sobie, co wskazywałoby na fałszywą tożsamość. Tego popołudnia przypiął do kurtki dwie plakietki z napisami: „Chcesz zrzucić wagę? Wypróbuj preparaty ziołowe!”. Na ich widok mieszkańcy Nowego Jorku natychmiast odwracali wzrok.

Gdy Hollis strzegł Gabriela, studiował również mocno zniszczony egzemplarz dzieła *Droga Miecza*, zbioru przemyśleń na temat walki, spisane go przez Sparrowa, legendarnego Arlekin z Japonii. Maya dorastała z tą książką u boku, a jej ojciec nieustannie powtarzał słynną myśl, że Arlekin powinien „kultywować przypadkowość”. Drażniło ją to, że Hollis usiłuje opanować kluczową część jej własnej nauki.

– A więc jak długo tutaj jesteś? – zapytała.

– Jakies dwie godziny.

Zerknęli na drugi rząd ławek po przeciwnej stronie parku. Gabriel rozgrywał tam partię szachów przy parkowym stole z pewnym starszym Chińczykiem. Traveler również zmienił wygląd w trakcie ich pobytu w Nowym Jorku. Vicki ostrzygła go bardzo krótko. Poza tym zazwyczaj nosił czapkę z dzianiny i słoneczne okulary. Kiedy spotkali się pierwszy raz w Los Angeles, Gabriel miał długie brązowe włosy i swobodny sposób bycia młodzieńca, który zimą spędza czas na nartach, a latem surfuje. W trakcie tej zimy zrzucił parę kilogramów i wyglądał teraz jak ktoś, kto dopiero co wykurował się z długiej i ciężkiej choroby.

Hollis wybrał dobrą pozycję obronną, z widokiem niemal na każdą część parku. Maya pozwoliła sobie na moment odprężenia i cieszyła się prozaicznym faktem, że wciąż jeszcze są żywi. Jako mała dziewczynka nazywała te chwile swoimi „klejnotami”. Klejnoty były rzadkimi chwilami, kiedy się czuła dostatecznie bezpieczna, by docenić coś przyjemnego lub pięknego – różowe niebo o zachodzie słońca lub wieczory, kiedy matka gotuje specjalne danie, jak choćby baraninę *rogan josh*.

– Czy coś się wydarzyło dzisiaj po południu? – zapytała.

– Gabe czytał książkę w sypialni, potem rozmawialiśmy przez chwilę o jego ojcu.

– Co powiedział?

– Wciąż pragnie go odnaleźć – odparł Hollis. – Rozumiem, co czuje.

Maya przyglądała się bacznie, jak trzy starsze kobiety podchodzą do Gabriela. Były to wróżki, które siedziały na skraju parku i oferowały przedstawienie przyszłości za opłatę w wysokości dziesięciu dolarów. Za każdym razem, kiedy przechodziły obok Gabriela, wyciągały ręce – dłońmi

do góry, kładąc prawą dłoń pod lewą – jak żebraczki proszące o jałmużnę. Tego popołudnia zjawiły się wyłącznie po to, by okazać mu szacunek. Jedna z nich postawiła tekturowy kubek z herbatą na rozkładanym stole używanym do gry w szachy.

– Nie martw się – uspokoił ją Hollis. – Robiły to już wcześniej niejedną raz.

– Ludzie będą o tym mówić.

– I co z tego? Nikt nie wie, kim on jest. Wróżki po prostu wyczuwają w nim jakiś rodzaj mocy.

Traveler podziękował kobietom za herbatę. Ukłoniły się i wróciły na swoje miejsce w pobliżu ogrodzenia. Gabriel powrócił do partii szachów.

– Czy Aronov pojawił się na spotkaniu? – zapytał Hollis. – Z jego esemesa wynikało, że ma do zaoferowania nowy rodzaj sprzętu.

– Usiłował sprzedać mi pistolet z ceramiki, z którym można przechodzić przez wykrywacze metalu. Prawdopodobnie został wyprodukowany przez rosyjskie służby specjalne.

– Co mu powiedziałaś?

– Nie podjęłam jeszcze decyzji. Mam się z nim spotkać o siódmej wieczorem. Pojedziemy do New Jersey, gdzie będę mogła wystrzelić kilka razy z tej broni.

– Taka broń może być przydatna. Ile za nią chce?

– Dziewięć tysięcy dolarów.

Hollis się roześmiał.

– Jak się domyślam, nie dostaniemy zniżki dla „dobrych klientów”.

– Czy powinnam go kupić?

– Dziewięć tysięcy w gotówce to kupa forsy. Powinnaś porozmawiać z Vicki. Ona wie, jaką sumą dysponujemy i ile wydajemy.

– A ona jest w lofcie?

– Tak. Szykuje kolację. Wracamy, kiedy Gabriel skończy partię.

Maya wstała z ławki i ruszyła przez wyschniętą murawę do miejsca, gdzie Gabriel grał w szachy. Kiedy nie koncentrowała się na własnych odczuciach, budziło się w niej pragnienie, by być blisko niego. Nie przyjaźnili się, to bowiem nie wchodziło w grę. Odnosiła jednak wrażenie, że on zagląda do jej serca i czyta w nim jak w otwartej książce.

Gabriel spojrział na nią i uśmiechnął się. Rzadko zdarzały się między nimi takie momenty, ale wtedy czuli się szczęśliwi i jednocześnie złościli się na siebie. „Nie bądź idiotką” – powiedziała Maya do siebie. „– Nigdy nie zapominaj. Jesteś tu po to, by go pilnować, nie by troszczyć się o niego”.

Przeszła przez Chatham Square, potem ruszyła East Broadway. Na chodniku roiło się od turystów oraz Chińczyków robiących spożywcze zakupy na kolację. Pieczone kaczki i kurczaki z młodą cebulką wisiały na hakach za zroszonymi parą okiennymi szybami, ona zaś niemal wpadła na młodego mężczyznę, który niósł małego prosiaka, owiniętego w plastikową, przezroczystą folię. Kiedy nikt nie patrzył, Maya otworzyła drzwi i weszła do budynku przy Catherine Street. Następne klucze. Następne zamki. W końcu znalazła się na poddaszu.

– Vicki?

– Jestem tu.

Maya odsunęła brezentową kotarę i znalazła Vicki Od Grzechu Fraser na łóżku, przeliczającą gotówkę, która nadeszła z kilku krajów. W Los Angeles Vicki była skromnie ubraną członkinią religijnej gminy Bożego Kościoła Isaaca T. Jonesa. Teraz miała na sobie to, co nazywała strojem artystycznym – niebieskie jeansy z haftem, czarny T-shirt oraz naszyjnik z wyspy Bali. Włosy miała zaplecione w warkoczyki, a na końcu każdego z nich znajdował się koralik.

Podniosła wzrok znad pliku pieniędzy i uśmiechnęła się.

– Kolejna przesyłka dotarła do mieszkania na Brooklynie. Chciałam sprawdzić, ile mamy w tej chwili.

Kobiece ciuchy znajdowały się w tekturowych kartonach lub wisiały na wieszakach, które Hollis kupił przy Seventh Avenue. Maya zdjęła płaszcz i powiesiła go na plastikowym wieszaku.

– Co się wydarzyło, kiedy spotkałaś tego Rosjanina? Hollis mówił, że on pewnie chce sprzedać ci kolejny pistolet.

– Zaoferował mi specjalną broń, ale jest droga – Maya usiadła na składanym łóżku i opisała w skrócie ceramiczny pistolet.

– Z nasiona sadzonka – powiedziała Vicky, gdy nakładała gumkę na plik studolarowych banknotów.

Maya zdążyła już się zapoznać z wieloma zwrotami pochodzącymi z zebranych pism Isaaca Jonesa, założyciela Kościoła, do którego należała Vicky. „Z nasiona sadzonka, z sadzonki drzewo”. Myśl ta oznaczała, że zawsze należy rozważyć konsekwencje własnych działań.

– Mamy pieniądze, ale to niebezpieczna broń – kontynuowała Vicky. – Jeśli dostanie się w ręce przestępców, mogą skrzywdzić niewinnych ludzi.

– To samo odnosi się do każdej broni.

– Czy obiecujesz, że ją zniszczysz, kiedy w końcu dotrzemy do kryjówki?

Harlekine verspechen nichts, pomyślała Maya. Arlekini niczego nie obiecują. Odniosła wrażenie, że słyszy głos swojego ojca.

– Rozważę ewentualne zniszczenie tej broni – powiedziała do Vicky. – To wszystko, co mogę obiecać.

Gdy Vicky kontynuowała przeliczanie pieniędzy, Maya się przebrała. Miała się spotkać z Aronovem w pobliżu sali koncertowych kompleksu Lincoln Center, w takim razie powinna wyglądać, jak gdyby planowała elegancki wieczór. Oznaczało to czólenka, czarne spodnie, niebieski sweter oraz wełnianą, dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju. Ponieważ w grę wchodziły duże pieniądze, postanowiła wziąć z sobą broń. Magnum. 357 z krótką lufą. Nogawki spodni były dostatecznie luźne, by schować pod nimi kaburę przypiętą nad kostką.

Nóż do rzucania przymocowała elastycznym bandażem do prawego przedramienia, natomiast nóż przeznaczony do wbijania nosiła na lewym ręku, tuż nad nadgarstkiem. Ten miał ostre, trójkątne ostrze z rękojeścią w kształcie litery T. Trzymając rękojeść w zaciśniętej pięści, można było wbić klingę z całą siłą.

Vicky przestała liczyć pieniądze. Patrzyła zawstydzona i nieco zażenowana.

– Mam pewien problem, Mayu. Pomyślałam sobie, że być może mogłybyśmy o tym porozmawiać.

– No to mów...

– Odczuwam coraz silniejszą więź z Hollisem. Nie wiem, co mam z tym począć. On miał wiele przyjaciółek, a ja nie jestem zbyt doświadczona – pokręciła głową. – Mówiąc prawdę, nie mam żadnego doświadczenia.

Maya dostrzegła, że między Hollisem a Vicky coś się rozwija. Po raz pierwszy obserwowała ewolucję uczuć dwojga ludzi, którzy zakochiwali się w sobie. Początkowo szukali siebie nawzajem wzrokiem, kiedy wstawali od stołu. Później pochylali się ku sobie, gdy jedno z nich mówiło do drugiego. Gdy byli z dala od siebie, rozmawiali o innych osobach w sposób żartobliwy i błazeński. Wszystko to sprawiło, iż Maya zdała sobie sprawę, że jej ojciec i jej matka wcale nie odczuwali do siebie miłości. Szanowali się nawzajem i byli bardzo sobie oddani w małżeństwie. Nie była to

jednak miłość. Arlekinini nigdy nie interesowali się tego rodzaju uczuciem.

Wsunęła rewolwer do kabury nad kostką. Upewniła się, że pasek na rzepy jest mocno zaciągnięty. Potem opuściła nogawkę, tak aby mankiet dotykał skraju buta.

– Rozmawiasz z nieodpowiednią osobą – powiedziała do Vicki. – Nie potrafię udzielić ci żadnej rady.

Arlekinka wzięła dziewięć tysięcy dolarów z łóżka i ruszyła w stronę drzwi. W tej chwili czuła siłę – gotowość do walki – ale w tym znajomym otoczeniu przypomniła sobie o pomocy, której udzieliła jej Vicki w czasie rekonwalescencji. Vicki karmiła Mayę, zmieniała jej opatrunki i siedziała przy łóżku, kiedy chora miała ataki bóleści. Była przyjaciółką.

Do licha z przyjaciółmi, pomyślała Maya. Arlekinini nie uznają zobowiązań wobec innych osób. A przyjaźń z obywatelami była uważana za marnowanie czasu. W trakcie niezbyt długiej próby prowadzenia normalnej egzystencji w Londynie, Maya umawiała się z mężczyznami i nawiązywała towarzyskie kontakty z kobietami, które pracowały razem z nią w firmie projektanckiej. Jednak żadna z tamtych osób nie była jej przyjacielem. Nie mogliby zrozumieć osobliwego sposobu postrzegania świata. I faktu, iż zawsze była ścigana – zawsze gotowa do odparcia ataku.

Dotknęła klamki, ale nie otworzyła drzwi. „Spójrz na fakty” – powiedziała do siebie. „– Rozetnij serce i przeanalizuj uczucia. Czujesz zazdrość wobec Vicki. To wszystko. Zazdrość wobec cudzego szczęścia”.

Powróciła do części sypialnej.

– Przykro mi, że to powiedziałam, Vicki. Mam po prostu teraz dużo spraw na głowie.

– Wiem. To mój błąd, że zawracam ci tym głowę.

– Szanuję ciebie i Hollisa. Chcę, żebyście oboje byli szczęśliwi. Porozmawiajmy o tym, kiedy wrócę wieczorem.

– OK – Vicki odprężyła się i uśmiechnęła. – Możemy to zrobić.

Maya poczuła się lepiej, kiedy w końcu opuściła budynek. Zbliżały się jej ulubione godziny. Przejście między dniem a nocą. Zanim zapaliły się uliczne latarnie, powietrze zdawało się wypełnione małymi, czarnymi plamkami ciemności. Cienie traciły wyraźne krawędzie, kontury roztapiały się. Jak nóż, ostry i równy, przecinała tłum, zdążając przez miasto.

6

Maya szła na północ, od uliczek Chinatown ku szerokim alejom Manhattanu. Tu, w widocznym mieście, Rozległa Sieć kontrolowała wszystko. Jednak Maya wiedziała, że istnieje też skomplikowany świat poniżej chodnika, labirynt nitek metra, szlaków kolejowych, zapomnianych podziemnych chodników oraz miejskich tuneli, którymi biegną kable elektryczne. Połowa Nowego Jorku była ukryta przed wzrokiem mieszkańców, wydrążona w skale, na której postawiono kamienice czynszowe w hiszpańskim Harlemie, a także szklane wieżowce przy Park Avenue. Istniał też równoległy świat ludzki, który także był ukryty, rozmaite grupy heretyków i prawdziwych wyznawców, nielegalnych imigrantów z fałszywymi dokumentami oraz szanowanych obywateli, prowadzących sekretne życie.

Godzinę później stała już na marmurowych stopniach, prowadzących do Centrum Sztuk Widowiskowych. Teatr i betonowe budynki znajdowały się na obrzeżach rozległego placu z podświetloną fontanną na środku. Większość spektakli jeszcze się nie rozpoczęła, ale muzycy w czarnych strojach, z futerałami na instrumenty, przecinali plac i podążali schodami do sal

koncertowych. Maya przełożyła pieniądze do zapinanej na zamek błyskawiczny wewnętrznej kieszeni kurtki, potem obejrzała się przez ramię. Dostrzegła w pobliżu dwie kamery monitorujące, ale ich obiektywy były skierowane na tłumy w pobliżu fontanny.

Taksówka zatrzymała się przed wejściem. Aronov siedział z tyłu. Kiedy machnął w jej kierunku ręką, zeszła po schodach i zajęła miejsce obok niego.

– Dobry wieczór, panno Strand. Jak miło widzieć panią ponownie.

– Broń musi działać, inaczej nici z transakcji.

– Oczywiście – Aronov poinstruował taksówkarza, młodego mężczyznę ostrzyżonego na jeża, który włączył się ponownie do ruchu. Minąwszy kilka przecznic, znaleźli się na Ninth Avenue i ruszyli na południe.

– Przyniosła pani pieniądze? – zapytał.

– Tylko tyle, ile uzgodniliśmy.

– Jest pani bardzo podejrzliwą osobą, panno Strand. Może powinienem panią zatrudnić w charakterze asystentki.

Kiedy minęli Forty-second Street, Aronov wyciągnął z kieszeni długopis oraz notes oprawiony w skórę, jak gdyby zamierzał coś zapisać. Zaczął opowiadać o ulubionym nocnym klubie na Staten Island oraz egzotycznej tancerce, która była kiedyś członkiem zespołu Baletu Moskiewskiego. Była to nic nieznacząca rozmowa w rodzaju tych, które podejmuje sprzedawca samochodu, oprowadzając klienta po parkingu. Maya zastanawiała się, czy ceramiczny pistolet jest fałszywką, a Aronov zamierza ją okraść, czy też jej podejrzenia są bezpodstawne. On wie, że mam przy sobie pistolet, pomyślała. Przecież mi go sprzedał.

Kierowca skręcił w prawo w Thirty-eight Street i zgodnie z drogowskazami jechał ku tunelowi Lincolna. Były to godziny dużego ruchu, przed wjazdem tworzył się zatem korek, który później zniknął, gdy auta rozdzielały się na różne pasy ruchu. Trzy oddzielne tunele – każdy z dwupasmową jezdnią – prowadziły pod rzeką do New Jersey. Ruch był intensywny, lecz samochody jechały z prędkością około trzydziestu mil na godzinę. Spojrzała przez boczną szybę i zobaczyła przewody zasilające, biegnące górą i dołem wzdłuż wyłożonych białymi płytkami ścian tunelu.

Maya odwróciła się, gdy Rosjanin poruszył się na siedzeniu obok niej. „Wcisnął długopis i na jego czubku pojawiła się igła. Przez ułamek sekundy Maya widziała każdy szczegół z pełną jasnością. Jej dłoń chwyciła nadgarstek Aronova. Odparła atak, wykorzystując jego siłę, kierując rękę Rosjanina ku dołowi, a potem podrywając ją w lewo. Aronov wbił igłę w swoją nogę. Krzyknął z bólu, a Maya użyła całej siły, uderzając go pięścią w twarz i jednocześnie przytrzymując igłę w jego ciele. Rosjanin wciągał powietrze niczym tonący, po czym nagle jego ciało zwiotczało i osunęło się na drzwi auta. Maya dotknęła jego szyi: wciąż żył. Jakakolwiek substancja znajdowała się w fałszywym długopisie, był to środek usypiający. Zrewidowała zewnętrzne kieszenie płaszcza przeciwdeszczowego Aronova, znalazła ceramiczny pistolet i przełożyła go do swojej torebki.

Przezroczysta przegroda z pleksiglasu oddzielała przednie siedzenia od tylnych. Widziała, jak taksówkarz mówił coś do mikrofonu. Drzwi z obu stron były zamknięte. Próbowwała uchylić boczną szybę, lecz ta została zablokowana. Spoglądając przez ramię, dostrzegła ciemne sportowe auto typu SUV, jadące bezpośrednio za taksówką. Z przodu było dwóch mężczyzn, a najemnik na siedzeniu obok kierowcy również miał na głowie mikrofon i słuchawki.

Maya wyciągnęła rewolwer i uderzyła kolbą w przegrodę z pleksiglasu.

– Otwórz drzwi! – wykrzyknęła. – Szybko!

Kierowca dostrzegł pistolet, lecz nie wykonał jej polecenia. Maya zachowała spokój myśli, jak gdyby znajdowała się w obrębie narysowanego na chodniku okręgu. Przegroda między siedzeniami

była kuloodporna. Mogła rozbić boczną szybę, lecz miałyby problemy z wydostaniem się przez niewielki otwór. Najbezpieczniej było więc zamknięte drzwi.

Wetknęła rewolwer za pasek od spodni, wyciągnęła nóż do wbijania i wsunęła ostry czubek między krawędź szyby a plastikową ramkę. Panel przesunął się o ledwie półtora centymetra, wyciągnęła więc nóż i dźgnęła nim w niewielki otwór. Rozdłubała obramowania i podważyła plastik, odsłaniając stalowe wnętrze panelu. Płyta była dostatecznie gruba, by dać odpór kulom, ale podtrzymujące kątowniki nie wyglądały tak solidnie.

Maya uklękła na podłodze taksówki, wycelowała rewolwer w górny kątownik i wystrzeliła. Wystrzał był głośny do bólu. Dzwoniło jej w uszach, kiedy dociągała do siebie stalowy panel, odsłaniając zamek, stalowy pręt oraz mechanizm automatycznej blokady. Reszta była już łatwa. Wbiła nóż w miejsce, gdzie łączyły się pręt i mechanizm blokady, i pociągnęła do góry. Zamek się otworzył.

Pokonała pierwszą przeszkodę, lecz wciąż jeszcze nie była wolna. Taksówka jechała zbyt szybko, aby Maya mogła bezpiecznie wyskoczyć. Wzięła głęboki oddech i wypuszczając powietrze, starała się zapomnieć o strachu. Znajdowali się około piętnastu metrów od wyjazdu z tunelu. Samochody trochę tam zwalniały, zmieniając pasy ruchu. Maya oceniła, że ma dwie do trzech sekund, by wyskoczyć, zanim taksówka nabierze szybkości.

Kierowca widział, że boczne drzwi zostały otwarte, spojrzał we wsteczne lusterko i powiedział coś do mikrofonu. W momencie kiedy taksówka opuściła tunel, Maya chwyciła się drzwi i z impetem je otworzyła. Trzymała się mocno, gdy taksówka przejechała nad wybojem i uderzyła o ramę drzwi. Samochody skręcały ostro i hamowały z piskiem opon, gdy taksówkarz przecinał w poprzek pasy ruchu. Obejrzał się na nią przez moment, a taksówka uderzyła w bok niebieskiego podmiejskiego autobusu. Maya odpadła od drzwi i wylądowała na jezdni.

Wstała i rozejrzała się dookoła. Wjazd do tunelu po stronie New Jersey wyglądał jak kanion wyłobiony przez człowieka. Po prawej widziała wysoką betonową ścianę, a na stromym stoku domy. Po lewej stały budki, w których pobierano opłatę za wjazd do tunelu. SUV zatrzymał się o jakieś sześć metrów od taksówki, wysiadł z niego mężczyzna w garniturze i krawacie, i wpatrywał się w nią. Nie wyciągnął jednak pistoletu. Było tu zbyt wielu świadków, poza tym trzy policyjne radiowozy stały przy budkach. Maya pobiegła w kierunku rampy wyjazdowej.

Pięć minut później była już w Weehawken, zapuszczonych przedmieściach, o zakurzonych uliczkach, rozdzielających trzykondygnacyjne domy z desek szalunkowych. Kiedy się upewniła, że nikt na nią nie patrzy, przeszła na drugą stronę kamiennego płotu, który odgradzał tylne podwórze opuszczonego katolickiego kościoła. Potem wyciągnęła telefon komórkowy. Hollis odebrał dopiero po piątym czy szóstym sygnale.

– Wyjście górą! Najczystsze dzieci!

W ciągu ostatnich trzech miesięcy opracowała trzy plany ucieczki. „Wyjście górą” oznaczało, że każdy, kto jest na poddaszu, powinien po drabinie przeciwpożarowej uciekać na dach. „Najczystsze dzieci” oznaczało, że powinni się spotkać przy Tompkins Square Park w rejonie Lower East Side.

– Co się stało? – zapytał Hollis.

– Po prostu rób, co mówię! Znikaj stamtąd!

– Nie możemy tego zrobić, Mayu.

– O czym ty...

– Mamy gości. Wracaj do domu jak najszybciej.

Maya złapała taksówkę i kazała pędem zawieźć się na Manhattan. Siedziała nisko na tylnym siedzeniu i poleciła kierowcy przejechać przez Catherine Street. Grupa nastolatków grała w kosza przy komunalnym osiedlu mieszkaniowym, ale wyglądało na to, że nikt nie obserwuje ich budynku. Wyskoczyła z pojazdu, pędem przecięła ulicę i otworzyła zielone drzwi.

Wyciągnęła pistolet, gdy tylko stanęła na półpiętrze. Słyszała hałasy dobiegające z ulicy oraz niewyraźny skrzypiący odgłos, gdy wchodziła schodami do góry. W chwili gdy dotarła do drzwi, zastukała raz, potem podniosła rewolwer. Otworzyła Vicki z przerażoną miną, a Maya wsunęła się do środka. Metr dalej stał Hollis ze śrutówką w rękach.

– Co się stało? – zapytał.

– To była pułapka – wyjaśniła Maya. – Tabulowie wiedzą, że jesteśmy w Nowym Jorku.

Dlaczego wciąż tu jesteście?

– Jak powiedziałem, mamy gości.

Hollis wskazał w prawą stronę. Ktoś odciągnął brezentową kotarę, odgradzającą męską sypialnię. Oscar Hernandez, duchowny gminy wyznawców Issaca Jonesa, wynajmujący loft, siedział na łóżku polowym z młodym Latynosem ubranym w czerwoną bluzę.

– Maya! Dzięki Bogu nic ci nie jest! – Hernandez wstał i uśmiechnął się z ulgą. Był kierowcą miejskiego autobusu i zawsze nosił koloratkę, kiedy zajmował się sprawami Kościoła.

– Witamy. Zaczynaliśmy już martwić się o ciebie.

Głos starszej kobiety dobiegł z części przeznaczanej na sypialnię kobiet. Maya przebiegła przez poddasze i odciągnęła kotarę. Sophia Briggs, Przewodnik, która mieszkała w opuszczonych silosach raketowych w pobliżu Nowej Harmonii, siedziała na łóżku i rozmawiała z Gabrielem. To ona pokazała Gabrielowi, jak może wykorzystywać swoje zdolności przemieszczania się między różnymi światami.

– Ach, powrócił Arlekin – Sophia spojrzała badawczo na Mayę, jak gdyby dokonywała oględzin rzadkiego gatunku gadów. – Dobry wieczór, moja droga, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Coś poruszyło się w cieniu za grzejnikiem. Pies? Czyżby Sophia przywiozła z sobą jakiegoś zwierzaka? Nie, to była mała dziewczynka. Siedziała na podłodze, z kolanami uniesionymi w górę i rękami owiniętymi wokół nóg. Kiedy Maya podeszła bliżej, dziewczynka podniosła twarz. Drobną buzią, na której nie malowały się żadne uczucia. Azjatka z Nowej Harmonii. A jednak ktoś przeżył.

7

Gabriel obserwował Mayę, gdy patrzyła na dziewczynkę, a potem się obróciła w stronę Sophii.

– Sądziłam, że wszyscy zginęli...

– Wszyscy z wyjątkiem Alice Chen, córki Joan. Znalazłam ją w silosie, pod strażą moich ukochanych wężów królewskich. Najemnicy Tabulów szukali nas tam, lecz spenetrowali jedynie główny poziom.

– Jak się dostałyście do Nowego Jorku?

– Doktor Briggs pojechała samochodem do Austin w Teksasie i nawiązała kontakt z jednym z członków naszego Kościoła – wyjaśnił Hernandez. – Kilku z nas wciąż wierzy w Dług Niespłacony. Zapewniamy ochronę Travelerom, Arlekinom i ich przyjaciółom.

– Ale dlaczego one są tutaj?

– Alice i ja jesteśmy świadkami – oznajmiła Sophia. – Przekazywano nas z jednego kościoła do

drugiego, aż w końcu ktoś skontaktował się z wielbnym Hernandezem.

– Cóż, trafiłyście w niewłaściwe miejsce. Nie biorę odpowiedzialności za panią ani za to dziecko – Maya podeszła do Alice Chen. – Czy macz dziadków? Ciotkę albo wujka?

– Alice przestała mówić – wyjaśniła Sophia. – Nie ulega wątpliwości, że ma za sobą traumatyczne przeżycia.

– Gdy bylam w Nowej Harmonii, słyszałam, jak mówi. – Maya stała nad Alice i powoli cedziła słowa. – Podaj mi jakieś nazwisko. Potrzebuję nazwiska kogoś, kto się tobą zaopiekuje.

– Zostaw ją, Mayu.

Gabriel wstał z łóżka polowego i przykucnął obok dziewczynki.

– Alice... – wyszeptał i wyczuł aurę smutku i żałoby, która ją otaczała.

Uczucie to było tak silne i tak przygnębiające, że niemal poczuł to w swoich kościach. Przez moment żałował, że stał się Travelerem. Jakim cudem jego ojciec potrafił wytrzymać ból, który wyczuwał u innych?

Gabriel wstał i spojrzał na Mayę.

– Ona zostaje z nami.

– One nas spowolnią. Musimy natychmiast stąd zniknąć.

– Zostaje z nami – powtórzył Gabriel. – Albo nie opuszczam tego loftu.

– Nie musimy opiekować się nimi zbyt długo – wtrąciła się Vicki. – Wielbny Hernandez ma kilku przyjaciół, którzy mieszkają w Vermont.

– Żyją całkowicie poza Siecią. Żadnych kart kredytowych, żadnych telefonów i żadnych powiązań w ogóle – zapewnił Hernandez. – Możecie tam zostać tak długo, jak zechcecie.

– W jaki sposób mamy odbyć tę podróż? – zapytała Maya.

– Pojedziecie metrem do stacji Grand Central. Stamtąd odjeżdża pociąg linii Harlem o dwudziestej trzeciej dwadzieścia dwie, dzisiaj wieczorem. Wsiądziecie w miasteczku o nazwie Ten Mile River i zaczekacie na peronie. Odbierze was członek naszej wspólnoty i zawiezie na północ.

Maya pokręciła z dezaprobatą głową.

– Cała sytuacja uległa zmianie teraz, kiedy Tabulowie wiedzą, że jesteśmy w Nowym Jorku. Będą monitorować wszystko i wszędzie – a zatem przemieszczanie się teraz jest niebezpieczne. Kamery monitorujące są zainstalowane na ulicach i na każdej stacji metra, a komputery będą szukały naszych twarzy i zdołają precyzyjnie określić miejsce, w którym się znajdujemy.

– Wiem wszystko na temat kamer – odparł Hernandez. – Dlatego właśnie przyproWadziłem przewodnika.

Hernandez uniósł lekko rękę i nagle na środek pomieszczenia wyszedł niespiesznym krokiem młody Latynos. Miał na sobie czapkę baseballową oraz luźne sportowe ubranie, na którym widniały reklamy różnych drużyn sportowych. Chociaż usiłował dumnie paradować, było po nim widać zdenerwowanie i skrywany niepokój.

– To mój siostrzeniec, Nazarene Romero. Pracuje w dziale konserwacji Zakładów Transportu Miejskiego w Nowym Jorku.

Nazarene poprawił bardzo obszerne spodnie, jak gdyby gest ten należał do obrządku prezentacji.

– Większość ludzi mówi do mnie Naz.

– Miło cię poznać, Naz. Jestem Hollis. A zatem jak dostaniemy się do Grand Central?

– Wszystko po kolei – odparł Naz. – Nie należę do Kościoła wuja. Czy to jasne? Wywiozę was z miasta, ale musicie mi zapłacić. Należy się tysiąc dla mnie i drugi tysiąc dla mojego przyjaciela, Devona.

– Tylko za dojechanie do stacji kolejowej?

– Nikt was nie wyśledzi – Naz podniósł prawą dłoń, jak gdyby składał przysięgę przed sądem. –

Gwarantuję to.

– To niemożliwe – rzuciła Maya.

– Udamy się na stację, gdzie nie ma kamer i gdzie jeżdżą pociągi bez pasażerów. Wystarczy, że będziecie się stosować do moich wskazówek i zapłacicie mi, gdy będziemy już na miejscu.

Hollis wstał i podszedł do Naza. Chociaż trzymał w lewej ręce strzelbę, nie potrzebował broni, by wzbudzić strach.

– Nie jestem już członkiem tej wspólnoty, ale wciąż pamiętam liczne kazania. W Trzecim Liście z Missisipi Isaac Jones głosił, że kto podąży niewłaściwą ścieżką, przekroczy mroczną rzekę do wiekuiestej ciemności. Chyba nie chciałbyś w takim miejscu spędzić wieczności...

– Nie wciskam kitu, chłopie. Będę po prostu waszym przewodnikiem.

Wszyscy spojrzeli na Mayę i czekali na jej decyzję.

– Zabierzemy panią i dziecko do farmy w stanie Vermont – powiedziała do Sophii. – Kiedy już tam dotrzemy, będziecie zdane na siebie.

– Jak sobie życzysz.

– Wyruszamy za pięć minut – rzekła Maya. – Każdy może wziąć z sobą plecak lub jedną sztukę bagażu. Vicki, rozdziel pieniądze, żebyś nie miała wszystkiego przy sobie.

Alice pozostała na podłodze, milcząc, lecz bacznie obserwując, jak pozostali szybko robią przegląd osobistych rzeczy. Gabriel wcisnął dwa T-shirty oraz kilka sztuk bielizny do płóciennego worka na ramię oraz nowy paszport i plik studenckich banknotów. Nie wiedział za bardzo, co zrobić z japońskim mieczem, który Thorn podarował jego ojcu, ale Maya wzięła oręż od niego. Ostrożnie włożyła talizman do czarnej metalowej pochwy, w której zwykle nosiła swój arlekiński miecz.

Gdy inni się pakowali, Gabriel podał Sophii Briggs filiżankę herbaty. Przewodniczka była dzielną starszą damą, która spędziła większość życia w samotności, ale teraz wyglądała na zmęczoną podróżą do Nowego Jorku przez cały kraj.

– Dziękuję.

Sophia dotknęła jego dłoni. Gabriel poczuł, jak gdyby znów byli w porzuconym raketowym silosie w Arizonie, a ona uczyła go, jak uwolnić Światło z powłoki ciała.

– Dużo myślałam o tobie w ciągu ostatnich kilku miesięcy, Gabrielu. Jak ci się wiodło tutaj, w Nowym Jorku?

– U mnie wszystko w porządku. Tak sędzę... – Gabriel ściszył głos. – Nauczyłaś mnie, jak przekraczać bariery między światami, lecz ja wciąż nie wiem, jak być Travelerem. Postrzegam świat inaczej, ale wciąż nie wiem, jak mam zmieniać bieg rzeczy.

– Czy odbywałeś dalsze podróże między światami? Dotarłeś do innych światów?

– Spotkałem mojego brata w świecie złąknionych duchów.

– Czy było to niebezpieczne?

– Opowiem ci o tym później. Teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o moim ojcu. Przysłał list do Nowej Harmonii.

– Tak. Martin pokazał mi ten list, kiedy byłam u niego na kolacji. Twój ojciec chciał się dowiedzieć, jak mają się sprawy w tej społeczności.

– Czy podał adres zwrotny? W jaki sposób Martin miał się z nim skontaktować?

– Na kopercie był adres, ale Martin ją zniszczył. Powiedział mi tylko: „Tyburn Convent, Londyn”.

Gabriel poczuł, że pogrążone w półmroku poddasze wypełnia się światłem. Tyburn Convent.

Londyn. Jego ojciec prawdopodobnie tam mieszkał. Musiał więc tylko pojechać do Wielkiej Brytanii i odnaleźć go.

– Słyszeliście? – powiedział do reszty. – Mój ojciec jest w Londynie. Napisał list z miejsca o nazwie Tyburn Convent.

Maya podała Hollisowi pistolet automatyczny kaliber .45 i wzięła garść naboju do swojego rewolweru. Spojrzała na Gabriela i pokręciła głową.

– Pojedźmy do bezpiecznego miejsca, a potem porozmawiamy o przyszłości. Czy wszyscy są gotowi?

Wielebny Hernandez zgodził się zostać na poddaszu jeszcze przez godzinę lub dłużej, używając kuchenki oraz włączając i wyłączając światła, by stworzyć pozory, że ktoś jest w domu. Reszta grupy wyszła przez okno na schody przeciwpożarowe i później wydostała się na dach. Mieli wrażenie, że się znajdują na platformie ponad miastem. Chmury zawisły nad Manhattanem, a księżyc wyglądał jak pomalowana kredą tarcza, zawieszona na niebie.

Przeszli przez kilka niższych murów i dotarli do dachu budynku usytuowanego bliżej Catherine Street. Drzwi były zamknięte na zasuwę, lecz dla Mai nie stanowiło to problemu. Wyciągnęła metalowy przedmiot, nazywany kluczem dynamometrycznym, wsunęła go do dziurki od klucza i lekko przekręciła tulejkę. Następnie wsunęła szpikulec ślusarski powyżej i wepchnęła górne bolce. Kiedy ostatni zaskoczył, otworzyła drzwi i poprowadziła ich schodami w dół, na parter budynku magazynowego. Hollis otworzył kolejne drzwi i wyszli na alejkę prowadzącą w stronę Oliver Street.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. Wąskie uliczki były pełne młodych mężczyzn i kobiet, którzy zamierzali zjeść kaczkę po pekińsku lub kilka sajkonek, nim spędzą resztę wieczoru na dyskotecce. Ludzie wysiadali z taksówek bądź stali na chodniku, przyglądając się kartom dań, wystawionym w oknach restauracji. Chociaż Gabriel z resztą grupy ukryli się w tłumie, on miał uczucie, że każda kamera monitorująca w mieście śledzi ich ruchy.

Uczucie to przybrało na sile, kiedy podążali Worth Street w stronę Broadwayu. Naz torował drogę, Hollis szedł obok niego. Dalej szła Vicki, a za nią Sophia i Alice. Gabriel słyszał, jak Naz wyjaśnia zmiany w organizacji kolei podziemnych i przejście do systemu, który wykorzystuje pociągi sterowane komputerowo. Na niektórych liniach motorniczy spędza całą zmianę, siedząc w kabinie przedniego wagonu i spoglądając, jak aparatura sterująca pracuje bez jego pomocy.

– Komputer w Brooklynie uruchamia i zatrzymuje pociąg – tłumaczył Naz. – Ty musisz tylko co kilka przystanków nacisnąć przycisk, by potwierdzić, że nie zasnąłeś.

Gabriel spojrzał przez ramię i dostrzegł Mayę o jakieś dwa metry za sobą. Czarne paski od jej torebki na ramię i futerału na miecz krzyżowały się na klatce piersiowej. Jej wzrok przesuwiał się raz do przodu, raz do tyłu, niczym obiektyw kamery nieustannie monitorującej strefę zagrożenia.

Skręcili w lewo w Broadway i ruszyli w stronę parku o trójkątnym obrysie. Kilka przecznic dalej znajdował się City Hall – duży biały budynek o szerokich schodach, prowadzących do kolumnady w porządku korynckim. Ta budowla, stylizowana na grecką świątynię, znajdowała się zaledwie o kilkadziesiąt metrów od Woolworth Building, gotyckiej katedry handlu ze strzelistą wieżą, sięgającą wysoko w nocne niebo.

– Być może te kamery nas śledzą – podjął Naz. – Ale to bez znaczenia. Następna kamera znajduje się w dole ulicy. Widzicie ją? Jest na słupie przy najbliższych światłach ulicznych. Widzą, jak idziemy w stronę Broadwayu, ale teraz znikniemy.

Zszedł z chodnika, potem poprowadził ich przez wyludniony park. Przy pokrytych asfaltem ścieżkach stało kilka latarni. Dawały słabą poświatę, ale ich grupa kryła się w mroku.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał Gabriel.

– Tuż pod nami jest opuszczona stacja metra. Zbudowano ją ponad sto lat temu i zamknięto tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej. Nie ma tam żadnych kamer. Ani glin.

– Jak się dostaniemy do stacji Grand Central?

– O to się nie martw. Mój przyjaciel pojawi się za jakieś piętnaście minut.

Przeszli przez kępę wymizerowanych sosen i zbliżyli się do ceglanych budynków warsztatu. Krata wentylacyjna znajdowała się po zachodniej stronie budowli. Maya wyczuła pylisty zapach podziemia. Naz poprowadził ich dookoła budynku do stalowych drzwi, ignorując wszelkiego rodzaju napisy ostrzegawcze – NIEBEZPIECZEŃSTWO! WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH! – wyciągnął z plecaka kółko, na którym wisiały klucze.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał Hollis.

– W szafce mojego przełożonego. Powiedzmy, że pożyczyłem od niego te klucze kilka tygodni temu i zrobiłem zapasowy komplet.

Naz otworzył drzwi i wprowadził ich do budynku. Stali teraz na stalowej posadzce, wokół której znajdowały się tablice rozdzielcze oraz przewody elektryczne. Wnęka w jednym z narożników prowadziła na klatkę schodową. Drzwi zamknęły się za nimi, a głośny stuk odbił się echem w niewielkiej przestrzeni. Alice wykonała dwa nerwowe kroki do przodu, zanim zdołała zapanować nad strachem. Wyglądała niczym półdzikie zwierzę, zapędzone z powrotem do klatki.

Kręte schody prowadziły w dół niczym potężny korkociąg i dochodziły do podestu oświetlonego żarówką, umieszczoną nad kolejnymi metalowymi drzwiami. Naz znów przez chwilę dobierał klucz z wykradzonego kompletu, mruczając coś pod nosem za każdym razem, gdy próbował otworzyć zamek. W końcu znalazł właściwy, ale drzwi nadal nie ustępowały.

– Pozwól, że ja spróbuję. – Hollis kopnął w drzwi lewą nogą.

Otworzyły się z impetem.

Po kolei wychodzili na opuszczoną stację City Hall. Pierwotne oprawy lamp były pozbawione żarówek, ale ktoś poprowadził przewód elektryczny wzdłuż ściany i podpiął do niego kilkanaście żarówek. Automat na żetony stał pośrodku holu wejściowego. Miał miedziany dach w postaci niedużej kopuły i wyglądał trochę jak archaiczne kino z woźnym i kurtyną z czerwonego aksamitu. Z tyłu znajdowały się drewniane bramki oraz betonowy peron, obok którego biegły podziemne tory.

Posadzkę pokrywała gruba warstwa szarawo-białego pyłu. Powietrze było przesiąknięte stęchlizną i olejem maszynowym. Gabriel poczuł się, jakby ktoś zamknął go we wnętrzu grobowca do chwili, gdy spojrzał na sklepiony sufit. Przypominał nawę średniowiecznego kościoła – wnętrze z wysokimi łukami, które wyrastały z posadzki i schodziły się w centralnym punkcie sklepienia. Sam tunel również był zbudowany z łuków i oświetlony zaśniedziałymi już mosiężnymi żyrandolami z mlecznymi żarówkami. Nigdzie nie było żadnych ogłoszeń. Żadnych kamer monitorujących. Ściany i sufity były wyłożone białymi, czerwonymi i ciemnozielonymi płytkami ceramicznymi, tworzącymi skomplikowane geometryczne wzory. Całość sprawiała wrażenie sanktuarium, azylu dla uciekinierów ze świata chaosu i nieładu.

Gabriel poczuł, jak jego skórę opływa ciepłe powietrze, potem usłyszał odległe dudnienie, którego siła narastała. Kilka sekund później na zakręcie pojawił się pociąg metra i minął stację z ogromną prędkością, nie zatrzymując się.

– To pociąg numer sześć, lokalny – poinformował ich Naz. – Tutaj ma pętlę i zawraca w stronę śródmieścia.

– Czy tak właśnie dostaniemy się do Grand Central? – zapytała Sophia.

– Nie wsiadamy do szóstki. Jeździ nią zbyt wielu ludzi – Naz spojrzał na zegarek. – Pojedziecie prywatnym pociągiem, którego nikt nie nadzoruje. Po prostu zaczekajcie. Devon powinien być tu za

kilka minut.

Naz przechadzał się przed budką, a kiedy w tunelu pojawiły się światła, odetchnął z ulgą.

– Już nadjeżdża. Muszę teraz dostać pierwszy tysiąc, natychmiast.

Vicki wręczyła Nazowi plik studolarowych banknotów, potem ich przewodnik przeszedł przez drewnianą bramkę na peron. Machnął ręką, kiedy wagon kolei podziemnej wtoczył się na peron, ciągnąc za sobą wagon techniczny, wyładowany po brzegi workami ze śmieciami. Szczupły czarnoskóry mężczyzna – mierzący dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu – siedział w przedziale sterowniczym. Zatrzymał pociąg i otworzył podwójne drzwi. Naz machnął ręką, wymienił z nim kilka słów, a potem wręczył mu plik banknotów.

– Pospieszcie się – zawołał. – Następny pociąg będzie tutaj za niecałą minutę.

Maya wprowadziła całą grupę do wagonu metra i kazała im usiąść w drugim końcu, z dala od okien. Wszyscy zastosowali się do jej polecenia – nawet Alice. Dziewczynka wydawała się w pełni świadoma tego, co się dzieje, chociaż jej twarz niczego nie wyrażała.

Devon stanął w drzwiach kabiny nie większej niż szafa na ubrania.

– Witamy na pokładzie pociągu śmieciarki – rzekł. – Zmienimy tory kilka razy, ale za mniej więcej piętnaście minut dotrzemy do Grand Central. Zatrzymamy się przy peronie technicznym, ponieważ nie ma tam żadnych kamer telewizyjnych.

Naz wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak gdyby właśnie wykonał magiczną sztuczkę.

– Widzicie? A nie mówiłem?

Devon docisnął dźwignię sterowniczą, pociąg szarpnął do przodu i nabierając prędkości, wyjechał z opuszczonej stacji. Wagonem zakołysało i skierowali się na północ pod ulicami Manhattanu. Devon zatrzymał pociąg na przystanku Spring Street, ale nie otworzył drzwi, odczekał, aż w tunelu zapaliło się zielone światło, potem ponownie pociągnął dźwignię.

Gabriel wstał z siedzenia i stanął obok Mai. Szyba w drzwiach była uchylona na kilka centymetrów, a gorące powietrze wpadało do wnętrza. Kiedy pociąg wjechał na nowy tor, Gabriel odniósł wrażenie, że jadą przez jakąś sekretną część miasta. W oddali zapaliło się światło, którego refleks odbijał się na szynach. Dochodził też dudniący odgłos, a po chwili przejechali, nieco zwolnwszy, obok przystanku Bleecker Street. Gabriel kilka razy wcześniej podróżował linią prowadzącą na wschód, ale to doświadczenie było inne. Byli bezpieczni w krainie mroku, o krok od zasięgu kamer Rozległej Sieci.

Astor Place. Union Square. Potem drzwi od przedziału motorniczego otworzyły się. Pociąg wciąż jechał, lecz Devon nie stał już przy tablicy z przyrządami sterowniczymi.

– Coś się dzieje...

– W czym problem? – zapytała Maya.

– To jest pociąg techniczny – wyjaśnił Devon. – To ja powinienem nim kierować, ale gdy wyjechaliśmy z ostatniej stacji, komputer przejął sterowanie. Usiłowałem skontaktować się z centrum dyspozycyjnym, lecz radio nie działa.

Naz zerwał się i uniosł obie ręce, jak gdyby usiłował powstrzymać spór.

– To nic takiego. Prawdopodobnie inny pociąg znajduje się na torach.

– Gdyby tak było, zatrzymaliby nas na stacji Bleecker.

Devon powrócił do przedziału motorniczego i ponownie wcisnął dźwignię. Jednak wagon podziemnej kolei ignorował wszelkie jego wysiłki i przejechał obok stacji Twenty-third Street, z tą samą umiarkowaną prędkością.

Maya wyciągnęła ceramiczny pistolet, który zabrała Aronowowi. Póki co, skierowała lufę ku podłodze.

- Chcę, żeby ten pociąg zatrzymał się na następnej stacji.
- On nie da rady tego zrobić – wtrącił Naz. – Komputer w pełni przejął sterowanie.

Wszyscy teraz wstali – nawet Sophia Briggs i dziewczynka. Trzymali się metalowych słupków umieszczonych pośrodku wagonu, gdy w oknach błysnęły światła, a koła zaczęły wydawać odgłos podobny do tykającego zegara.

- Czy jest tu jakiś hamulec bezpieczeństwa? – zapytała Maya Devona.

– Tak, ale nie wiem, czy zadziała. Komputer wydał pociągowi polecenie, by nie przerywać jazdy.

- Czy możesz otworzyć drzwi?

– Nie, dopóki pociąg się nie zatrzyma. Mogę zwolnić zamek bezpieczeństwa, a wtedy ktoś z was spróbuje otworzyć drzwi ręcznie.

- Dobrze. Zrób to.

Wszyscy patrzeli przez okna, gdy pociąg wjechał na stację Twenty-eight Street. Kilku nowojorczyków stało na peronie i wyglądało tak, jak gdyby przez moment uchwyciono ich w stop-klatce.

Maya obróciła się w stronę Hollisa.

- Otwórz drzwi. Kiedy dojedziemy do stacji Forty-second Street, wyskoczmy na peron.

- Ja zostaję w pociągu – oznajmił Naz.

- Idziesz z nami.

- Zapomnij o tym. Nie potrzebuję waszej forsy.

– Teraz nie martwiłabym się o kasę – Maya podniosła powoli pistolet, kierując lufę w rękę Naza. – Chcę żebyś poprowadził nas z daleka od kamer i doprowadził do pociągu na stacji Grand Central Terminal.

Devon wyłączył automatyczne zamykanie drzwi, gdy oddalili się od stacji Thirty-third Street. Hollis odciągnął skrzydła drzwi i przytrzymał je otwarte. Co kilka metrów mijali stalowe stemple podtrzymujące strop tunelu. Można było odnieść wrażenie, że jadą niekończącym się korytarzem bez wyjścia.

- Okay! – zawołał Devon. – Przygotujcie się!

Na ścianie w przedziale motorniczego znajdowała się czerwona dźwignia z rączką w kształcie litery T. Devon chwycił za nią, pociągnął mocno w dół. Rozległ się zgrzyt stali trącej o stal.

Wagonem zaczęło trząść, lecz koła nie przestały się obracać. Kiedy się zbliżyli do stacji Forty-second Street, czekający tam nowojorczyki odsunęli się od skraju peronu.

Najpierw wyskoczyły Alice i Sophia, za nimi Vicki i Hollis oraz Gabriel. Pociąg jechał teraz na tyle wolno, że Gabriel zdołał utrzymać się na nogach. Spoglądając na betonowy peron dostrzegł, jak Maya ciągnie Naza w stronę otwartych drzwi. Koła pociągu wciąż zgrzytały, gdy wagony znikwały w tunelu. Ludzie na peronie patrzyli ze zdumieniem, a jakiś mężczyzna wybierał numer na telefonie komórkowym.

- Ruszajmy! – wykrzyknęła Maya i pobiegli.

Furgonetka objechała betonową barierkę zabezpieczającą i zatrzymała się w miejscu, gdzie Vanderbilt Avenue dochodziła do wejścia do Grand Central Terminal. Żołnierz Gwardii Narodowej, który stał przed dworcem, podszedł do nich, lecz Nathan Boone dał znak jednemu ze swych

najemników, detektywowi z nowojorskiej policji nazwiskiem Ray Mitchell. Ten opuścił szybę od strony pasażera i pokazał żołnierzowi legitymację.

– Otrzymaliśmy wezwanie, że na dworcu grupa dealerów handluje prochami – oznajmił. – Ktoś widział też z nimi małą Chinkę. Dasz temu wiarę? Ja uważam, że jeśli ktoś handluje crackiem, powinien sobie zorganizować opiekunkę do dziecka.

Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu i opuścił broń.

– Jestem w tym mieście od sześciu dni – wyznał. – Wszyscy tutaj są lekko stuknięci.

Kierowca, najemnik z RPA nazwiskiem Vanderpoul, pozostał za kierownicą, kiedy Boone wysiadł z furgonetki wraz z Mitchellem oraz jego partnerem, detektywem Krausem. Ray Mitchell był małym mężczyzną, szybko mówił i lubił nosić designerskie ciuchy. Krause stanowił jego przeciwieństwo: wielgachny, dziwaczny gliniarz z nalaną twarzą, zdawał się zawsze rozgniewany. Boone płacił obu funkcjonariuszom miesięczną dolę oraz dorzucał im okazjonalną premię za dodatkowe fuchy.

– Co teraz? – zapytał Krause. – Dokąd się udadzą, kiedy już wyskoczą?

– Poczekaj – odparł Boone.

W słuchawce odbierał na bieżąco informacje między dwiema grupami najemników, a także z centrum komputerowego Braci w Berlinie. Technicy zdołali już podpiąć się do sieci monitoringowej systemu komunikacji podziemnej Nowego Jorku i teraz wykorzystywali własny program skanujący w celu poszukiwania uciekinierów.

– Wciąż znajdują się na stacji metra na poziomie tranzytowym – poinformował Boone. – Na kamerach mamy bezpośredni podgląd i widzimy ich w drodze na peron pociągu podmiejskiego.

– A zatem idziemy na ten peron? – zapytał Mitchell.

– Jeszcze nie teraz. Maya wie, że ją śledzimy, a to wpłynie na jej działanie. Przede wszystkim chce się znaleźć poza zasięgiem kamer.

Uśmiechając się, Mitchell spojrzał na swojego partnera.

– I dlatego właśnie uda nam się ją złapać.

Boone sięgnął do tyłu furgonetki i wziął aluminiową walizkę – znajdował się w niej sprzęt lokalizujący sygnał radiowy oraz trzy zestawy okularów na podczerwień.

– Wchodzimy. Skontaktuję się z zespołem szybkiego reagowania, który zaparkował koło Firth Avenue.

Trójka mężczyzn weszła na teren dworca i ruszyła w dół szerokimi marmurowymi schodami, przypominającymi część starej opery paryskiej. Mitchell dogonił Boone'a, kiedy dotarli do głównej hali.

– Chciałbym, żeby wszystko było jasne – powiedział. – Prowadzimy cię po Nowym Jorku i w razie potrzeby interweniujemy, ale nikogo nie wyprowadzimy na zewnątrz.

– Nie proszę cię, żebyś to zrobił. Po prostu rozmawiaj z władzami.

– Nie widzę problemu. Zgłoszę się służbie ochrony kolei i powiadomię ich, że jesteśmy na terenie dworca.

Mitchell wyciągnął plakietkę, przypiął ją do poły marynarki, potem pośpieszył jednym z korytarzy. Krause został z Boone'em, niczym rosły ochroniarz, kiedy podeszli do budki informacyjnej, zwieńczonej zegarem z cyferblatami wychodzącymi na cztery strony świata. Ogrom hali głównej, zwieńczone łukami okna, marmurowa posadzka, kamienne ściany potwierdzały jego wiarę, iż to jego strona odniesie zwycięstwo w tej sekretnej wojnie. Miliony ludzi przechodziły przez dworzec każdego roku, lecz jedynie kilku z nich wiedziało, że ten budynek sam w sobie stanowi subtelną demonstrację potęgi Braci.

Jednym z najpotężniejszych popleczników Braci w Ameryce na początku dwudziestego stulecia był William K. Vanderbilt, potentat kolejowy, który zlecił budowę dworca Grand Central. Kazał też zwieńczyć halę główną łukowatym sklepieniem, którego dekorację miały stanowić znaki zodiaku, umieszczone na wysokości pięciu kondygnacji ponad marmurową posadzką. Gwiazdy miały się znajdować w takim położeniu jak za życia Chrystusa na nieboskłonie w rejonie Morza Śródziemnego. Nikt jednak – nawet egipscy astrologowie z pierwszego stulecia naszej ery – nie widział takiego ułożenia. Zodiak na stropie był całkowicie odwrócony.

Boone z rozbawieniem czytał rozmaite teorie, dlaczego gwiazdy zostały przedstawione w taki właśnie sposób. Najbardziej popularna hipoteza głosiła, iż malarz powielił rysunki znalezione w średniowiecznych manuskryptach i że gwiazdy były postrzegane z punktu widzenia kogoś, kto się znajduje poza naszym Układem Słonecznym. Nikt nigdy nie wyjaśnił, dlaczego architekci Vanderbilta pozwolili na to, aby taka dziwna pomyłka pojawiła się w tak znaczącej budowli.

Bracia wiedzieli, iż projekt sklepienia nie miał nic wspólnego ze średniowiecznymi wyobrażeniami o niebieskim firmamencie. Konstelacja gwiazd znajdowała się we właściwym położeniu dla kogoś, kto był ukryty wewnątrz pustego w środku sufitu i spoglądał w dół na podróżnych śpieszących się do swoich pociągów. Większość gwiazd stanowiły mrugające żarówki, podwieszane na jasnym niebie, ale w stropie tkwiły dziesiątki otworów, umożliwiających podgląd. W minionych czasach funkcjonariusze policji oraz służby ochrony kolei za pomocą lornetek śledzili przemieszczanie się obywateli o podejrzanym wyglądzie. Teraz cała populacja znalazła się pod obserwacją dzięki skanerom oraz innym urządzeniom służącym do elektronicznej inwigilacji. Odwrócony zodiak sugerował, że jedynie obserwatorzy umiejscowieni nad nim postrzegali wszechświat we właściwej perspektywie. Wszyscy pozostali zakładali, że gwiazdy znajdują się w odpowiednim położeniu.

W słuchawce zostało odebrane połączenie z telefonu satelitarnego, a były brytyjski żołnierz nazwiskiem Summerfield szeptał do ucha Boone'a. Grupa szybkiego reagowania dotarła do wejścia Vanderbilta i zaparkowała za furgonetką. Ekipa wyznaczona na tę akcję składała się w większości z tych samych ludzi, którzy uczestniczyli w operacji w Arizonie. Operacja Nowa Harmonia dobrze wpłynęła na morale. Konieczna wówczas przemoc zacieśniła więzi pomiędzy najemnikami pochodzącymi z różnych krajów i mającymi za sobą różną przeszłość.

– Co teraz? – zapytał Summerfield.

– Rozdzielcie się na mniejsze grupy, a potem wkroczcie przez różne wejścia. – Boone spojrzął na tablicę z rozkładem jazdy. – Spotkamy się w pobliżu peronu trzydziestego, przy pociągu, który odjeżdża do Stamford.

– Sądziłem, że spotkamy się przy pociągu podmiejskim.

– Maya przede wszystkim chce chronić Travelera. Pragnie więc jak najszybciej się ukryć. Oznacza to, że będzie schodziła w dół tunelu bądź też dotrze do sektora zaplecza technicznego.

– Rozkazy pozostają bez zmian?

– Wszyscy poza Gabrielem należą w tej chwili do kategorii obiektów, które trzeba wyeliminować natychmiast.

Summerfield wyłączył telefon, a Boone odebrał inne połączenie z centrum internetowego. Maya oraz pozostali uciekinierzy dotarli do sektora pociągów podmiejskich, ale zatrzymali się na jednym z peronów. Rok wcześniej w Pradze Boone zabił Thornę, ojca Mai, i czuł teraz osobliwą i osobistą więź z tą kobietą. Nie była tak twarda jak jej ojciec, być może dlatego, że sama miała opory przed stanieniem się Arlekinem. Popełniła już błąd – następny zaś stanie się przyczyną jej zguby.

W tunelu panowały egipskie ciemności i śmierdziało ściekami. Woda pluskała w kanale odpływowym. Skraplała się też na betonowych ścianach i sprawiała, że podłoże było śliskie jak oliwa. Stacja City Hall była zakurzona, lecz stosunkowo czysta. Natomiast tunel prowadzący do Times Square był pełen śmieci. Wszędzie też przemykały szczury – szare, długości niemal trzydziestu centymetrów. To był ich świat i nie czuły respektu przed ludźmi. Kiedy pojawili się intruzi, szczury nie przestały grzebać wśród śmieci, popiskując jeden na drugiego lub wspinając się na ściany.

– Nie są niebezpieczne – dodał Naz. – Uważajcie tylko, którędy idziecie. Jeśli któreś z was upadnie, szczury szybko go obleżą.

Hollis zatrzymał się blisko ich przewodnika.

– Gdzie jest to przejście, o którym mówiłeś?

– Jest gdzieś tutaj, przysięgam na Boga. Szukajcie złotego światła.

Usłyszeli niski buczący odgłos, niczym odległy grzmot. Po chwili też zobaczyli światła nadjeżdżającego podmiejskiego pociągu.

– Następny pociąg! Następny pociąg! – zawołał Naz i nie czekając na pozostałych, przeskoczył nad trzecią szyną na sąsiednie torowisko.

Wszyscy poza Sophią Briggs podążyli za nim. Starsza kobieta wyglądała na zmęczoną i nieco zdezorientowaną. Gdy światła pociągu zbliżyły się, zaryzykowała i postawiła nogę na obudowie trzeciej szyny. Drewno wytrzymało jej ciężar. Moment później przeszła przez mrok i dołączyła do pozostałych.

Naz pobiegł wzdłuż toru, potem zawrócił, nie kryjąc ekscytacji.

– Okay, chyba znaleźliśmy drzwi prowadzące do tych schodów. Chodźcie tylko za mną i...

Pociąg podmiejski, który się pojawił na sąsiednim torze, zagłuszył resztę jego słów. Maya dostrzegła szybko przemykające postacie pasażerów, ujęte w ramy okien – starego mężczyznę w czapce z dzianiny, młodą kobietę z warkoczami, potem pociąg przejechał. Papierek od cukierka uniół się w górę, po czym opadł niczym suchy liść.

Szli aż do rozjazdu, od którego odchodziły trzy rozgałęzienia korytarzy. Naz zdecydował się na tor po prawej stronie i poprowadził ich do drzwi oświetlonych pojedynczą żarówką. Wspiął się po trzech metalowych stopniach i wszedł do tunelu technicznego, po nim to samo zrobiły Alice oraz Vicki. Hollis dotarł do szczytu schodów i pokręcił głową.

– Musimy zwolnić. Sophia jest już zmęczona.

– Znajdźcie jakieś bezpieczne miejsce i zaczekajcie na nas – postanowiła Maya. – Gabriel i ja przyjdziemy razem z nią.

Maya wiedziała, że jej ojciec zdradziłby pozostałych członków grupy, by ratować Travelera, ale ona nie była w stanie zastosować tej taktyki. Gabriel nie wyszedłby z tego miejsca, gdyby kogoś zostawili w tunelu – a już na pewno nie zostawiłby swojej Przewodniczki. Spojrzała w głąb tunelu i zobaczyła, jak bierze plecak Sophii i zarzuca go sobie na ramiona. Kiedy zaoferował jej pomocną dłoń, starsza pani zaprzeczyła ostro ruchem głowy, jak gdyby chciała powiedzieć: „Nie potrzebuję niczyjej pomocy”. Sophia zrobiła kilka kroków do przodu, potem ciemność przeciął czerwony promień lasera.

– Na ziemię! – krzyknęła Maya. – Na...

Rozległ się ostry huk, a kula trafiła Sophię w plecy. Przewodniczka upadła do przodu, usiłowała się podnieść, potem osunęła na ziemię. Maya wyciągnęła rewolwer i wystrzeliła kilka pocisków w głąb tunelu, gdy Gabriel wziął Sophię na ręce i pobiegł w stronę schodów. Maya podążyła za nim, w drzwiach zatrzymała się na chwilę i ponownie wystrzeliła. Promień lasera znikł, gdy cztery ciemne postacie skryły się w mroku.

Maya złamała rewolwer i wyrzuciła puste łuski. Następnie załadowała pociski do komór i weszła do tunelu o ścianach z cegieł. Natknęła się na Gabriela, klęczał, obejmując wiotkie już ciało Sophii. Jego brązowa skórzana kurtka była umorusana krwią.

– Oddycha?

– Ona nie żyje – odparł Gabriel. – Trzymałem ją w ramionach, a ona umierała. Czulem, jak Światło opuszcza jej ciało.

– Gabrielu...

– Czulem, jak umiera – powtórzył Gabriel. – Zupełnie jakby woda przeciekała mi między palcami. Nie byłem w stanie jej powstrzymać... Nie byłem w stanie...

Targnęły nim silne dreszcze.

– Tabulowie są bardzo blisko – uświadomiła mu Maya. – Nie możemy tu zostać. Musisz ją tutaj zostawić.

Dotknęła ramienia Gabriela i poczuła, jak ostrożnie składa ciało Sophii na posadzce. Kilka sekund później biegli już tunelem w stronę półpiętra schodów, gdzie czekała na nich reszta. Vicki sapnęła głośno, gdy dostrzegła krew na kurtce Gabriela, a Alice wyglądała tak, jakby zamierzała uciec jak najdalej. Poruszała rytmicznie głową w przód i w tył. Maya wyczuła, jaka myśl wypełnia teraz głowę Alice: „Kto teraz będzie mnie chronił?”

– Co się stało? – zapytała Vicki. – Gdzie jest Sophia?

– Zabili ją Tabulowie. Depczą nam po piętach.

Vicki zakryła usta dłonią. Naz zachowywał się tak, jakby zamierzał czym prędzej prysnąć.

– Dość tego – oznajmił. – Odłączam się. Nie mam z tym nic wspólnego.

– Nie masz chyba wyboru. Jeśli chodzi o Tabulów, jesteś po prostu tylko jeszcze jednym celem. Teraz znajdujemy się pod stacją kolejową. Musisz nas stąd wyprowadzić na ulicę.

Obróciła się do pozostałych.

– To będzie trudne, ale musimy trzymać się razem. Jeśli nas rozdziela, spotkajmy się jutro rano o siódmej przy Najczystszych Dzieciach.

Poważnie przestraszony Naz prowadził całą grupę schodami w dół do tunelu, w którym wzdłuż stropu biegł przewód elektryczny. Można było odnieść wrażenie, że ciężar dworca wciska ich coraz głębiej w ziemię. Dotarli do kolejnych schodów – tym razem bardzo wąskich – i Naz podążył nimi. Powietrze w tunelu było ciepłe i wilgotne. Dwie pomalowane na białą rury, każda o średnicy około trzydziestu centymetrów, były przymocowane do ścian.

– Rury z gorącą parą – ostrzegł Naz. – Nie dotykajcie ich.

Podążając wzdłuż rur, minęli stalowe drzwi i znaleźli się w pomieszczeniu technicznym z sufitem na wysokości blisko dziesięciu metrów. Łączyły się tutaj cztery duże rury z gorącą parą, biegnące z różnych kierunków. Ciśnienie rejestrowały mierniki z nierdzewnej stali, a rozsyłką stężonej pary kierowały odpowiednie zawory. Woda zbierała się w szczelinach sufitu i skapywała na posadzkę.

W pomieszczeniu panował cuchnący, zatęchły zapach typowy dla cieplarni z tropikalnymi roślinami.

Maya zamknęła za sobą drzwi. Jej ojciec nazwałby takie miejsce „ślepą uliczką” – prowadziło tu jedno wejście i nie było wyjścia.

– Co teraz? – zapytała.

– Nie wiem – przyznał Naz. – Po prostu usiłuję się stąd wydostać.

– To nieprawda – oznajmiła Maya. – Przyprowadziłeś nas tutaj.

Wyciągnęła nóż służący do wbijania i zacisnęła w dłoni rękojeść w kształcie litery T. Zanim

Naz zdążył zareagować, chwyciła go za kurtkę i grzmotnęła nim o ścianę. Przyłożyła ostrze do lekkiego zagłębienia ponad kością mostkową Naza.

– Ile ci zapłacili?

– Nic! Nikt mi nie zapłacił!

– W tych tunelach nie ma przecież kamer monitorujących, a jednak jakimś cudem podążają za nami. A teraz przyprowadziłeś nas do kolejnej pułapki.

Gabriel stanął obok niej.

– Zostaw go, Mayu.

– To wszystko było zaplanowane. Tabulowie nie zamierzali atakować budynku w Chinatown.

Znajduje się w zbyt ruchliwym miejscu, poza tym roi się tam od glin. Ale tutaj mogą robić, co im się żywnie podoba.

Kropła wody spadła na rurę z gorącą parą i rozległ się delikatny, syczący dźwięk. Gabriel pochylił się do przodu i przyjrzał twarzy Naza z głębokim skupieniem.

– Czy pracujesz dla Tabulów, Naz?

– Nie. Przysięgam na Boga! Po prostu chciałem zarobić trochę kasy.

– Być może wysledzili nas w inny sposób – wtrąciła się Vicki. – Pamiętajcie, co się stało w Los Angeles? Włożyli koralik transmisyjny do jednego z moich pantofli.

Koraliki transmisyjne były to małe przekaźniki radiowe, umożliwiające lokalizację poszukiwanego obiektu. Maya przez kilka ostatnich miesięcy zachowywała pod tym względem dużą ostrożność i sprawdzała niemal każdy przedmiot trafiający na ich poddasze. Sprawdzała też każdą sztukę mebli oraz część garderoby, niczym podejrzliwy celnik. Gdy skoncentrowała się na trzymanym nożu, nagle ogarnęły ją wątpliwości i wahanie. Odniosła wrażenie, że jakiś duch wszedł do jej ciała. Był jeden przedmiot, którego nie sprawdziła, złote jabłko wrzucone na jej ścieżkę jako pokusa tak silna, iż Tabulowie mieli pewność, że Maya się jej nie oprze.

Maya odeszła od Naza, wsunęła nóż z powrotem do pochwy i wyciągnęła z podręcznej torebki ceramiczny pistolet. Raz jeszcze przeanalizowała moment szarpaniny z Aronovem w samochodzie. Dlaczego jej nie zabili, kiedy wsiadła do taksówki? Ponieważ to było zaplanowane, pomyślała Maya. Ponieważ wiedzieli, że zaprowadzi ich do Gabriela.

Nikt się nie odzywał, kiedy sprawdzała pistolet wykonany z ceramiki. Lufa i rama nie były dostatecznie grube, by można było w nich ukryć koralik, ale plastikowa rękojeść pistoletu nadawała się do tego idealnie. Maya wsunęła rękojeść w wąską szczelinę między dwiema rurami biegnącymi przy ścianie i posłużyła się pistoletem jak dźwignią. Nacisnęła mocno lufę, a rękojeść pękła z głośnym trzaskiem. Perłowszary koralik lokacyjny upadł na podłogę. Kiedy go podniosła, był ciepły, jak iskra spadająca z ogniska na dłoń.

– Cóż to jest, do diabła? – zapytał Naz. – Co tu się dzieje?

– W ten sposób namierzili nas w tunelu – wyjaśnił Hollis. – Idą za wskazaniem radiolokatora.

Maya położyła koralik na wąskiej półce z betonu i zmiażdżyła go rękojeścią rewolweru. Czuli się tak, jakby ojciec był w tym pomieszczeniu i spoglądał na nią z pogardą. Mówił do niej coś po niemiecku, coś, co dotknęło ją do żywego. Kiedy była małą dziewczynką, on uczył ją, jak Arlekini postrzegają świat – zawsze podejrzliwi, zawsze czujni – lecz ona opierała się temu. A teraz z powodu bezmyślnego impulsu zabrania z sobą broni, przyczyniła się do śmierci Sophii i poprowadziła Gabriela wprost w pułapkę.

Maya rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając jakiegoś wyjścia. Została im tylko drabina przymocowana do ściany, biegnąca równoległe do pionowej rury z gorącą parą przez otwór w stropie – wąski odstęp umożliwiał przecięnięcie się tamtędy.

– Wejdźcie po drabinie i przedostańcie się na górną kondygnację – powiedziała do reszty. – Spróbujemy znaleźć wyjście z dworca.

Naz pośpiesznie wszedł na drabinę i przecisnął się przez szczelinę na wyższą kondygnację. Gabriel był następny, a po nim ruszyli Hollis oraz Vicki. Od momentu kiedy opuścili poddasze w Chinatown, Alice Chen szła na czele grupy – usiłując uciec przed Tabularni. Tym razem weszła na drabinę i zawahała się. Maya patrzyła, jak dziewczynka się zastanawia, w jaki sposób najskuteczniej zapewni sobie ochronę.

– Pośpiesz się – ponagliła ją Maya. – Musisz iść za nimi.

Maya usłyszała głuchy odgłos stalowych drzwi, zamykanych w głębi tunelu. Mężczyźni, którzy zabili Sophie, byli już w tunelu i zbliżali się. Alice ześlizgnęła się w dół po drabinie i zniknęła za jedną z rur wypełnionych gorącą parą. Maya wiedziała, że podążenie za dziewczynką nie ma sensu. Pozostanie w ukryciu, dopóki Tabulowie nie opuszczą tego miejsca.

Stojąc pośrodku pomieszczenia technicznego, analizowała potencjalne opcje z bezwzględną klarownością myśli, typową dla Arlekina. Tabulowie przemieszczali się szybko i prawdopodobnie nie spodziewali się kontrataku. Jak dotąd Maya nie zdołała ochronić Gabriela, ale wciąż mogła to naprawić. Arlekini byli przekłęci swoimi działaniami, lecz zbawieni poświęceniem.

Zdjęła torbę z ramienia i rzuciła ją na podłogę. Wykorzystując manometry oraz zawory jako podporę dla rąk, wspięła się po rurze z parą, a potem przycupnęła nad jedną z nich. Teraz znajdowała się o jakieś cztery i pół metra nad posadzką, bezpośrednio na wprost wejścia do pomieszczenia. Powietrze było gorące i z trudem oddychała. Z tunelu dobiegł cichy odgłos. Wyciągnęła rewolwer z kabury i czekała. Jej nogi drżały z wysiłku. Twarz pokrywały krople potu.

Drzwi otworzyły się z impetem i w wejściu pojawił się brodaty człowiek w pozycji kucznej. Najemnik trzymał w ręku karabin z laserowym celownikiem, zamontowanym pod lufą. Rozejrzał się szybko dookoła pomieszczenia i zrobił kilka kroków do przodu. Maya zeskoczyła i otworzyła ogień. Kula trafiła najemnika w nasadę szyi. Padł na ziemię.

Teraz Maya leżała na posadzce, przeturlała się i zerwała na równe nogi. Nie dostrzegła, że ciało zabitego zablokowało drzwi, które wciąż pozostawały otwarte. Z ciemności błysnął promień lasera, ona zaś próbowała znaleźć jakąś osłonę. Kula odbiła się rykoszetem od ścian i uderzyła w jeden z ciśnieniomierzy. Sprężona para z sykiem wzbijała się w powietrze. Maya dała nura, zastanawiając się, gdzie powinna się ukryć, gdy zza rury wysunęła się dłoń Alice.

Kiedy kolejna kula uderzyła w ścianę, Maya leżała płasko na betonowej posadzce i przesuwała się bokiem pod gorącą rurą. Teraz leżała bezpośrednio za Alice, a dziewczynka wpatrywała się w Arlekinę. Twarz Alice nie wyrażała przestachu ani złości – przypominała bardziej zwierzę w zoo, przyglądające się badawczo nowemu stworzeniu w jego klatce. Strzały ucichły, zniknął też promień lasera. Zapadła cisza. Maya trzymała rewolwer w obu dłoniach, przytrzymując prawą dłoń w lewej jak w kołysce. Była gotowa w każdej chwili wstać, wymierzyć i wystrzelić.

– Mayu?

Gdzieś z ciemnego tunelu dobiegł męski głos. Głos Amerykanina. Spokojny, pozbawiony choćby cienia przestachu.

– Mówi Nathan Boone. Jestem szefem służby bezpieczeństwa Fundacji Evergreen.

Wiedziała, kim jest Boone: najemnikiem Tabulów, który zamordował jej ojca w Pradze. Zastanawiała się, dlaczego Boone teraz do niej mówi. Przypuszczalnie zamierzał ją wyprowadzić z równowagi i sprowokować do ataku.

– Wiem, że tam jesteś – odezwał się ponownie Boone. – Przed chwilą zabiłaś jednego z moich najlepszych ludzi.

Zasada Arlekinów głosiła, że nigdy nie należy rozmawiać z wrogiem, chyba że pozwoli to zyskać przewagę. Zamierzała milczeć, ale wtedy na myśl przyszedł jej Gabriel. Jeśli odciągnie uwagę Boone'a, wtedy Traveler zyska więcej czasu na ucieczkę.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Gabriel zginie, jeśli nie każesz mu wyjść z tego pomieszczenia. Obiecuję, że Gabriel, Vicki oraz twój przewodnik nie doznają krzywdy.

Maya zastanawiała się, czy Boone wie o Alice. Zapewne zabiłby ją również, gdyby zdał sobie sprawę, iż jest dzieckiem, które przetrwało rzeź w Nowej Harmonii.

– A Hollis? – znów postawiła pytanie.

– Oboje podjęliście decyzję i walczyście przeciw Braciom. Teraz musicie ponieść tego konsekwencje.

– Dlaczego mam ci wierzyć? Zabiłeś mojego ojca.

– To była jego decyzja – w głosie Boone'a pobrzmiwało rozdrażnienie. – Miał wybór, jednak był zbyt uparty, by przyjąć moją propozycję.

– Musimy się naradzić. Daj nam pięć minut.

– Nie masz pięciu minut. Nie masz żadnej alternatywy. Żadnych negocjacji. Jeśli jesteś Arlekinem, który przestrzega reguł, to pragniesz ochronić Travelera. Wyślij pozostałych z powrotem do tunelu albo każdy, kto jest w tym pomieszczeniu, zginie. Mamy przewagę techniczną.

„O czym on mówi?”, pomyślała Maya. „Jaka przewaga techniczna?” Alice Chen wciąż uparcie się w nią wpatrywała. Wewnętrzzną stroną dłoni dziewczynka dotknęła ciepłej rury, znajdującej się nad nimi – potem wyciągnęła dłoń – usiłując przekazać jej jakąś informację.

– Co chcesz mi powiedzieć? – wyszeptała Maya.

– Podjęłaś decyzję? – wykrzyknął Boone.

Cisza.

Kula trafiła jedną z dwóch lamp jarzeniowych, zawieszonych pod sufitem. Rozległ się drugi wystrzał i oprawa lampy została oderwana, czemu towarzyszył snop iskier. Spadając, oprawa odbiła się od jednej z rur parowych i uderzyła w podłogę.

Teraz, gdy w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, Maya zrozumiała, co dziewczynka chciała jej przekazać. Boone oraz jego najemnicy dysponowali noktowizorami. Kiedy zniszczą drugą jarzeniówkę, ona pograży się w egipskich ciemnościach, natomiast Boone i jego ludzie bez trudu będą widzieć tych, którzy stanowią ich cel. Jedynym sposobem ukrycia się przed urządzeniami działającymi na podczerwień było obniżenie temperatury albo też przyłgnięcie ciałem do ciepłego obiektu. Alice wiedziała o tym, dlatego właśnie cofnęła się i ukryła za rurą z gorącą parą.

Znów padły strzały. Dwa promienie laserów były wycelowane w drugą z jarzeniówek. Alice przeturlała się w stronę przeciwną do rury i skierowała wzrok na martwe ciało, leżące przy drzwiach.

– Zostań tu! – wykrzyknęła Maya.

Jednak dziewczynka zerwała się na równe nogi i pobiegła w stronę drzwi, potem przykucnęła, kiedy dotarła do martwego najemnika, starając się skulić na tyle, na ile się dało. Sięgnęła po jakieś urządzenie przypięte do paska mężczyzny. Gdy pomknęła z powrotem, Maya dostrzegła, że dziewczynka niesie gogle noktowizyjne zapinane na pasek i do tego podręczny zestaw baterii. Alice rzuciła je w stronę Mai i wróciła do kryjówki za nagrzaną rurą.

Kula trafiła oprawę drugiej jarzeniówki i pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach. Maya odniosła wrażenie, że znalazła się w jaskini, wydrążonej gdzieś głęboko w ziemi. Założyła gogle. Wcisnęła włącznik iluminacji i natychmiast pomieszczenie przemieniło się w przestrzeń o różnych

odcieniach zieleni. To, co było ciepłe – rury prowadzące parę, manometry, skóra jej lewej dłoni – żarzyło się barwą jaskrawoszmaragdową, jak gdyby było radioaktywne. Betonowe ściany i posadzki miały kolor jasnozielony, przypominający jej barwę młodych liści.

Wzrok Mai pobiegł wzdłuż górnej krawędzi rury z gorącą parą i dostrzegła zieloną poświatę, która stawała się coraz jaśniejsza, w miarę jak zbliżał się ktoś od strony tuneli, ku otwartym drzwiom. Światelko lekko drgało, potem w otworze drzwi stanął najemnik z goglami. Miał z sobą obrzyn; po chwili ostrożnie przeszedł nad ciałem martwego mężczyzny.

Przesunęła się nieco za rurą i oparła mocno plecami o ciepły metal. Nie była w stanie przewidzieć, gdzie pójdzie najemnik, penetrujący pomieszczenie. Mogła jedynie oszacować ogólny kierunek, w którym przystąpi do ataku. Miała wrażenie, że cała jej energia spływa z barków, przez ręce i skupia się w pistolecie, który ściska w dłoniach. Wzięła głęboki oddech, potem wstrzymała dech, następnie obeszła gorącą rurę.

Trzeci najemnik z pistoletem maszynowym pojawił się w drzwiach. Arlekinka strzeliła mu w pierś. W tej samej chwili, gdy pociski powaliły go na ziemię, pojawiły się błyski światła. Zanim jeszcze martwy przeciwnik upadł na posadzkę, Maya wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zastrzeliła mężczyznę z obrzynem. Znow zapadła cisza. Niewyraźny zapach kordytu zmieszał się z zatechłym odorem unoszącym się w pomieszczeniu. Wokół niej rury z parą żarzyły się intensywną zielenią.

Maya wrzuciła gogle noktowizyjne do podręcznej torby, odnalazła Alice i wzięła ją za rękę.

– Wchodź na górę – szepnęła. – Po prostu wchodź na górę.

Wspinały się szybko po drabince, precyzyjnie się przez szczelinę u jej szczytu i po chwili znalazły się w miejscu znajdującym się tuż pod otwartą studzienką włączową. Maya zatrzymała się na kilka sekund, potem zdecydowała, że draga, ku peronom jest zbyt niebezpieczna. Wciąż trzymając dziewczynkę za rękę, pociągnęła ją w głąb tunelu prowadzącego w kierunku przeciwnym niż dworzec.

10

Trzymając się lewą ręką szczebla drabiny, prawą ręką Naz odpychał żeliwną pokrywę wjazdu. Nastękał się i naprzeklinał, lecz w końcu mu się udało przesunąć pokrywę ponad krawędzią metalowej obejmy i na bok. Gabriel podążył za Nazem przez otwór, który wychodził na niższy poziom stacji Grand Central. Stanęli między pokrytą sadzą metalową ścianą a jednym z torów linii kolejowej.

Naz patrzył tak, jak gdyby gotów był ruszyć w obojętnie jakim kierunku.

– Co się dzieje? – zapytał. – Gdzie są Vicki i Hollis?

Gabriel spojrzał w dół studzienki i dostrzegł czubek głowy Vicki. Była o jakieś sześć metrów pod nim i wspinała się ostrożnie.

– Są tuż za mną. To może potrwać z minutę.

– Nie mamy minuty – Naz usłyszał z oddali charakterystyczny odgłos, obrócił się i dostrzegł dwa światła nadjeżdżającego pociągu. – Musimy stąd zniknąć!

– Zaczekajmy na pozostałych.

– Dogoniam nas na dworcu. Jeśli motorniczy zobaczy nas na torach, powiadomi przez radio ochroniarzy.

Gabriel i Naz ruszyli pędem przez tory, wskoczyli na jeden z pasażerskich peronów i poszli

betonową rampą w kierunku światła. Gabriel szybko zdjął z siebie kurtkę i odwrócił ją na lewą stronę. Hala dworca kolejowego, położona na niższym poziomie, stanowiła królestwo świata konsumpcji. Była otoczona budkami i stoiskami z fast foodem wszelkiej maści. Czynny był jednak tylko bar kawowy, a garstka spóźnionych podróżnych drzemała na ławkach, czekając na wieczorne pociągi. Obaj mężczyźni usiedli przy stoliku i czekali, aż reszta nadejdzie od strony peronu.

– Co się stało? – zapytał Naz. – Widziałeś ich, tak?

– Vicki wchodziła po drabinie, Hollis był o metr, może dwa pod nią.

Naz zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Nie możemy tu zostać.

– Siadaj. To tylko kilka minut. Musimy jeszcze trochę poczekać.

– Powodzenia, chłopie. Ja spadam.

Naz przeszedł pośpiesznie obok windy i zniknął na górnym poziomie dworca. Gabriel usiłował sobie wyobrazić, co się stało z innymi. Czy wpadli w pułapkę tam na dole? Czy Tabulowie ich dogonili? Fakt, że koralik radiolokacyjny był ukryty w ceramicznym pistolecie, zmienił wszystko. Zastanawiał się, czy Maya postanowiła podjąć niepotrzebne ryzyko, by w ten sposób ukarać siebie za to, co się stało.

Opuścił rejon fast foodów i stanął w przejściu prowadzącym na perony. Kamera monitorująca była skierowana na peron. Gabriel zdążył już zauważyć obiektywy czterech kolejnych, zainstalowanych pod sufitem hali. Tabulowie prawdopodobnie podpięli się do systemu bezpieczeństwa dworca, a ich komputery rejestrowały obraz na żywo, poszukując jego wizerunku. „Trzymajmy się razem”. To właśnie powiedziała Maya, ale zatroszczyła się także o plan awaryjny. Jeśli pojawią się problemy, powinni spotkać się jutro rano przy Lower East Side na Manhattanie.

Gabriel powrócił do sektora z fast foodami i skrył się za jednym z betonowych filarów. Kilka sekund później windą zjechało czterech mężczyzn o groźnym wyglądzie, ze słuchawkami i mikrofonami, i pobiegło w stronę wejścia na perony. Gdy tylko zniknęli, Gabriel ruszył w przeciwnym kierunku, wszedł po schodach do hali głównej dworca, minął wejście i znalazł się na ulicy. Od mroźnego zimowego powietrza łzawiły mu oczy i szczypały policzki. Traveler opuścił głowę i ruszył w mrok nocy.

W trakcie ich pobytu w Nowym Jorku Maya uparła się, by każde z nich nauczyło się na pamięć zasad bezpieczeństwa dotyczących przemieszczania się po mieście. Kazała im również zapamiętać listę tanich hoteli, znajdujących się poza Siecią. Jednym z nich był Efficiency Hotel przy Tenth Avenue na Manhattanie. Za dwadzieścia dolarów gotówką można było wynająć tam na dwanaście godzin pozbawioną okien kapsułę z włókna szklanego, długości dwóch i pół i wysokości półtora metra. Czterdzieści osiem takich kapsuł wiszących po obu stronach korytarza sprawiało, że hotel wyglądał jak mauzoleum.

Zanim Gabriel wszedł do hotelu, zdjął ponownie skórzaną kurtkę i zwinął ją tak, by ukryć plamy krwi. Recepcjonista, stary Chińczyk, siedział za kuloodporną przegrodą i przez wąską szczelinę odbierał gotówkę od klientów. Gabriel zapłacił mu dwadzieścia dolarów za gondolę oraz dodatkowe pięć dolarów za matę z gumowanej pianki i bawełniany koc.

Otrzymał w zamian klucz i ruszył korytarzem w stronę wspólnej łazienki. Dwóch latynoskich pracowników restauracji, rozebranych do pasa, stało przy umywalkach. Rozmawiali po hiszpańsku i zmywali kuchenny tłuszcz z twarzy i rąk. Gabriel skrył się w toalecie i odczekał, aż obaj mężczyźni sobie pójną. Wtedy obmył w umywalce kurtkę. Następnie wspiął się po drabinie do wynajętej

kapsuły i wpełzł do jej wnętrza. W każdej kapsule znajdowała się lampa jarzeniowa, mały wentylator zapewniający cyrkulację powietrza oraz kołek, na którym można było powiesić kurtkę. Z mokrej skóry zaczęły skapywać krople wody, jak gdyby wciąż była nasiąknięta krwią.

Leżąc na piankowej macie, Gabriel wciąż myślał o Sophii Briggs. Czuł w niej Światło, narastające i przemieszczające się, niczym potężna morska fala, która potem przepłynęła przez jego dłonie. Słyszał przytłumione głosy przez wąskie ściany gondoli i miał wrażenie, iż dryfuje wśród cieni, otoczony przez złe duchy.

Maya nauczyła Gabriela, że Siatka nie jest idealna. Wciąż były w niej szczeliny i zacienione miejsca, dzięki którym można było bezpiecznie się poruszać po mieście. Następnego ranka po godzinnej wędrówce dotarł do Tompkins Square Park, omijając kamery monitoringowe. W dzielnicy finansowej i w centrum szare skalne podłoże Manhattanu było blisko pod powierzchnią, zapewniając solidne fundamenty drapaczom chmur, dominującym nad miastem. W rejonie Lower East Side skalne podłoże opadało na głębokość dziesiątków metrów pod powierzchnię, a tutejsze budynki liczyły zaledwie cztery lub pięć kondygnacji.

Tompkins Square Park przez ponad sto lat stanowiło tradycyjne miejsce politycznych manifestacji. Za poprzedniego pokolenia grupy bezdomnych ludzi utworzyły tutaj obozowisko, aż policja zamknęła park i otoczyła go kordonem funkcjonariuszy. Weszli oni na teren parku, rozebrali prowizoryczne baraki i nie żałowali razów pałkami nikomu, kto odmawiał opuszczenia terenu. W tej chwili park latem zacięniały wysokie wiązy, a każdy skrawek murawy był otoczony żelazną barierką pomalowaną na czarno. W parku znajdowały się tylko dwie kamery monitorujące, o obiektywach skierowanych na place zabaw dla dzieci. Łatwo można je było ominąć.

Gabriel szedł ostrożnie przez park i zbliżył się do budynku z czerwonej cegły, zajmowanego przez ochronę. Minał kilka otwartych furtek i zatrzymał się przed stelą z białego marmuru z niewielką fontanną w kształcie lwiej głowy pośrodku. Na płycie były wyryte zarysy dziecięcych twarzy oraz słowa BYŁY NAJCZYSTSZYMI DZIEĆMI TEJ ZIEMI. Płyta upamiętniała katastrofę z tysiąc dziewięćset czwartego roku, kiedy to prom o nazwie General Slocum wypłynął z zatoki nowojorskiej, zabierając na pokład grupę niemieckich emigrantów, którzy się wybrali na niedzielny szkolny piknik. Statek, na którym wybuchł pożar, zatonął. Na pokładzie nie było szalup ratunkowych, śmierć poniosło ponad tysiąc kobiet i dzieci.

Maya wykorzystywała płytę pamiątkową jako jedną z trzech tablic informacyjnych, rozlokowanych na Manhattanie. Stanowiły one komunikacyjną alternatywę wobec łatwych do podsłuchania i namierzenia telefonów komórkowych. Na tylnej ścianie steli przy marmurowej podstawie Gabriel dostrzegł graffiti namalowane przez Mayę kilka tygodni temu. Był to znak rozpoznawczy Arlekina. Owalny kształt przecięty trzema liniami, symbolizujący lutnię. Spojrzał na znajdujące się w pobliżu boisko do koszykówki oraz niewielki ogród. O siódmej rano nikogo tu nie było. Wszystkie negatywne obrazy, które wypędził z myśli dzisiejszego ranka, powróciły z porażającą siłą. Pewnie nikt nie przeżył. I to poniekąd z jego powodu.

Przyklęknął, jak gdyby zamierzał się pomodlić. Wyciągnął z kurtki flamaster i napisał na płycie „G. tutaj. Gdzie ty?”.

Natychmiast opuścił park, przeszedł na drugą stronę Avenue A, do najbliższej kawiarni, gdzie się znajdowały stare stoły, rozklekotane krzesła oraz dwie szkolne ławki, wyglądające jak znaleźiska z wystawki. Zamówił filiżankę kawy i usiadł w głębi sali ze wzrokiem skierowanym ku wejściu. Poczucie beznadziei było niemal nie do wytrzymania. Sophia oraz rodziny w Nowej Harmonii

zostały zamordowane. A teraz istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że Tabulowie zabili Mayę oraz jego przyjaciół.

Spoglądał na podrapany blat stołu i usiłował wyciszyć gniewny głos rozlegający się w jego głowie. Dlaczego był Travelerem? I dlaczego z jego powodu działo się tyle krzywdy i cierpień. Jedyne jego ojciec mógł odpowiedzieć na te pytania. Matthew Corrigan, który najprawdopodobniej mieszkał w Londynie. Gabriel wiedział, iż Londyn jest miastem najbardziej w świecie naszpikowanym kamerami monitorującymi. Nie był bezpieczny, ale jego ojciec pojechał tam zapewne z ważnych powodów.

Nikt nie zwracał uwagi, gdy Gabriel otworzył torbę i przeliczał pieniądze, które dostał od Vicki poprzedniego wieczora. Wyglądało na to, że dysponuje dostateczną sumą, by kupić bilet lotniczy do Wielkiej Brytanii. Ponieważ przez całe życie egzystował poza Siatką, dane biometryczne zapisane w chipie jego paszportu nie mogły być porównane z żadną wcześniej wprowadzoną tożsamością. Maya była niemal pewna, iż nie powinien mieć problemów z podróżowaniem do innych krajów. Z punktu widzenia władz był zwykłym obywatelem o nazwisku Tim Bentley, pracującym jako agent handlujący nieruchomościami w Tucson w stanie Arizona.

Dopił kawę i ponownie ruszył do płyty pamiątkowej w Tompkins Square Park. Kawałkiem gazety starł poprzednią informację i napisał „G2LONDYN”. Czuł się jak rozbitek, który wydostał się z wraku statku i wyciął na kawałku drewna kilka słów. Jeśli jego przyjaciele wciąż jeszcze żyli, powinni wiedzieć, co się stało. Zapewne pojedą za nim do Londynu i znajdą go gdzieś w Tyburn Convent. Jeśli wszyscy zginęli, nikt nie odczyta tej wiadomości.

Gabriel opuścił park, nie oglądając się za siebie, i ruszył na południe Avenue B. Poranne powietrze wciąż było chłodne, ale błękitnego nieba nie przesłaniała nawet jedna chmura. Podążał własną drogą.

11

Michael dopił drugą filiżankę kawy, wstał od dębowego stołu i podszedł do gotyckich okien przedpołudniowego salonu. Ołowiane ramy szyb nadawały zewnętrznemu światu postać czarnej kraty. Znajdował się na zachód od Montrealu, na wyspie usytuowanej pośrodku Rzeki Świętego Wawrzyńca. Poprzedniego wieczoru padał deszcz, a gęsta powołała chmur wciąż wisiała na niebie.

Posiedzenie zarządu Bractwa zaplanowano na godzinę jedenastą tego przedpołudnia, lecz prom z członkami zarządu wciąż jeszcze nie dotarł na miejsce. Przeprawa z zatoki Chippewa na Dark Island trwała około czterdziestu minut. Jeśli fale będą wysokie, schodzący na ląd będą wyglądali blado. Podróż helikopterem z dowolnego miasta w stanie Nowy Jork byłaby o wiele szybsza, ale Kennard Nash odrzucił propozycję zbudowania lądowiska dla helikopterów w pobliżu hangaru dla łodzi.

– Przejazdka przez rzekę to odpowiednie doświadczenie dla Braci – wyjaśnił Nash. – Przy okazji odnoszą wrażenie, że oddalają się od zwyczajnego świata. Sądzę, iż dzięki temu rodzi się w nich swego rodzaju respekt dla unikatowego charakteru naszej organizacji.

Michael w duchu zgadzał się z Nashem. Dark Island była miejscem szczególnym. Bogaty amerykański przemysłowiec, który produkował maszyny do szycia, na początku dwudziestego stulecia zbudował na wyspie zamek. Granitowe bloki transportowano zimą po lodzie, by wznieść z nich czterokondygnacyjną wieżę zegarową, hangar dla łodzi oraz rezydencję. Zdobiły ją wieżyczki i baszty, a kominki były tak wielkie, że można by w nich upiec na rożnie całego wołu.

Obecnie wyspa znajdowała się w posiadaniu grupy bogatych Niemców. Turyści mogli zwiedzać to miejsce jedynie przez kilka miesięcy jesienią. Przez resztę roku natomiast zamek wykorzystywali Bracia. Michael oraz generał Nash przyjechali tu przed trzema dniami wraz z ekipą techniczną Fundacji Evergreen. Technicy zainstalowali mikrofony i kamery telewizyjne, dzięki czemu członkowie Bractwa na całym świecie mogli uczestniczyć w posiedzeniu zarządu.

Pierwszego dnia na wyspie Michaelowi pozwolono opuścić zamek i odbyć samotny spacer po skalistym wybrzeżu. Dark Island zawdzięczała nazwę potężnym świerkom, których gałęzie wisiały nisko nad ścieżkami, wychwytywały światło i tworzyły w ten sposób cieniste tunele wśród zieleni. Michael natrafił na ławkę z marmuru nad krawędzią klifu i spędził tam kilka godzin, wdychając żywiczny zapach iglastych drzew oraz spoglądając na rzekę.

Tamtego wieczoru zjadł kolację wspólnie z generałem Nashem, a później raczyli się whisky w salonie wyłożonym dębową boazerią. Wszystko w zamku wydawało się monumentalne – ręcznie wykonane meble, oprawione w ramy obrazy oraz barki wypełnione wyszukаныmi trunkami. Na ścianach salonu wisiały wyprawione głowy zwierząt, a Michael odniósł wrażenie, że martwy łoś wpatruje się w niego przenikliwie.

Nash oraz reszta Braci postrzegali Michaela jako źródło informacji o innych światach. Michael wiedział, że jego pozycja wciąż jest niepewna. Bracia zazwyczaj likwidowali Travelerów, on jednak pozostał przy życiu. Czynił starania, by stać się w jak największym stopniu niezbędnym, jednocześnie nie odsłaniając kryjących się w nim rozległych pokładów ambicji. Jeśli świat miał być niewidzialnym więzieniem, oznaczało to, że w rękach jednej osoby miał się znaleźć nadzór zarówno nad strażnikami, jak i więźniami. Dlaczegoż tą osobą nie miałby być Traveler?

Bracia początkowo wykorzystywali Michaela przy konstruowaniu komputera kwantowego, i z jego pomocą podjęli próbę kontaktu z bardziej rozwiniętymi cywilizacjami, zamieszkującymi inne światy. Chociaż komputer został zniszczony, Michael zapewnił generała Nasha, że w końcu zdobędzie każdą potrzebną im informację. Uważał też za rozsądne nie wspomnieć o swoich własnych celach. Gdyby mu się udało odnaleźć ojca i zdobyć jakąś szczególną wiedzę, zamierzał wykorzystać ją dla siebie. Czuł się jak człowiek, który uciekł sprzed łuf plutonu egzekucyjnego.

W ciągu ostatniego miesiąca opuszczał swoją cielesną powłokę dwukrotnie. Za każdym razem było tak samo – początkowo jego ciało emitowało pojedyncze iskry światła, a później cała zawarta w nim energia odpływała w stronę chłodnej ciemności. By odnaleźć drogę do innego świata, musiał pokonać wszystkie cztery bariery: niebieskie niebo, pustynną równinę, miasto ogarnięte pożogą oraz bezkresne morze. Bariery te początkowo wydawały się przeszkodami nie do pokonania, teraz jednak potrafił przekraczać je niemal w okamgnieniu – odkrywając małe czarne przejścia.

Michael otworzył oczy i stwierdził, że się znajduje na rynku miasteczka porośniętego drzewami, z ławkami oraz odkrytą sceną dla orkiestry. Zapadał wieczór, a mężczyźni i kobiety, ubrani w ciemne szaty oraz płaszcze, spacerowali chodnikami, nieustannie wchodzili do jasno oświetlonych sklepów, a po paru minutach wychodzili na zewnątrz z pustymi rękami.

Był już tutaj wcześniej. To drugi wymiar wygłodniałych duchów. Sfera sprawiała wrażenie realnego świata, ale wszystko tutaj stanowiło jedynie pustą obietnicę dla tych, którzy nigdy nie mogli się nasycić. Opakowania w sklepie spożywczym były puste. Jabłka na straganie przy rogu oraz płaty mięsa w sklepie rzeźniczym były kawałkami drewna lub fajansu odpowiednio pomalowanymi. Nawet oprawne w skórę woluminy w miejskiej bibliotece sprawiały wrażenie rzeczywistych, ale kiedy Michael zajrzał do środka jednego z nich, odkrył, że na ich stronach nie ma żadnych słów.

Przebywanie w tym miejscu było niebezpieczne. Czuł się jak jedyna żywa istota w mieście fantomów. Ludzie, którzy zamieszkiwali tę sferę, rozpoznawali jego inność. Chcieli z nim

rozmawiać, dotykać go, poczuć jego mięśnie i ciepłą krew, pulsującą pod jego skórą. Michael usiłował skryć się w cieniu, gdy wyglądał przez okno i obserwował ulicę w poszukiwaniu ojca. W końcu znalazł przejście, prowadzące z powrotem do jego świata. Kiedy wyruszył w podróż między wymiarami kilka dni później, dotarł na ten sam rynek, jak gdyby jego Światło odmawiało podążenia w jakimkolwiek innym kierunku.

Zegar szafkowy w salonie zaczął bić. Michael powrócił do okna. Przed chwilą przybyła łódź motorowa z Chippewa Bay i członkowie zarządu Bractwa wysiadali właśnie na brzeg. Na zewnątrz było chłodno i pochmurnie, lecz generał Nash stał na pomoście niczym polityk, witając gości i wymieniając uściski dłoni.

– Czy łódź już przybyła? – zapytał kobiecy głos.

Michael obrócił się i zobaczył panią Brewster, członka zarządu, która przybyła tu zeszłego wieczoru.

– Tak, naliczyłem osiem osób.

– Dobrze. Oznacza to, że lot doktora Jensena nie był opóźniony.

Pani Brewster podeszła do bocznego stolika i nalała sobie filiżankę herbaty.

Pięćdziesięciokilkuletnia energiczna Angielka miała na sobie spódnicę z tweedu oraz wygodne buty na grubej podeszwie, jakich się używało do chodzenia po mokrych łąkach. Chociaż nie posługiwała się żadnym tytułem zawodowym, inni członkowie zarządu traktowali ją z szacunkiem i nikt nigdy dotąd nie odważył zwrócić się do niej po imieniu. Zachowywała się, jakby świat był pogrążoną w chaosie szkołą, ona zaś objęła właśnie stanowisko dyrektora. Wszystko musiało być dobrze zorganizowane. Złego zachowania w żadnym razie nie można było tolerować. Bez względu na konsekwencje zamierzała zaprowadzić porządek. Dolała odrobinę śmietanki do filiżanki z herbatą i uśmiechnęła się uprzejmie.

– Czy czekasz z napięciem na posiedzenie zarządu, Michaelu?

– Tak, proszę pani. Jestem pewien, że będzie miało bardzo interesujący przebieg.

– Masz co do tego absolutną rację. Czy generał Nash powiedział ci, co się wydarzy?

– Nie do końca.

– Człowiek kierujący naszym centrum komputerowym w Berlinie przedstawi dzisiaj bardzo ważną techniczną innowację, która pomoże nam w konstruowaniu Panoptikonu. Potrzebna jest nam pełna zgoda członków zarządu, by podążyć dalej.

– Jestem pewien, że tę zgodę pani zdobędzie.

Pani Brewster upiła łyk herbaty, potem odstawiła porcelanową filiżankę na spodek.

– Zarząd ma pewne słabe strony. Członkowie zazwyczaj głosują na „tak” w trakcie posiedzeń, a później zaczynają się schody. Dlatego właśnie tutaj jesteś, Michaelu. Czy ktoś ci powiedział, że to ja wpadłam na pomysł, żebyś uczestniczył w tym spotkaniu?

– Sądziłem, iż jestem tu z inicjatywy generała Nasha.

– Czytałam praktycznie wszystko o Travelerach – oznajmiła pani Brewster. –

Najprawdopodobniej niektórzy z nich potrafią spojrzeć na czyjąś twarz i stwierdzić, co dana osoba myśli. Czy dysponujesz tą szczególną umiejętnością?

Michael wzruszył ramionami. Wystrzegał się wyjawienia zbyt wielu informacji na temat swoich zdolności.

– Wiem, czy ktoś kłamie.

– Dobrze. Chciałabym, żebyś to właśnie zrobił w trakcie tego posiedzenia. Byłoby z twojej

strony bardzo pomocne, gdybyś mógł zaobserwować, kto głosuje na „tak”, lecz w duchu jest przeciw.

Michael podążył za panią Brewster do sali bankietowej, gdzie generał Nash wygłaszał krótką mowę powitalną dla gości przybyłych na Dark Island. Trzy duże panele wideo znajdowały się w jednym końcu sali, naprzeciwko nich stały w półokręgu skórzane fotele. Środkowy ekran był biały, ale na dwóch bocznych pojawiła się siatka kwadratów. Członkowie Bractwa z całego świata siedzieli przy swoich komputerach i uczestniczyli w posiedzeniu. Kilku z nich dysponowało kamerami wideo, zatem ich twarze było widać na ekranie, lecz zazwyczaj w kwadracie widniało tylko geograficzne położenie: Barcelona, Miasto Meksyk, Dubaj.

– Ach... tutaj jest – oznajmił Nash, kiedy Michael wszedł do pomieszczenia. – Panie i panowie, oto Michael Corrigan.

Położywszy mu rękę na prawym ramieniu, Nash prowadził go i przedstawiał innym. Michael czuł się jak buntowniczy nastolatek, któremu pozwolono uczestniczyć w przyjęciu organizowanym przez dorosłych.

Kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca, Lars Reichhardt, dyrektor ośrodka komputerowego w Berlinie, podszedł do mównicy. Był to rostry mężczyzna o rudych włosach, nalanych policzkach, o śmiechu tak donośnym, że pogłos wypełniał całą salę.

– To zaszczyt przemawiać do wszystkich państwa – rozpoczął Reichhardt. – Jak państwo zapewne wiedzą, nasz komputer kwantowy uległ zniszczeniu w trakcie ataku na nasz ośrodek badawczy w Nowym Jorku. W chwili obecnej komputer wciąż jeszcze nie wznowił działania. Nasze nowe centrum komputerowe w Berlinie wykorzystuje technologię konwencjonalną, lecz mimo to moc obliczeniowa jest bardzo pokaźna. Stworzyliśmy też sieci współpracujących komputerów na całym świecie, które wykonują nasze polecenia, bez wiedzy ich właścicieli...

Na środkowym monitorze, usytuowanym za mównicą, pojawiły się linijki komputerowego kodu. Gdy Reichhardt mówił, kod komputerowy stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż przyjął postać skondensowaną do niewielkiego, czarnego kwadratu.

– Rozwijamy też wykorzystanie informatycznej immunologii. Stworzyliśmy program komputerowy, który automatycznie utrzymuje żywotność i automatycznie się replikuje, a także dystrybuje się przez Internet, niczym białe ciała krwi w ludzkim organizmie. Zamiast szukać wirusów i infekcji, te programy poszukują zainfekowanych idei, które spowalniają konstruowanie Panoptikonu.

Na ekranie malutki kwadrat z kodem przesunął się do obudowy komputera. Zaczął się replikować i został przesłany do kolejnego komputera. Wkrótce zajął cały system.

– Początkowo posługiwaliśmy się immunologią informatyczną jako narzędziem służącym do wykrywania naszych wrogów. Z uwagi na problemy z komputerem kwantowym postanowiliśmy przemienić cybernetyczne leukocyty w aktywne wirusy, powodujące uszkodzenie twardych dysków, na których się znajdowały informacje uznane za antyspołeczne. Po zainstalowaniu program nie wymaga utrzymania.

– A teraz przystąpimy do *Hauptgericht*, „dania głównego” naszego bankietu. Nazywamy go Cieniem...

Ekran monitora zgasł na chwilę, potem pojawił się na nim wykreowany przez komputer obraz pokoju gościnnego. Na fotelu z prostym oparciem siedziała postać podobna do manekinów stosowanych w testach wypadkowych. Twarz i ciało były utworzone z linii geometrycznych, ale można było rozpoznać, że to mężczyzna.

– Zastosowanie elektronicznej inwigilacji oraz monitoringu osiągnęło fazę krytyczną. Wykorzystując bazy danych rządów oraz korporacji, zdobyliśmy wszelkie niezbędne dane do śledzenia konkretnej osoby przez cały dzień. Po prostu połączyliśmy to wszystko w jeden system: program Cień. Cień tworzy równoległą cybernetyczną rzeczywistość, która ulega nieustannym zmianom, odzwierciedlając działania i zachowania poszczególnych osobników. Ci z członków Bractwa, którzy chcieliby uzyskać więcej informacji, mogą porozmawiać ze mną po prelekcji, ale ostrzegam was, że Cień jest... – Reichhardt przerwał na moment, szukając odpowiedniego słowa. – Powiedziałbym, że jest *verführerisch*.

– Co oznacza ponętny – wyjaśniła pani Brewster. – Kuszący.

– Kuszący. Idealne słowo.

– Chcąc zaprezentować potencjał programu Cień, wybrałem jednego z członków Bractwa jako nasz podmiot. Bez jego wiedzy stworzyłem wirtualny duplikat w obrębie naszego systemu. Fotografie dostępne w bazie danych paszportowych i praw jazdy pozwoliły na wykreowanie trójwymiarowego obrazu. Sięgając po informacje medyczne oraz inne dane osobowe, mogliśmy odpowiednio dostosować wagę ciała oraz wzrost.

Michael tuż przed rozpoczęciem posiedzenia spotkał się na krótko z profesorem Andersem Jensenem. Był to mężczyzna o drobnej posturze i przeredzonych już blond włosach. Piastował dość wysokie stanowisko w duńskiej administracji rządowej. Jensen wyglądał na zaskoczzonego, kiedy człowiek wygenerowany przez komputer uzyskał jego twarz. Na ekranie pojawiły się informacje natury medycznej i zmieniły wygenerowaną przez komputer sylwetkę. Informacje uzyskane z komputera sklepu odzieżowego pozwoliły wykreować elegancki szary garnitur oraz niebieską muszkę. Kiedy postać była już ubrana, wstała z komputerowego fotela i machnęła ręką na powitanie.

– A więc mamy! – oznajmił Reichhardt. – Doktorze Jensen, oto pański cień!

Michael oraz reszta grupy zareagowali oklaskami na to, co zobaczyli na ekranie, natomiast na twarzy Jensa pojawił się wymuszony uśmiech. Duńczykowi wcale nie było do śmiechu, że to jego wizerunek pojawił się w systemie.

– Na podstawie danych ze sklepów zajmujących się wyposażeniem domów byliśmy w stanie odtworzyć wygląd mieszkania profesora Jensa przy ulicy Vogel. Dysponując danymi z jego karty kredytowej, w szczególności zaś z firm prowadzących sprzedaż wysyłkową, mogliśmy nawet odtworzyć konkretne meble w poszczególnych pokojach.

Podczas gdy profesor wygenerowany przez komputer chodził tam i z powrotem, w jego pokoju po kolei pojawiły się kanapa, fotel oraz mały stolik. Michael przyglądał się pozostałym uczestnikom spotkania. Pani Brewster skinęła głową w jego kierunku i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– To niezupełnie tak, jak powinno być – skomentował Jensen. – Kanapa jest przysunięta do ściany obok drzwi.

– Przepraszam, profesorze.

Reichhardt powiedział coś krótko do mikrofonu, który miał przy ustach. Kanapa cień zniknęła i po chwili pojawiła się we właściwym miejscu.

– Teraz chciałbym państwu pokazać rejestr z kilku godzin życia profesora Jensa. Program Cień obserwował go przez dziewięć dni w trakcie zakońzonego sukcesem testowania systemu. Ponieważ profesor dysponuje systemem alarmowym w domu, wiemy dokładnie, kiedy opuszcza swoje mieszkanie. Telefon komórkowy profesora Jensa oraz system GPS w jego samochodzie pozwalają nam na śledzenie przejazdu do miejscowego centrum handlowego. Na parkingu są też zainstalowane dwie kamery monitorujące. Profesorowi zrobiono zdjęcia, a algorytm jego twarzy potwierdził tożsamość. Karta rabatowa z portfela profesora Jensa ma chip RFID. Informuje on

komputer o tym, kiedy profesor wchodzi do określonego sklepu. Oto stoiska z książkami, filmami oraz grami komputerowymi...

Na ekranie Anders Jensen-cień ruszył w kierunku części sklepu, mijając innych wirtualnych osobników.

– Proszę zrozumieć: to, co widzicie na ekranie, nie jest żadną hipotetyczną abstrakcją. Wszystko to wiąże się bezpośrednio z rzeczywistymi doświadczeniami profesora Jensena. Wiemy, w jakich sklepach lubi bywać, ponieważ najnowsze sieci sklepów są wyposażone w programy do monitorowania zachowań konsumenckich. Wiemy, jak wyglądają inni klienci, ponieważ zeskanowaliśmy ich dowody tożsamości oraz odnaleźliśmy wizerunki ich twarzy w różnych bazach danych.

– Większość produktów jest teraz wyposażona w chipy RFID w celu ochrony przed kradzieżą. Pozwalają one również na śledzenie przepływów towarów. Sieci handlowe w Danii, Francji oraz Niemczech dysponują już czujnikami elektronicznymi na półkach, dzięki czemu wiedzą, czy klienci zatrzymują się przy okazji promocji czy też specjalnych prezentacji. Rozwiązanie to stanie się standardem w odniesieniu do każdego asortymentu w najbliższych kilku latach. A teraz, proszę, popatrzcie państwo, profesor Jensen podchodzi do konkretnej półki i...

– Dość tego – wymamrotał Jensen.

– Wybiera określony produkt, odstawia go z powrotem na półkę. Przez chwilę waha się, potem podejmuje decyzję i dokonuje zakupu płyty DVD z filmem pod tytułem *Tropikalny grzech 3*.

Generał Nash roześmiał się, inni poszli w jego ślady. Kilku członków Bractwa, których twarze widniały na monitorach komputerów, również się roześmiało. Jensen, który wyglądał na zdruzgotanego, wbił wzrok w podłogę i pokręcił głową.

– Ja... ja kupiłem to dla przyjaciela – usiłował się tłumaczyć.

– Przepraszam, profesorze, że postawiłem pana w kłopotliwej sytuacji.

– Ale pan zna reguły – warknęła pani Brewster. – Wszyscy jesteśmy równi wobec Panoptikonu.

– No właśnie – podjął Reichhardt. – Z uwagi na dość ograniczone zasoby w chwili obecnej, jesteśmy w stanie uruchomić program Cień tylko w dużym mieście. Za piętnaście dni program osiągnie pełną sprawność operacyjną. Kiedy już uruchomimy system, wtedy władze będą w stanie dostrzec...

– Zagrożenie terrorystyczne – wtrącił Nash.

– Lub coś w tym rodzaju. W tym momencie Fundacja Evergreen zaoferuje program Cień naszym przyjaciołom z niemieckiego rządu. Z chwilą gdy program zostanie zainstalowany i sprawdzi się w działaniu, nasi polityczni sojusznicy dopilnują, żeby ten system stał się światowym standardem. On nie jest narzędziem skierowanym wyłącznie przeciwko przestępcom i terrorystom. Firmom komercyjnym spodoba się idea systemu, który będzie w stanie dokładnie określić lokalizację pracowników oraz ich zachowania. Czy na przykład ktoś z personelu lubi wypić w trakcie lunchu? Czy chodzi wieczorami do biblioteki i sięga na półkę z niewłaściwymi książkami? Program Cień pozwoli na przetrwanie na rynku określonej liczby kontrowersyjnych książek oraz filmów. Reakcja opinii publicznej na tego rodzaju towary daje nam więcej informacji ułatwiającej stworzenie zdublowanej rzeczywistości.

Przez chwilę panowała cisza, a Michael wykorzystał nadarzającą się sposobność.

– Chciałbym coś powiedzieć.

Generał Nash wyglądał na zaskoczonego.

– To nie jest właściwy czas ani miejsce, Michaelu. Możesz przekazać mi swoje uwagi po spotkaniu.

– Jestem innego zdania – zaproponowała pani Brewster. – Chciałabym usłyszeć zdanie naszego Travelera.

Jensen przytaknął z zapalem. Bardzo chciał zmienić temat rozmowy na jakikolwiek inny, który nie wiązał się z duplikatem profesora, widocznym na komputerowym ekranie.

– Czasami dobrze jest poznać inny punkt widzenia.

Michael wstał i spojrzał na zgromadzonych członków Bractwa. Każdy z nich siedział naprzeciw niego i miał na twarzy maskę powstałą przez całe życie wypełnione oszustwem. Dorosła twarz skrywająca emocje niegdysiejszego dziecka. Gdy Traveler patrzył na te maski, ulegały one rozbiciu na drobne fragmenty rzeczywistości.

– Program Cień jest zdumiewającym osiągnięciem – rozpoczął Michael. – Jeśli okaże się skuteczny w Berlinie, z pewnością będzie go można potem przenieść i wdrożyć w innych krajach. Dostrzegam jednak pewne zagrożenie dla całego systemu.

Przerwał na moment i rozejrzał się po sali.

– Po tym świecie wciąż chodzi jeszcze Traveler, który prowadzi aktywną działalność. Osoba, która może kreować ruch sprzeciwu wobec waszych planów.

– Twój brat nie stanowi znaczącego problemu – skomentował Nash. – Jest uciekinierem pozbawionym jakiegokolwiek wsparcia.

– Nie mówię o Gabrielu. Mówię o moim ojcu.

Michael dostrzegł zaskoczenie na ich twarzach, a potem rozdrażnienie na obliczu Kennarda Nasha. Generał nie poinformował ich o Matthew Corriganie. Być może nie chciał sprawić wrażenia słabego i nieprzygotowanego.

– Słucham? – Głos pani Brewster zabrzmiał tak, jakby właśnie dostrzegła błąd na rachunku z restauracji. – Czy twój ojciec nie zniknął przed laty?

– Ale wciąż żyje. Obecnie przebywa w dowolnym mieście tego świata, organizując opór wobec Panoptikonu.

– Prowadzimy dochodzenie – wybełkotał Nash. – Pan Boone zajmuje się tą sprawą i zapewnia mnie, że...

Michael mu przerwał.

– Program Cień zawiedzie... wszystkie wasze programy zawiodą, chyba że odnajdziecie mojego ojca. Wiecie przecież, że to dzięki, niemu powstała osada Nowa Harmonia w Arizonie. Kto wie, czy nie założył już kolejnych ośrodków oporu albo czy nie organizuje ich właśnie w tej chwili?

W pokoju zapadło pełne napięcia milczenie. Spoglądając na twarze członków Bractwa, Michael wiedział, że zdołał zmanipulować ich strachem.

– Cóż zatem powinniśmy zrobić? – zapytał Jensen. – Czy macz jakieś pomysły?

Michael pochylił głowę niczym pokorny sługa.

– Jedyne Traveler potrafi odnaleźć innego Travelera. Pozwólcie, że wam pomogę.

Przy Flatbush Avenue na Brooklynie Gabriel natrafił na witrynę biura podróży z całą kolekcją zakurzonych, plażowych zabawek. Biuro prowadziła niejaka pani García, starsza kobieta pochodząca z Dominikany, której waga ciała wynosiła nie mniej niż sto trzydzieści kilogramów. Podczas rozmowy posługiwała się mieszaniną angielskiego i hiszpańskiego, i odpychając się stopami, poruszała się z dużą prędkością po pomieszczeniu, usadowiona w biurowym fotelu z jazgotliwie

zgrzytającymi kólkami. Gdy Gabriel oznajmił, że chce kupić bilet w jedną stronę do Londynu – płacąc gotówką – pani García przestała się przemieszczać i spojrzała badawczym wzrokiem na nowego klienta.

– Ma pan paszport?

Gabriel położył swój nowy dokument na biurku. Kobieta przejrzała go niczym urzędnik kontroli granicznej i doszła do wniosku, że dokument nie budzi żadnych wątpliwości.

– Bilet w jedną stronę wywołuje pytania u funkcjonariuszy *inmigración y la policia*. Może wypytywanie nie jest panu na rękę. *Si?*

Gabriel przypomniał sobie objaśnienia Mai dotyczące podróży lotniczych. Rewizji poddawano starsze babcie, przewożące w podręcznym bagażu nożyczki do paznokci, oraz innych pasażerów, łamiących proste zasady. Gdy pani García przetoczyła się do swojego biurka, sprawdził, ile zostało mu pieniędzy w portfelu. Jeśli zakupi bilet powrotny, zostanie mu tylko około stu dwudziestu dolarów.

– W porządku – powiedział do kobiety. – Niech mi pani sprzeda bilet powrotny na pierwszy wolny rejs.

Kobieta posłużyła się własną kartą kredytową do zakupu biletu, potem przekazała Gabrielowi informacje na temat hotelu w Londynie.

– Pan tam nie będzie mieszkał – wyjaśniła. – Ale musi pan podać *el oficial del pasaporte* adres oraz numer telefonu hotelu.

Kiedy Gabriel przyznał, że nie posiada żadnego bagażu poza torbą na ramię, kobieta prowadząca biuro podróży sprzedała mu płócienną walizkę za dwadzieścia dolarów i włożyła do niej trochę starych ubrań.

– Teraz jest pan turystą. Cóż zatem zamierza pan obejrzeć w Anglii? Mogą zadać panu takie pytanie.

„Tyburn Convent”, pomyślał Gabriel. „Tam właśnie jest mój ojciec”. Jednak wzruszył tylko ramionami i skierował wzrok w dół na wytarte linoleum.

– London Bridge, jak sądzę. Pałac Buckingham...

– *Bueno*, panie Bentley. Niech pan pozdrowi ode mnie królową.

Gabriel nigdy nie odbył jeszcze podróży na inny kontynent, lecz znał tego rodzaju doświadczenia z filmów oraz telewizyjnych reklam. Pokazywano na nich elegancko ubranych ludzi w komfortowych fotelach, prowadzących konwersację z innymi, równie atrakcyjnymi pasażerami. Rzeczywiste doświadczenia przywołały w nim wspomnienia pewnego lata, kiedy wraz z Michaeliem pracowali na farmie bydła opasowego w okolicach Dallas w Teksasie, gdzie bukaty miały wpięte w uszy plakietki z kodem kreskowym. Ich praca polegała przede wszystkim na wyłapywaniu byczków, które przebywały na farmie zbyt długo, przeprowadzaniu oględzin, ważeniu, rozdzielaniu do małych zagród i wreszcie na zapędzaniu wąskimi przejściami do ciężarówek.

Jedenaście godzin później stał w kolejce do kontroli paszportowej na lotnisku Heathrow. Kiedy nadeszła jego kolej, podszedł do funkcjonariusza służby granicznej, Sikha z brodą niegoloną całe życie. Funkcjonariusz wziął paszport Gabriela i przez chwilę przyglądał mu się badawczo.

– Czy był pan już w Zjednoczonym Królestwie?

Gabriel zaprezentował pogranicznikowi najbardziej zrelaksowany uśmiech, na jaki go było stać.

– Nie. To mój pierwszy raz.

Funkcjonariusz przejechał otwartym paszportem przez skaner i wpatrywał się w znajdujący się przed nim ekran. Informacje biometryczne zakodowane w chipie RFID porównywały dane z fotografii z informacjami już umieszczonymi w bazie danych. Podobnie jak większość obywateli,

k którzy wykonywali monotonną pracę, pogranicznik bardziej ufał urzędzeniu niż własnym instynktom.

– Witamy w Wielkiej Brytanii – powiedział i Gabriel nagle znalazł się w obcym kraju.

Dochodziła już dwudziesta trzecia, kiedy wymienił pieniądze, opuścił terminal i wsiadł do metra, które miało go zawieźć do miasta. Wysiadł na stacji Kings Cross, potem błąkał się po okolicy, aż w końcu znalazł hotel. Pojedynczy pokój miał rozmiary szafy na ubrania, a na szybie od wewnątrz osiadł szron. Nie zdjął odzieży i owinał się cienkim kocem, usiłując zasnąć.

Kilka miesięcy wcześniej, zanim jeszcze opuścił Los Angeles, ukończył dwadzieścia siedem lat. Upłynęło piętnaście lat, odkąd ostatni raz widział ojca. Najwyraźniejsze wspomnienia sięgały czasów, kiedy jego rodzina mieszkała na farmie w Dakocie Południowej, bez prądu i telefonu. Wciąż pamiętał, jak ojciec uczył go wymieniać zużyty olej w pick-upie, a także wieczór, gdy jego rodzice tańczyli w salonie przy płonącym kominku. Pamiętał też, jak pewnej nocy wymknął się schodami na dół, kiedy powinien był już spać, i przez szczelinę w drzwiach spoglądał na ojca, który siedział samotnie przy kuchennym stole. Matthew Corrigan miewał w takich chwilach smutny i zamyślony wzrok – jak gdyby jakiś przeogromny ciężar spoczywał na jego barkach.

Najbardziej zapamiętał jednak ten moment, gdy on miał dwanaście lat, a Michael szesnaście, i podczas porywistej śnieżnej zadymki najemnicy Tabulów przypuścili atak na ich farmę. Chłopcy i matka skryli się w piwnicy, gdzie przechowywano warzywa, podczas gdy na zewnątrz szalała zawierucha. Następnego ranka bracia Corrigan znaleźli cztery ciała leżące w śniegu. Ich ojciec zniknął. Zniknął z ich życia. Gabriel czuł się tak, jak gdyby ktoś sięgnął do wnętrza jego klatki piersiowej i wyrwał mu część ciała. W środku pozostała pustka, poczucie próżni, które nigdy do końca nie znikło.

Kiedy Gabriel się obudził, poprosił recepcjonistę o wskazówki i ruszył piechotą na południe w stronę Hyde Parku. Był zdenerwowany i czuł się obco w nowym mieście. Przy skrzyżowaniu ulic ktoś wymalował napis: SPÓJRZ W LEWO, POTEM W PRAWO, jak gdyby cudzoziemcy, którzy przybywali gromadnie do Londynu, byli skazani na przejechanie przez czarne taksówki czy też białe dostawcze furgonetki i ciężarówki. Gabriel starał się iść w miarę prosto, nieustannie jednak gubił się na wąskich brukowanych uliczkach, odchodzących pod dziwaczными kątami od głównej drogi. W Stanach Zjednoczonych normalnie nosiło się banknoty dolarowe w portfelu. Tutaj natomiast jego kieszenie były ciężkie od monet.

W Nowym Jorku Maya opowiadała mu o Londynie, który poznała z opowiadań ojca. Gdzieś tu był skrawek ziemi, w pobliżu Goswell Road, gdzie w jednym wielkim dole zasypano tysiące ofiar dżumy. Zostało tam jeszcze kilka kości, parę monet, metalowy krzyżyk noszony kiedyś przez jedną ze zmarłych kobiet. W miejscu cmentarzyska urządzono teraz parking samochodowy, ozdobiony reklamowymi billboardami. Takich miejsc rozrzuconych po całym mieście było więcej, miejsc życia i śmierci, wielkiego bogactwa i jeszcze większej nędzy.

Upiory pozostały, lecz zaszła zasadnicza zmiana: wszędzie pojawiły się kamery monitorujące – przy skrzyżowaniach ulic i wewnątrz sklepów. A także skanery twarzy, urządzenia identyfikujące samochody, czujniki zamontowane w wejściach, reagujące na fale radiowe emitowane przez dowody tożsamości, które nosiła tutaj większość dorosłych. Londyńczycy wychodzili tłumnie ze stacji metra i szli potem piechotą szybkim krokiem do pracy, podczas gdy Rozległa Sieć monitorująca rejestrowała ich cyfrowe oblicza.

Gabriel przypuszczał, że Tyburn Convent to szary kamienny kościół o ścianach porośniętych bluszczem. Znalazł tutaj jednak tylko kilka szeregowych domów z dziewiętnastego stulecia, z oknami

w ołowianych ramkach oraz dachami pokrytymi czarną dachówką. Siedziba zakonnego zgromadzenia znajdowała się przy Bayswater Road, dokładnie naprzeciwko Hyde Parku. Od strony Marble Arch dochodziły odgłosy ulicznego ruchu.

Krótkie metalowe schody prowadziły do dębowych drzwi z mosiężną klamką. Gabriel nacisnął guzik dzwonka. Po chwili przy drzwiach pojawiła się starsza benedyktynka w nieskazitelnie białym habicie oraz czarnym kornecie.

– Przyszedł pan za wcześnie – oświadczyła z wyraźnym irlandzkim akcentem.

– Za wcześnie na co?

– Och. Jest pan Amerykaninem – wyglądało na to, że narodowość Gabriela stanowiła jedyne niezbędne w tym kontekście wyjaśnienie. – Zwiedzanie sanktuarium rozpoczyna się o godzinie dziesiątej, ale sądzę, że tych kilka minut nie robi różnicy.

Wprowadziła go do przedsionka przypominającego małą klatkę. Jedne drzwi otwierały dojście do schodów, a te z kolei prowadziły w dół do podziemia. Inne natomiast wiodły do klasztornej kaplicy oraz pomieszczeń mieszkalnych.

– Jestem siostra Ann.

Nosiła staromodne okulary w pozłacanych oprawkach. Jej twarz otoczona czarnym welonem była wygładzona, cechowała się silnymi rysami. Nie sposób było określić jej wieku.

– Mam krewnych w Chicago – dodała. – Czy pochodzi pan z Chicago?

– Nie, przykro mi – Gabriel dotknął metalowych prętów, które ich otaczały.

– Jesteśmy benedyktynkami, prowadzimy klasztorny tryb życia – wyjaśniła siostra Ann. – Oznacza to, że spędzamy czas na modlitwach i kontemplacji. Dwie z sióstr zawsze zajmują się zwiedzającymi. Ja robię to stale, a co miesiąc druga przewodniczka się zmienia.

Gabriel uprzejmie skinął głową, jak gdyby była to dla niego przydatna informacja. Zastanawiał się, w jaki sposób zadać pytanie na temat ojca.

– Zaprowadzę pana do krypty, ale muszę jeszcze zrobić rozliczenie salda na kontach – siostra Ann wyciągnęła duże kółko z kluczami z kieszeni habitu i otworzyła jedną z furt. – Niech pan tutaj zaczeka. Przyślę siostrę Bridget.

Zniknęła w korytarzu, zostawiając Gabriela samego w przedsionku. Na ścianie były zawieszony religijne teksty, a na tablicy ogłoszeń widniał apel do zwiedzających o datki. Najprawdopodobniej jakiś biurokrata pracujący w londyńskim ratuszu zdecydował, że siostry muszą wydać trzysta tysięcy funtów w celu udostępnienia zakonnego zgromadzenia zwiedzającym na wózkach inwalidzkich.

Gabriel usłyszał szelest tkaniny. Siostra Bridget sprawiała wrażenie, jak gdyby płynęła korytarzem w stronę żelaznej kraty. Była znacznie młodsza od siostry Ann. Benedyktyński habit skrywał wszystko poza nalany policzkami oraz ciemnobrązowymi oczyma.

– Jest pan Amerykaninem – siostra Bridget mówiła lekko, niemal na bezdechu. – Odwiedza nas wielu Amerykanów. Zwykle też zostawiają sowite datki.

Weszła na klatkę i otworzyła kolejne drzwi. Gdy Gabriel podążał za zakonnice krętymi metalowymi schodami, dowiedział się, że setki katolików zostało powieszonych lub ściętych na szafocie tu w Tyburn, na ulicy kawałek dalej. W epoce elżbietańskiej istniała pewna forma dyplomatycznego immunitetu, ponieważ hiszpański ambasador miał pozwolenie na uczestniczenie w egzekucjach i zabierał nawet kosmyki włosów skazańców. W czasach współczesnych odnajdywano więcej relikwii, kiedy miejsce, gdzie stały szubienice i szafoty, przekopano w trakcie budowy ronda.

Krypta przypominała dużą suterene przemyślowego budynku. Była tu betonowa posadzka oraz biały sklepiony sufit. Ktoś postawił szklane gabloty, w których eksponowano fragmenty kości oraz strzępy poplamionych krwią szat. Był też oprawiony w ramki list nabazgrany w więzieniu przez

któregoś z męczenników.

– Więc wszyscy oni byli katolikami? – zapytał Gabriel, wpatrzony w pożółkłą kość udową oraz dwa żebra.

– Tak. Katolikami.

Gabriel skierował wzrok na twarz zakonnicy i zdał sobie sprawę, że mija się ona z prawdą. Zażenowana popełnionym grzechem, walczyła przez chwilę z własnym sumieniem, potem dodała ostrożnie.

– Katolikami i... było też kilku innych.

– Ma siostra na myśli Travelerów?

Zakonnica spojrzała na niego zdumiona.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Szukam mojego ojca.

Siostra uśmiechnęła się do niego z wyrazem współczucia na twarzy.

– Czy on jest w Londynie?

– Moim ojcem jest Matthew Corrigan. Sądzę, że wysłał list z tego miejsca.

Prawa ręka siostry Bridget podążyła ku jej piersiom, jak gdyby chciała odeprzeć cios.

– Mężczyznom nie wolno wchodzić do tego zgromadzenia.

– Mój ojciec ukrywa się przed ludźmi, którzy chcą go skrzywdzić.

Niepokój zakonnicy przerodził się w panikę. Potknęła się, cofając i przemieszczając w stronę schodów.

– Matthew powiedział nam, że zamierza zostawić jakiś znak tutaj w krypcie. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

– Muszę go odnaleźć – naciskał Gabriel. – Proszę mi powiedzieć, gdzie on jest.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic więcej – wyszeptała zakonnica.

Potem zniknęła, a jej ciężkie buty stuknęły po stopniach metalowych schodów.

Gabriel okrążył kryptę, niczym mężczyzna uwięziony w budynku, który lada chwila się zawali. Kości. Święci. Poplamiona krwią szata. Jakim cudem to ma zaprowadzić go do ojca?

Znów rozległy się odgłosy kroków na schodach. Spodziewał się, że wraca tu siostra Bridget. Była to jednak siostra Ann. Mniszka z Irlandii wyglądała na rozgniewaną. Od szkieł jej okularów odbijały się refleksy światła.

– W czym mogę ci pomóc, młody człowieku?

– Poszukuję ojca, Matthew Corrigan. Ta druga mniszka, siostra Bridget, powiedziała mi...

– Dość już tego. Musi pan wyjść.

– Powiedziała, że on zostawił znak...

– Proszę natychmiast wyjść, inaczej wezwę policję.

Wyraz twarzy starszej zakonnicy wykluczał wszelki sprzeciw. Klucze na żelaznym kółku wydawały przenikliwy, brzęczący odgłos, kiedy podążała za Gabrielem na górę i później za próg zgromadzenia. Stał teraz na chłodzie, gdy siostra Ann zaczęła zamykać drzwi.

– Sostro, proszę. Musi siostra zrozumieć...

– Wiemy, co się wydarzyło w Ameryce. Czytałam w gazecie o tym, jak zamordowano tamtych ludzi. Dzieci również. Nie oszczędzili nawet maluczkich. Nie chcemy tutaj takich rzeczy!

Zatrzasnęła drzwi – mocno – a Gabriel usłyszał zgrzyt pośpiesznie przekręcanego klucza. Chciał krzyknąć i walić w drzwi, ale skończyłoby się to wezwaniem policji. Bezradny, spoglądał na zatłoczone ulice oraz pozbawione liści drzewa w Hyde Parku. Był w obcym mieście, bez przyjaciół i pieniędzy. Nikt nie chronił go przed Tabularni. Był sam, zupełnie sam, wewnątrz murów

Przez kilka godzin błąkał się bez celu, potem natrafił na kawiarenkę internetową przy Goodge Street w pobliżu Uniwersytetu Londyńskiego. Kafeczkę prowadziła grupa przyjaznych Koreańczyków, którzy znali zaledwie kilka słów po angielsku. Gabriel otrzymał paragon potwierdzający zapłatę, potem przeszedł obok rzędu komputerów. Niektórzy ludzie oglądali strony z pornografią, inni kupowali tanie bilety lotnicze. Nastolatek o blond włosach siedział przy komputerze obok i uczestniczył w grze *online* – jego wirtualne wcielenie kryło się w jakimś budynku i zabijało każdego obcego, który się pojawił w pojedynkę.

Gabriel siedział przy komputerze i wszedł do kilku różnych *chatroomów*, starając się odnaleźć Lindena, francuskiego Arlekina, który przysyłał im pieniądze do Nowego Jorku. Po dwóch godzinach bezowocnego surfowania zostawił informację na witrynie *www* prowadzonej przez kolekcjonerów starych mieczy. „G. w Londynie. Potrzebuję wsparcia finansowego”. Uiszczył Koreańczykom zapłatę za czas spędzony przy komputerze i resztę dnia przesiedział w czytelni biblioteki Uniwersytetu Londyńskiego. Bibliotekę zamknięto o siódmej wieczorem, wrócił więc wtedy do kafeczki internetowej i stwierdził, że nikt nie odpowiedział na pozostawioną przez niego wiadomość. Gdy wyszedł na ulicę, było już na tyle zimno, że para skraplała się przy oddechu. Grupa studentów przeszła obok niego, śmiejąc się z czegoś. W kieszeni miał niecałe dziesięć funtów.

Było zbyt zimno, by spać na dworze, a w obrębie metra były zainstalowane kamery monitorujące. Gdy szedł Tottenham Court Road, mijając jaskrawo oświetlone sklepy oferujące telewizory i komputery, przypomniał sobie, jak Maya mówiła mu o pewnym miejscu w dzielnicy West Smithfield, gdzie władze dokonywały egzekucji heretyków, buntowników oraz Arlekinów. Raz posłużyła się językiem ojca, kiedy wspomniała o pewnym miejscu, które nazwała *Blutacker*. To niemieckie słowo pierwotnie odnosiło się do cmentarza usytuowanego w pobliżu Jerozolimy, zakupionego za Judaszowe srebrniki, z upływem czasu zyskało zaś ogólne znaczenie. Było to miejsce przeklęte – teren przesiąknięty krwią. Jeśli rzeczywiście było to miejsce spotkań Arlekinów, to być może jest w tamtej okolicy jakaś tablica informacyjna albo wskazówka, która podpowie mu, gdzie mógłby znaleźć pomoc.

Ruszył w stronę East London, pytając o drogę ludzi, z których wszyscy wydawali się być albo pijani, albo też zagubieni. Pewien mężczyzna, ledwo trzymający się na nogach, zaczął wymachiwać ramionami, jak gdyby odpędzał muchy. W końcu Gabriel przeszedł Giltspur Street obok Szpitala Świętego Bartłomieja i natrafił na dwie pamiątkowe płyty, oddalone od siebie o zaledwie metr. Jedna z nich była poświęcona szkockiemu buntownikowi Williamowi Wallace'owi, natomiast druga, ustawiona o jakiś metr dalej, upamiętniała miejsce, w którym Korona paliła na stosach katolików. *Blutacker*, pomyślał Gabriel. Nigdzie jednak nie widział żadnego znaku, który pozostawiłby Arlekin.

Odwrociwszy się tyłem do tablic, poszedł do niewielkiego normańskiego kościoła pod wezwaniem Świętego Bartłomieja. Kamienne mury budowli były w wielu miejscach obłupane i pociemniałe, a na wyłożonej ceglami ścieżce nagromadziło się błoto. Gabriel przeszedł pod sklepionym wejściem i znalazł się na terenie cmentarza. Bezpośrednio przed sobą miał ciężkie drewniane drzwi z żelaznymi zawiasami, prowadzące do kościoła. W dolnej części drzwi coś było nabazgrołone. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł cztery słowa napisane czarnym flamastrem: POKŁADAJ NADZIEJĘ W TRAVELERZE.

Czy ten kościół był miejscem ucieczki i schronienia? Gabriel zastukał do drzwi, potem zaczął walić pięściami, ale nikt nie odpowiadał. Być może ludzie pokładali nadzieję w Travelerze, lecz on był zmarznięty i zmęczony, potrzebował też pomocy. Gdy stał na terenie cmentarza, poczuł silne pragnienie uwolnienia się z ciała i opuszczenia tego świata na zawsze. Michael miał rację. Bitwa dobiegła końca, a Tabulowie zwyciężyli.

Kiedy się odwrócił, przypomniał sobie, jak Maya wykorzystywała tablice informacyjne, którymi posługiwała się w Nowym Jorku. To, co pisała, wyglądało jak graffiti, ale każda litera i każda kreska pociągnięta pisakiem zawierała w sobie jakąś informację. Przyklęknął przed drzwiami i zdał sobie sprawę, że wyraz NADZIEJA jest podkreślony. Być może był to tylko przypadek, ale czarna linia na końcu miała coś w rodzaju szpica, niemal przypominającego strzałkę.

Kiedy Gabriel wyszedł na zewnątrz przez sklepione przejście, stwierdził, że strzałka – jeśli była to strzałka – wskazuje Smithfield Market. Rosły mężczyzna w białym rzeźnickim fartuchu przechodził obok, niosąc torbę wypełnioną puszkami z piwem.

– Przepraszam – zaczepił go Gabriel. – Gdzie jest... Nadzieja? Czy to jest jakieś miejsce?

Rzeźnik nie roześmiał się ani nie wyzwał go od głupków. Kiwnął tylko głową w stronę mięsnego targowiska.

– Idź tą drogą, chłopie. To niedaleko.

Przechodząc na drugą stronę Long Lane, Gabriel podążył w kierunku targowiska mięsnego Smithfield. Przez setki lat dzielnica ta należała do najbardziej niebezpiecznych okolic w Londynie. Żebracy, ladacznice oraz kieszonkowcy mieszały się tutaj z tłumem kupujących, a jednocześnie batogami pędzono tu stada bydła do rzeźni. Ciepła krew spływała do studzienek ściekowych, a zimą nad ulicą unosiła się bładawa biała para. Stada wron krążyły nad zabudowaniami rzeźni, co jakiś czas opadając i walcząc między sobą o ochłapy mięsa.

Tamte czasy dawno minęły, teraz centralny plac otaczały restauracje i księgarnie. Jednak wieczorem, kiedy wszyscy schowali się już w domach, powracał duch starego Smithfield. Było to miejsce ponure i przygnębiające, od zawsze związane z zabijaniem.

Na głównym placu pomiędzy Long Lane a Charterhouse Street dominował dwukondygnacyjny budynek, który niegdyś służył do dystrybucji mięsa na cały Londyn. To ogromne targowisko mięsne miało długość kilku przecznic i było rozdzielone na sektory czterema ulicami. Nowoczesne markizy z pleksiglasu biegły pod ścianami budynku, chroniąc kierowców ciężarówek ładujących towar podczas deszczu, ale samo targowisko zostało pieczołowicie odnowione w stylu wiktoriańskim. Ściany targowych hal wzniesiono z białych kamiennych łuków, a przestrzeń między nimi wypełniono londyńską cegłą. Potężne żelazne bramy, pomalowane na kolor purpurowy i zielony, znajdowały się w każdym z końców budowli.

Okrzyknął budynek raz, potem drugi, szukając jakiegoś graffiti. Wydawało się absurdem szukanie w takim miejscu „nadziei”. Dlaczego mężczyzna w rzeźnickim fartuchu powiedział mu, by szedł w górę tej ulicy? Wyczerpany Gabriel usiadł na betonowej ławce na niewielkim placu po drugiej stronie ulicy, naprzeciw hali targowej. Skulone dłonie przyłożył do ust, starając się rozgrzać palce oddechem, potem rozejrzał się po placu. Znajdował się teraz na skrzyżowaniu Cowcross Street i St Johns. Jedyńm czynnym lokalem w okolicy był pub z drewnianą fasadą, oddalony o jakieś sześć metrów od niego. Gabriel przeczytał nazwę na szyldzie i po raz pierwszy od kilku dni szczerze się roześmiał. Nadzieja. Był to pub Nadzieja. Wstał z ławki, podszedł do ciepłych świateł, które przebijały przez matowe szyby, i przyjrzał się z bliska szyldowi, kołyszacemu się nad wejściem. Było to kiepskiej jakości malowidło, przedstawiające dwóch rozbitków trzymających się tratwy na wzburzonym morzu. W oddali było widać statek żaglowy, a obaj mężczyźni machali desperacko

rękami. Inny, mniejszy szyld informował, że na piętrze znajduje się restauracja o nazwie Polędwiczka, ale ten lokal od godziny nie podawał już potraw.

Wszedł do środka, niemal spodziewając się, że przeżyje wspaniałą chwilę. Rozwiązałeś zagadkę, Gabrielu. Witamy w domu. Zastał tymczasem właściciela pubu, który drapał się w kark, i znudzoną barmankę ścierającą ladę szmatą. Od frontu stały niewielkie czarne stoły, a w głębi – ławki. Na wysokiej półce umieszczono szklaną gablotę z wypchanymi bażantami. Obok stały cztery zakurzone butelki szampana.

W środku było tylko troje klientów. Jakieś małżeństwo w średnim wieku, które spierało się szeptem, oraz wyniszczony życiem starzec, wpatrujący się intensywnie w pustą szklankę. Gabriel zamówił pół litra piwa za kilka monet, które mu jeszcze pozostały i cofnął się do niszy, gdzie znajdowały się obite ławki oraz boazeria z pociemniałego drewna. Jego pusty żołądek szybko wchłonał alkohol, który stłumił trapiące go uczucie głodu. Gabriel zamknął oczy. Tylko na minutkę, powiedział do siebie, nie więcej. Ale poddał się zmęczeniu i zasnął.

Jego ciało wyczuło zmianę. Przed godziną w pomieszczeniu panował chłód i niemrawa atmosfera. Teraz lokal był przesycony energią. Kiedy Gabriel zaczął się przebudzać, usłyszał śmiech i czyjeś głosy, poczuł też powiew zimnego powietrza, gdy drzwi najpierw otworzyły się, a potem zamknęły ze skrzypnięciem.

Otworzył oczy. W pubie znajdował się teraz tłum mężczyzn i kobiet, mniej więcej w jego wieku, pozdrawiających się nawzajem, jak gdyby nie widzieli się od tygodni. Gdzieś tam ktoś spierał się z kimś na niby, potem oboje przekazywali pieniądze wysokiemu mężczyźnie, który nosił panoramiczne okulary słoneczne.

Czy byli to kibice piłkarscy? Wiedział, że Anglicy mają bzika na punkcie futbolu. Mężczyźni w pubie mieli na sobie bluzy od dresów z kapturami oraz dzinsy. Niektórzy też mieli tatuaże; wyrafinowane wzory, które wylaniały się spod T-shirtów i ozdabiały ich szyje. Żadna z kobiet nie była ubrana w sukienkę ani spódnicę. Miały włosy obcięte bardzo krótko lub związane do tyłu, jak wojownicze amazonki. Przyjrzał się badawczo kilku osobom stojącym przy barze i zdał sobie sprawę, że tylko jedna osobliwa rzecz jest dla nich wspólna – obuwie. Sportowe buty nie odpowiadały konwencjonalnemu stylowi zaprojektowanemu do gry w koszykówkę czy biegania po parku. Wszystkie były w jaskrawych kolorach, miały wymyślne sznurówki oraz podeszwy z protektorami, które umożliwiały bieganie po każdym terenie.

Kolejny powiew zimnego powietrza i zjawił się następny klient. Był nieco głośniejszy, bardziej przyjazny i zdecydowanie bardziej otyły od reszty obecnych. Jego tłuste czarne włosy przykrywała po części wełniana czapka ze śmiesznym białym pomponem na czubku. Rozpięta nylonowa kurtka odsłaniała solidny brzuch i T-shirt z nadrukiem przedstawiającym kamerę monitorującą, przekreśloną na krzyż czerwonymi kreskami.

Mężczyzna w czapce zamówił piwo i szybko obszedł bar dookoła, klepiąc po plecach i wymieniając uściski dłoni niczym kandydat ubiegający się o jakiś publiczny urząd. Obserwując go uważnie, Gabriel dostrzegł w jego oczach jakieś napięcie. Przywitawszy się z kilkoma ludźmi, mężczyzna wszedł do niszy, usiadł na ławce i wybrał numer na telefonie komórkowym. Kiedy człowiek po drugiej stronie nie odebrał, grubas zostawił mu wiadomość.

– Dogsboy! Tu Jugger! Jesteśmy w Nadziei i Polędwiczce. Są tu już wszystkie ekipy, gdzie się zatem podziewasz, chłopie? Zadzwoń do mnie.

Mężczyzna w czapce wyłączył komórkę i zauważył Gabriela, który siedział obok niego.

– Jesteś z Manchesteru?

Gabriel pokręcił głową.

- Zatem z której jesteście drużyny?
- Jakiej drużyny?
- Ach, jesteście ze Stanów. Jestem Jugger. Jak masz na imię?
- Gabriel.

Jugger wskazał gestem na zebrany tłum.

- Wszyscy ci ludzie to Free Runnerzy. Dziś wieczorem są tu trzy ekipy z Londynu oraz jedna, która przyjechała z Manchesteru.
- A kim są Free Runnerzy?
- Przestań! Wiem, że oni są również w Stanach. To rozpoczęło się we Francji, kiedy kilku gości zaczęło dla zabawy biegać po dachach. W ten sposób miasto postrzegane jest jako wielki tor przeszkód. Wspinasz się po ścianach i przeskakujesz między budynkami. Zyskujesz swobodę. Tu chodzi o wolność i swobodę. Kapujesz?
- Zatem jest to sport?
- Dla niektórych. Ale ekipy, które zgromadziły się tu dziś wieczorem, należą do twardego podziemia. To znaczy, że biegamy tam, gdzie chcemy. Żadnych ograniczeń. Żadnych zasad – Jugger spojrzał w lewo, potem w prawo, jak gdyby zamierzał wyjawiać jakiś sekret. – Słyszałeś kiedykolwiek o Rozległej Sieci?

Gabriel powstrzymał się przed odruchowym skinieniem głową.

- Co to jest?
- To komputerowy system, który obserwuje nas za pomocą programów skanujących i kamer monitorujących. Free Runnerzy buntują się przeciw inwigilacji przez Rozległą Sieć. Biegamy ponad jej zasięgiem.

Gabriel spojrzał na drzwi, gdy do pubu weszła kolejna grupa Free Runnerów.

- A zatem dzisiaj odbywa się tu coś w rodzaju cotygodniowego spotkania?
- To nie jest spotkanie, chłopie. Rozegramy dzisiaj wyścig. Dogsboy to nasz człowiek, ale nie zjawił się tu jeszcze.

Jugger siedział na swoim miejscu, gdy jego załoga zaczęła gromadzić się we wnęce. Ice była piętnasto-, może szesnastoletnią dziewczyną niskiego wzrostu z wymalowanymi brwiami, które sprawiały, że wyglądała jak niepełnoletnia gejsza. Roland pochodził z Yorkshire i mówił powoli. Sebastian studiował zaocznie w college'u. Kieszenie jego znoszonego płaszcza przeciwdeszczowego były wypchane książkami w miękkiej oprawie.

Gabriel nigdy jeszcze nie był w Anglii i stwierdził, że nie jest w stanie zrozumieć wszystkiego, co tu mówią. Jugger kiedyś jeździł „juggernautem”, przez co Brytyjczycy rozumieli określony typ ciężarówki – nie nazywali jednak tego ciężarówką, tylko słówkiem „lorry”. Frytki nazywały się tutaj „crisps”, a szklanka piwa to „bitter”. Jugger był nieformalnym przywódcą tej ekipy, ale nieustannie żartowano z niego z powodu nadmiernej tuszy oraz czapki z pomponami.

Oprócz typowo brytyjskich słów, Free Runnerzy posługiwali się również własnym słowniczkiem. Czworo członków drużyny rozmawiało ze swobodą o rozmaitych małpich saltach, kocich ruchach i biegach po ścianie. Nie wspinali się po prostu po ścianie budynku, oni „mordowali ją” lub „schodzili po niej wilczym krokiem”.

Zebrani rozmawiali o najlepszym ze swoich biegaczy – Dogsboyu – ale ten się wciąż nie pojawiał. W końcu z komórki Juggera dobiegł przerywany sygnał, on zaś gestem nakazał wszystkim zamilknąć.

– Gdzie jesteście? – zapytał, a w miarę jak rozwijała się dyskusja, jego twarz zrobiła się rozdrażniona, potem zaś rozgniewana. – Obiecałeś, gościu. To twoja drużyna. Zostawiasz drużynę

samą sobie... Potraktuj to jak rozgrywkę żołnierzy... Nie możesz po prostu... Niech to szlag!

Jugger wyłączył aparat i zaczął się pocić. Gabriel z ledwością zdołał pojąć połowę tego, co mówił.

– Zakładam, że Dogsboy nie stanie dzisiaj na starcie – odezwał się Sebastian.

– Ten drań twierdzi, że boli go noga. Założę się o dziesiątaka, że łajdak posuwa w łóżku jakąś cizję.

Reszta ekipy zaczęła narzekać na zdradę kumpla, ale uspokoili się, kiedy podszedł do nich mężczyzna z panoramicznymi okularami słonecznymi.

– To jest Masin – rzekł Roland szeptem do Gabriela. – On zbiera wszystkie zakłady na dzisiejszy wieczór.

– Gdzie jest wasz zawodnik?

– Właśnie z nim rozmawiałem – odparł Jugger. – On... On właśnie usiłuje złapać taksówkę.

Mash uśmiechnął się pogardliwie w stronę ekipy Juggera, jakby już znał prawdę.

– Jeśli nie pojawi się w ciągu dziesięciu minut, stracie pieniądze postawione na zakłady plus sto funtów grzywny.

– On być może, nie da się tego wykluczyć, ma kontuzjowaną nogę.

– Znasz zasady. Brak zawodnika na starcie i tracisz wpłacone pieniądze.

– Bezczelny drań – wymamrotał Jugger i skierował wzrok na swoją drużynę, gdy Mash powrócił do baru. – W porządku. Kto wystartuje? Czy znajdzie się jakiś ochotnik?

– Ja pokonuję tory techniczne, nie startuję w ostrych sprintach – oznajmiła Ice. – Wiesz o tym.

– Jestem porządnie przeziębiony – znalazł wymówkę Roland.

– Cierpisz na to już od trzech lat!

– To dlaczego ty nie weźmiesz udziału w wyścigu, Jugger?

Gabriel zawsze lubił chodzić po drzewach i biegać po sąsiedkach w stodole na farmie. Później pasję tę kontynuował w Kalifornii, ścigając się na motocyklach i skacząc ze spadochronem. Jednak jego siły i sprawność osiągnęły nowy, wyższy poziom w Nowym Jorku, kiedy Maya wyleczyła się z ran. Wieczorami trenowali walkę na miecze kendo. Jednak zamiast giętkich bambusowych drągów Maya posługiwała się arlekińskim mieczem, podczas gdy on walczył mieczem-talizmanem. Były to jedyne chwile, kiedy swobodnie patrzyli nawzajem na swoje ciała. Intensywność łączącej ich więzi zdawała się mieć wyraz w tej niewyczerpanej walce. Pod koniec sesji treningowej kendo oboje dyszeli ciężko i ociekali potem.

Gabriel pochylił się i skinął głową w stronę Juggera.

– Ja to zrobię – oznajmił. – Pobiegnę jako reprezentant waszej ekipy.

– A ty kim jesteś, do diabła? – zapytała Ice.

– To Gabriel – wyjaśnił pośpiesznie Jugger. – Amerykański Free Runner. Klasa super.

– Jeśli nie znajdziesz zawodnika, stracisz sto funtów – wtrącił Gabriel. – Zatem zapłać mi kaucję, tak czy inaczej wyjdzie na to samo. A ja poza tym mogę wygrać wasze zakłady.

– Czy wiesz, co masz zrobić? – zapytał Sebastian.

Gabriel przytaknął.

– Pobiec w wyścigu. Wspiąć się na kilka ścian.

– Będziesz musiał ścigać się po dachach Smithfield Market, przebiec nad budynkiem starej rzeźni, zejść na dół na ulicę i dobiec do dziedzińca kościelnego przy St. Sepulchre-without-New Gate – wyjaśniła Ice. – Jeśli spadniesz, będziesz miał pod sobą sześć metrów do poziomu ulicy.

Była to chwila, w której wciąż jeszcze mógł zmienić zdanie. Gabriel czuł się jednak tak, jak gdyby tonął w rzece i nagle pojawiła się szalupa ratunkowa. Miał zaledwie kilka sekund, by chwycić

rzucaną linę.

– Kiedy startujemy?

Z chwilą podjęcia decyzji Gabriel odniósł wrażenie, że otoczyła go nowa grupa najlepszych przyjaciół. Kiedy przyznał, że jest głodny, Sebastian pobiegł do baru i wrócił z czekoladowym batonem oraz kilkoma torebkami frytek z solą. Gabriel pochłonął szybko jedzenie i poczuł nagły przypływ energii. Postanowił powstrzymać się od alkoholu, chociaż Roland chciał mu postawić pintę piwa.

Jugger sprawiał wrażenie, że odzyskał pewność siebie, teraz, gdy jego załoga wystawiała zawodnika. Obszedł bar po raz drugi, a Gabriel słyszał jego tubalny głos, górujący nad ogólnym hałasem. W ciągu kilku minut połowa zgromadzonych tu ludzi dowiedziała się, iż Gabriel jest dobrze tu znanym Free Runnerem, który przyleciał ze Stanów do Londynu, jest bowiem przyjacielem drużyny Juggera.

Gabriel zjadł drugiego czekoladowego batona, potem poszedł do męskiej toalety i opryskał twarz wodą. Jugger już czekał na niego. Otworzył drzwi i wyprowadził Gabriela na wewnętrzny dziedziniec, latem wykorzystywany jako ogródek pubu.

– Teraz jesteśmy tylko my dwaj – rzekł Jugger.

Zniknęła jego buta i najwyraźniej był teraz zawstydzony i niepewny. Otyły chłopiec, którego wyśmiewano w szkole.

– Powiedz mi szczerze, Gabrielu, czy robiłeś to kiedykolwiek wcześniej?

– Nie.

– Takie rzeczy nie są dla zwykłych obywateli. To prosty sposób, by przenieść się na tamten świat. Jeśli chcesz, możemy wymknąć się stąd teraz.

– Nie zamierzam uciekać – oświadczył Gabriel. – Dam radę...

Drzwi otworzyły się z impetem. Sebastian oraz trójka Free Runnerów wyszli na podwórze.

– Tu jest! – ktoś zawołał. – Pospieszcie się! Czas ruszać!

Kiedy wyszli z pubu, Jugger zniknął w tłumie, ale Ice znalazła się tuż obok Gabriela. Chwyciła go mocno za rękę i szepnęła mu do ucha.

– Patrz pod nogi, lecz nie spoglądaj przed siebie.

– Okay.

– Gdy będziesz wspinał się do góry po ścianie, nie przyklejaj się do niej. Odepchnij lekko ciało. To pomaga zapanować nad grawitacją.

– Czy coś jeszcze?

– Jeśli poczujesz strach, nie biegnij dalej. Po prostu zatrzymaj się i zejź z dachu. Kiedy ludzi dopada strach, spadają.

Na ulicy nie było nikogo poza Free Runnerami, a niektórzy z nich zaczęli się popisywać – wskakując na betonowe barierki oddzielające jezdnię i wykonując w powietrzu salta w tył. Oświetlony reflektorami bezpieczeństwa Smithfield Market wyglądał jak potężna świątynia wzniesiona z kamienia i cegły w centrum Londynu. Nad stalowymi drzwiami były zawieszony plastikowe zadaszenia, które chroniły rampy załadownicze, kołysane wieczornym wiatrem.

Mash poprowadził ich wokół targowiska i opisał trasę wyścigu. Kiedy znajdą się już na dachu, pobiegną wzdłuż całego budynku, następnie za pomocą metalowych markiz przemieszczą się na drugą stronę ulicy do budynku opuszczonej rzeźni. Potem w dowolny sposób zejną na poziom ulicy i rozpoczną sprint w górę ulicy Snow Hill do kościoła St. Sepulchre-without-New Gate. Zwycięży ten,

kto jako pierwszy dotrze na otoczony płotem dziedziniec kościoła.

Gdy w głębi ulicy zaczął gromadzić się tłumek, Ice wskazała na kilku innych mężczyzn, którzy również zgłosili się do udziału w wyścigu. Cutter był dobrze znanym przywódcą drużyny z Manchesteru. Miał na sobie buty, które sprawiały wrażenie drogich, oraz czerwony dres z satyny, połyskujący w świetle reflektorów. Ganji natomiast był jednym z londyńskich zawodników – emigrant z Iranu, w wieku dwudziestu paru lat, o szczupłej, adetycznej sylwetce. Malloy był czwartym zawodnikiem, niskim i muskularnym, ze złamanym nosem. Według informacji Ice, pracował jako barman w nocnych klubach w różnych miejscach Londynu.

Doszli do północnego krańca rynku i stanęli na ulicy w pobliżu sklepu rzeźniczego, specjalizującego się w podrobach. Gabriel nie odczuwał już głodu i w coraz większym stopniu uświadamiał sobie sytuację, w jakiej nagle się znalazł. Słyszał śmiechy i rozmowy otaczających go ludzi, czuł delikatny zapach czosnku, dobiegający z tajskiej restauracji, znajdującej się nieco dalej przy tej samej ulicy. Wilgotna kostka brukowa wyglądała jak kawałki czarnego błyszczącego obsydianu.

– Nie bój się – Ice zaczęła szeptać swoistą mantrę. – Nie bój się... Nie bój się...

Hala targowa wznosiła się przed Free Runnerami niczym potężny mur. Gabriel zdał sobie sprawę, że będzie musiał wspiąć się na górę po odlanej z żeliwa bramie, by potem dostać się na przezroczystą markizę z pleksiglasu, umieszczoną na wysokości blisko dziesięciu metrów ponad ulicznym brukiem. Markizę podtrzymywały stalowe pręty, wychodzące ze ściany pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Musiał więc wspiąć się po jednym z tych prętów, jeśli chciał wejść na dach.

Nagle zapanowała cisza i wszyscy przyglądali się czwórce zawodników. Jugger podszedł do Gabriela i wręczył mu parę rękawiczek bez palców.

– Załóż to – poradził. – Stalowe pręty robią się cholernie zimne nocą.

– Chcę dostać pieniądze, kiedy będzie po wszystkim.

– Bez obaw, chłopie. Obiecuję – Jugger klepnął Gabriela w ramię. – Jesteś szalony. Naprawdę.

Czerwony dres Cuttera zdawał się żarzyć w świetle reflektorów. On sam podszedł do Gabriela i skinął głową na powitanie.

– Przyjechałeś ze Stanów?

– Zgadza się.

– Czy wiesz co to jest „plaśnięcie”?

Jugger wyglądał na nieco zmieszanego.

– Przestań. Za chwilę startujemy.

– Po prostu pomagam – odparł Cutter. – Odrobina edukacji dla naszego kuzyna z Ameryki. Z „plaśnięciem” mamy do czynienia wtedy, kiedy nie wiesz, co zrobić, i spadasz z dachu.

Gabriel stał nieruchomo i wpatrywał się w oczy Cuttera.

– Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że spadniesz. Pytanie brzmi, czy o tym myślisz? Albo czy jesteś w stanie o tym zapomnieć?

Kącik ust Cuttera zadrżał, ale on zapanował nad strachem i splunął na ziemię.

– Koniec zakładów – obwieścił jakiś głos. – Koniec zakładów.

Wtedy tłum rozstał się i przed nimi stanął Mash.

– Dzisiejszy wyścig jest rezultatem wyzwania, które drużyna z Manchesteru rzuciła ekipom z Londynu. Niech zwycięży najlepszy, a reszta niech się chrzani. Jednak my nie tylko się tutaj ścigamy. Większość z was wie o tym. Ściany i płoty nie powstrzymają nas. Rozległa Sieć monitorująca nas nie wytropi. Tworzymy własną mapę tego miasta.

Mash uniósł prawą rękę w górę i zaczął odliczać.

– Jeden, dwa...

Cutter wyrwał z miejsca w poprzek ulicy, reszta podążyła za nim. Bramy odlane z żeliwa miały wzór w kwiaty i pędy winorośli. Wykorzystując nierówną powierzchnię płaskorzeźb jako podporę dla stóp, Gabriel rozpoczął wspinaczkę.

Kiedy dotarli do szczytu bramy, wysmukły Ganji precyzyjnie się między ścianą a krawędzią markizy. To samo zrobił Cutter, potem Gabriel i Malloy. Ich buty dudniły po przezroczystym plastiku, a markiza drżała. Gabriel chwycił jeden z metalowych prętów, które wybiegały z muru przy wierzchołku ściany. Stalowy pręt był cienki jak lina i trudno było się na nim utrzymać.

Zawisł na pręcie i wciągał się w górę, dłoń za dłonią. Kiedy dotarł do wierzchołka, odległość między kątownikiem a górną krawędzią fasady, która biegła dookoła dachu, wynosiła blisko metr. „Jak mam tam się dostać?”, pomyślał. „Tego nie da się zrobić”.

Spojrzał w lewo i zobaczył, jak trzej pozostali uczestnicy wyścigu usiłują pokonać to niebezpieczne przejście na dach. Malloy miał najwięcej siły w rękach. Rozhuśtał się i znalazł na górze nad prętem, z oczami skierowanymi w dół. Nie zwalniając uchwytu, przesunął ciężar ciała ku jego dolnej połowie. Kiedy stopy znalazły się we właściwej pozycji, puścił pręt, chwycił górną krawędź fasady, lecz omsknął się i upadł. Malloy uderzył o markizę z pleksiglasu i zaczął staczać się w dół, jednak zdołał chwycić za jej krawędź i się zatrzymać. Wciąż był żywy.

Gabriel zapomniał o pozostałych i skoncentrował się na własnych ruchach. Naśladowując taktykę Malloya, wykonał wymyk, dzięki czemu jego stopy znalazły się nad prętem, a dłonie przesunęły o kilka centymetrów wyżej. Następnie skulił się jak człowiek wciśnięty do skrzynki, skoncentrował cały ciężar ciała w stopach, a potem odbił się do przodu. Chwycił za skraj białej kamiennej fasady. Był to niewysoki murek biegnący wokół dachu. Wykorzystując całą siłę ramion, podciągnął się i przerzucił ciało. Dach budynku Smithfield Market rozciągał się przed nim niczym ciemna, szara droga. Nocne niebo było czyste; gwiazdy roiły się na niebie niczym precyzyjne punkciki niebiesko-białego światła. Umysł Gabriela zaczął się przesunąć ku świadomości Travelera. Postrzegał teraz rzeczywistość wokół siebie, jak gdyby był to obraz na ekranie.

Cutter i Ganji przebiegli obok niego, a Gabriel powrócił do rzeczywistości. Luźne dachówki stukotały, kiedy ruszył w pościg za dwójką rywali. Kilka sekund później dotarł do pierwszej przerwy w dachu. Odcinek o długości blisko dziesięciu metrów, gdzie skrzyżowanie dróg rozdzielało budowlę. Betonowe łuki podtrzymywały płyty z włókna szklanego w kolorze bluszczu. Można było po nich pokonać tę przerwę, jednak włókno szklane wyglądało na zbyt łamliwe, by wytrzymać ciężar jego ciała. Poruszając się jak linoskoczek, postawił nogę na łuku i po filarach łuku przeszedł na drugą spłacheć dachu. Cutter i Ganji zwiększali przewagę nad nim. Podniósł oczy ku gwiazdom i poczuł się, jak gdyby wszyscy oni biegli w stronę bezmiaru ciemności.

Przy drugiej przerwie płyty z włókna szklanego były zerwane i jedynie betonowe łuki łączyły z sobą przęsła dachu. Pamiętając o tym, co doradziła mu Ice, Gabriel skoncentrował wzrok na stopach i starał się nie patrzeć w dół na ulicę, gdzie tłumek podekscytowanych Free Runnerów patrzył w górę na ich akrobatyczne zmagania.

Gabriel był teraz odprężony i poruszał się z łatwością, ale przegrywał wyścig. Musiał zatrzymać się i pokonać trzeci odcinek łuków. Gdy był w pół drogi, dostrzegł, jak Cutter i Ganji zeskakują na metalową markizę ustawioną pod ostrym kątem i przechodzą przez Long Lane w stronę zabitego dechami ceglanego budynku, w którym kiedyś mieściła się rzeźnia targowiska.

Cutter pędził już wzdłuż dachu. Teraz ostrożnie pokonywał szczytową część markizy. Ganji znajdował się o jakieś pięć metrów za nim i postanowił wyjść na prowadzenie. Zeskoczył na lewą

stronę markizy, pobiegł trzy kroki i wtedy stracił równowagę. Upadł, zaczął turlać się i krzyczeć, kiedy jego nogi minęły skraj markizy, on zaś w ostatniej chwili zdołał chwycić się rynny.

Ganji zawisł w powietrzu. Runnerzy z jego drużyny stali na ulicy bezpośrednio pod nim i wykrzykiwali do niego: – Tylko się trzymaj! – chociaż najchętniej wspięliby się na górę, by go ocalić. Ganji nie potrzebował jednak ich pomocy. Podciągnął się lekko, potem przerzucił jedną nogę na śliski metalowy daszek, w końcu przerzucił całe ciało. Gdy Gabriel dobiegł do tego miejsca, Free Runner leżał płasko. Odpychając się palcami nóg i wyciągając ręce, przesuwiał się ku bezpiecznej strefie.

– Wszystko w porządku? – wykrzyknął Gabriel.

– Nie martw się o mnie. Biegnij! Londyn górą!

Cutter uzyskał już dużą przewagę nad Gabrielem, stopniała ona jednak, gdy biegli po płaskim dachu dawnej rzeźni. Free Runner biegał tam i z powrotem, szukając wyjścia ewakuacyjnego lub drabiny pożarowej, dzięki której mógłby zejść na dół na poziom ulicy. Dobiegłszy do południowo-zachodniego narożnika, przeszedł przez niewielki murek, chwycił rynnę i zaczął się po niej zsuwać. Gabriel dobiegł do tego narożnika i spojrzał w dół. Cutter zsuwał się w dół opornie, centymetr po centymetrze, kontrolując ruch bokami wspinaczkowych butów. Kiedy dostrzegł Gabriela, zatrzymał się i kiwnął mu głową.

– Przepraszam za to, co powiedziałem przed startem. Po prostu chciałem cię zdenerwować...

– Rozumiem.

– Ganji znalazł się w tarapatach. Nic mu się nie stało?

– Nie. Wszystko w porządku.

– Londyn nieźle sobie radzi, chłopie. Ale tym razem wygra Manchester.

Gabriel naśladował ruchy Cuttera i zsunął się na narożną rynnę. W dole pod nim Cutter przechodził teraz przez zimo-zielone krzewy, odpychając gałęzie na bok, aż w końcu znalazł się na ziemi.

W momencie gdy Cutter postawił nogę na ulicy, Gabriel zdecydował się zaryzykować. Odepchnął się od ściany i skoczył na krzaki znajdujące się o jakieś sześć metrów w dole. Gałęzie trzaskały i pękały, ale on wykorzystał pęd, obrócił się na bok i wylądował na nogach.

Kilku Free Runnerów znalazło się już w tym miejscu i obserwowali teraz wyścig niczym widzowie ulicznego maratonu. Cutter chwalił się swoimi umiejętnościami i biegł teraz po zaparkowanych w rzędzie samochodach. Jeden sus i był już na masce auta; drugi sus i znalazł się na dachu. Trzeci sus i odbił się od bagażnika, przeskakując na kolejny pojazd. Alarmy uaktywniły się od uderzeń jego stóp, a głośny modulowany dźwięk odbijał się echem od ścian.

– Manchester górą! – zawołał Cutter i uniósł obie ręce w triumfalnym geście.

Gabriel biegł w milczeniu po brukowej kostce. Cutter nie widział przeciwnika, a Gabriel zaczął zmniejszać dzielący ich dystans. Dobiegli do początku Snow Hill, wąskiej uliczki, która wznosząc się, prowadziła do kościoła St. Sepulchre oraz ponurej sylwetki gmachu sądu karnego Old Bailey. Cutter wykonał salto nad samochodem, zakręcił piruet i wtedy dostrzegł Gabriela. Zdumiony zeskoczył na ulicę i ruszył sprintem pod górę. Kiedy do mety przy kościele zostało im jakieś dwieście metrów, Cutter nie był w stanie odeprzeć strachu. Zaczął oglądać się do tyłu raz za razem, zapominając o wszystkim poza przeciwnikiem.

Czarna londyńska taksówka wyjechała z mroku i skręciła w ulicę. Kierowca dostrzegł czerwony dres i nacisnął gwałtownie na hamulce. Cutter wyskoczył w górę, jednak uderzył nogą w boczną szybę taksówki i odbił się od niej niczym słomiana kukła rzucona na jezdnię.

Taksówka zatrzymała się z piskiem hamulców. Ekipa z Manchesteru biegła zobaczyć, co się

stało, lecz Gabriel kontynuował bieg w górę wzniesienia i na koniec przeszedł przez płot z żelaznych palików na pusty ogród kościoła St. Sepulchre. Pochylił się, oparł ręce na kolanach i usiłował złapać oddech. Nowy Free Runner w mieście.

14

Maya szła w dół East Tremont, potem skręciła w Puritan Avenue. Bezpośrednio po drugiej stronie ulicy znajdowała się jej kryjówka – Zbór Boskiego Kościoła Isaaca T. Jonesa na Bronksie. Vicki Fraser nawiązała kontakt z miejscowym duchownym i uzyskała zgodę na to, by uciekinierzy pozostali w kaplicy, zanim opracują dalszy plan.

Chociaż Maya wolałaby opuścić Nowy Jork, dzielnica Bronx East Tremont górowała znacznie nad Manhattanem pod względem bezpieczeństwa. Było to miejsce zaniedbane, zamieszkanе przez klasę robotniczą – czyli okolica, w której nie było dużych domów towarowych i tylko kilka banków. Na obszarze East Tremont znajdowały się wprawdzie kamery monitorujące, ale łatwo było je ominąć. Kamery administracji rządowej chroniły parki i szkoły. Natomiast kamery prywatne znajdowały się we wnętrzu sklepików spożywczych oraz sklepów monopolowych – ich obiektywy ewidentnie spoglądały ku sklepowym ladom.

Trzy dni wcześniej ona i Alice zdołały ująć z życiem z podziemnego świata, usytuowanego pod Grand Central Terminal. W ciągu dnia natrafiłyby tam na miejskich robotników, ale teraz, wczesnym rankiem, w tunelach panowały ciemności, zimno i pustka. Tamtejsze zamki i kłódki należały do standardowych – Maya nie miała problemów z ich otwieraniem za pomocą małej kolekcji wytrychów oraz klucza dynamometrycznego. Jedynym innym narzędziem był generator liczb losowych, który dyndał na sznurku na jej szyi. W różnych miejscach, gdzie droga się rozchodziła, naciskała guzik i wybierała kierunek, polegając na liczbie, która się pojawiła na wyświetlaczu.

Szły pod ulicami śródmieścia, potem podążały kolejowym tunelem, który biegł na zachodnią stronę Manhattanu. Kiedy wyszły z tunelu, był już nowy dzień. Alice nic nie jadła i nie spała od momentu, kiedy opuściły loft. Trwała u jej boku. Maya zatrzymała dziką taksówkę i poleciła kierowcy, aby zawiózł je do śródmieścia w rejon Tompkins Square Park.

Podchodząc do tablicy informacyjnej przy płycie pamiątkowej Purest Children, zauważyła, że nikt na nią nie czeka. Poczowała, jak ogarnia ją niemile rozczarowanie – bliskie trwodge – czy Gabriel nie żyje, czy Tabulowie schwytali go? Uklękła na chłodnych płytach chodnikowych: G2LONDYN. Wiedziała, że Gabriel pragnął odnaleźć ojca, ale w tym momencie odebrała jego decyzję niemal jak zdradę. Jej ojciec miał rację – Arlekin nigdy nie powinien wiązać się uczuciowo z Travelerem.

Kiedy opuściła park, zobaczyła Alice stojącą obok nielegalnej taksówki, machającą żywiołowo rękami w jej kierunku. Maya poczuła rozdrażnienie wobec tego aktu nieposłuszeństwa do momentu, gdy dostrzegła Hollisa i Vicki, którzy dopiero co przyjechali taksówką. Zapytali, gdzie podziewa się Gabriel, a potem opowiedzieli o tym, że również się z nim rozdziłili. W końcu udało im się wyjść z podziemia i wynająć pokój w hotelu poza Siatką w hiszpańskim Harlemie. Żadne z nich nie rozmawiało o tym, co się wydarzyło w hotelu, lecz Maya wyczuła, że mistrz sztuk walki i dziewczica w końcu zostali kochankami. Niepewność Vicki w stosunku do Hollisa zupełnie znikła. Kiedy dotykała go na poddaszu w Chinatown, zawsze były to szybkie, pobieżne gesty. Teraz trzymała jego dłoń w swojej albo dotykała jego ręki lub ramienia, jak gdyby chciała potwierdzić łączącą ich więź.

Kaplica Boskiego Kościoła na Bronksie była imponującą nazwą dwóch wynajmowanych pomieszczeń usytuowanych nad restauracją Happy Chicken. Przechodząc na drugą stronę ulicy, Maya spojrzała w zaparowane okno lokalu i spostrzegła dwóch znużonych kucharzy za stołem, z którego buchały kłęby pary. Poprzedniego dnia kupiła tutaj kolację i stwierdziła, że mięsa nie przygotowano na miejscu; najpierw je zamrożono, potem rozmrożono, pocięto na porcje, rozbito drewnianym tłuczkiem i na koniec usmażono w głębokim oleju do momentu utworzenia twardej jak kamień skorupki.

O jakiś metr, dwa dalej znajdowały się drzwi prowadzące do kaplicy. Maya otworzyła je i weszła schodami na górę. Nad wejściem do kapliczki wisiała oprawiona w ramki fotografia proroka Isaaca Jonesa. Maya posłużyła się drugim kluczem, by wejść do środka. Znalazła się w długim pomieszczeniu, wypełnionym drewnianymi ławkami. W przedniej części izby znajdowała się kazalnica duchownego oraz niewielki podest dla kościelnych muzyków. Okna bezpośrednio za kazalnica wychodziły na ulicę.

Hollis ustawił przy ścianie kilka ławek – jedna na drugiej. Jego białe stopy przesuwały się z charakterystycznym piskiem po lakierowanych deskach podłogi, kiedy ćwiczył swoje „formy” – serie pełnych gracji ruchów, składających się na podstawowe elementy wschodnich sztuk walki. Vicki siedziała w jednej z ławek, trzymając oprawny w skórę egzemplarz *Pism zebranych* Issaca T. Jonesa. Udawała, że czyta książkę, lecz nie spuszczała z oczu Hollisa, który kopał i wymierzał ciosy w powietrze.

– Jak poszło? – zapytała Vicki. – Znalazłaś kawiarenkę internetową?

– Dotarłam w końcu do lodziarni Tasti D-Lite przy Arthur Avenue. Mają tam cztery komputery z dostępem do Internetu.

– Zdołałaś skontaktować się z Lindenem? – zapytał Hollis.

Maya rozejrzała się po kapliczce.

– Gdzie jest Alice Chen?

– W pokoju dziecięcym – odparła Vicki.

– Co tam robi?

– Nie wiem. Zrobiłam jej kanapkę z masłem orzechowym i dżemem jakąś godzinę temu.

Msze wspólnoty odbywały się przez większość niedzielnego ranka, zatem kapliczka miała boczne pomieszczenie z dywanem i zabawkami dla małych dzieci. Maya podeszła do drzwi prowadzących do tego pokoju i zerknęła przez szybę. Alice udrapowała na stole kościelną chorągiew i otoczyła stół każdym meblem, jaki znajdował się w pomieszczeniu. Maya domyśliła się, że dziewczynka siedzi w ciemnym wnętrzu tej zaimprovizowanej twierdzy. Gdyby Tabulowie włamali się do kapliczki, z pewnością upłynęłoby kilka dodatkowych sekund, zanimby do niej dotarli.

– Można odnieść wrażenie, że jest bardzo zajęta.

– Usiłuje chronić siebie – odparła Vicki.

Maya stanęła na środku pomieszczenia.

– Jeśli Gabriel wsiadł do samolotu lecącego do Londynu w sobotę, jest już tam od siedemdziesięciu dwóch godzin. Na pewno poszedł od razu do Tyburn Convent, zasięgnąć informacji na temat ojca. Linden powiedział, że Arlekinini nigdy nie mieli nic wspólnego z tamtejszymi zakonnikami. Nie miał pojęcia, czy Matthew Corrigan tam przebywa.

– Jaki zatem będzie nasz następny ruch? – zapytał Hollis.

– Zdaniem Lindena powinniśmy pojechać do Anglii i pomóc mu szukać Gabriela, ale mamy dwa problemy z tożsamością. Ponieważ Gabriel wychowywał się poza Siatką, fałszywy paszport, jaki dla niego zdobyliśmy, odpowiada danym, które wprowadziliśmy do Rozległej Sieci. Oznacza to, że jego

paszport jest „najczystszy”, czyli taki, który najłatwiej zostanie zaakceptowany przez służby kontroli granicznej.

Vicki przytaknęła bez pośpiechu.

– Ale Tabulowie prawdopodobnie dysponują danymi biometrycznymi Hollisa oraz moimi.

– Mają też informacje dotyczące Mai – dodał Hollis. – Pamiętaj, że przez kilka lat mieszkała w Londynie w obrębie Siatki.

– Linden i ja dysponujemy możliwościami zdobycia czystej tożsamości, którą nie sposób wyśledzić, gdy jesteśmy w Europie. Ale gdybyśmy wszyscy użyli paszportów i polecili samolotem, za bardzo byśmy ryzykowali. Tabulowie mają sojuszników w różnych rządowych instytucjach i służbach bezpieczeństwa, jeśli poznają naszą fałszywą tożsamość, podłączą do plików z naszymi danymi ostrzeżenie o podejrzeniu o terroryzm.

Hollis pokręcił głową.

– A drugi problem?

– Alice Chen nie ma nawet paszportu. Nie sposób więc zabrać ją do Europy samolotem.

– Co więc zrobimy? – zapytał Hollis. – Zostawimy ją tutaj?

– Nie. Nie chcemy mieszać w to wspólnoty. Najprościej byłoby wynająć pokój w hotelu, poczekać, aż zaśnie, i opuścić hotel.

Vicki wyglądała na zszokowaną. Hollis wpadł w gniew.

„Nigdy cię nie zrozumieją”, pomyślała Maya. „Przecież Thorn powtarzał jej to tysiące razy. Zwykły obywatel spacerujący ulicą nigdy nie zrozumie, jak Arlekin postrzega świat”.

– Postradałaś rozum? – oburzył się Hollis. – Alice jest jedynym świadkiem tego, co się wydarzyło w Nowej Harmonii. Jeśli Tabulowie dowiedzą się, że wciąż żyje, zabiją ją.

– Jest też plan alternatywny, ale wtedy musicie zaakceptować fakt, że od tej chwili Linden i ja będziemy podejmowali wszystkie decyzje.

Maya świadomie mówiła teraz chropawo i bezkompromisowo, lecz Hollis wcale nie wyglądał na przestraszonego. Spojrzał na Vicki, potem zachichotał.

– Pewnie za chwilę poznamy rozwiązanie naszych problemów.

– Linden poczynił przygotowania, żebyśmy mogli popłynąć do Wielkiej Brytanii statkiem handlowym. Podróż przez Atlantyk potrwa około tygodnia, ale dzięki temu będziemy mogli wjechać tam bez paszportów. Chroniłam Alice przed Tabularni w Nowym Jorku, lecz nie mogę chronić jej na dłuższą metę. Kiedy dotrzemy do Londynu, otrzyma nową tożsamość i zostanie umieszczona w bezpiecznym otoczeniu.

– W porządku, Mayu. Przekonałaś mnie – zgodził się Hollis. – Arlekin chce przejąć dowodzenie. Daj nam chwilkę, abyśmy mogli to omówić.

Gdy Hollis i Vicki siedzieli w jednej z ławek, Maya podeszła do okna i wyjrzała na ulicę i na cmentarz St. Raymonda. Ogromna nekropolia była zatłoczona i szara jak samo miasto. Kamienie nagrobne, kolumny i smętne anioły upakowano gęsto jak na pchlim targu.

Fakt, że Hollis i Vicki zakochali się w sobie, zmieniał wszystko. Konsekwencją tego było wspólne życie. Jeśli się wykażą rozsądkiem, pomyślała Maya, uciekną razem jak najdalej od Tabulów oraz Arlekinów. W tej wojnie bez końca nie ma żadnej przyszłości.

– Podjęliśmy decyzję – oświadczyła Vicki, a Maya wróciła na środek pomieszczenia i zauważyła, iż para zakochanych siedziała teraz osobno. – Popłynę z tobą i Alice do Anglii.

– Natomiast ja zostanę w Nowym Jorku jeszcze przez kilka tygodni – dodał Hollis. – Postaram się, żeby Tabulowie uznali, że Gabriel wciąż jeszcze jest w mieście. Kiedy skończę, wymyślcie jakiś sposób, który mi umożliwi wydobycie się z tego kraju.

Maya przytaknęła z aprobatą. Hollis nie był Arlekinem, ale zaczynał myśleć jak Arlekin.

– To dobry pomysł – pochwaliła. – Tylko bądź ostrożny.

Hollis zignorował ją i spojrzał w oczy Vicki.

– Oczywiście, będę ostrożny. Obiecuję.

15

Siedząc z tyłu mercedesa, Michael patrzył przez okno na niemiecki krajobraz. Rano zjadł śniadanie w Hamburgu, a teraz razem z panią Brewster jechał autostradą zwiedzić nowe centrum komputerowe w Berlinie. Funkcjonariusz ochrony w czarnym garniturze siedział z przodu na fotelu obok tureckiego kierowcy. Miał mieć na oku Travelera i nie dopuścić do jego ucieczki, ale nic takiego nie miało się zdarzyć. Michael nie odczuwał najmniejszego pragnienia powrotu do zwyczajnego świata.

Kiedy wsiedli do auta, stwierdził, że na siedzeniu leży politurowane drewniane pudełko z kilkoma małymi szufladkami. Przypuszczał, że w środku znajdują się supertajne informacje na temat Bractwa, a w rzeczywistości był tam połączony napastrzek, srebrne nożyczki oraz zestaw jedwabnych nici, używanych do haftowania. Pani Brewster nałożyła na głowę zestaw ze słuchawkami i mikrofonem, następnie wyjęła kawałek płótna z nadrukowanym wzorem róży. Wykonała kilka rozmów telefonicznych, konwersując kojącym głosem z członkami Bractwa, a jednocześnie jej mocne palce wkuwały igłę w płótno. Jej ulubionym słowem było „znakomicie”, ale Michael szybko się zorientował, że wymawia je na różne sposoby. Niektórzy z członków Bractwa zasługiwali na pochwałę. Jednak kiedy wymawiała wyraz „znakomicie” powoli i ostro albo też w sposób monotony i znużony, kogoś czekała kara za niepowodzenie.

W trakcie weekendowej konferencji na Dark Island dowiedział się bardzo wiele o Bractwie. Wszyscy członkowie dążyli do utworzenia Wirtualnego Panoptikonu, lecz istniały różne wewnętrzne ugrupowania, bazujące na narodowości bądź też osobistych kontaktach. Chociaż Kennard Nash był szefem zarządu i kierował Fundacją Evergreen, w oczach niektórych członków był zbyt amerykański. Pani Brewster zasiadała we władzach organizacji o nazwie Young World Leaders Program i stała na czele jej europejskiego oddziału.

Na Dark Island Michael przekazał pani Brewster ocenę każdego z członków zarządu. Kiedy posiedzenie dobiegło końca, pani Brewster oznajmiła, że pragnie, aby Michael towarzyszył jej w trakcie nadzorowania postępów prac nad wdrażaniem Cienia. Generał Nash wydawał się nieco rozdrażniony tą prośbą oraz faktem, iż Michael wspomniał o swoim ojcu w trakcie obrad.

– Niech pani jedzie i weźmie go z sobą – powiedział do pani Brewster. – Tylko niech go pani nie spuszcza z oka.

Następnego dnia wsiedli w Toronto do prywatnego odrzutowca lecącego do Niemiec. Podróżowanie u boku pani Brewster stanowiło szybką lekcję władzy. Michael doszedł do przekonania, że politycy, którzy wygłaszają przemówienia i wnoszą projekty nowych przepisów prawnych, w istocie są zaledwie aktorami w skomplikowanym i zawiłym dramacie. Chociaż przywódcy sprawiali wrażenie, że dzierżą władzę, w rzeczywistości realizowali scenariusze napisane przez innych. Podczas gdy media zajmowały się oficjalnym ceremoniałem, członkowie Bractwa unikali świateł jupiterów. To oni byli właścicielami teatru, liczyli wpływy ze sprzedaży biletów oraz rozstrzygali, jakie sztuki będą odgrywane na scenie przed publicznością.

– Proszę trzymać rękę na pulsie i informować mnie o każdej zmianie – powiedziała pani Brewster do kogoś w Singapurze.

Zdjęła z głowy słuchawki, odłożyła też robótkę i wcisnęła przycisk w oparciu siedzenia. Szklana przegroda wyłoniła się z oparcia przedniego siedzenia i z trzaskiem się zasunęła. Teraz kierowca nie mógł słyszeć ich rozmowy.

– Napijesz się herbaty, Michaelu?

– Z przyjemnością, dziękuję.

Przed nimi znajdował się barek. Pani Brewster wyciągnęła filiżanki i spodeczki, śmietankę oraz cukier i na koniec termos z gorącą herbatą.

– Kostkę czy dwie?

– Bez cukru. Tylko śmietanka.

– To interesujące. Sądziłam, że masz słabość do słodczy. – Pani Brewster naląła Michaelowi herbatę do filiżanki, potem wrzuciła sobie dwie kostki cukru.

Porcelana cicho brzęknęła, kiedy samochód przejechał po nierówności. Dzięki gorącej herbacie na tylnym siedzeniu zapanowała osobliwa, domowa atmosfera. Choć pani Brewster nie miała własnych dzieci, lubiła zachowywać się jak bogata ciotka, która ma sposobność rozpieszczać ulubionego siostrzeńca. W ciągu kilku minionych dni widział, jak jej urok i czar działają na mężczyzn z kilkunastu różnych krajów. W obecności pani Brewster mężczyźni stawali się zbyt rozmowni i to stanowiło jedno ze źródeł jej wpływów. Michael postanowił, że nie popełni tego błędu.

– A zatem, Michaelu, czy dobrze się bawisz?

– Chyba tak. Nigdy wcześniej nie byłem w Europie.

– Jak ocenilibyś trójkę naszych przyjaciół z Hamburga?

– Albrecht i Stoltz są po naszej stronie. Gunter Hoffman podchodzi do sprawy sceptycznie.

– Nie wiem skąd to przypuszczenie. Doktor Hoffman w trakcie całego spotkania wypowiedział nie więcej niż sześć słów.

– Źrenice jego oczu lekko zawężyły się za każdym razem, kiedy mówiła pani o programie Cień. Hoffman jest naukowcem, prawda? Być może nie rozumie politycznych i społecznych konsekwencji wprowadzenia tego programu.

– Michaelu, powinieneś okazać nieco więcej zrozumienia naukowcom. – Pani Brewster znów zajęła się haftowaniem. – Zdobyłam stopień naukowy z fizyki na Uniwersytecie Cambridge i zastanawiałam się nad naukową karierą.

– Co się więc stało?

– Na ostatnim roku nauki na uniwersytecie zaczęłam czytać o czymś, co się nazywa teorią chaosu. Studium chaotycznych zachowań w nieliniowych układach dynamicznych. Kluby dyskusyjne wymyśliły ten termin i z pełną ignorancją wykorzystują go do usprawiedliwiania romantycznej anarchii. Naukowcy wiedzą jednak, że nawet matematyczny chaos ma charakter deterministyczny – innymi słowy to, co wydarzy się w przyszłości, ma swoją przyczynę w sekwencji wcześniejszych zdarzeń.

– I zamierza pani wpłynąć na te zdarzenia?

Pani Brewster podniosła wzrok znad robótki.

– Jesteś naprawdę bardzo bystrym młodzieńcem. Powiedzmy, iż zrozumiałam, że natura preferuje struktury. Świat nadal będzie się borykał z huraganami, wypadkami lotniczymi oraz innymi nieprzewidywalnymi katastrofami. Jeżeli jednak stworzymy nasz Wirtualny Panoptikon, ludzkość będzie się rozwijać w pożądanym kierunku.

Minęli drogowskaz na Berlin. Samochód jechał teraz nieco szybciej. Na tej drodze nie

obowiązywało ograniczenie prędkości.

– Może zadzwoni pani do Nathana Boone'a po spotkaniu w centrum komputerowym – zasugerował Michael. – Chciałbym wiedzieć, czy zdobył jakieś informacje na temat mojego ojca.

– Oczywiście. – Pani Brewster poczyniła notatkę na swoim komputerze. – Założmy, że pan Boone odniesie sukces i odnajdziemy twojego ojca. Co zamierzasz mu powiedzieć?

– Świat przeszedł wielką technologiczną metamorfozę. Panoptikon jest nieunikniony. Powinien zrozumieć ten fakt i pomóc Bractwu w osiągnięciu celów.

– Świetnie. Naprawdę świetnie – podniosła wzrok znad klawiatury. – Niepotrzebne nam są nowe idee przekazywane przez Travelerów. Musimy jedynie wymusić przestrzeganie zasad.

Nim Michael skończył drugą filiżankę herbaty, byli już w Berlinie i jechali trzypasmowym bulwarem Unter den Linden. Kilka grup turystów stało przy ulicy i podziwiała majestatyczne barokowe i neoklasyczne budynki. Pani Brewster wskazała na kilka ogromnych woluminów, z nazwiskami niemieckich autorów na grzbietach. Pomnik postawiono przy Bebelplatz, gdzie naziści po opróżnieniu bibliotek palili książki w latach trzydziestych dwudziestego stulecia.

– W Tokio czy Nowym Jorku mieszka o wiele więcej ludzi – wyjaśniła. – Berlin wydaje się zawsze miastem zbyt dużym jak na liczbę mieszkańców.

– Jak się domyślam, bardzo dużo budynków uległo zniszczeniu w trakcie drugiej wojny światowej.

– Trafne spostrzeżenie. A Rosjanie wysadzili w powietrze wiele z tego, co przetrwało. Ale tę niemłą przeszłość mamy już za sobą.

Mercedes skręcił w lewo przy Bramie Brandenburskiej i pojechał wzdłuż parku, w stronę Potsdamer Platz. Mur, który kiedyś dzielił miasto, zniknął, lecz jego obecność wciąż dała się wyczuć w tej okolicy. Kiedy konstrukcję rozebrano, pusta przestrzeń dała nowe możliwości branży nieruchomości. Martwa strefa zamieniła się teraz w pas drapaczy chmur, których architektura bazowała na nowoczesnym stylu.

Przy długiej alei o nazwie Voss Strasse znajdowała się kiedyś siedziba Kancelarii Rzeszy. Duża część tego obszaru była odgradzona płotem i stanowiła plac budowy. Kierowca zaparkował przed masywnym pięciokondygnacyjnym budynkiem, który wyglądał, jak gdyby pochodził z poprzedniej epoki.

– Pierwotnie w tym budynku znajdowała się siedziba Niemieckich Kolei Państwowych – wyjaśniła pani Brewster. – Kiedy mur upadł, Bractwo przejęło tę nieruchomość na własność.

Wysiedli z samochodu i podeszli do siedziby centrum komputerowego. Zewnętrzne ściany budowli były pomazane graffiti, a większość okien zakrywały stalowe żaluzje, ale Michael dostrzegł ślady wspaniałej dziewiętnastowiecznej fasady. Widział woluty oraz twarze greckich bogów wyrzeźbione nad dużymi oknami wykuszowymi, wychodzącymi na ulicę. Z zewnątrz budynek przypominał ekskluzywną limuzynę, którą ograbiono z luksusowych detali i porzucono w rowie.

– Ten budynek dzieli się na dwie sekcje – wyjaśniła pani Brewster. – Najpierw wejdziemy do części publicznej, zatem, proszę, zachowaj dyskrecję.

Podeszła do stalowych drzwi bez szyby. Dostępu strzegła tu kamera monitorująca. Po jednej stronie widniał też mały plastikowy szyld, który informował, że jest to siedziba firmy o nazwie Personal Customer.

– Czy to brytyjska firma? – zapytał Michael.

– Nie. Całkowicie niemiecka. – Pani Brewster nacisnęła przycisk dzwonka. – Lars zalecił

użycie angielskiej nazwy, dzięki czemu pracownicy sądzą, że są zaangażowani w jakiś nowoczesny i międzynarodowy projekt.

Zamek w drzwiach szczęknął i weszli do jasno oświetlonej recepcji. Młoda kobieta w wieku dwudziestu paru lat, z kolczykami w uszach, wargach i nosie, spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

– Witamy w Personal Customer. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Brewster, a to jest pan Corrigan. Jesteśmy konsultantami technicznymi i mamy obejrzyć tutaj komputer. Pan Reichhardt został zapewne powiadomiony, że przyjedziemy dzisiaj.

– Tak. Oczywiście – młoda kobieta podała pani Brewster zalakowaną kopertę. – Proszę pójść do...

– Wiem, moja droga. Byłam tu już wcześniej.

Podeszli do windy znajdującej się obok sali konferencyjnej o przeszklonych ścianach. Grupa pracowników firmy – w większości po trzydziestce – siedziała przy dużym stole, jedząc lunch i rozmawiając.

Pani Brewster rozdarła kopertę, wyciągnęła plastikową plakietkę i przesunęła ją przed sensorem zainstalowanym przy windzie. Drzwi otworzyły się, weszli do kabiny, ona zaś przesunęła identyfikator po raz drugi.

– Zjedziemy do suterenu. To jedyne wejście do tego budynku.

– Czy wolno mi zadawać pytania?

– Tak. Już opuściliśmy strefę publiczną.

– Co, według swoich wyobrażeń, robią pracownicy?

– Och, wszystko jest całkowicie legalne. Są poinformowani, że Personal Customer to firma zajmująca się analizą rynku i zbierająca dane demograficzne. Oczywiście, reklama kierowana do określonych grup ludzi jest obecnie całkowicie przestarzała. W przyszłości reklama będzie skierowana do indywidualnego konsumenta. Kiedy spojrzysz na billboard na ulicy, czujnik z układem scalonym RFID, zamontowanym w twojej bransoletce, odbierze sygnał i wyświetli twoje nazwisko. Młodzi ludzie z energią, których przed chwilą widziałeś, zajmują się wynajdywaniem każdego potencjalnego źródła danych na temat mieszkańców Berlina i wprowadzaniem tych danych do komputera.

Drzwi windy otworzyły się i wyszli do dużego pomieszczenia w suterenu, niepodzielonego ściankami działowymi. Michael uznał, że to rozległe pomieszczenie wygląda jak hala fabryczna bez robotników. Znajdowały się tutaj rozmaite urządzenia oraz sprzęt telekomunikacyjny.

– To rezerwowy generator mocy – wyjaśniła pani Brewster, wskazując w lewo. – Tu natomiast stoi urządzenie do klimatyzacji oraz filtrowania powietrza, ponieważ nasze komputery nie przepadają za zanieczyszczeniami powietrza.

Białą ścieżką, wymalowaną na podłodze, podążyli na drugi koniec rozległej hali. Chociaż urządzenia robiły wrażenie, Michael wciąż jeszcze zastanawiał się nad ludźmi, których widział w sali konferencyjnej.

– A zatem pracownicy nie wiedzą, iż pomagają w utworzeniu programu Cień?

– Oczywiście, że nie. Kiedy nadejdzie pora, Lars poinformuje ich, że zdobyte przez nich dane marketingowe mają dopomóc w zwalczaniu terroryzmu. Wtedy też zostaną wypłacone premie i udzielone awanse. Jestem pewna, że wszyscy będą bardzo zadowoleni.

Biała ścieżka zakończyła się przy drugim biurku recepcyjnym. Tu obsadę stanowił ochroniarz w garniturze i krawacie. Oglądał ich spacer na niewielkim monitorze. Podniósł wzrok, kiedy podeszli do kontuaru.

– Dzień dobry, pani Brewster. Czekają już na panią.

Drzwi bez klamek i gałek znajdowały się bezpośrednio za biurkiem recepcji, ale ochroniarz ich nie otworzył. Pani Brewster podeszła do niewielkiego stalowego pudełka z otworem po jednej stronie. Zamontowane było na półce oddalonej o jakieś metr od niej.

– Co to jest? – zapytał Michael.

– Skaner naczyń krwionośnych dłoni. Wsadzasz dłoń do otworu, a kamera wykonuje zdjęcie przy zastosowaniu światła podczerwonego. Hemoglobina w twojej krwi pochłania światło, zatem naczynia krwionośne na cyfrowej fotografii są widoczne w postaci czarnych linii. Odczyt mojej dłoni jest weryfikowany ze wzorcem wprowadzonym do bazy danych komputera.

Wsunęła dłoń do szczeliny, błysnęło światło, potem zamek szczęknął. Pani Brewster pchnęła drzwi, a Michael podążył za nią do drugiego skrzydła budynku. Ze zdumieniem patrzył na wnętrze całkowicie pozbawione sprzętów, w którym odsłonięte były stropowe krokwie oraz ceglane mury. Wewnątrz tej pozbawionej okien skorupy znajdowała się duża wieża ze szkła otoczona stalowymi ramami. Składała się z trzech kondygnacji, na których stały połączone z sobą urządzenia magazynujące dane, komputery typu *mainframe* oraz serwery podłączone do dużych szaf. Cały system był dostępny z biegnących na zewnątrz stalowych schodów oraz umieszczonych w górze podestów.

Dwaj mężczyźni siedzieli przy panelu kontrolnym w jednym z narożników pomieszczenia. Byli oddzieleni od zamkniętego środowiska wieży niczym akolici, którym nie wolno wchodzić do wnętrza świątyni. Duży, płaski monitor wisiał nad nimi i prezentował cztery postacie wygenerowane przez komputer we wnętrzu samochodu-cienia, który mknął szerokim, trójpasowym bulwarem.

Lars Reichhardt wstał i odezwał się donośnym głosem.

– Witamy w Berlinie! Jak pani widzi, program Cień śledził was od momentu przekroczenia granicy Niemiec.

Michael spojrział na ekran i stwierdził, iż rzeczywiście samochód na ekranie to mercedes, a wygenerowane przez komputer sylwetki przypominają jego i panią Brewster, a także ochroniarza i szofera.

– Patrzcie dalej – zachęcił Reichhardt. – Za dziesięć minut będziecie jechać alejami Unter den Linden.

– To naprawdę robi wrażenie – skomentowała pani Brewster. – Ale zarząd chciałby wiedzieć, kiedy system będzie w pełni gotowy do wdrożenia.

Reichhardt skierował wzrok na technika, który siedział przy panelu kontrolnym. Młody mężczyzna dotknął klawiatury i obraz na ekranie natychmiast zniknął.

– Będziemy gotowi za dziesięć dni.

– Czy to obietnica, Herr Reichhardt?

– Zna pani moje zaangażowanie w naszą pracę – odparł Reichhardt, nie kryjąc satysfakcji. – Zrobię wszystko, co możliwe, żebyśmy osiągnęli ten cel.

– Program Cień musi pracować perfekcyjnie, zanim skontaktujemy się z naszymi przyjaciółmi w rządzie Niemiec – oznajmiła pani Brewster. – Tak jak diskutowaliśmy na Dark Island, potrzebna nam będzie również sugestia co do narodowej kampanii promocyjnej, podobnej do tej, którą przeprowadziliśmy w Wielkiej Brytanii. Niemcy muszą dojść do przekonania, że program Cień jest konieczny dla ich ochrony.

– Oczywiście. Zaczęliśmy już nad tym pracować – Reichhardt odwrócił się do młodego asystenta. – Erick, przedstaw wstępny projekt.

Erick wpisał na klawiaturze kilka komend i na ekranie pojawiła się telewizyjna reklama. Rycerz w białej pelerynie z czarnym krzyżem stał na straży uroczych niemieckich dzieci, podróżujących autokarem, pracujących w pomieszczeniu biurowym oraz kopiących piłkę w parku.

– Pomyśleliśmy, iż można nawiązać do legendy zakonu krzyżackiego. Wszędzie, gdzie się udasz, będzie cię chronił przed niebezpieczeństwem.

Wyraz twarzy pani Brewster wskazywał, iż nie jest ona pod specjalnym wrażeniem spotu reklamowego.

– Widzę, dokąd zmierzasz z tym projektem, Lars. Ale być może...

– To nie chwyci – przerwał jej Michael. – Musicie przedstawić wizerunek, w którym kryje się więcej emocji.

– Tu nie chodzi o emocje – odparł Reichhardt. – Tu chodzi o bezpieczeństwo.

– Czy możecie wykreować jakieś obrazy? – zapytał Michael technika. – Niech mi pan wygeneruje wizerunek matki oraz ojca, którzy strzegą snu dwojga dzieci.

Nieco skonsternowany, że polecenia wydaje ktoś inny, Erick spojrzał na swojego szefa. Reichhardt skinął głową i młody mężczyzna dalej pracował na klawiaturze. Najpierw pojawiły się wygenerowane przez komputer postacie bez twarzy, które zaczęły zyskiwać bardziej rozpoznawalne kontury ojca z gazetą w ręku oraz matki trzymającej go za rękę. Rodzice stali w sypialni pełnej zabawek, a dwie małe dziewczynki spały w identycznych łóżkach.

– Zaczynjcie od takiego obrazka, pełnego emocji, i dodajcie do tego komentarz w rodzaju: „Chronicie swoje dzieci”.

Erick dalej stukał w klawiaturę, a po chwili na ekranie płynęły słowa *Beschuetzen Sie die Kinder*.

– Oni chronią swoje dzieci, a...

– A my chronimy ich – skończyła pani Brewster. – Tak. To brzmi ciepło i komfortowo. Co pan o tym sądzi, Herr Reichhardt?

Szef ośrodka komputerowego spoglądał na ekran, gdy pojawiły się na nim drobne detale. Twarz matki wyrażała bezgraniczną miłość. Do tego dochodziło światło nocnej lampki oraz książka z bajkami. Jedna ze śpiących dziewcząt przytulała pluszowego baranka. Reichhardt uśmiechnął się blado.

– Pan Corrigan rozumie naszą wizję.

16

Prince William of Orange był statkiem towarowym należącym do grupy chińskich inwestorów, którzy mieszkali w Kanadzie, posyłali dzieci do szkoły do Wielkiej Brytanii i trzymali pieniądze w Szwajcarii. Członkowie załogi pochodzili z Surinamu, ale wszyscy trzej oficerowie byli Holendrami, którzy zdobyli żeglarskie szlify w holenderskiej marynarce handlowej.

W trakcie rejsu z Ameryki do Europy ani Maya, ani Vicki nie zdołały stwierdzić, co właściwie znajduje się w zaplombowanych pojemnikach umieszczonych w ładowni. Spożywały posiłki razem z oficerami w kapitańskiej mesie. A pewnego wieczora Vicki w końcu nie zdołała pohamować ciekawości.

– Jaki ładunek przewozi ten statek? – zapytała kapitana Vandergau. – Czy to coś niebezpiecznego?

Vandergau był roslym, małomównym mężczyzną z blond brodą. Opuścił widelec i uśmiechnął się uprzejmie.

– Ach, ładunek – odparł i uznał, iż pytanie to w ogóle nie zostało postawione.

Pierwszy oficer, młodszy mężczyzna o posmarowanym brylantyną wąsie, siedział przy końcu

stołu.

– Kapusta – zasugerował.

– Tak. Racja – potwierdził kapitan Vandergau. – Wieziemy białą kapustę, czerwoną kapustę, kapustę w puszkach i kiszoną. Prince William of Orange wiezie kapustę dla głodującego świata.

Pokonywali ocean wczesną wiosną, kiedy wiały ostre wiatry i padały ulewne deszcze. Statek pomalowany był z zewnątrz na kolor szary jak broń i niemal wtapiał się w stalowe niebo. Morze miało odcień ciemnozielony. Fale unosiły się i rozbijały o dziób w niekończącej się serii drobnych pojedynków. W tym monotonnym otoczeniu Maya zyskała sposobność zbyt częstego kierowania myśli ku Gabrielowi. W tej chwili Linden był w Londynie i szukał Travelera. Ona zaś nie mogła zrobić nic, by mu dopomóc. Po kilku bezsennych nocach znalazła dwie puszki po farbie wypełnione betonem. Trzymając te ciężarki w obu rękach wykonywała serie ćwiczeń, po których jej mięśnie były obolałe, a skóra złana potem.

Vicki spędzała większość czasu w mesie, popijając herbatę i zapisując przemyślenia w dzienniku. Od czasu do czasu na jej twarzy pojawiał się wyraz niewypowiedzianej błogości, a Maya wiedziała, że dziewczyna myśli wtedy o Hollisie. Maya pragnęła przekazać jej słowa na temat miłości, które usłyszała od swojego ojca – że miłość czyni ludzi słabszymi – wiedziała jednak, że Vicki nie da temu wiary. Można było odnieść wrażenie, że Vicki dzięki miłości stała się silniejsza i bardziej pewna siebie.

Kiedy Alice uświadomiła sobie, że jest bezpieczna, niemal wszystkie godziny dnia spędzała biegając po statku – siedziała na mostku kapitańskim lub w maszynowni. Większość członków załogi posiadała własne rodziny i traktowała Alice z wielką czułością, robiąc jej naprędce zabawki i gotując dla niej specjalne posiłki na kolację.

O wschodzie słońca ósmego dnia statek wpłynął na Tamizę i powoli ruszył w górę rzeki. Maya stała blisko dziobu i wpatrywała się w migoczące światła odległych miasteczek. Nie był to dom – nie miała przecież domu – ale w końcu powróciła do Anglii.

Wiatr wiał teraz silniej, gwiżdżąc na linach mocujących szalupy ratunkowe. Mewy krzyczały i szybowały nad spienionymi falami, kiedy kapitan Vandergau chodził po pokładzie, ściskając w dłoni telefon satelitarny. Najwyraźniej ważne było, żeby ładunek dotarł do określonego nabrzeża w East London, gdzie pracował konkretny inspektor celny imieniem Charlie. Vandergau przeklinał po angielsku, holendersku i w trzecim języku, którego Maya nie rozpoznała, ale Charlie nie odebrał żadnego z telefonów.

– Naszym problemem nie jest korupcja sama w sobie – kapitan poinformował Mayę. – Chodzi o leniwość i mało wydajną brytyjską korupcję.

W końcu udało mu się porozmawiać z przyjaciółką Charliego i zdobyć potrzebne informacje.

– Godzina czternasta zero zero. Tak, zrozumiałem.

Vandergau wydał polecenie maszynowni i podwójna śruba znów weszła na wysokie obroty. Kiedy Maya zeszła na dół, czuła wibracje stalowych ścian. Dobiegał ją też uporczywy, dudniący odgłos, jak gdyby gigantyczne serce biło gdzieś we wnętrzu statku.

Około pierwszej po południu pierwszy oficer zapukał do drzwi ich kabiny. Poleciał im zabrać swoje rzeczy i przejść do mesy po dalsze instrukcje. Maya, Vicki i Alice siedziały przy wąskim stole i słuchały, jak szklanki i naczynia stukają o drewniane stojaki. Statek zakręcał na rzece, manewrując tak, by dobić do wybranego nabrzeża.

– Co się teraz wydarzy? – chciała wiedzieć Vicki.

– Po kontroli celnej zostaniemy wysadzone na brzeg i spotkamy się z Lindenem.
– A kamery monitorujące? Czy nie powinniśmy zmienić wyglądu?
– Nie wiem, co się wydarzy, Vicki. Zazwyczaj, jeśli chcesz uniknąć namierzenia, masz dwie drogi. Albo robisz coś w dawnym stylu – na tyle prymitywnego, że nikt nie zdoła cię wykryć – albo też idziesz w przeciwnym kierunku i stosujesz technikę o jeden krok wyprzedzającą obowiązujący standard. W jednym i w drugim przypadku Rozległa Sieć monitorująca ma problemy z odpowiednim przetworzeniem informacji.

Pierwszy oficer wrócił do mesy i wykonał szarmancki gest.

– Kapitan Vandergau przesyła paniom wyrazy szacunku i prosi, żebyście podążyły za mną do bezpieczniejszego miejsca.

Maya, Vicki i Alice weszły do okrętowej spiżarni. Z pomocą pochodzącego z Jawy kucharza pierwszy oficer przesunął kartony z zapasami jedzenia w taki sposób, żeby trzy pasażerki na gapę mogły schować się za ścianą z tekturowych pudeł. Metalowe drzwi się zamknęły i zostały w środku same.

Jarzeniówka nad ich głowami rzucała jaskrawe, metaliczne światło. Maya miała przy sobie rewolwer w kaburze nad kostką. Jej arlekiński miecz oraz japoński miecz Gabriela leżały obok niej na półce. Ktoś schodził szybko w dół korytarza nad ich głową, potem przez strop dobiegł metaliczny odgłos. Alice Chen podeszła bliżej Mai, zaledwie o kilka centymetrów od nogi Arlekinki.

„Czego ona chce?”, pomyślała Maya. „Jestem ostatnią osobą na tym świecie, która okazałaby jej miłość czy fizyczne przywiązanie”. Przypomniła sobie, jak Thorn opowiadał jej o podróży przez południowy Sudan. Kiedy spędził dzień wśród misjonarzy w obozie dla uciekinierów, mały chłopiec – sierota wojenna – chodził za nim niczym zagubiony psiak. „We wszystkich żywych istotach tkwi instynkt przetrwania”, wyjaśnił wtedy ojciec. „Jeśli dzieci straciły rodzinę, szukają osoby, która wydaje im się najsilniejsza i która będzie mogła zapewnić im ochronę...”

Drzwi otworzyły się i usłyszały głos pierwszego oficera.

– To nasz podręczny magazynek.

– Dobra – powiedział jakiś mężczyzna z angielskim akcentem.

Było to tylko jedno słowo, lecz sposób, w jaki zostało wypowiedziane, przypomniawszy jej o pewnych aspektach Wielkiej Brytanii.

U mnie wszystko w porządku, Jack. Ogrody na tyłach domu z porcelanowymi skrzatami. Frytki i groszek. Niemal natychmiast drzwi zamknęły się i na tym inspekcja się zakończyła.

Odczekały jeszcze chwilę, potem do schowka wszedł kapitan Vandergau i odsunął ścianę z kartonów.

– Było mi miło poznać trzy panie, ale teraz nadeszła pora pożegnania. Proszę za mną. Łódź już dobiła.

Kiedy siedziały w schowku, podniosła się gęsta mgła. Pokład był mokry, kropelki wody wisały na relingu. Prince William of Orange wpłynął na wody w obrębie przystani East London. Kapitan Vandergau zaprowadził je na prawą burtę statku. Przycumowana dwiema nylonowymi linami, na fali kołysała się wąska, drewniana łódź. Miała około dziesięciu metrów długości i była przystosowana do płytkich wód. Pośrodku znajdowała się duża kabina z iluminatorami, pokład z tyłu był odkryty. Maya widziała podobne łodzie w Londynie, kiedy przechodziła nad kanałami Tamizy. Ludzie mieszkali na nich i korzystali z nich w czasie wakacji.

Brodaty mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym stał na rufie łodzi, trzymając ster.

Kaptur przykrywał jego głowę, tak że wyglądał niczym mnich. Dał znać ręką – schodźcie – i Maya dostrzegła, że z burty statku zwisa drabinka sznurowa.

Maya i Alice zeszły w kilka sekund na pokład łodzi. Vicki wykazała dużo większą ostrożność, chwytając się dłońmi szczebli drabinki i spoglądając w dół, gdzie wąska łódź chybotwała się na falach. W końcu dotknęła stopą pokładu i zeskoczyła. Brodacz w kapturze, którego Maya zaczęła już nazywać Sztormiak, pochylił się i uruchomił silnik łodzi.

– Dokąd zmierzamy? – zapytała Maya.

– Płyniemy w górę kanału do Camden Town – mężczyzna z brodą mówił z mocnym akcentem, typowym dla wschodniego Londynu.

– Czy powinniśmy schować się w kabinie?

– Jeśli chcecie się ogrzać. Nie ma powodu martwić się kamerami. Tam, gdzie zmierzamy, nie ma kamer.

Vicki zeszła do niewielkiej kabiny, gdzie w żeliwnej kozie palił się już węgiel. Alice podążyła za nią, a potem wyszła z kabiny, oglądając korytarz, dach oraz boazerię z drewna orzechowego.

Maya usiadła obok steru, gdy Mackintosh wykonał nawrót łodzią i skierował się w górę Tamizy. Woda po ulewie spłynęła do systemu ściekowego miasta, a rzeka zmieniła kolor na ciemnozielony. Gęsta mgła ograniczała widoczność do trzech metrów, ale brodacz potrafił nawigować bez widocznych znaków żeglownych. Minęli boję akustyczną, ustawioną na środku rzeki. Kaptur skinął głową.

– Ta boja brzmi jak stary kościelny dzwon w chłodny dzień.

Mgła unosiła się ze wszystkich stron. Wilgotny chłód przyprawił ją o dreszcze. Chlupoczące fale znikły i płynęli teraz wzdłuż nabrzeża, przy którym cumowały jachty oraz luksusowe łodzie. Maya usłyszała dobiegający z oddali odgłos klaksonu.

– Jesteśmy w basenie Limehouse – wyjaśnił Mackintosh. – Kiedyś składano tutaj wszystko i przeładowywano na barki. Lód i drewno, węgiel z Northumberland. Była to paszcza Londynu, która połykała wszystko i kanałami rozsyłała w głąb miejskiego organizmu.

Mgła trochę opadła, gdy łódź wpłynęła do kanału o betonowych brzegach, prowadzącego do pierwszej śluzy. Kaptur wspiął się po trapie na brzeg, zamknął wrota śluzy za łódką, potem nacisnął białą dźwignię. Woda zaczęła wpływać do śluzy, a ich jednostka unosiła się, w miarę jak się podnosił poziom wody w kanale.

Po lewej stronie znajdowały się wodne rośliny oraz gruz. Natomiast po prawej widniała droga wyłożona kamieniami oraz ceglany budynek z zakratowanymi oknami. Maya odniosła wrażenie, że trafiły do Londynu z dawniejszej epoki, w miejsce, w którym jeżdżą jeszcze powozy i unosi się sadza z kominów. Przepłynęli pod kolejowym mostem. Woda była tak płytka, że w paru miejscach łódź otarła się o piasek i żwir na dnie. Zatrzymywali się co dwadzieścia minut, gdy wpływali do kolejnych śluz i czekali, aż poziomy wody się wyrównają. Wodne rośliny ocierały się o dziób wolno płynącej łodzi.

Około szóstej po południu przepłynęli przez ostatni kanał i dotarli do Camden Town. W tej kiedyś zapuszczonej okolicy teraz swoją siedzibę znalazły niewielkie restauracje, galerie sztuki oraz weekendowe uliczne jarmarki. Mackintosh dobił do jednego z brzegów kanału i rozpakował płócienny worek, w którym znajdowały się rzeczy kobiet. Vicki kupiła odzież dla Alice jeszcze w Nowym Jorku. Wszystkie te rzeczy były w różowym plecaku z jednorożcem na klapie.

– Dojdźcie do ulicy i poszukajcie gościa z Afryki imieniem Winston – wytłumaczył im Mackintosh. – On zabierze was tam, dokąd chcecie pojechać.

Maya poprowadziła Vicki i Alice ścieżką do ulicy, która przecinała Camden. Na chodniku

zobaczyła narysowaną arlekińską lutnię, mała strzałka na rysunku wskazywała kierunek północny. Przeszły jakieś sto metrów chodnikiem i dotarli do białej furgonetki, której burty były pomalowane w przecinające się romby. Młody Nigeryjczyk o okrągłej pulchnej twarzy wysiadł i otworzył boczne drzwi samochodu.

– Dobry wieczór, szanowne damy. Nazywam się Winston Abosa i jestem waszym przewodnikiem oraz kierowcą. Bardzo serdecznie witam was w Wielkiej Brytanii.

Wsiadły do tyłu i zajęły miejsca na stalowych ławkach, przyspawanych do burt auta. Metalowa krata oddzielała przedział towarowy od dwóch przednich miejsc. Winston pokonał kilka zakrętów wąskimi ulicami Camden. Furgonetka zatrzymała się i nagle boczne drzwi się otworzyły. Do środka zajrzał potężny mężczyzna z ogoloną głową i perkatym nosem.

Linden.

Francuski Arlekin miał na sobie długi czarny płaszcz. Z ramienia zwisał mu futerał, w którym trzymał swój miecz. Linden zawsze kojarzył się Mai z żołnierzem legii cudzoziemskiej, którego lojalność ograniczała się do towarzyszy broni oraz do samej walki.

– Bonsoir, Mayu. Wciąż jeszcze żyjesz – uśmiechnął się, jak gdyby fakt, iż wciąż jeszcze chodzi wśród żywych, stanowił wyrafinowany żart. – Miło ponownie cię widzieć.

– Odnalazłeś Gabriela?

– Jak dotąd nie. Ale nie sądzę, żeby Tabulom udało się go odnaleźć – Linden usiadł na ławce najbliżej kierowcy i przesunął kartkę papieru między prętami kraty. – Dobry wieczór, panie Abosa. Proszę nas zawieźć pod ten adres.

Winston włączył się do ruchu i ruszył na północ przez Londyn. Linden położył szerokie dłonie na nogach i przyglądał się badawczo pozostałym pasażerom.

– Zakładam, że pani to mademoiselle Fraser.

– Tak – Vicki sprawiała wrażenie nieco zalęknionej.

Linden spojrzał na Alice Chen, jak gdyby była plastikowym workiem na śmieci zabranym z łodzi.

– A to jest to dziecko z Nowej Harmonii?

– Dokąd jedziemy? – zapytała Maya.

– Twój ojciec mawiał do mnie: „Najpierw rozwiąż pierwszy problem”. Niewiele jest dzisiaj sierocińców, ale nasi sikhijscy przyjaciele znaleźli pewien zastępczy dom w dzielnicy Clapton, gdzie jakaś kobieta bierze pod opiekę dzieci.

– Czy Alice otrzyma nową tożsamość? – chciała wiedzieć Maya.

– Zdobyłem metrykę urodzenia oraz paszport. Będzie się teraz nazywać Jessica Moi. Jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej.

Winston jechał powoli przez zatłoczone ulice, a po czterdziestu minutach zjechał na krawężnik.

– Jesteśmy, sir – powiedział cichym głosem.

Linden otworzył boczne drzwi i wszyscy wysiedli. Znaleźli się w dzielnicy Clapton, niedaleko Hackney w północnym Londynie. Wzdłuż ulicy ciągnęły się dwukondygnacyjne ceglane domy z tarasami, prawdopodobnie wzniesione na początku dwudziestego stulecia. Przez lata okolica ta prezentowała światu szacowne oblicze, teraz jednak była zmęczona zachowywaniem tych pozorów. Kałuże brudnej deszczowej wody wypełniały zagłębienia w jezdni oraz na chodniku. Skrawki ziemi przed frontem każdego z budynków były zarośnięte chwastami i zagracone plastikowymi pojemnikami wypełnionymi śmieciami. Do drzewa był przyczepiony plakat informujący o zaginionym

psie – deszcz rozmył litery, które teraz spływały czarnym kolorem.

Linden spojrział w lewo, potem w prawo, ale nie dostrzegł żadnego zagrożenia. Następnie kiwnął głową w stronę Vicki.

– Niech pani weźmie dziewczynkę za rękę.

– Ona ma na imię Alice – na twarzy Vicki odmalował się upór. – Powinien zwracać się pan do niej po imieniu panie... panie Linden.

– Jej imię nie ma znaczenia, mademoiselle. Za pięć minut będzie miała nowe.

Vicki wzięła Alice za rękę. W oczach dziewczynki pojawił się strach oraz pytanie. Co się dzieje? Dlaczego mi to robicie?

Maja odwróciła się od niej. Niewielka grupka podążyła chodnikiem pod numer siedemnaście, potem Linden zastukał do drzwi.

Krople deszczu skapywały po bocznej ścianie domu, a framuga drzwi napęczniała.

Teraz drzwi zacięły się, oni zaś słyszeli, jak kobieta klnie, szarpiąc za gałkę. W końcu drzwi ustąpiły, a Maya dostrzegła sześćdziesięcioletnią kobietę stojącą w korytarzu. Miała grube nogi i szerokie barki oraz pofarbowane na blond włosy z siwymi odrostami. Niegłupia, pomyślała Maya. Fałszywy uśmiech pojawił się na przebiegłej twarzy.

– Witamy, złotka. Nazywam się Janice Stillwell – skupiła uwagę na Lindenie. – A pan zapewne to mister Carr. Oczekiwaliśmy pana. Nasz przyjaciel pan Singh powiedział, że szukacie rodziny zastępczej.

– Zgadza się – Linden spoglądał na nią przenikliwie niczym detektyw, który nagle odkrył kolejnego podejrzanego.

– Możemy wejść?

– Oczywiście. Ach, gdzież moje maniery? To był ciężki dzień, nieprawdaż? Czas na filiżankę herbaty.

Dom był przesycony odorem papierosowego dymu oraz uryny. Chudy mały chłopiec o rudych włosach, ubrany tylko w męski T-shirt, siedział w połowie schodów przed nimi. Wycofał się na pierwsze piętro, kiedy podążyli za panią Stillwell do frontowego pokoju z oknem wychodzącym na ulicę. Po jednej stronie tego pomieszczenia stał duży odbiornik telewizyjny, w którym leciała akurat kreskówka o robotach. Dźwięk był wyłączony, ale pakistański chłopczyk oraz mała czarnoskóra dziewczynka siedzieli na kanapie, wpatrując się w animowane obrazki.

– To niektóre z naszych dzieci – wyjaśniła pani Stillwell. – Obecnie opiekujemy się szóstką. Wasze będzie miało szczęśliwy numer siedem. Gloria trafiła do nas za pośrednictwem wymiaru sprawiedliwości. Ahmed to umowa prywatna.

Z groźną miną klasnęła w dłonie.

– Wystarczy. Nie widzicie, że mamy gości?

Dzieci spojrzały na siebie i opuściły pokój. Pani Stillwell posadziła Vicki i Alice na kanapie, lecz Maya oraz Linden pozostali w pozycji stojącej.

– Herbata? Czy ktoś sobie życzy? – zapytała pani Stillwell.

Jakaś zwierzęca część jej jestestwa wyczuła, że dwoje Arlekinów stanowi zagrożenie. Jej twarz nabiegła czerwienią, a oczy nie mogły oderwać się od dłoni Lindena, grubych palców i pokrytych bliznami kłykci.

W progu pojawił się jakiś cień, a później do środka wszedł starszy mężczyzna z zapalonym papierosem. Miał obwisłe policzki typowe dla alkoholika, postrzępione spodnie oraz poplamiony sweter.

– To jest ta nowa? – zapytał mężczyzna, spoglądając na Alice.

– Mój mąż, pan Stillwell...

– Zatem mamy dwójkę czarnych, dwójkę białych, Ahmeda i Geralda, którzy są mieszanej krwi.

Ona będzie naszą pierwszą Chinką. – Stillwell roześmiał się chrypliwie. – Mamy tu cholerne Narody Zjednoczone, jeśli chodzi o rasy.

– Jak masz na imię? – Pani Stillwell zapytała Alice.

Dziewczynka siedziała na brzegu kanapy, trzymając stopy płasko na chodniku. Maya podeszła do drzwi, na wypadek gdyby dziewczynka chciała wybiec.

– Ona jest głucha czy upośledzona? – zapytał pan Stillwell.

– Może mówi tylko po chińsku. – Pani Stillwell pochyliła się nad dzieckiem. – Ty mówić po angielsku? To jest twój nowy dom.

– Alice wcale nie mówi – wyjaśniła Vicki. – Potrzebuje specjalnej opieki.

– Nie zapewniamy specjalnej opieki, kaczęta. Jedynie je karmimy i poimy.

– Zaoferowano wam pięćset funtów miesięcznie – stwierdził Linden. – Podniosę stawkę do tysiąca, jeśli weźmiecie ją od zaraz. Za trzy miesiące od tej chwili pan Singh przyjdzie tu sprawdzić, jak się mają sprawy. Jeśli pojawią się problemy, zabierze ją stąd.

Stillwellowie spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami.

– Tysiąc funtów będzie w porządku – zadeklarował pan Stillwell. – Nie mogę już pracować z powodu moich plec...

Alice zerwała się z kanapy i pobiegła w kierunku drzwi, zamiast jednak podjąć próbę ucieczki, objęła ramionami Mayę.

Vicki się rozplakała.

– Nie – szeptała do Mai. – Nie pozwól im na to.

Maya czuła ciało dziecka przytulone do siebie. Chude ramionka ściskające ją z całych sił. Nikt nigdy wcześniej nie dotykał jej w taki sposób. Ocal mnie.

– Puść, Alice – głos Mai był celowo szorstki. – Natychmiast mnie puść.

Mała dziewczynka westchnęła, a po chwili odsunęła się. Z jakiegoś powodu akt posłuszeństwa pogorszył jeszcze sytuację. Gdyby Alice walczyła, chcąc uciec z domu, Maya chwyciłaby ją za kark i rzuciła na podłogę. Alice okazała jednak posłuszeństwo. Tak jak kiedyś przed wieloma laty Maya okazała posłuszeństwo Thornowi. Wspomnienia wcisnęły się teraz na siłę do myśli Mai, niemal ją przytłaczając. Brutalne uderzenia i krzyki, zdrada na stacji metra, kiedy ojciec zmusił ją podstępem do podjęcia walki z trzema dorosłymi mężczyznami. Być może Arlekini bronili Travelerów, ale zawsze też bronili własnej aroganckiej dumy.

Ignorując pozostałych, zwróciła się do Lindena:

– Alice nie zostanie tutaj. Pójdzie ze mną.

– To niemożliwe, Mayu. Już podjąłem decyzję.

Prawa ręka Lindena dotknęła futerału z mieczem, następnie opadła do boku. Maya była jedyną osobą w pomieszczeniu, która zrozumiała ten gest. Arlekini nigdy nie rzucali gróźb nadaremnie. Jeśli podejmie walkę, on będzie próbował ją zabić.

– Sądysz, że mnie wystraszysz? – zapytała Maya. – Jestem córką Thorna. Przeklęta ciałem. Zbawiona krwią.

– Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? – wtrącił się zdezorientowany Stillwell.

– Zamilcz – odezwał się groźnie Linden.

– Ani myślę milczeć. Przed chwilą umówiliśmy się na tysiąc funciaków miesięcznie. Może nie ma pisemnej umowy, ale znam swoje prawa jako Anglik!

Bez ostrzeżenia Linden przeszedł przez pokój, chwycił Stillwella jedną ręką za gardło i zaczął

zaciskać. Pani Stillwell nie ruszyła na odsiecz mężowi, tylko na przemian otwierała i zamykała usta, łykając powietrze.

– Eee, złotka – mamrotała. – Złotka... złotka...

– Czasami pozwalam takim łachudrom jak ty odzywać się do mnie – oznajmił Linden. – To pozwolenie zostało niniejszym cofnięte. Zrozumiałeś? Pokaż mi, że rozumiałeś!

Twarz Stillwella zrobiła się jaskrawoczerwona. Zdołał jedynie lekko przytaknąć, błędnie zerkając na boki. Linden puścił go, a mężczyzna upadł na podłogę.

– Znasz nasze obowiązki – Linden zwrócił się teraz do Mai. – Nie ma takiej możliwości, żebyś wypełniła tę powinność, zatrzymując przy sobie dziecko.

– Alice uratowała mi życie, kiedy byliśmy w Nowym Jorku. Znalazłam się w niebezpieczeństwie, ona zaś ryzykowała życiem, by chwycić i przynieść mi noktowizyjne gogle. Mam więc zobowiązanie również wobec niej.

Twarz Lindena znieruchomiała, a całe jego ciało było napięte. Palce jego dłoni po raz drugi dotknęły futerału z mieczem. Bezpośrednio za Arlekinem stał wyciszony odbiornik telewizyjny, na którym teraz było widać obrazki szczęśliwych dzieci zjadających płatki śniadaniowe.

– Ja się zajmę Alice – oznajmiła Vicki. – Obiecuję. Zrobię wszystko...

Linden wyciągnął portfel z kieszeni płaszcza, wyciągnął kilka banknotów pięćdziesięciofuntowych i rzucił je na posadzkę niczym kawałki śmieci.

– Nie macie pojęcia, czym jest ból. Prawdziwy ból – zwrócił się do Stillwellów. – Piśnijcie o tym słówko, a wtedy się przekonacie.

– Tak jest – wybełkotała pani Stillwell. – Rozumiemy, proszę pana.

Linden wyszedł z pokoju. Stillwellowie padli na czworaka i zbierali pieniądze z podłogi, kiedy reszta grupy ruszyła za Lindenem.

17

Ściskając w rękę brzytwę, Jugger ciął nią powietrze i imitował szermiercze sztychy tuż przy głowie Gabriela.

– Kuba Rozpruwacz powrócił do Londynu i łaknie krwi – wykrzyknął.

Sebastian siedział na krześle ogrodowym w pobliżu przenośnego elektrycznego piecyka. Podniósł wzrok znad *Piekle* Dantego w miękkiej oprawie i zmarszczył groźnie brwi.

– Przestań się wygłupiać, Jugger. Po prostu skończ to, co robisz.

– Właśnie kończę. Mówiąc prawdę, idzie mi całkiem nieźle.

Jugger nałożył na opuszki palców nieco kremu do golenia, posmarował nim skórę w pobliżu uszu Gabriela, następnie brzytwą zgolił Amerykaninowi bokobrody. Kiedy skończył, wytarł brzytwę o rękaw koszuli i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No to popatrz, koleś. Jesteś nowym człowiekiem.

Gabriel wstał ze stołka i podszedł do starego lustra z odzysku, wiszącego na ścianie obok drzwi. Pęknięte szkło łamaną linią przecinało odbicie jego ciała, ale zdołał dostrzec, że Jugger ostrzygł go bardzo krótko, na rekruta. Jego nowy wygląd nie osiągnął co prawda tego efektu co specjalne szkła kontaktowe i fałszywe linie papilarne Mai, lecz lepsze to niż nic.

– Czy Roland nie powinien już wrócić? – zapytał Gabriel.

Jugger sprawdził czas na telefonie komórkowym.

– Dzisiaj on szykuje kolację. Zatem wybrał się na zakupy. Pomożesz mu gotować?

- Nie sędzę, nie po tym, jak przypaliłem sos do spaghetti poprzedniego wieczoru. Prosiłem go, żeby sprawdził dla mnie jedną rzecz. To wszystko.
- On to załatwi, koleś. Roland wywiązuje się dobrze z prostych zadań.
- To nie do wiary! Dante właśnie znowu zemdłał – zniesmaczony Sebastian rzucił książkę na podłogę.
- Virgil powinien poprowadzić Free Runnerów przez piekło.

Gabriel opuścił pomieszczenie, które kiedyś było salonem frontowym, i wąskimi, drewnianymi schodami poszedł na górę, do swojego pokoju. Na ścianach piętra osiadł szron, on zaś widział parę własnego oddechu. Przez ostatnie dziesięć dni mieszkał razem z Juggerem, Sebastianem i Rolandem w *squacie*, nazywanym Vine House, usytuowanym na południowym brzegu Tamizy. Ta popadająca w ruinę trzykondygnacyjna budowla była kiedyś wiejskim domem stojącym pośród winnic i warzywnych ogrodów, które zaopatrywały Londyn. Gabriel nauczył się jednej rzeczy na temat Anglików żyjących w osiemnastym wieku – byli niżsi niż obecni mieszkańcy stołecznej metropolii. Kiedy dotarł na najwyższe piętro, schylił głowę, by przejść przez drzwi, i wkroczył na poddasze. Było to niewielkie, pozbawione sprzętu pomieszczenie z niskim stropem i gipsowymi ściankami. Deski podłogi skrzypiały, kiedy przechodził przez pokój. Wyrzwał przez okrągłe okienko.

Łóżko Gabriela było w istocie materacem ułożonym na czterech paletach, pozyskanych z portowych doków. Jego nowe ubrania leżały w nieładzie w kartonowym pudle. Jediną ozdobę poddasza stanowiła oprawiona w ramki fotografia młodej kobiety z Nowej Zelandii z podpisem „Nasza Trudy”. Kobieta miała na sobie pas z narzędziami i trzymała w rękach dwuręczny młot. Spoglądała w obiektyw aparatu z pewnym siebie uśmiechem. Pokolenie wcześniej Trudy oraz niewielka grupa dzikich lokatorów przejęła w posiadanie porzucone domy w okolicy Bonnington Square. Tamte czasy minęły i teraz administrację nad większością z tych budynków przejęła Lambeth Council, Trudy wciąż jednak uśmiechała się z fotografii, a Vine House pozostał – nielegalny, popadający w ruinę i wolny.

Kiedy Jugger i jego drużyna dogonili Gabriela po wyścigu przez dachy Smithfield Market, natychmiast zaoferowali mu jedzenie, przyjaźń oraz nowe imię.

- Jak to zrobiłeś? – zapytał Jugger, kiedy szli na południe, w stronę rzeki.
- Wykorzystałem szansę, zjeżdżając w dół po rynnie.
- Czy robiłeś to kiedykolwiek wcześniej? – chciał wiedzieć Jugger. – Taki manewr wymaga pewności siebie.

Gabriel wspomniał wtedy o skokach spadochronowych HALO, które zaliczył w Kalifornii. Skoki z dużej wysokości z późnym otwarciem spadochronu wiązały się z ponadminutowym swobodnym spadaniem. Jugger przytaknął, jak gdyby to doświadczenie wyjaśniało wszystko.

– Posłuchajcie – zwrócił się do pozostałych. – Mamy nowego członka naszej ekipy. Halo, witamy w drużynie Free Runnerów.

Następnego ranka Gabriel zbudził się w Vine House i natychmiast powrócił do zgromadzenia mniszek Tyburn Convent. Był to jedyny znany mu sposób, by odnaleźć ojca. Musiał zejść na dół metalowymi schodami do podziemnej krypty i odnaleźć znak, który jego ojciec zostawił pośród kości i wiekowych krzyży.

Przez trzy godziny siedział na ławce po drugiej stronie ulicy naprzeciwko zakonnego zgromadzenia i obserwował, kto otwiera klasztorne drzwi nielicznym gościom. Tego dnia przybyszki witała albo siostra Ann, starsza mniszka, która odmówiła udzielenia odpowiedzi na jego pytania,

albo siostra Bridget, młodsza z zakonnicy, która zareagowała trwożą na wzmiankę o jego ojcu. Gabriel powracał do zgromadzenia dwa razy, lecz wciąż te same kobiety w habitach strzegły drzwi. Mógł tylko czekać, aż siostrę Bridget zastąpi ktoś inny, kto go nie zna. Kiedy nie obserwował zgromadzenia, szukał po omacku ojca na dalekich przedmieściach Londynu. W mieście były tysiące kamer monitorujących, ale zminimalizował ryzyko, unikając środków transportu publicznego oraz zatłoczonych ulic na północ od rzeki.

Przemiana w Travelera wpłynęła też na jego postrzeganie świata. Gabriel był teraz w stanie spojrzeć na kogoś i wyczuć delikatne zmiany w jego uczuciach. Zupełnie jak gdyby jego umysł tworzył nowe synapsy, lecz nie był w stanie do końca kontrolować tego procesu. Pewnego popołudnia, kiedy spacerował po Clapham Common, jego kąt widzenia poszerzył się do stu osiemdziesięciu stopni. Widział przed sobą cały świat w tym samym momencie. Piękno żółtych mleczy, misterne łuki balustrady z poczernionego żelaza. Były też twarze – tak wiele twarzy. Ludzie wychodzili ze sklepu i szli ulicami, a w ich oczach dostrzegał znużenie życiem oraz ból; od czasu do czasu również iskierkę radości. Ta nowa percepcja świata przytłaczała, ale po kilku godzinach panorama zaczęła zanikać. Gdy mijały dni, zaangażował się w przygotowania do gigantycznego przyjęcia, szykowanego w Vine House. Zawsze unikał towarzyskich spotkań, ale teraz prowadził inne życie jako „Halo” – amerykański Free Runner, bez przeszłości i bez przyszłości. Łatwiej było mu zatem zignorować moc, którą dysponował, i chodzić wraz z Juggerem do sklepu po kolejne puszki piwa.

Dzień, w którym odbywało się przyjęcie, był chłodny, lecz słoneczny. Pierwsi goście zaczęli pojawiać się o pierwszej po południu, potem coraz liczniej nadchodzili następni. Niewielkie pomieszczenia w Vine House były pełne ludzi raczących się jedzeniem oraz alkoholem. Dzieci biegały po korytarzu, jakieś niemowlę spało w nosidełku na plecach ojca. W ogrodzie co bardziej doświadczeni biegacze demonstrowali rozmaite i pełne gracji sposoby przeskakiwania nad pojemnikiem na śmieci.

Gdy Gabriel krążył po domu, ze zdumieniem zauważył, że mnóstwo osób wie o wyścigu na dachach Smithfield Market. Free Runnerzy na przyjęciu tworzyli luźno zorganizowaną grupę przyjaciół i znajomych, którzy usiłowali żyć poza Siatką. Był to specyficzny ruch społeczny. Twarze pojawiające się w telewizji nigdy nie były w stanie go dostrzec, ponieważ oni unikali wystawiania się na publiczny widok. W obecnych czasach bunt w krajach uprzemysłowionych nie czerpał inspiracji z zapomnianych politycznych koncepcji. Prawdziwie rewolucyjne nastawienie określał stosunek do Rozległej Sieci.

Sebastian od czasu do czasu chodził do szkoły, Ice wciąż jeszcze mieszkała z rodzicami, ale większość Free Runnerów wykonywała jakieś prace w szarej strefie. Niektórzy z nich pracowali w całonocnych klubach tanecznych, inni natomiast podawali piwo w pubach w trakcie meczów piłkarskich, naprawiali motocykle, przewozili meble i sprzedawali pamiątki turystom. Jugger miał przyjaciela, który zbierał zdechłe psy na zamówienie rady dzielnicy Lambeth.

Free Runnerzy kupowali odzież na ulicznych straganach, a żywność w sklepach ekologicznych, prowadzonych przez farmerów. Chodzili po mieście lub jeździli dziwnymi rowerami, zmontowanymi z rozmaitych części. Każdy z nich posiadał telefon komórkowy, lecz używali tylko aparatów na kartę, które trudno było wyśledzić. Spędzali całe godziny, surfując po Internecie, lecz nigdy nie korzystali z usług konkretnego providera. Roland wykonywał zaimprovizowane anteny z pustych puszek po kawie, które pozwalały na dostęp do sieci WiFi. Nazywali to „łowieniem ryb”.

Wśród Free Runnerów krążyły listy kawiarni, budynków biurowych oraz hotelowych lobby, gdzie łatwo można było skorzystać z łącza. O dziewiątej wieczorem każdy, kto zamierzał się upić, zdołał osiągnąć ten cel. Malloy, barman na pół etatu, również uczestniczący w wyścigu, przemawiał na temat planów rządu dotyczących zgromadzenia odcisków palców dzieci poniżej szesnastego roku życia, które starały się o paszport. Odciski palców oraz inne dane biometryczne miały być wprowadzone do sekretnej bazy danych.

– Home Office twierdzi, że odciski palców jedenastoletniej dziewczynki służą ochronie przed terroryzmem – obwieścił Malloy. – Czy ludzie nie widzą, że w tym wszystkim chodzi o przejęcie pełnej kontroli?

– Lepiej kontroluj, ile pijesz – skomentował Jugger.

– Już jesteśmy więźniami! – wykrzyknął Malloy. – A teraz zamierzają wyrzucić klucz. Zatem gdzie jest Traveler? To chciałbym wiedzieć. Ludzie powtarzają mi: „Pokładaj nadzieję w Travelerze”, ale nigdy nie widziałem nawet jego śladu.

Gabriel poczuł się, jak gdyby wszyscy na przyjęciu poznali jego prawdziwą tożsamość. Rozejrzał się dookoła po zatłoczonym salonie, spodziewając się, że Roland lub Sebastian wskażą na niego.

To jest Traveler. Stoi właśnie tam. Bezwartościowy drań. Patrzycie właśnie na niego.

Większość Free Runnerów nie miała pojęcia, o czym mówił Malloy, ale kilka osób zdawało się zapalczywie uciszać solidnie już nietrzeźwego mówcę. Dwóch członków drużyny Malloya usiłowało zwabić go ku tylnym drzwiom. Nikt jednak nie zwracał na to większej uwagi i dalsza część przyjęcia przebiegała już normalnie. Pojawiły się kolejne puszki z piwem. W ruch poszły następne paczki chipsów. Gabriel zatrzymał Juggera w korytarzu na parterze.

– O czym on mówił?

– To swego rodzaju tajemnica, stary.

– Przestań, Jugger. Możesz mi zaufać.

Jugger wahał się przez chwilę, potem powoli skinął głową.

– Tak. Chyba mogę – zaprowadził Gabriela do pustej kuchni i zaczął wrzucać śmieci do plastikowej torby na zakupy. – Pamiętasz, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w pubie i powiedziałem ci o Rozległej Sieci? Niektórzy Free Runnerzy twierdzą, że za całym tym systemem monitorowania i kontroli kryje się grupa ludzi nazywanych Tabularni. Usiłują zamienić Wielką Brytanię w więzienie bez ścian.

– Ale Malloy mówił coś o kimś, kogo nazwał Travelerem.

Jugger rzucił torbę na śmieci do narożnika pokoju i otworzył puszkę piwa.

– Cóż, tu właśnie historia zaczyna nabierać nieco szalonego charakteru. Chodzą pogłoski, że goście nazywani Travelerami mogą ocalić nas przed nieuniknionym losem więźniów. Dlatego ludzie piszą na ścianach domów w Londynie: „Pokładaj nadzieję w Travelerze”. Sam zrobiłem to kilka razy.

Gabriel starał się, żeby jego głos był odprężony, a postawione pytanie brzmiało zdawkowo.

– W jaki sposób ów Traveler miałby zmienić bieg rzeczy, Jugger?

– Niech mnie szlag, jeśli wiem. Czasami wydaje mi się, że cała ta gadanina o Travelerach to po prostu bajki. Rzeczywistość natomiast sprowadza się do tego, iż chodzę po Londynie i wciąż dostrzegam kolejne kamery monitorujące i zaczynam popadać w rozpacz. Na tysiące rozmaitych, drobnych sposobów wolność obkurcza się, a nikt się tym w ogóle nie przejmuje.

Przyjęcie zakończyło się około pierwszej w nocy. Gabriel pomógł zmyć mopem podłogi i zebrać śmieci. Teraz był poniedziałek, on zaś czekał, aż Roland powróci z Tyburn Convent. Po około godzinie po postrzyżynach Gabriel usłyszał kroki na schodach. Potem rozległo się ciche pukanie do drzwi i na poddasze wszedł Roland. Free Runner z Yorkshire zawsze wyglądał poważnie i odrobinę smętnie. Pewnego razu Sebastian stwierdził, że Roland to pasterz, który utracił całe swoje stado.

– Zrobiłem, co chciałeś, Halo. Poszedłem do tych mniszek – Roland pokręcił bez pośpiechu głową. – Nigdy wcześniej nie byłem w zgromadzeniu mniszek. Moja rodzina była wyznania prezbiteriańskiego.

– Co się stało, Rolandzie?

– Te dwie zakonnice, o których mi mówiłeś, siostra Ann oraz siostra Bridget – już ich nie ma. Jest teraz nowa. Siostra Teresa. Powiedziała, że w tym tygodniu jest „publiczną siostrą”. To brzmi dość głupio...

– Publiczna siostra to ta, która ma pozwolenie rozmawiania z gośćmi.

– Racja. No więc, rozmawiała ze mną. Miła dziewczyna. Miałem nawet zamiar zapytać, czy nie poszłaby ze mną do pubu na kufel piwa. Sądzę jednak, że siostry tego nie robią.

– Chyba nie.

Roland stał obok drzwi i patrzył, jak Gabriel wkłada skórzaną kurtkę.

– Wszystko w porządku, Halo? Chcesz, żebym poszedł z tobą z powrotem do Tyburn?

– To jest rzecz, którą muszę załatwić w pojedynkę. Nie martw się, wrócę tu. Co będzie na kolację?

– Pory – odparł bez pośpiechu Roland. – Kiełbaski, ziemniaczane purée, pory.

Wszystkie rowery w Vine House posiadały przydomki; trzymano je w ogrodowej szopie. Gabriel wypożyczył rower, który ochrzczono imieniem Blue Monster i skierował się na północ w stronę rzeki. Blue Monster miał kierownicę motocykla, lusterko wsteczne od dostawczej ciężarówki oraz zardzewiałą ramę, pomalowaną w ciapki jasnoniebieską farbą.

Tylne koło wydawało nieustanny, piskliwy dźwięk, kiedy pedałowal w kierunku Westminster Bridge i zmierzał zatłoczonymi ulicami do zgromadzenia mniszek Tyburn Convent. Młoda zakonnica o brązowych oczach i śniadej cerze otworzyła drzwi.

– Przeszedłem zobaczyć relikwie – oznajmił Gabriel.

– To niemożliwe – odparła mniszka. – Za chwilę zamykamy.

– Tak się pechowo składa, że jutro rano odlatuję do Ameryki. Czy nie sądzi siostra, że mógłbym szybko się rozejrzeć? Od lat chciałem tu dotrzeć.

– Och, no tak. W takim razie... – mniszka otworzyła drzwi i pozwoliła mu wejść do klatki, która służyła za przedsionek klasztornej przybytku. – Przykro mi, ale może pan spędzić tylko kilka minut wśród relikwii.

Zakonnica wyciągnęła kółko z kluczami z kieszeni habitu i otworzyła furtkę. Gabriel zadał kilka pytań i dowiedział się, że siostra urodziła się w Hiszpanii i wstąpiła do zakonu w wieku czternastu lat. Zeszli w dół metalowymi schodami do krypty. Mniszka zapaliła światło, on zaś spoglądał na kości, zakrwawione strzępy szat oraz inne relikwie angielskich męczenników. Gabriel wiedział, że ryzykuje, przychodząc tutaj ponownie. Była to jednak jego jedyna szansa na odnalezienie tropu, który mógł poprowadzić go do ojca.

Siostra Teresa mówiła coś o hiszpańskim ambasadorze i szafocie przy placu Tyburn.

Przytakując uprzejmie, jak gdyby słuchał każdego jej słowa, Gabriel obchodził dookoła poszczególne

gabloty. Fragmenty kości, strzęp zakrwawionej kokardy, kolejne kości. Zaczął sobie uświadamiać, jak niewiele wie zarówno o historii Kościoła katolickiego, jak i historii Anglii. Poczł się, jakby dopiero co wszedł do sali lekcyjnej zdać ważny egzamin, nie przeczytawszy jednak żadnego z podręczników.

– Po restauracji Stuartów niektóre ze zbiorowych grobów przy placu Tyburn otworzono i...

Z biegiem lat drewniane gabloty w krypcie pociemniały ze starości i od dotyku rąk wiernych. Jeśli gdzieś tu kryły się jakieś wskazówki odnoszące się do jego ojca, musiały być ukryte w czymś, co wiązało się z ostatnimi czasami. Kiedy obchodził podziemne pomieszczenie, zauważył zawieszoną na ścianie fotografię w jasnej ramce z sosnowego drewna. Mosiężna tabliczka zamocowana przy dolnej krawędzi odbijała refleksy światła.

Gabriel podszedł bliżej i przyglądał się badawczo czarno-białej fotografii. Było to zdjęcie małej skalistej wysepki, powstałej w rezultacie wyłonienia się z morskiej toni szczytów dwóch gór. Mniej więcej na jednej trzeciej wysokości do szczytu widniało kilka budynków z szarego kamienia. Każdy z nich miał postać odwróconego stożka. Z oddali wyglądały jak ogromne pszczele barcie. Na mosiężnej plakietce było wygrawerowanych kilka słów gotyckimi literami. SKELLIG COLUMBA. IRLANDIA.

– Co jest na tym zdjęciu?

Wyraźnie zaskoczona siostra Teresa zatrzymała się i odpowiedziała to, co wcześniej było przygotowane na ewentualność tego pytania. To Skellig Columba, wysepka przy zachodnim wybrzeżu Irlandii. Mieści się tam żeński klasztor, prowadzony przez ubogie klaryski.

– Czy to wasz zakon?

– Nie. Jesteśmy benedyktynkami.

– Ale sądziłem, że wszystko w tej krypcie wiąże się z waszym zakonem lub z angielskimi męczennikami.

Siostra Teresa opuściła wzrok i zacisnęła mocno usta.

– Bóg nie rozróżnia krajów, jedynie dusze.

– Nie podaję w wątpliwość tej idei, siostró. Ale wydaje mi się dziwne, że znalazłem w tej świątyni zdjęcie irlandzkiego zgromadzenia mniszek.

– Moim zdaniem ma pan rację. To zdjęcie tutaj nie pasuje.

– Czy zostawił je tutaj ktoś spoza klasztoru? – drażył Gabriel.

Siostra sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła ciężkie metalowe kółko z kluczami.

– Przykro mi, proszę pana, ale musi pan już wyjść.

Gabriel usiłował zamaskować podniecenie, gdy podązał za siostrą Teresą schodami na górę. Chwilę później stał już na chodniku. Słońce schowało się za drzewami Hyde Parku i zrobiło się chłodno. Odpiął zabezpieczenie Blue Monstera i ruszył rowerem w dół Bayswater Road w kierunku ronda.

Spoglądając w lusterko wsteczne przyspawane do kierownicy, dostrzegł motocyklistę w czarnej skórzanej kurtce w odległości jakichś stu metrów. Mężczyzna mógł bez trudu przyspieszyć na ulicy i zniknąć w mieście, ale trzymał się z tyłu, blisko krawężnika. Kask z przyciemnioną szybą skrywał jego twarz. Jego wygląd przypominał Gabrielowi najemników Tabulów, którzy ścigali go po ulicach Los Angeles trzy miesiące wcześniej.

Wykonał szybki skręt w Edgware Road i zerknął w lusterko. Motocyklista wciąż jechał za nim. Ulica była zakorkowana z powodu godzin szczytu. Autobusy i taksówki jechały zaledwie centymetry od siebie, zmierzając w kierunku wschodnim. Gabriel skręcił w Blomfield Road, wjechał na chodnik i zaczął pedałowac zygzakami w tłumie ludzi, którzy właśnie wychodzili z biur i spieszyli się do

metra. Starsza kobieta stanęła i skarciła go.

– Jezdnią, proszę pana!

On jednak ignorował gniewne spojrzenia i pędził w kierunku skrzyżowania z Warwick Avenue.

Sklep rzeźniczy. Apteka. Restauracja z kuchnią kurdyjską. Gabriel nagle zahamował i rzucił Blue Monstera na kilka leżących na kupie kartonów. Szybko wrócił na chodnik i przeszedł przez elektryczne drzwi supermarketu.

Ekspedientka nadzorująca półki spojrzała na niego, kiedy sięgał po koszyk i pospiesznie ruszył ku pasażowi między regałami. Czy powinien wrócić do Vine House? Nie, Tabulowie mogą tam na niego czekać. Zabiliby jego nowych przyjaciół z taką samą bezwzględną wprawą i skutecznością, z jaką rozprawili się z rodzinami w Nowej Harmonii.

Dotarł do końca przejścia między regałami, skręcił za róg i zobaczył, że motocyklista czeka na niego. Był to rosły mężczyzna, miał potężne barki i ręce, ogoloną głowę oraz głębokie zmarszczki na twarzy. W lewym ręku trzymał kask z przyciemnioną osłoną na twarz, a w prawym telefon satelitarny.

– Niech pan nie ucieka, monsieur Corrigan. Proszę, niech pan to weźmie.

Motocyklista wyciągnął w jego kierunku rękę, podając mu telefon.

– Niech pan porozmawia z przyjacielem – dodał mężczyzna. – Ale proszę posługiwać się „miękkim językiem”. Żadnych nazwisk.

Gabriel wziął telefon do ręki i usłyszał cichy trzask.

– Kto mówi? – zapytał.

– Jestem w Londynie u jednego z naszych przyjaciół – usłyszał głos Mai. – Ten mężczyzna, który przed chwilą wręczył ci telefon, to mój wspólnik w interesach.

Motocyklista uśmiechnął się lekko, a Gabriel zdał sobie sprawę, że tym, który go śledził, jest Linden, Arlekin z Francji.

– Słyszysz mnie? – zapytała przez telefon Maya. – Czy u ciebie wszystko w porządku?

– U mnie wszystko w porządku – odparł Gabriel. – Jak dobrze słyszeć twój głos. Właśnie się dowiedziałem, gdzie mieszka mój ojciec. Musimy tam pojechać i odnaleźć go...

18

Hollis zjadł śniadanie w kawiarence, potem poszedł Columbus Avenue do Upper West Side. Upłynęły cztery dni od chwili, kiedy Vicki i cała reszta wyjechały do Londynu. W tym czasie Hollis przeprowadził się do obskurnego hotelu, wynajmującego pokoje jednoosobowe i znalazł chwilowe zatrudnienie jako wykidajło w klubie w śródmieściu. Kiedy pracował, starał się pozostawić w różnych miejscach śladowe informacje dostępne dla programów inwigilujących, które zasilały Rozległą Sieć. Każdy z tych śladów miał przekonać Tabulów, że Gabriel wciąż jeszcze ukrywa się w mieście. Maya powiedziała mu, jakim słowem określa się w slangu Arlekinów to, co teraz robił. „Zanęcanie” – termin używany przez rybaków, oznaczający wrzucanie zanęty do wody, w celu przyciągnięcia ryb.

Wzdłuż Upper West Side ulokowały się liczne restauracje, salony kosmetyczne oraz kawiarnie Starbucksa. Hollis nigdy nie był w stanie zrozumieć, dlaczego tak wielu ludzi, mężczyzn i kobiet spędzało dnie w Starbucksach, popijając latte i spoglądając jednocześnie w ekrany laptopów. Większość z nich wyglądała na osoby zbyt dorosłe, by jeszcze studiować i na zbyt młode, by były emerytami. Sporadycznie zerkał komuś przez ramię, chcąc zobaczyć, jakich to projekt pochłaniał tak

wiele czasu i wysiłku. Zaczął nawet dochodzić do przekonania, że każdy na Manhattanie pisze ten sam filmowy scenariusz o romantycznych problemach wielkomiejskiej klasy średniej.

W Starbucksie przy rogu Eighty-Six Street i Columbus znalazł Kevina Fishermana, „Rybaka”, siedzącego przy stole z otwartym laptopem. Kevin był młodym, szczupłym mężczyzną, bardzo bladym, który jadał, sypiał i od czasu do czasu mył się pod pachami w Starbucksach w całym mieście. Nie miał innego domu poza tymi lokalami i nie istniał w żadnej rzeczywistości poza kawiarniami z dostępem do WiFi. Jeśli Kevin akurat nie drzemał bądź też nie wjeżdżał z wózkiem na zakupy do kolejnego Starbucksa, z całą pewnością surfował po bezmiarach globalnej sieci www.

Hollis sięgnął po krzesło i przystawił je do stolika. Fisherman podniósł lewą dłoń i kiwnął palcami, potwierdzając, iż dostrzegł obecność innej ludzkiej istoty. Jego oczy były skoncentrowane na komputerowym ekranie, a prawą dłonią nie przestawał pisać na klawiaturze. Kevin włamywał się do plików agencji organizujących castingi i ściągał z nich cyfrowe fotografie przystojnych, lecz jeszcze nieznanym nowojorskich aktorów. Posiłkując się tymi fotografiami, tworzył na stronach internetowych portrety kawalerów do wzięcia. Tym sposobem aktorzy przeistaczali się w lekarzy, prawników bądź też maklerów, którym marzą się długie spacerunki po plaży i związek małżeński. Na całym świecie setki kobiet wysyłały e-maile, desperacko usiłując przyciągnąć uwagę Kevina.

– Co słysząc, Kevin?

– Bogata dama z Dallas – Kevin mówił cienkim, nosowym głosem. – Chce, żebym poleciał do Paryża i spotkał się z nią pod wieżą Eiffla.

– Brzmi całkiem romantycznie.

– W istocie rzeczy jest to ósma kobieta, którą spotkałem w Internecie i która chce spotkać się ze mną w Paryżu lub w Toskanii. Chyba wszystkie oglądały te same filmy – Kevin podniósł wzrok nad ekranu. – Pomóż mi z tego wybrnąć. Jaki jest pomyślny znak zodiaku?

– Strzelec.

– Dobrze. Wręcz idealnie – Kevin napisał z klawiatury treść listu i kliknął „Wyślij”. – Masz dla mnie jakiś nowe zlecenie?

Rozległa Sieć monitorująca stworzyła potrzebę przesyłania i odbierania korespondencji kursującej w Internecie w sposób niezostawiający śladów. Ilekroć ktoś wysyłał e-maila z komputera lub ściągał informacje, sygnał był oznaczony adresem protokołu internetowego, unikatowym dla danej maszyny. Każdy adres IP wychwycony przez struktury rządowe lub duże korporacje w praktyce był przechowywany na wieczność. Jeśli Tabulowie poznali taki adres IP, dysponowali potężnym narzędziem pozwalającym im na śledzenie aktywności w Internecie.

Chcąc zachować anonimowość na co dzień, Arlekini korzystali z kafejek internetowych lub bibliotek publicznych, ale Fishermani, tacy jak Kevin, oferowali wyższy poziom bezpieczeństwa. Każdy z trzech komputerów Kevina był kupiony na giełdzie używanych towarów i trudno go było wytropić. Fisherman stosował też specjalne oprogramowanie, które umożliwiało rozsyłanie korespondencji elektronicznej z fałszywych adresów IP. Kevina od czasu do czasu wynajmowali rosyjscy gangsterzy, mieszkający na Staten Island, ale większość jego klientów rekrutowała się spośród żonatych mężczyzn, którzy potajemnie flirtowali bądź też chcieli załadować na swoje komputery wyspecjalizowaną pornografię.

– Może miałbyś ochotę zarobić dwieście baksów?

– Hm, dwieście baksów to brzmi całkiem kusząco. Chcesz, żebym rozesłał kolejną partię informacji o Gabrielu?

– Wejdź do *chatroomów* i rozwieś komentarze na blogach. Poinformuj, kogo się da, iż słyszałeś o tym, że Gabriel wygłosi mowę przeciwko Bractwu.

– Kim jest Bractwo?

– Tego nie musisz wiedzieć.

Hollis wyciągnął długopis i napisał krótką informację na papierowej serwetce. Powiedz, że Gabriel spotka się ze swoimi popiecznikami dzisiaj wieczorem w nocnym klubie w śródmieściu o nazwie Mask. Jest tam na piętrze prywatna salka, w której wygłosi mowę o pierwszej w nocy.

– Nie widzę problemu. Zaraz się tym zajmę.

Hollis wręczył Kevinowi dwa studolarowe banknoty i wstał od stołu.

– Spraw się dobrze, a dostaniesz premię. Kto wie, być może zarobisz nawet na przelot do Paryża.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Mógłbyś się spotkać z tą kobietą przy wieży Eiffla.

– To wcale nie jest zabawne – Kevin znów skupił uwagę na komputerze. – Prawdziwe ciało jest zbyt kłopotliwe.

Hollis opuścił Starbucksa i złapał taksówkę. Po drodze do South Ferry znów czytał *Drogę miecza*. Książka z przemyśleniami Sparrowa była podzielona na trzy części: Przygotowania, Walka oraz *Po bitwie*. W rozdziale szóstym japoński Arlekin analizował dwa fakty pozornie z sobą sprzeczne. Doświadczony wojownik zawsze opracowywał strategię przed atakiem, a jednak w trakcie bitewnego zamętu zazwyczaj czynił co innego. Sparrow był przekonany, iż sporządzanie planu pomagało, jednak prawdziwa siła tego działania wiązała się z uspokojeniem ducha i przygotowaniem do walki. Pod koniec tego rozdziału Sparrow napisał: Planuj skok w lewo, chociaż prawdopodobnie wykonasz manewr w prawo.

Hollis nie czuł się zbyt pewnie, kiedy płynął promem do jednego z najbardziej strzeżonych miejsc w Ameryce – wysepki, na której stała Statua Wolności. Na pokładzie tłoczyły się szkolne wycieczki, starsi turyści oraz rodziny na wakacjach. Był jedynym czarnoskórym mężczyzną z plecakiem. Na Ellis Island usiłował zgubić się w tłumie, który gromadnie ruszył w stronę dużej tymczasowej budowli, wzniesionej u podstawy Statuy. Stał w kolejce przez mniej więcej dwadzieścia minut. Kiedy dotarł do wejścia, polecono mu przejść przez bramkę przypominającą ogromny tomograf komputerowy. Mechaniczny głos kazał mu stanąć na dwóch zielonych odciskach stóp, potem poczuł nagły powiew. Znajdował się w snifferze – urządzeniu, które wyczuwało spaliny wydzielane przez materiały wybuchowe oraz amunicję.

Kiedy zamigotało zielone światelko, kazano mu przejść do dużego pomieszczenia, gdzie się znajdowały schowki. W rejonie Statuy nie wolno było chodzić z plecakami, zatem wszystko należało włożyć do drucianego kosza i zamknąć w schowku. Kiedy Hollis włożył do szczeliny dolarowy banknot jako zapłatę, mechaniczny głos zażądał od niego, by przyłożył prawy kciuk do skanera. Nad schowkiem widniał napis o treści: ODCISK TWOJEGO PALCA JEST TWOIM KLUCZEM. WYKORZYSTAJ ODCISK DO OTWORZENIA SCHOWKA, GDY WRÓCISZ.

W plecaku był ukryty odlew prawej dłoni Gabriela. Kilka tygodni wcześniej Maya roztopiła modelarski plastik w rondlu, potem Gabriel odcisnął swoją dłoń w brązowej ciepłej mazi. Forma była podróbką biodanych – fizyczną reprodukcją informacji biometrycznych i można było ją teraz wykorzystać jako zanętę, w celu odciągnięcia uwagi Tabulów. Hollis ukrył fałszywą dłoń w rękawie kurtki, a teraz przycisnął plastikowy kciuk do okienka skanera. Po niecałej sekundzie linie papilarne Gabriela zostały przetworzone w pakiet cyfrowej informacji i przetransportowane do komputerów Rozległej Sieci monitorującej.

– Tędy do Wolności. Prosimy tędy do Statuy Wolności – powtarzał strażnik monotonnym głosem.

Hollis zostawił plecak w schowku i razem z innymi obywatelami wszedł do zbudowanej z kamienia podstawy ogromnego pomnika. Wszyscy poza Hollisem mieli szczęśliwe miny. Przecież przebywali w Krainie Wolności.

Hollis wrócił do hotelu późnym popołudniem. Potem przespał się kilka godzin. Kiedy otworzył oczy, przez dłuższą chwilę patrzył na pasek czterech czarno-białych fotografii, które on i Vicki pstryknęli sobie w automatycznej budce. Do tego prywatnego ołtarza zbliżał się karaluch. Zaczął machać czułkami, lecz Hollis szybkim ruchem strącił insekta na podłogę.

Wziął fotografie, przytrzymał pasek pod lampką i przyglądał się ostatniemu ze zdjęć. Vicki obróciła się i spoglądała na niego, a jej twarz wyrażała jednocześnie miłość i zrozumienie. Naprawdę go znała. Wiedziała, że jego wcześniejsze życie wiązało się z przemocą i egoizmem, a mimo to zaakceptowała go. Jej miłość sprawiła, że pragnął ruszyć do walki i zabić potwory. Zrobiłby wszystko, by jej nie zawieść.

Około ósmej wieczorem ubrał się, złapał taksówkę i pojechał do śródmieścia w dawny rejon porcjowania mięsa. Tu, na zachód od Greenwich Village, w obrębie około dwudziestu przecznic stały przemysłowe budynki. Mask, klub taneczny, zajmował dawniejszą fabrykę brojlerów przy West Thirteenth Street. Klub działał już całe trzy lata, co stanowiło całkiem długi okres w tym osobliwym świecie.

Duże, centralne pomieszczenie zostało podzielone na dwa segmenty. Większość pofabrycznej hali zajmowała otwarta przestrzeń przeznaczona do tańca, ponadto były tu dwa bary oraz miejsce z koktajlowymi stolikami. Przy końcu sali znajdowały się schody prowadzące na górną kondygnację, gdzie wydzielono odrębny obszar dla VIP-ów, wychodzący na główny parkiet. Jedynie *pretty people* – piękni i majątni – mieli prawo wstępu na górę. Parter był przeznaczony dla zwykłych śmiertelników. Klientów, którzy przyjeżdżali na Manhattan samochodami bądź zatłoczonymi pociągami. Ludzie, do których należał klub, byli owładnięci obsesją utrzymania proporcji pomiędzy tymi dwiema grupami klientów. Chociaż to pospolita klientela przynosiła zasadnicze zyski, bywalcami dyskoteki byli również aktorzy i modelki, którzy raczyli się darmowymi drinkami na górnej kondygnacji.

Bez migających świateł i ogłuszającej tanecznej muzyki klub Mask wyglądał, jakby bez trudu można go było przemienić z powrotem w fabrykę, gdzie skubie się i patroszy martwe kurczaki. Hollis wszedł do niewielkiej szatni dla personelu i przebrał się w czarny T-shirt oraz sportową kurtkę. Zapisana ręcznie i zawieszona nad lustrem kartka obwieszczała, że każdy członek personelu sprzedający klientom narkotyki zostanie natychmiast wywalony na bruk. Hollis zdążył już odkryć, że kierownictwo klubu nie miało nic przeciwko temu, by personel sprzedawał narkotyki między sobą – zazwyczaj były to różne środki pobudzające, które przez cały wieczór podtrzymywały czujność ludzi zajmujących się ochroną.

Hollis nałożył na głowę zestaw radiowych słuchawek z mikrofonem i nawiązał łączność z pozostałymi bramkarzami. Wrócił do głównej sali i wszedł schodami na górę. Pracownicy klubu Mask postrzegali ten lokal jako wyrafinowaną maszynę do wyciskania forsy z klientów. Jednym z najbardziej lukratywnych zajęć było pilnowanie sektora dla VIP-ów; gość przewiskiem Boodah piastował tę funkcję w chwili obecnej. Boodah miał afroamerykańskiego ojca oraz chińską matkę. Jego przydomek wziął się od ogromnego brzucha, który najwyraźniej chronił go przed wszelkimi

szaleństwami Nowego Jorku.

Bramkarz ustawiał właśnie krzesła i stoliki koktajlowe w obrębie swego królestwa, kiedy Hollis dotarł na górę.

– Co jest? – zapytał Boodah. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Nic mi nie jest.

– Pamiętaj, jeśli ktoś zechce przekroczyć tę linię, musi trafić do mnie.

– Nie widzę problemu. Znam zasady.

Boodah pilnował głównego wejścia do sektora VIP-ów, natomiast Hollis stanął przy wyjściu po przeciwnej stronie. Korzystali z niego jedynie *pretty people*, którzy chcieli zejść do toalety na parterze albo zdecydowali się zmieszać na chwilę z zapoconym tłumem tańczącym na parkiecie. Jego zadaniem jako wykidajły było mówienie przez całą noc „nie” – chyba że ktoś słono zapłacił, by usłyszeć słowo „tak”.

Hollis wykonywał swoją pracę niczym posłuszny truteń, ale czuł, że tego wieczoru może się wydarzyć coś odbiegającego od codziennej monotonii. Od sektora VIP-ów do prywatnej salki biegł odgradzony liną korytarz. Wewnątrz salki znajdowały się obite skórą kanapy, stoliki barowe oraz interkom do zamawiania drinków w barze. Okno z lustrem wychodziło na parkiet poniżej. Tego wieczoru w prywatnej sali mieli się bawić kanciarze z Brooklynu, którzy lubili zażywać narkotyki w nocnych klubach. Jeśli do tej sali przyjdą Tabulowie w poszukiwaniu Gabriela, zapewne spotka ich niezbyt miła niespodzianka.

Hollis pochylił się nad liną, naciągając mięśnie nóg. Powrócił na swoje miejsce, kiedy Ricky Tolson, asystent kierownika klubu, wszedł na górę tylnymi schodami. Ricky był jednym z dalekich krewnych właścicieli klubu. Jego zadaniem było dopilnowanie, by w toalecie zawsze był papier toaletowy. Większość czasu spędzał na wyhaczaniu panienek, które już się nieźle zaprawiły.

– Jak leci, mój bracie? – zapytał Ricky.

Hollis był zbyt nisko w hierarchii klubowego personelu, żeby posiadać imię.

„Nie jestem twoim bratem”, pomyślał. Ale uśmiechnął się uprzejmie.

– Prywatna sala jest dzisiaj zarezerwowana, prawda? Słyszałem, że Mario i jego przyjaciele przychodzą dzisiaj wieczorem.

Ricky wyglądał na rozdrażnionego.

– Nie, zadzwonili i odwołali wizytę. Ale będzie tam ktoś inny. Zawsze ktoś jest...

Pół godziny później klubowy didżej rozpoczął wieczór, puszczając religijny zaśpiew sufistów, potem stopniowo przechodził na dudniące rytmy muzyki house. Klientela na dolnym poziomie przybyła jako pierwsza i zajęła miejsca przy kilku stolikach daleko baru. Ze swojego punktu obserwacyjnego ponad parkietem Hollis patrzył na młode kobiety w krótkich spódnicach i tanich pantoflach, które spieszyły do toalety, by sprawdzić makijaż oraz rozczesać włosy. Ich męscy odpowiednicy paradowali dumnie, wymachując przed oczyma barmanów dwudziestodolarowymi banknotami. Głosy innych bramkarzy szeptały mu do ucha z radiowej słuchawki. Zespół ochroniarzy prowadził z sobą nieustanny dialog, wymieniając komentarze na temat tego, który mężczyzna wyglądał na takiego, co może sprawić kłopoty, oraz która kobieta nosi sukienkę odsłaniającą najwięcej. Mijały godziny, a Hollis nieustannie obserwował prywatną salkę. Wciąż była pusta. Może tego wieczoru nic się nie wydarzy.

Około północy odprowadził dwie top-modelki do specjalnej toalety, która wymagała prywatnego klucza. Kiedy powrócił na swój posterunek, zobaczył jak Ricky i dziewczyna w obcistej

zielonej spódnicy idą do prywatnej salki. Hollis podszedł do Boodah i starał się przekrzyknąć hałas.

– Co Ricky robi w tej salce?

Olbrzym wzruszył ramionami, jak gdyby pytanie nie zasługiwało na odpowiedź.

– To tylko jeszcze jedna mała dziewczynka. On daje jej działkę koki, ona zaś da mu to co zwykle.

Hollis spojrział w dół na parkiet i zobaczył, że do klubu wchodzi dwóch mężczyzn w sportowych kurtkach. Nie patrzyli na kobiety ani nie zamówili drinka w barze, lecz zerknęli w górę, ku prywatnej salce. Jeden z najemników był niskiego wzrostu i bardzo muskularny. Jego spodnie wydawały się zbyt długie jak na sylwetkę podobną do hydrantu. Drugi mężczyzna był natomiast wysoki, a czarne włosy zaczesał do tyłu w koński ogon.

Dwóch mężczyzn ruszyło schodami w górę w stronę sektora dla VIP-ów. Niższy z najemników wsunął kilka banknotów w dłoń Boodaha. Suma była wystarczająca, by wzbudzić natychmiastowy respekt i uzyskać pozwolenie przejścia za czerwony aksamitny sznur. Po kilku sekundach mężczyźni siedzieli przy stoliku i wpatrywali się w wąski korytarz, prowadzący do prywatnej salki. Ricky wciąż był tam z poderwaną panienką. Hollis przeklinał w duchu i przypomniał sobie radę Sparrowa: Planuj skok w lewo, chociaż prawdopodobnie wykonasz manewr w prawo.

Jakaś pijana kobieta zaczęła krzyczeć na swego adoratora i Boodah zbiegł pospiesznie schodami, żeby rozwiązać konfliktową sytuację. Kiedy tylko opuścił sektor VIP-ów, najemnicy wstali od stolika i ruszyli w kierunku salki. Wyższy przemieszczał się powoli korytarzem, natomiast jego partner stanął na czatach. Lampy zawieszane nad parkietem zaświeciły nieco jaśniej i zaczęły migotać do taktu rytmicznej muzyki. Wyższy obrócił się, a promień światła odbił się od klingi noża, mocno zaciśniętego w jego dłoni.

Hollis wątpił, żeby dysponowali zdjęciem Gabriela. Zapewne mieli polecenie zabicia każdego, kto będzie się znajdował w tej salce. Do tego momentu Hollis zaczynał już wierzyć, że potrafi działać jak Maya oraz inni Arlekin. Lecz nie był taki jak oni. Żaden z Arlekinów nie martwiłby się losem Ricky'ego ani młodej kobiety, Hollis zaś nie mógł stać tu i pozwolić, by to się stało. Do diabła, pomyślał. Jeśli tych dwoje głupków zginie, ich krew splami moje ręce.

Z uprzejmym uśmiechem na twarzy podszedł do niższego mężczyzny.

– Przepraszam pana. Prywatna salka jest zajęta.

– Tak, to jeden z naszych przyjaciół. Więc spadaj.

Hollis uniósł ręce, jak gdyby zamierzał objąć intruza. Potem jego dłonie zacisnęły się w pięści i uderzyły z obu stron w jego głowę. Siła wstrząsu sprawiła, iż mężczyzna zaczął chwiać się na nogach, a potem upadł na plecy. Migoczące światła oraz ogłuszająca muzyka taneczna były tak przytłaczające, że nikt nie zauważył, co się właśnie stało. Hollis przeszedł nad bezwładnym ciałem i ruszył do przodu. Wyższy z najemników trzymał już dłoń na klamce od drzwi, lecz zareagował natychmiast, gdy dostrzegł Hollisa. Hollis wiedział, że każdy, kto trzyma w ręku nóż, w zbyt dużym stopniu koncentruje się na tej broni. Każda cząstka śmierci i wrogości mieści się w ostrzu.

Wyciągnął ręce, jak gdyby zamierzał chwycić dłoń najemnika, potem nagle wykonał unik, gdy mężczyzna przeciął nożem powietrze. Hollis kopnął go czubkiem buta w żołądek. Kiedy tabulski najemnik schylił się do przodu, łapiąc powietrze, Hollis uderzył go z całej siły, powalając na aksamitny sznur. Na dole ludzie zaczęli krzyczeć, ale muzyka nie przestawała grać. Hollis pobiegł korytarzem i przecisnął się między stolikami. Kiedy dotarł do tylnych schodów, dostrzegł trzech innych najemników, którzy teraz przepychali się w tłumie. Jednym z nich był starszy mężczyzna w okularach z drucianymi oprawkami. Czy był to Nathan Boone, człowiek, który zabił ojca Mai? Maya zapewne natychmiast przystąpiłaby do ataku, ale Hollis kontynuował ucieczkę.

Tłum przesuwał się do przodu i do tyłu, niczym stado przestraszonych zwierząt czujących zapach śmierci. Hollis wskoczył na taneczny parkiet i przepychał się do przodu, odsuwając ludzi tarasujących mu drogę. Dotarł do tylnego korytarza, który prowadził do kuchni i toalet. Grupa młodych kobiet śmiała się z czegoś, jednocześnie poprawiając makijaż w lustrze, w którym odbijało się światło. Hollis minął je i otworzył drzwi przeciwpożarowe.

Dwóch najemników ze słuchawkami na głowach stało przy wejściu. Ktoś powiedział im o Hollisie, więc już na niego czekali. Starszy uniósł pojemnik z aerozolem i prysnął czymś w oczy Hollisa.

Ból był niewiarygodny. Miał wrażenie, że jego oczy płoną. Nic nie widział i nie mógł się bronić, gdy czyjaś pięść rozkwaśła mu nos. Niczym tonący chwycił atakującego, który stał przed nim, następnie rzucił się do przodu i wymierzył napastnikowi potężny cios bykiem w twarz.

Pierwszy z najemników upadł na chodnik, lecz drugi trzymał rękę wokół szyi Hollisa i teraz zaczął go dusić. Hollis ugryzł go w rękę. Kiedy usłyszał krzyk, chwycił ramię najemnika, pociągnął je w dół, po czym wykręcał do momentu, aż trzasnęła złamana kość.

Ślepy. Był teraz ślepy. Dotykając chropowatej cegły muru, ruszył biegiem pogrążony we własnej ciemności.

19

Około dziesiątej rano Maya oraz reszta grupy przejechali przez miasto Limerick. Gabriel prowadził ostrożnie, gdy przejeżdżali przez kompleks handlowy w centrum, usiłując nie popełnić żadnego wykroczenia. Jego ostrożność rozplynęła się gdzieś z chwilą, kiedy wyjechali w teren niezabudowany, i docisnął pedał gazu. Niewielki niebieski samochód mknął dwupasmową trasą, zmierzając w kierunku zachodniego wybrzeża oraz wyspy o nazwie Skellig Columba.

Normalnie Maya siedziałyby obok Gabriela, żeby patrzeć na drogę i rozpoznawać ewentualne zagrożenia. Teraz jednak nie chciała, żeby Gabriel patrzył na nią i interpretował wyraz jej twarzy. Podczas krótkotrwałej próby prowadzenia normalnego życia w Londynie kobiety w jej firmie projektanckiej często narzekały, że ich przyjaciele zdają się nigdy nie rozpoznawać ich nastrojów. Teraz miała do czynienia z mężczyzną, który to właśnie potrafił robić – i chciała zachować ostrożność wobec tej siły.

W trakcie podróży przez Irlandię Vicky siedziała na przednim siedzeniu. Alice i Maya natomiast zajmowały miejsca z tyłu, oddzielone torbą na zakupy, wypełnioną krakersami oraz butelkami z wodą. Torba stanowiła niezbędną barierę. Od momentu, kiedy przybyły do Irlandii, Alice nieustannie chciała siedzieć blisko Mai. W pewnym momencie wyciągnęła palce i dotknęła krawędzi noża do rzucania, który Maya nosiła pod swetrem. Było to zbyt intymne, zbyt bliskie. Maya woląca zachować dystans.

Linden wynajął samochód, używając karty kredytowej wystawionej na jedną z podstawionych firm, zarejestrowanych w Luksemburgu. Kupił też niedrogi aparat cyfrowy oraz plastikowe torby podróżne z nadrukiem MONARCH TOURS – ZWIEDZAMY ŚWIAT. Wszystkie te rekwizyty miały zapewnić im wygląd turystów, ale Vicki ucieszyła się z aparatu fotograficznego.

– Hollisowi to by się podobało – powtarzała nieustannie, opuszczając szybę i robiąc kolejne zdjęcia.

Po krótkim postoju na zatankowanie w miasteczku Adare, zostawili za sobą zielone rolnicze tereny i jechali teraz wąską drogą przez góry. Krajobraz pozbawiony drzew przypominał Mai

szkockie góry. Mijali skały, zarośla i wrzosowiska oraz kępę fioletowych różaneczników obok rury melioracyjnej.

Kiedy dotarli na górski grzbiet, dostrzegli w oddali Ocean Atlantycki.

– On tam jest – szepnęła Gabriel. – Wiem, że tam jest.

Nikt nie ośmielił się podać w wątpliwość jego słów.

Maya strzegła Gabriela od kilku dni, ale oboje unikali bardziej osobistej rozmowy. Zaskoczył ją widok londyńskiej, krótkiej fryzury Gabriela. Odkąd ogolił głowę, emanowała z niego większa determinacja, niemal powaga – i Arlekinka zastanawiała się, czy to początek rosnącej w nim siły Travelera. Gabriel zdawał się wpaść w obsesję w związku z fotografią, którą widział w zgromadzeniu mniszek Tyburn Convent.

Upierał się, żeby jak najszybciej wyjechać na wyspę Skellig Columba, a Linden z ledwością ukrywał rozdrażnienie. Francuski Arlekin spoglądał na Mayę wzrokiem, jak gdyby była matką, która wychowywała krnąbrne dziecko.

Gabriel wysunął też drugie żądanie, zanim przystąpili do organizowania wyjazdu do Irlandii. Przez ostatnie dwa tygodnie mieszkał z kilkoma Free Runnerami przy South Bank i chciał teraz pożegnać się ze swymi nowymi przyjaciółmi.

– Maya może pójść ze mną, ale ty trzymaj się z daleka – powiedział do Lindena. – Wyglądasz, jakbyś miał kogoś zabić.

– Jeśli będę musiał – skomentował Linden.

Pozostał jednak w furgonetce, kiedy dojechali do Bonnington Square. Stary dom zionął zapachem smażonego bekonu i gotowanych ziemniaków. Trójka młodych mężczyzn oraz nastoletnia dziewczyna o butnej minie i krótko obciętych włosach spożywali kolację w pokoju od frontu. Gabriel przedstawił Free Runnerów Mai, ona zaś skinęła głową Juggerowi, Sebastianowi, Rolandowi oraz Ice. Powiedział im, że Maya jest jego przyjaciółką i że wspólnie zamierzają opuścić miasto tego wieczoru.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jugger. – Czy możemy w czymś ci pomóc?

– Pewni ludzie mogą się tutaj pokazać i wypytywać o mnie. Powiedzcie, że spotkałem dziewczynę i pojechaliśmy na południe Francji.

– W porządku. Pojąłem, o co chodzi. Pamiętaj, że zawsze masz tutaj przyjaciół.

Gabriel wrócił z Mayą do furgonetki, niosąc swoje osobiste rzeczy w tekturowym kartonie. Dwa dni spędzili w kryjówce w pobliżu Stratford, podczas gdy Linden starał się znaleźć informacje na temat wyspy Skellig Columba. Jednak z Internetu zdołał dowiedzieć się jedynie, że wyspa ta była pierwotnie siedzibą klasztoru zbudowanego w szóstym stuleciu, ufundowanego przez świętego Kolumbę. Irlandzki święty, zwany też Colum Cille, był apostołem pogańskich plemion w Szkocji. Na początku dwudziestego stulecia zrujnowane budynki odrestaurowano na zlecenie siostr ze zgromadzenia ubogich klarysek. Nie istniało połączenie promowe z wyspą, poza tym zakonnice w ogóle nie przyjmowały gości.

Wyjechali z gór na drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża między wapiennym klifem a oceanem. Stopniowo krajobraz powiększył się o moczary. Ludzie zatrudnieni przy wydobywaniu torfu pracowali w odległym wyrobisku, wycinając bloki sprasowanej trawy i koniczyn, które rosły w epoce lodowej.

Wszędzie tu były stawy i potoki, a droga podążała wzdłuż wijącej się meandrami rzeki, która uchodziła do niewielkiej zatoki. Faliste wzgórza znajdowały się po jej północnej stronie, natomiast oni skręcili na południe w stronę Portmagee, niewielkiej rybackiej osady wychodzącej na przystań oraz niski falochron. Dwa tuziny domów po drugiej stronie wąskiej drogi przypominały Mai twarze z dziecięcych rysunków. Szare dachówki włosów, dwa okna na piętrze jako oczy, pośrodku czerwone drzwi – czyli nos oraz dwa dolne okna, ze skrzynkami białych kwiatów, przypominające zęby wyszczerzone w uśmiechu.

Zatrzymali się w miejscowym pubie. Barman powiedział im, że człowiek nazwiskiem Thomas Foley jest jedyną osobą, która pływa na Skellig Columba. Kapitan Foley rzadko odbierał telefon, ale z reguły można go było zastać w domu wieczorem. Vicki wynajęła pokoje w pubie, natomiast Gabriel i Maya ruszyli dalej drogą. Po raz pierwszy od czasu spotkania w Londynie zostali sam na sam. Jej ta sytuacja wydawała się całkiem naturalna. Przyłapała się na wspomnieniach ich pierwszego spotkania w Los Angeles. Oboje byli wtedy wobec siebie nieufni i niepewni obowiązków Travelera i Arlekinki.

W pobliżu skraju osady natrafili na nabazgrany szyld z napisem KAPITAN T. FOLEY – WYCIECZKI KUTREM.

Zeszli błotnistym podjazdem do pobielonego wapnem domku i Maya zastukała w drzwi.

– Wejść lub przestań pukać! – wykrzyknął jakiś mężczyzna. Weszli więc od frontu do pokoju, w którym było pełno styropianowych pływaków i zdezelowanych mebli ogrodowych, a na kozłach stała aluminiowa łódka wiosłowa. Dom wydawał się chałupą, w której zebrano wszelkie śmieci zachodniej Irlandii. Gabriel podążył za Mayą krótkim korytarzem, wyłożonym stertami starych gazet oraz torbami pełnymi aluminiowych puszek. Ściany wyginały się do środka, kiedy dotarli do drugich drzwi.

– Jeśli to ty, Jamesie Kelly, możesz stąd spieprzać! – wykrzyknął głos.

Maya pchnęła drzwi i weszła do kuchni. W rogu stała elektryczna kuchenka oraz zlew pełen brudnych naczyń. Starszy mężczyzna siedział pośrodku pomieszczenia i naprawiał porwaną rybacką sieć. Uśmiechnął się, odsłaniając rząd wykrzywionych zębów, przebarwionych na kolor ciemnożółty na skutek wielu lat palenia oraz picia mocnej herbaty.

– A kimże wy jesteście?

– Nazywam się Judith Strand, a to mój przyjaciel Richard. Szukamy kapitana Foleya.

– Toście go znaleźli. Czegóż od niego chcecie?

– Chcielibyśmy wynająć kuter dla czworga pasażerów.

– To nie będzie trudne – kapitan Foley spojrzał na Mayę oceniając, ile pieniędzy może zażądać. – Półdniowa wycieczka wzdłuż brzegu kosztuje trzysta euro, całodniowa pięćset. I zabieracie na pokład swój cholerny suchy prowiant.

– Widziałem zdjęcia wyspy o nazwie Skellig Columba. – wtrącił Gabriel. – Czy sądzi pan, że możemy tam popłynąć?

– Wożę zaopatrzenie dla mniszek co dwa tygodnie – Foley zaczął grzebać wśród rupieci na kuchennym stole, aż wreszcie znalazł fajkę z korzenia wrzośca. – Ale na tej konkretnej wyspie nie wolno postawić wam stopy.

– W czym tkwi problem? – zapytał Gabriel.

– Nie ma żadnego problemu. Po prostu nie przyjmuje się tam gości – kapitan Foley otworzył poszczerbioną cukiernicę, wyjął z niej szczyptę tytoniu i wcisnął go do fajki. – Wyspa jest własnością Republiki, wydzierżawioną Świętemu Kościołowi i oddaną w użytkowanie Zakonowi Ubogich Sióstr. Wszystkie strony – rząd, kościół oraz mniszki – zgodziły się co do jednego. Mniszki

nie życzą sobie, by ktokolwiek pałętał się po wyspie. To chroniony obszar przyrodniczy, w którym żyją morskie ptaki. Ubogie klaryski nie przeszkadzają ptactwu, ponieważ spędzają czas na modlitwie.

– Cóż, być może mógłbym tylko porozmawiać z nimi i poprosić o zezwolenie na...

– Nikt nie może dostać się na wyspę bez listu od biskupa, a nie widzę, byście czymś takim wymachiwali – Foley zapalił fajkę i dmuchnął nieco słodkim dymem w stronę Gabriela. – I to jest koniec historii.

– A to początek nowej historii – oznajmiła Maya. – Zapłacę panu tysiąc euro za zabranie nas na wyspę, byśmy mogli porozmawiać z zakonnicami.

Kapitan zastanawiał się nad ofertą.

– To byłoby możliwe...

Maya chwyciła za rękę Gabriela i odciągnęła go w stronę drzwi.

– Sądzę, że powinniśmy poszukać innej łodzi.

– To więcej niż możliwe – pośpiesznie dodał Foley. – Spotkamy się jutro rano na przystani.

Opuścili dom. Maya czuła się, jakby była osaczona w lisiej norze. Zbliżała się noc i pojawiły się plamy ciemności – splątane w krzakach i wypełzające spod drzew.

Mieszkańcy osady byli bezpieczni w swych domach, oglądając telewizję i szykując wieczorny posiłek. Zza firanek migotały światła, dym unosił się z niektórych kominów. Gabriel poprowadził Mayę na drugą stronę drogi, do zardzewiałej parkowej ławki nad zatoką. Nadszedł odpływ, odsłaniając pas ciemnego piasku, pokrytego drewnem naniesionym przez morze oraz martwymi wodorostami. Maya usiadła na ławce, podczas gdy Gabriel spacerował wzdłuż brzegu i patrzył w stronę zachodniego horyzontu. Zachodzące słońce dotknęło już oceanu i przemieniało się w niewyraźny, zamazany obrys światła, który odbijał się refleksami na wodzie.

– Mój ojciec jest na wyspie – oznajmił Gabriel. – Wiem, że tam jest. Niemal słyszę, jak do mnie mówi.

– Być może to prawda. Ale wciąż nie wiemy, dlaczego przyjechał do Irlandii. Musi być jakiś powód.

Gabriel odwrócił się plecami do wody. Podeszedł do ławki i usiadł obok Mai. Byli teraz sami w mroku. Na tyle blisko, że czuła jego oddech.

– Robi się ciemno – rzekł. – Dlaczego wciąż nosisz okulary słoneczne?

– Po prostu nawyk.

– Kiedyś powiedziałaś mi, że Arlekini nie mają nawyków i unikają przewidywalnych działań.

Gabriel sięgnął i zdjął jej okulary. Złożył je i umieścił obok jej nogi. Teraz patrzył jej prosto w oczy. Maja czuła się naga i bezradna, jak gdyby ktoś pozbawił ją wszelkiej broni.

– Nie chcę, żebyś patrzył na mnie, Gabrielu. Odczuwam dyskomfort.

– Ale przecież się lubimy. Jesteśmy przyjaciółmi.

– To nieprawda. Nie możemy zostać przyjaciółmi. Jestem tu, by umrzeć za ciebie. Jeśli okaże się to konieczne.

Gabriel znów skierował wzrok ku bezkresowi oceanu.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek za mnie umierał.

– Wszyscy rozumiemy, jakie jest ryzyko.

– Być może. Ale to, co się wydarzyło, wiąże się ze mną. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w Los Angeles i powiedziałaś mi, że prawdopodobnie jestem Travelerem, nie rozumiałem, w jaki sposób zmieni to życie ludzi, których spotkałem. Mam tyle pytań i chcę zadać je memu ojcu... – Gabriel zamilkł na chwilę i pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nigdy nie pogodziłem się z myślą, że on odszedł. Czasami, gdy byłem dzieckiem, leżałem w łóżku w nocy i w wyobraźni prowadziłem z

nim rozmowy. Sądziłem, że z tego wyrosłem, kiedy byłem już starszy, lecz teraz znów to przeżywam, jeszcze intensywniej.

– Gabrieli, twojego ojca może nie być na wyspie.

– W takim razie nie przestanę go szukać.

– Jeśli Tabulowie dowiedzą się, że szukasz ojca, zyskają nad tobą przewagę. Podsuną ci fałszywe ślady jako przynętę, która zwabi cię w pułapkę.

– Podejmę to ryzyko. Nie oznacza to jednak, że musisz stać u mojego boku. Nie przeżyłbym tego, gdyby coś ci się stało, Mayu. Nie mógłbym żyć z tą świadomością.

Odniosła wrażenie, że Thorn stoi za nią i szepcze jej do ucha wszystkie dawne zagrożenia i ostrzeżenia. Nigdy nikomu nie ufaj. Nigdy się nie zakochaj. Ojciec zawsze był taki silny, taki pewny siebie – najważniejsza osoba w jej życiu. Do licha z nim, pomyślała. Ukradł mi mój własny głos. Nie mogę mówić.

– Gabrieli – wyszeptała. – Gabrieli...

Jej głos był teraz bardzo cichy, niczym głos zagubionego dziecka, które utraciło nadzieję, że kiedykolwiek ktoś je odnajdzie.

– Wszystko dobrze.

Wziął ją za rękę. Nad horyzontem pozostał jedynie skrawek słonecznej tarczy. Skóra Gabrieli była ciepła, a Maya odniosła wrażenie, że to ona pozostanie zimna – zimna Arlekinka – na resztę życia.

– Będę stała przy twoim boku bez względu na wszystko, co się wydarzy – zadeklarowała. – Przysięgam.

Pochylił się, aby ją pocałować. Kiedy jednak Maya odwróciła głowę, dostrzegła zarys ciemnych sylwetek zmierzających w ich kierunku.

– Mayu! – zawołała Vicki w ich stronę. – Czy to ty? Alice zaczęła się martwić. Chciała was poszukać...

W nocy padał deszcz, rano na oceanie, tuż za zatoką położyła się gęsta powłoka mgły. Maya włożyła kilka sztuk garderoby, które kupiła w Londynie – spodnie z wełny, ciemnozielony kaszmirowy sweter oraz skórzany płaszcz z zimową podpinką. Po śniadaniu, które zjedli w pubie, poszli na przystań i spotkali tam kapitana Foleya. Ładował worki z torfem oraz plastikowe pojemniki z prowiantem na rybacki kuter długości niecałych dziesięciu metrów. Wyjaśnił, że torf służy za paliwo do pieca w budynkach żeńskiego zakonnego zgromadzenia, a w pojemnikach znajduje się żywność oraz wyprane rzeczy. Jediną dostępną wodą na wyspie Skellig Columba była deszczówka zbierana do wykutych w skale zbiorników. Wody tej wystarczało mniszkom do picia oraz do mycia, ale do prania czarnych habitów i kornetów już jej brakowało.

Kuter miał otwarty pokład, umożliwiający ściąganie rybackich sieci, oraz zamknięty kokpit blisko dziobu, który dawał ochronę przed wiatrem. Alice sprawiała wrażenie podekscytowanej faktem, że znów jest na łodzi. Chodziła tam i z powrotem, oglądała wszystko, kiedy wypłynęli na morze. Kapitan Foley zapalił fajkę i wypuścił nieco dymu w ich kierunku.

– Znany świat – rzekł i kiwnął kciukiem w stronę zielonych wzgórz na wschodzie. – A to... – wskazał w kierunku zachodnim.

– Koniec świata – dokończył Gabriel.

– Masz rację, chłopaku. Kiedy święty Kolumba oraz jego mnisi po raz pierwszy dotarli na tę wyspę, znaleźli się w miejscu położonym najdalej na zachód na mapie Europy. Końcowy przystanek

linii tramwajowej.

Wpłynęli w mgłę w momencie, kiedy opuścili bezpieczną zatokę. Można było odnieść wrażenie, że się znaleźli pośrodku ogromnej chmury. Pokład błyszczał, a kropelki wody zbierały się na stalowych linkach naciągu anteny radiowej. Rybacki kuter sunął w dół po pokonaniu każdej nowej fali jedynie po to, by znów unieść dziób i przeciąć białą grzywę kolejnej fali. Alice trzymała się relingu, stojąc na rufie, potem pobiegła z powrotem do Mai. Podekscytowana wskazała fokę płynącą obok kutra. Zwierzak spoglądał na nich niczym pies o lśniącej sierści, który właśnie dostrzegł obcych na swoim podwórzu.

Stopniowo mgła się unosiła, oni zaś zobaczyli nad głowami skrawki czystego nieba. Wszędzie roiło się od morskiego ptactwa: burzyki i nawałniki, pelikany oraz głuptaki, całe białe z czarnymi końcami skrzydeł. Po mniej więcej godzinie minęli wysepkę o nazwie Little Skellig, która stanowiła teren lęgowy głuptaków. Nagie skały miały białawy kolor. Tysiące ptaków krążyły na niebie.

Upłynęła kolejna godzina, zanim Skellig Columba pojawiła się ponad falami. Wysepka wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciu, które Gabriel widział w Tyburn Convent. Dwa skaliste szczyty podwodnego górskiego grzbietu. Wyspę porastały krzaki i wrzosa, ale Maya nigdzie nie widziała klasztoru ani żadnej innej budowli.

– W którym miejscu dobijemy do brzegu? – zapytała kapitana Foleya.

– Cierpliwości, panienko. Płyniemy od wschodu. Od południowej strony znajduje się niewielka zatoczka.

Trzymając się z dala od podwodnych skał, Foley podpłynął do pomostu o długości jakichś sześciu metrów, stojącego na stalowych filarach. Pomost prowadził do kamiennego podestu, otoczonego płotem z metalowej siatki. Wyraźnie widoczna tablica z literami w kolorach czerwonym i czarnym obwieszczała, że wyspa stanowi rezerwat przyrody chroniony prawem i zabrania się wstępu każdemu, kto nie uzyskał pisemnego zezwolenia od diecezji w Kerry. Na skraju kamiennej płyty znajdowała się zamknięta furtka. Strzegła dojścia do kamiennych schodów, prowadzących w górę zbocza. Kapitan Foley wyłączył silnik. Fale uderzały kutrem o pomost, rzucił więc cumę na jeden ze stalowych słupów. Maya, Vicki oraz Alice poszły na betonowy podest, podczas gdy Gabriel pomagał Foleyowi wyładować skrzynki z prowiantem i praniem oraz worki z torfem. Vicki podeszła do furtki i dotknęła mosiężnej kłódki, która blokowała zasuwę.

– Co teraz?

– Nikogo tu nie ma – odparła Maya. – Sądzę, że powinniśmy obejść płot dookoła i wejść na szczyt góry do klasztoru.

– Ten pomysł nie spodoba się chyba kapitanowi Foleyowi.

– Przywiózł nas tutaj. Póki co, zapłaciłam mu tylko połowę pieniędzy. Gabriel nie zamierza opuścić tego miejsca, dopóki nie dowie się czegoś o ojcu.

Alice przecięła betonową platformę i wskazała w górę zbocza. Gdy Maya zrobiła krok do tyłu, dostrzegła cztery mniszki schodzące w dół schodami, które prowadziły do pomostu. Ubogie klaryski miały czarne habity i kornety oraz białe barbety i koloratki. Ich habity w pasie przewiązane były białymi sznurami, które nawiązywały do franciszkańskiej historii żeńskiego zgromadzenia. Wszystkie cztery kobiety owinięte były czarnymi, wełnianymi szalami. Wiatr szarpał końcami szali, lecz kobiety wciąż szły, dopóki nie dostrzegły, że na wyspie pojawili się obcy. Wtedy stanęły razem na jednym stopniu, podczas gdy najwyższa z nich zatrzymała się o kilka stopni wyżej, za nimi.

Kapitan Foley wniósł na platformę dwa worki z torfem i zrzucił je obok furtki.

– To nie wygląda dobrze – skomentował. – Ta najwyższa jest przeoryszą. Ona tutaj rządzi.

Jedna z klarysek wróciła do przeoryszy, odebrała jakieś polecenie, potem pospiesznie zaczęła

schodzić do furty.

– Co się dzieje? – zapytał Gabriel.

– Koniec bajki, chłopaku. Nie chcą was tutaj.

Foley zdjął z łysej głowy dzianą czapkę, gdy podchodził do furtki. Ukłonił się lekko mniszce i rozmawiał z nią cicho. Potem podszedł szybkim krokiem do Mai ze zdziwioną miną na twarzy.

– Proszę mi wybaczyć, panienko. Przepraszam za wszystko, co powiedziałem. Przeorysza życzy sobie spotkać się z wami w kaplicy.

Przeorysza znikła, a każda z pozostałych sióstr chwyciła po worku z torfem i zaczęły wnosić je schodami. Maya, Gabriel oraz pozostali ruszyli za nimi, natomiast kapitan Foley pozostał na swoim kutrze.

W szóstym wieku mnisi pod przewodem świętego Kolumby wykuli w skalnym masywie schody, które prowadziły od oceanu aż na szczyt górskiego wzniesienia, wieńczącego wyspę. Szary piaskowiec poprzecinany żyłkami białych łupków pokryty był gdzieś tam porostami tworzącymi ciemne plamy.

Gdy Maya oraz pozostali podążali za zakonnice w górę zbocza, uspokajający szum fal ucichł całkowicie, a w jego miejsce pojawił się gwizd wiatru. Ten wiał wzdłuż stożkowatych skał, wirował i marszczył kępy szczotliwych siwej, ostów oraz szczawiku. Skellig Columba przypominała ruiny masywnego zamku o zawalonych wieżach i rozbitych arkadach. Nie zamieszkiwały jej morskie ptaki, a ich miejsce zajęły kruki, które krążyły nad nimi i krakały do siebie.

Dotarli do szczytu górskiej grani, potem zaczęli schodzić w dół ku północnej stronie wyspy. Bezpośrednio pod nimi znajdowały się trzy skalne tarasy, wykute na trzech poziomach. Każdy o szerokości około piętnastu metrów. Na pierwszym znajdował się niewielki ogród oraz dwa baseny do zbierania deszczówki, która spływała po skalnych ścianach. Na drugiej półce stały cztery kamienne budynki, wzniesione bez użycia murarskiej zaprawy. Przypominały ogromne pszczele barcie; miały drewniane drzwi oraz okrągłe okna. Na najniższym z tarasów stała kaplica. Mierzyła około dwudziestu metrów długości i miała kształt łodzi postawionej do góry dnem.

Alice i Vicki pozostały z mniszkami, gdy Maya i Gabriel schodzili w dół w stronę kaplicy, a potem weszli do środka. Dębowa podłoga prowadziła do ołtarza na jednym końcu: trzy okna za prostym złotym krzyżem. Wciąż owinięta szalem przeorysza stała przed ołtarzem – odwrócona plecami do przybyszy z dłońmi złożonymi do modlitwy. Drzwi zamknęły się ze skrzypiącym odgłosem, a wszyscy wciąż słyszeli wiatr gwizdający w szczelinach skalnych murów.

Gabriel zrobił kilka kroków do przodu.

– Proszę o wybaczenie, matko. Właśnie przybyliśmy na tę wyspę i musimy z wami porozmawiać.

Przeorysza rozłożyła dłonie i powoli opuściła ręce. Było w tym gościu coś szczególnego, jednocześnie pełnego gracji i groźnego. Maya natychmiast sięgnęła po nóż przypięty do przedramienia. Nie!, chciała krzyknąć. Nie!

Zakonnica obróciła się do nich i rzuciła nóż z oksydowanej, czarnej stali, który wbił się w drewniany panel o jakąś stopę nad głową Gabriela.

Maya wysunęła się przed Gabriela, sama z nożem w dłoni. Trzymając go na płask uniosła szybko rękę, lecz wtedy rozpoznała znajomą twarz. Pięćdziesięciokilkuletniej Irlandki. W zielonych oczach było coś dzikiego, niemal obłąkanego. Kosmyk rudych włosów wystawał spod białego wykrochmalonego kwefu. Jej duże usta wykrzywione były w uśmiechu, który wyrażał całkowite

lekceważenie.

– Nie ulega wątpliwości, że nie jesteś dostatecznie czujna ani przygotowana – zwróciła się do Mai. – Kilka centymetrów niżej i twój przyjaciel-obywatel byłby martwy.

– To Gabriel Corrigan – odparła Maya. – On jest Travelerem, jak jego ojciec. O mały włos go nie zabiłaś.

– Nigdy nie zabijam nikogo niechcący.

Gabriel wpatrywał się w nóż.

– Kim, do diabła, pani jest?

– To jest Mother Blessing, jedna z ostatnich żyjących Arlekinek.

– Oczywiście. Arlekini... – Gabriel powiedział to słowo, nie kryjąc pogardy.

– Znam Mayę od małości – wyjaśniła Mother Blessing. – To ja nauczyłam ją, jak się włamywać do budynków. Zawsze chciała być taka jak ja. Najwyraźniej jednak wciąż jeszcze pozostało jej wiele do nauki.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała Maya. – Linden sądził, że nie żyjesz.

– Na tym mi właśnie zależało – Mother Blessing zdjęła czarny szal i złożyła go w niewielki kwadrat. – Po tym jak Thorn wpadł w pułapkę w Pakistanie, zdałam sobie sprawę, że wśród nas jest zdrajca. Twój ojciec nie wierzył mi. Kto nim był, Mayu? Czy wiesz?

– To był Shepherd. Zabiłam go.

– Dobrze. Mam nadzieję, że bardzo cierpiał przed śmiercią. Przyjechałam na tę wyspę przed czternastoma miesiącami. Kiedy umarła przeorysza, siostry uczyniły mnie swoją tymczasową przewodniczką – znów uśmiechnęła się z wyraźną kpina. – My, ubogie klaryski, prowadzimy życie proste, lecz pobożne.

– Jest zatem pani tchórzem – oznajmił Gabriel. – Przybyła pani tutaj, by się ukryć.

– Co za głupkowaty młody człowiek. Nie jestem pod wrażeniem. Być może musisz przekroczyć bariery jeszcze kilka razy – Mother Blessing podeszła do drewnianej płyty, wyciągnęła nóż i wsunęła go do pochwy ukrytej pod religijną szatą. – Widzisz ten ołtarz obok okna? Znajduje się w nim iluminowany manuskrypt, przypuszczalnie napisany ręką świętego Kolumby. Mój Traveler chciał przeczytać tę księgę, więc musiałam przywieźć go na tę małą skalną wysepkę.

Gabriel przytaknął zapalczywie i zrobił kilka kroków do przodu.

– A ten Traveler to... ?

– Twój ojciec, rzecz jasna. Jest tutaj. Ja natomiast strzegę jego bezpieczeństwa.

20

Gabriel z niecierpliwością i nadzieją rozejrzał się po kaplicy.

– Gdzie on jest?

– Nie bój się. Zaprowadzę cię do niego.

Mother Blessing wyjęła z włosów kilka wsuwek i ściągnęła zakonne okrycie głowy.

Wstrząsnęła lekko głową, by uwolnić splątane loki ognistoczerwonych włosów.

– Dlaczego nie powiedziała pani Mai, że mój ojciec znajduje się na tej wyspie?

– Nie miałam kontaktu z żadnym innym Arlekinem.

– Mój ojciec zapewne prosił panią, żeby mnie odnaleźć.

– Otóż nie.

Mother Blessing położyła nakrycie głowy na bocznym stoliku. Sięgnęła po miecz ukryty w

skórzanej pochwie i przewiesiła przez ramię pasek.

– Maya ci tego nie wyjaśniła? Arlekini wyłącznie chronią Travelerów, nie staramy się ich zrozumieć.

Bez dalszych wyjaśnień wyprowadziła Gabriela i Mayę z kaplicy. Jedna z czterech mniszek, drobniutka Irlandka, czekała na kamiennej ławce. Ściskając w palcach paciorki drewnianego różańca, w milczeniu odmawiała modlitwę.

– Czy kapitan Foley czeka na przystani? – zapytała Mother Blessing.

– Tak, matko przełożona.

– Powiedz mu, proszę, że nasi goście zostaną na wyspie do czasu, kiedy się z nim skontaktuję. Dwie kobiety oraz dziewczynka będą spały w dormitorium, natomiast młody mężczyzna zostanie zakwaterowany w budynku magazynowym. Powiedz siostrze Joan, żeby przygotowała podwójną ilość jedzenia na kolację.

Mniszka niepozornego wzrostu przytaknęła i odeszła pośpiesznie, wciąż trzymając w dłoniach paciorki różańca.

– Te kobiety potrafią wykonywać polecenia – skomentowała Mother Blessing. – Ale całe to ich rozmodlenie oraz religijne śpiewy drażnią mnie. Jak na zakon kontemplacyjny, bardzo dużo mówią.

Maya i Gabriel podążyli za Mother Blessing krótkimi schodami na środkowy taras klasztorного zespołu. Był to długi, płaski teren, na którym średniowieczni mnisi postawili z bloków wapienia cztery budynki o kształcie pszczelich barci. Z uwagi na nieustanne i porywiste wiatry budowle miały też ciężkie drewniane drzwi oraz małe okrągłe okienka. Każdy z budynków miał rozmiary zbliżone do londyńskiego piętrowego autobusu.

Vicki i Alice gdzieś zniknęły. Mother Blessing poinformowała ich, że są w budynku kuchennym. Cienka smuga dymu unosiła się z rury od pieca i natychmiast sunęła wraz z wiatrem w kierunku południowym. Idąc nieutwardzoną ścieżką, minęli dormitorium mniszek oraz budynek, który Mother Blessing nazwała celą świętego. Magazyn był ostatnią chatą na skalnym tarasie. Irlandzka Arlekinka zatrzymała się i przyjrzała badawczo Gabrielowi, jak gdyby był okazem w ogrodzie zoologicznym.

– On jest w środku.

– Dziękuję za ochronę mojego ojca.

Mother Blessing odgarnęła kosmyk włosów przed oczu.

– Twoja wdzięczność jest zupełnie zbędnym uczuciem. Dokonałam świadomego wyboru i wzięłam na siebie ten obowiązek.

Otworzyła ciężkie drzwi i wprowadziła ich do zakonnego magazynu. W budynku znajdowała się podłoga z drewnianych desek oraz wąskie schody prowadzące na drugi poziom. Jedyne światło wpadało przez okrągłe okienka, umieszczone niczym nieregularne bulaje w skalnym murze. W środku znajdowały się rozmaite schowki, wypełnione puszkami z jedzeniem, a także przenośny agregat prądotwórczy. Świece leżały na czerwonym pudełku apteczki pierwszej pomocy. Arlekinka z Irlandii sięgnęła po pudełko zapalek i rzuciła je Mai.

– Zapal kilka świec.

Sama uklękła na podłodze, a spódnica habitu rozłożyła się dookoła niej. Przeciągnęła dłonią po gładkiej powierzchni dębiny i przycisnęła wyblakłą deskę. Ta uniosła się, odsłaniając pętlę z liny.

– Tędy pójdziemy. Odsuńcie się.

Wciąż klęcząc, pociągnęła za rączkę i otworzyła klapę wpuszczoną w podłogę. Kamienne stopnie prowadziły w dół, ku ciemności.

– Co się dzieje? – zapytał zaskoczony Gabriel. – Czy on jest tutaj więźniem?

– Oczywiście, że nie. Weź świecę i sam zobacz.

Gabriel wziął świeczkę od Mai, następnie ominął Mother Blessing i ruszył w dół wąskimi schodkami do piwnicznego pomieszczenia o ścianach z cegieł i wysypanej żwirem posadzce. W piwnicy stał tylko stos dużych plastikowych wiader z metalowymi rączkami. Gabriel zastanawiał się, czy siostry latem używają ich do podlewania warzywnego ogrodu.

– Halo? – zawołał, lecz nikt nie odpowiedział.

Dalej prowadziła tylko jedna droga – przez kolejne dębowe drzwi. Trzymając świeczkę w lewym ręku, pchnął je i wszedł do znacznie mniejszego pomieszczenia. Czuł się, jakby wszedł do kostnicy w celu zidentyfikowania najbliższej sobie osoby. Ciało leżało na kamiennej płycie, przykryte prześcieradłem z muślinu. Stał obok przez kilka sekund, potem odsunął muślin. To był jego ojciec.

Drzwi skrzypnęły w zawiasach, kiedy Maya i Mother Blessing weszły do krypty. Obie Arlekiniki trzymały świece, a ich cienie błąkały się po ścianach.

– Co się stało? – zapytał Gabriel. – Kiedy umarł?

Mother Blessing wybałuszyła oczy ze zdumienia, nie mogąc dać wiary tak wielkiej ignorancji.

– On nie umarł. Przyłóż ucho do jego piersi. Usłyszysz bicie jego serca raz na jakieś dziesięć minut.

– Gabriel nigdy nie widział innego Travelera – wyjaśniła Maya.

– Cóż, teraz właśnie zobaczyłeś. Tak właśnie wyglądacie, kiedy wyruszacie do innych światów. Twój ojciec jest już tam od kilku miesięcy. Coś musiało się wydarzyć. Albo spodobało mu się tam na tyle, że postanowił pozostać, albo został schwytany w pułapkę i nie jest w stanie wrócić do naszego świata.

– Jak długo może przeżyć w tym stanie?

– Jeśli zginie w innym wymiarze, jego ciało ulegnie rozkładowi. Jeśli natomiast przeżyje, lecz nigdy nie powróci na ten świat, jego doczesna powłoka umrze ze starości. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby zmarł na innym świecie – przerwała na moment. – Wtedy mogłabym opuścić tę cholerną małą wysepkę.

Gabriel odwrócił się od ojca i zrobił krok w kierunku Mother Blessing.

– Może pani opuścić tę wyspę natychmiast. Niech pani wynosi się do diabła.

– Chroniłam twojego ojca, Gabrielu. Jestem gotowa oddać za niego życie. Ale nie oczekuj ode mnie, że będę postępować jak jego przyjaciel. Moim obowiązkiem jest działanie z zimną krwią i w pełni racjonalne.

Mother Blessing spojrzała gniewnie na Mayę i dziarskim krokiem opuściła kryptę.

Gabriel nie miał pojęcia, jak długo przebywa w krypcie, wpatrując się w ojca. Pokonanie tak wielkiej odległości tylko po to, by odnaleźć pustą powłokę, do tego stopnia go rozczerowało, że jego umysł odmówił przyjęcia tego do wierzenia. Poczul nagły dziecinny impuls zrobienia wszystkiego raz jeszcze – chciał wejść do budynku, podnieść klapę, zejść schodami w dół i znaleźć całkiem inny obraz.

Po jakimś czasie Maya chwyciła za brzeg prześcieradła i nakryła nim ciało Matthew Corrigan.

– Na zewnątrz robi się ciemno – powiedziała łagodnym głosem. – Powinniśmy chyba dołączyć do innych.

Gabriel pozostał jednak u boku ojca.

– Michael i ja zawsze wyczekiwaliśmy chwili, kiedy znów go zobaczymy. Rozmawialiśmy o tym wieczorami przed zaśnięciem.

– Nie martw się. On wróci.

Maya wzięła Gabriela za rękę i namawiała do opuszczenia pokoju. Na zewnątrz było chłodno, a słońce skłaniało się ku horyzontowi. Ruszyli razem ścieżką i weszli do budynku kuchennego. W środku było ciepło i przyjaźnie. Niemal jak w domu. Pulchna irlandzka siostra imieniem Joan właśnie kończyła piec z tuzin babeczek do spożycia na gorąco z masłem i postawiła je na tacy obok słoiczków z różnymi rodzajami domowych konfitur i powideł. Siostra Ruth, starsza kobieta w okularach o grubych szklach, krzątała się po pomieszczeniu i układała prowiant, który tego dnia przyniesiono z przystani. Otworzyła drzwiczki od pieca i wrzuciła kilka bryłek torfu. Sprasowana materia organiczna żarzyła się ciemnopomarańczowym kolorem.

Vicki zeszła pośpiesznie z piętra.

– Co się stało, Gabrielu?

– Porozmawiamy o tym później – zdecydowała Maya. – Teraz chcielibyśmy napić się gorącej herbaty.

Gabriel rozsunął zamek błyskawiczny kurtki i usiadł na ławce pod ścianą. Obie mniszki wbiły w niego wzrok.

– Czy Matthew Corrigan to twój ojciec? – zapytała siostra Ruth.

– Tak.

– Poznanie go było dla nas prawdziwym zaszczytem.

– To wielki człowiek – dodała siostra Joan. – Wielki...

– Poproszę o herbatę – warknęła Maya, a wtedy wszyscy zamilkli.

Chwilę później Gabriel trzymał już w zziębniętych dłoniach kubek z gorącą herbatą. Zapadło pełne napięcia milczenie, kiedy do kuchni wkroczyły dwie inne siostry, wnosząc pojemniki z prowiantem i zaopatrzeniem. Siostra Maura była zakonnicą o niewielkim wzroście, która modliła się na zewnątrz kaplicy. Siostra Faustyna natomiast pochodziła z Polski i mówiła z wyraźnym akcentem. Kiedy rozpakowywały prowiant i przeglądały pocztę, zapomniały o Gabrielu i paplały całe w skowronkach.

Ubogie klaryski nie posiadały niczego poza krzyżem zawieszonym na szyi. Żyły bez hydrauliki, techniki chłodniczej, bez elektryczności, ale najwyraźniej znajdowały wielką radość w drobnych przyjemnościach życia. Po drodze z przystani siostra Faustyna nazrywała trochę gałązek wrzosów kwitnących na różowo. Ułożyła po gałązce na każdym z niebieskich porcelanowych spodków, niczym piękną ozdobę, dokładając do tego po porcji irlandzkiego masła oraz gorącą babeczkę. Wszystko było zaaranżowane wręcz idealnie – zupełnie jak w wykwintnej restauracji – lecz nie było w tym geście nic sztucznego czy nienaturalnego. W oczach ubogich klarysek świat był piękny; zignorowanie tego faktu oznaczało zaprzeczenie istnieniu Boga.

Alice Chen zeszła z dormitorium i zjadła trzy babeczki z ogromną ilością truskawkowych konfitur. Vicki i Maya siedziały w rogu i coś szeptały, od czasu do czasu kierując spojrzenia w stronę Gabriela. Siostry piły herbatę i rozmawiały na temat poczty, która dotarła wraz z kapitanem Foleyem. Mniszki modliły się za dziesiątki ludzi z całego świata i rozmawiały o tych obcych sobie ludziach – kobiecie chorującej na białaczkę, mężczyźnie pozbawionym nóg, jakby to byli ich najbliżsi przyjaciele. Złe nowiny przyjmowały z powagą. Natomiast na dobre reagowały perlistym śmiechem i wybuchem nieskrywanej radości. Można było odnieść wrażenie, że któraś z nich obchodzi właśnie urodziny.

Gabriel wciąż myślał o ciele ojca i białym muślinowym prześcieradle, które przypominało mu pajęczynę utkaną na pradawnym grobowcu. Czy jego ojciec wciąż przebywał w innym wymiarze? Nie było żadnego sposobu uzyskania odpowiedzi na to pytanie, ale przypominał sobie, jak Mother

Blessing powiedziała mu, dlaczego ojciec przybył na tę wysepkę.

– Przepraszam – odezwał się Gabriel. – Chciałbym zrozumieć, dlaczego mój ojciec zdecydował się przyjechać tutaj. Mother Blessing mówiła coś o manuskrypcie napisanym ręką świętego Kolumby.

– Manuskrypt znajduje się w kaplicy – wyjaśniła siostra Ruth. – Wcześniej przechowywano go w Szkocji, ale powrócił na wyspę jakieś pięćdziesiąt lat temu.

– O czym napisał Kolumba?

– To relacja dotycząca wiary – swego rodzaju wyznanie, w którym święty opisał swoją podróż do piekieł.

– Pierwszy wymiar.

– Nie wierzymy w ten wasz szczególny system i z całą pewnością nie dajemy wiary temu, że Jezus był Travelerem.

– On jest Synem Bożym – oznajmiła siostra Joan.

Siostra Ruth przytaknęła.

– Chrystus został poczęty z Ducha Świętego i narodził się z Dziewicy Maryi. Został ukrzyżowany i pogrzebany, a potem trzeciego dnia wstał z martwych – spojrziała na pozostałe mniszki. – Wszystko to są podwaliny naszej wiary chrześcijańskiej. Ale naszym zdaniem nie wyklucza to idei, wedle której Bóg pozwolił niektórym ludziom stać się Travelerami, a ci Travelerzy mogli zostać wizjonerami lub prorokami albo świętymi.

– A zatem Kolumba był Travelerem?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale jego duch dotarł do miejsca przekłętego, powrócił stamtąd i opisał to miejsce. Twój ojciec spędził dużo czasu, tłumacząc ten manuskrypt. A kiedy nie było go w tej kaplicy...

– Spacerował po całej wyspie – wtrąciła siostra Faustyna z silnym polskim akcentem. – Wspiął się na górę i spoglądał na morze.

– Czy mogę udać się do kaplicy? – zapytał Gabriel. – Chciałbym zobaczyć ten manuskrypt.

– Tam nie ma elektryczności – powiedziała siostra Ruth. – Będziesz musiał użyć świec.

– Chciałbym zobaczyć, co czytał mój ojciec.

Cztery mniszki spojrzały na siebie i najwyraźniej podjęły wspólną decyzję. Siostra Maura wstała i podeszła do komody.

– Na ołtarzu jest dostatecznie dużo świec, ale zapewne będziesz potrzebował zapalek. Zamknij drzwi, inaczej wiatr zdmuchnie płomień.

Gabriel zapiął zamek kurtki, następnie wyszedł z kuchni. Jedyne światło zapewniały gwiazdy oraz księżyc w trzeciej kwadrze. Wieczorem cztery budowle w kształcie pszczelich uli oraz kaplica wyglądały jak ciemne pagórki ze skały i błota, jak grobowce władców z epoki brązu. Starając się nie potknąć na nierównej ścieżce, przeszedł obok dormitorium mniszek i budynku nazywanego całą świętego, gdzie mieszkała teraz Mother Blessing. Słabe niebieskawe światło przebijało przez górne okno tego budynku. Gabriel zastanawiał się, czy Arlekinka z Irlandii podłączyła komputer do satelitarnego telefonu.

Zszedł po stopniach na niższy taras i otworzył niezamknięte na klucz drzwi kaplicy. Nie mógł rozeznaczyć się w mroku, do chwili kiedy zapalił trzy duże świece z pszczelego wosku, których płomyki miały ciemnożółtą barwę.

Ołtarz kaplicy miał kształt i rozmiary niewielkiej komody. Drewniany krzyż wisiał u szczytu, reszta skrzyni była udekorowana płaskorzeźbami przedstawiającymi syreny, morskie potwory oraz człowieka, z którego ust wyrastały pędy bluszczu. Klękając przed ołtarzem, Gabriel znalazł pęknięcie, które prowadziło do środkowej szuflady, nie mógł jednak znaleźć rączki ani uchwyty.

Ciągnął i naciskał każdy element płaskorzeźby, lecz żadna z pogańskich dekoracji nie otwierała szuflady. Zamierzał już zrezygnować i wrócić do budynku kuchennego po dalsze instrukcje, kiedy pociągnął drewniany krzyż o centymetr do przodu. Natychmiast rozległo się skrzypnięcie i szuflada ustąpiła.

Wewnątrz znajdował się duży przedmiot owinięty w czarną tkaninę, niewielki studencki notes w tekturowej oprawie oraz dwie książki. Gabriel rozwinął tkaninę i znalazł w środku manuskrypt z ciężkimi okładkami z cielecej skóry oraz kartami z papieru welinowego. Pierwsza strona przedstawiała malowaną ilustrację świętego Kolumby, stojącego nad brzegiem rzeki. Księga liczyła sobie setki lat, mimo to kolory wciąż były żywe. Na następnej stronie obok ryciny znajdował się początek spowiedzi irlandzkiego świętego, spisany po łacinie.

Gabriel sięgnął ponownie do szuflady i sprawdził pozostałe książki. Jedną z nich był bardzo zużyty słownik angielsko-łaciński, drugi wolumin, nie mniej zniszczony, okazał się podręcznikiem dla studentów pierwszego roku filologii klasycznej. Otworzył notes i natrafił na przekład manuskryptu, spisany przez ojca. Regularne pismo przypomniało Gabrielowi listę zakupów, którą ojciec zwykł przypinać do tablicy zawieszanej w kuchni na farmie. On i Michael zwykle spoglądali na listę każdego ranka, żeby sprawdzić, czy ich rodzice zdecydowali się kupić cukierki czy też jakiś inny smakołyk na kolację.

Trzymając notes blisko płomyka świecy, Gabriel zaczął czytać relację z przeżyć świętego w pierwszym wymiarze.

„Cztery dni po uczczeniu Wniebowstąpienia Maryi Dziewicy moja dusza opuściła ciało i opadła w to przekłete miejsce.”

Gabriel odwrócił stronę, starając się czytać jak najszybciej.

„Są tam demony pod postacią ludzi i żyją na wyspie pośrodku mrocznej rzeki. Źródłem światła jest tam ogień” – w tym miejscu jego ojciec przekreślił ostatnie słowa i usiłował znaleźć inne alternatywne wyrazy. „Źródłem światła są płomienie, a słońce jest zakryte.”

Na ostatniej stronie notesu Matthew podkreślił kilka linijek.

„Zabrakło mi wiary. Zabrakło mi nadziei. Nieznane są szlaki. Jednak dzięki Boskiemu Miłosierdziu, znalazłem drogę i moja dusza powróciła do kaplicy.”

Sięgając po dwunastowieczny manuskrypt, Gabriel zaczął odwracać stronicę z papieru welinowego i przyglądać się ilustracjom. Kolumba miał biały habit i złotą aureolę nad głową, co miało symbolizować jego świętość. Nie widział jednak żadnych demonów ani diabłów w tym przedstawieniu piekła, jedynie ludzi odzianych w średniowieczne szaty oraz noszących miecze lub włócznie. Święty obserwował z oddali rozbitą wieżę, mieszkańcy piekła torturowali się oraz mordowali nawzajem z nieposkromionym okrucieństwem.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi i odwrócił się od ołtarza. Jakaś postać przemknęła w cieniu i weszła w niewielki krąg oświetlony płomieniem świecy. Maya. Zarzuciła na siebie czarny mnisi pled. Idąc za przykładem Mother Blessing, odłożyła na bok metalową pochwę i nosiła otwarcie arlekiński miecz. Pasek od futerału przecinał jej tors, a rękojeść miecza wystawała ponad lewego barku.

– Czy znalazłeś tę księgę?

– Tak. Ale tu jest coś więcej. Mój ojciec nie znał łaciny, ale pracował z zapalem nad przekładem i zapisał tłumaczenie w notesie. Podróż świętego Kolumby do pierwszego wymiaru. Sądzę, że ojciec chciał dowiedzieć się więcej na temat tego miejsca, zanim się tam udał.

Po twarzy Mai przez moment przebiegł wyraz bólu. Jak zwykle wydawało się, że wie, co on zamierza.

- On może być wszędzie, Gabrielu.
- Nie, on jest w pierwszym wymiarze.
- Nie musisz przenosić się do innego wymiaru. Ciało twojego ojca wciąż jest na tym świecie.

Jestem pewna, że w końcu wróci.

Gabriel się uśmiechnął.

- Nie znam nikogo, kto z ochotą wróciłby do Mother Blessing.

Maya pokręciła głową i zaczęła się przechadzać.

– Znam ją, odkąd byłam małą dziewczynką. Odnosiła się w sposób pogardliwy i poniżający do każdego...

- Czy zawsze była taka porywcza?

– Kiedyś podziwiałam jej odwagę i urodę. Wciąż pamiętam, jak jechałam razem z nią pociągami do Glasgow. Była to niespodziewana podróż – nie miałam czasu się przygotować – a Mother Blessing nie miała przy sobie peruki ani żadnego przebrania. Pamiętam, jak mężczyźni na nią patrzyli. Czuli jej kuszącą siłę, ale jednocześnie wyczuwali w niej coś niebezpiecznego.

- I podziwiałaś ją?

– To było dawno temu, Gabrielu. Teraz usiłuję odnaleźć własną ścieżkę. Nie jestem obywatelem ani trutniem, ale też nie jestem czystej krwi Arlekinką.

- Kim zatem tak naprawdę chciałybyś być?

Maya zatrzymała się przed nim i usiłowała ukryć swoje uczucia.

– Nie chcę być sama, Gabrielu. Arlekinini mogą mieć dzieci i rodziny, lecz nigdy nie będą z nimi tak naprawdę związani. Pewnego razu ojciec wziął mój miecz i powiedział do mnie: „To twoja rodzina, twój przyjaciel i twój kochanek”.

Prowadzili rozmowę – słowa unosiły się w chłodnym powietrzu – lecz nagle, zupełnie jak za sprawą magicznego zaklęcia doszło do transformacji. Wyspa oraz kaplica gdzieś zniknęły, a oni byli całym światem. Gabriel nie widział już żadnej tajemnicy w oczach Mai, nic fałszywego. Byli połączeni z sobą w jakiś głęboki sposób, daleko głębszy niż ich więź Travelera i Arlekinki.

Wiatr otworzył drzwi do kaplicy, próbując ich siłę i usiłując znaleźć drogę do wnętrza. Gabriel pochylił się i pocałował Mayę długo, lecz ona wyrwała się z jego objęć. Potężna tradycja została w ten sposób zniszczona niczym skrawek papieru rzucony w ogień. Pragnienie, jakie odczuwał od tyłu miesiący, odsunęło na bok wszelkie inne myśli. Kiedy patrzył na nią, odniósł wrażenie, że nie dzielą już ich żadne bariery.

Delikatnie zdjął miecz z jej ramienia i położył go na drewnianej ławce. Odwrócił się do niej, odsunął włosy z jej twarzy i ponownie pograżyli się w pocałunku. Maya znów usiłowała go odepchnąć, tym razem jednak z mniejszym przekonaniem. Szeptła mu do ucha:

- Zostań tu, Gabrielu. Proszę. Zostań tu...

Godzinę później leżeli razem na podłodze, owinięci czarnym wełnianym pledem. W kaplicy wciąż było chłodno, oni zaś byli ubrani tylko do pasa. Koszula Gabriela leżała rzucona niedbale na ławce, a Maya czuła ciepło jego skóry, która dotykała jej piersi. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie. Czuła jego objęcia. Po raz pierwszy w życiu zaznała chwili, kiedy ktoś ją chronił.

Była kobietą u boku kochanka, lecz jej arlekińska tożsamość wciąż się czaiła, jak duch w domu, w którym panują ciemności. Nagle odsunęła się od Gabriela i usiadła.

– Otwórz oczy, Gabrielu.

– Dlaczego?

– Musisz stąd wyjść.

Obdarzył ją zaspanym uśmiechem.

– Nic się przecież nie wydarzy...

– Ubierz się i wróć do magazynu. Arlekinini nie mogą wiązać się uczuciowo z Travelerami.

– Może porozmawiam z Mother Blessing.

– Nawet o tym nie myśl. Nie możesz jej nic powiedzieć i nie możesz się zachowywać inaczej niż zwykle. Nie dotykaj mnie, kiedy ona będzie w pobliżu. Nie patrz mi w oczy. Porozmawiamy o tym później. Obiecuję. Ale teraz musisz się ubrać i wyjść stąd.

– To nie ma sensu, Mayu. Jesteś przecież dorosła. Mother Blessing nie może przez całe życie dyrygować tobą.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ona jest niebezpieczna.

– Wiem tylko, że chodzi po tej wyspie, wydaje rozkazy i każdego obraża.

– Zrób to dla mnie. Proszę.

Gabriel westchnął, ale wykonał jej polecenie. Powoli naciągnął na siebie koszulę, włożył buty i kurtkę.

– To wydarzy się ponownie – oznajmił.

– Nie. Nie wydarzy się.

– Oboje tego chcemy. Wiesz przecież, że to prawda...

Pocałował ją w usta i wyszedł z kaplicy. Kiedy drzwi się zamknęły ze skrzypnięciem, Maya wreszcie mogła się odprężyć. Da mu czas na dotarcie do budynku magazynu, poczeka kilka minut i potem sama się ubierze. Owinęła się wełnianym pledem, leżała plecami na gołej podłodze. Gdyby zwinęła się w kłębek, mogłaby utrzymać ciepło ciała Travelera, który przytulał się do niej, zachowując ten moment bliskości i ekscytacji. Jej wspomnienia pobiegły ku chwili, kiedy wyraziła życzenie na Moście Karola w Pradze. Żeby ktoś mnie pokochał i żebym odwzajemniła jego miłość.

Zapadała już w senność, kiedy otwierane drzwi zaskrzypiały i ktoś wszedł do kaplicy. Przez chwilę odczuwała przyjemne zaskoczenie, przekonana, że to Gabriel powrócił, chcąc znów się z nią zobaczyć. Wtedy usłyszała czyjeś mocne, szybkie kroki na drewnianej podłodze.

Silne palce chwyciły ją za włosy i pociągnęły w górę. Jakaś dłoń uderzyła ją w twarz, cofnęła się i uderzyła ponownie.

Maya otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą Mother Blessing. Irlandzka Arlekinica zrzuciła teraz zakonny habit i miała na sobie czarny sweter i spodnie.

– Ubierz się – nakazała jej, chwyciła bluzkę Mai i rzuciła w jej kierunku.

Maya zdjęła pled i włożyła na siebie bluzkę, z trudem zapinając guziki. Jej stopy wciąż były bose, buty i skarpetki leżały rozrzucone na podłodze.

– Jeśli mnie okłamiesz, zabiję cię tu przed tym ołtarzem. Czy rozumiesz, co mówię?

– Tak.

Maya skończyła zapinać bluzkę i stanęła na równe nogi. Jej miecz znajdował się o jakieś dwa i pół metra dalej na ławce.

– Czy jesteś kochanką Gabriela?

– Tak.

– Kiedy to się zaczęło?

– Dziś wieczorem.

– Mówiłam ci, żebyś mnie nie okłamywała!

– Przysięgam, że to prawda.

Mother Blessing zrobiła krok do przodu i chwyciła Mayę prawą dłonią za podbródek. Spoglądała badawczo w twarz młodej kobiety, szukając jakichś znaków oszustwa lub wahania. Potem popchnęła ją.

– Toczyłam spory z twoim ojcem, ale zawsze darzyłam go szacunkiem. Był Arlekinem z prawdziwego zdarzenia, godnym naszej tradycji. Ty jednak jesteś nikim. Zdradziłaś nas.

– To nieprawda – Maya dokładała starań, by jej głos brzmiał mocno i pewnie. – Odnalazłam Gabriela w Los Angeles. Chroniłam go przed Tabularni...

– Czy ojciec cię nie nauczył? Czy też ty nie chciałaś go słuchać? My chronimy Travelerów, lecz nie wiążemy się z nimi uczuciowo. Teraz ty oddałaś się tej słabości i sentymentowi.

Bose stopy Mai dotknęły zimnych desek, gdy zrobiła kilka kroków w prawo i sięgnęła po miecz. Przełożyła pasek przez głowę, a futerał dotknął jej pleców.

– Znałaś mnie, kiedy dorastałam – oznajmiła. – Pomagałaś memu ojcu zniszczyć moje życie. Arlekini rzekomo wierzą w przypadkowość. Cóż, w moim dzieciństwie nie było nic przypadkowego! Byłam policzkowana, zbierałam kopniaki i wykonywałam rozkazy twoje i każdego innego Arlekina, który pojawiał się w Londynie. Nauczono mnie zabijać bez wątpliwości czy wahania. Zabiłam tamtych ludzi w Paryżu, kiedy miałam szesnaście lat...

Mother Blessing zaśmiała się cicho.

– Biedna mała dziewczynka. Ależ mi przykro. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Czy chcesz, żebym się nad tobą użalała? Czy sądzisz, że moje dzieciństwo wyglądało inaczej? Pierwszego najemnika Tabulów zabiłam z obrzyna, gdy miałam dwanaście lat! I wiesz, w co byłam ubrana? W białą sukienkę od komunii. Matka wystroiła mnie w nią, żebym mogła podejść bliżej ołtarza i nacisnąć spust.

Przez kilka sekund Maya widziała ślad cierpienia w oczach starszej kobiety. Wyobraziała sobie też dziecko w białej sukience, które stoi pośrodku rozległej katedry, obryzgane krwią. Jednak ten moment minął, a na twarzy Mother Blessing znów pojawił się gniew, jeszcze bardziej intensywny.

– Jestem Arlekinką, tak jak ty – Maya obstawała przy swoim. – A to znaczy, że nie możesz wydawać mi rozkazów...

Mother Blessing wyciągnęła miecz oburącz, zakręciła nim nad głową i zakończyła paradę, kierując szpic klingi ku podłodze.

– Zrobisz to, co ci każę. Twój związek uczuciowy z Gabrielem dobiegł końca. Nigdy więcej już go nie zobaczysz.

Maya podniosła powoli prawą rękę, chcąc pokazać, iż nie zamierza przystąpić do natychmiastowego ataku. Wyciągnęła miecz z futerału i trzymała go szpicem ku górze, płasko przy piersi.

– Zadzwoń jutro do kapitana Foleya i powiedz mu, żeby zabrał nas z tej wyspy. Będę chronić Gabriela, ty zaś zapewnisz ochronę jego ojcu.

– To nie jest przedmiotem dyskusji. Żadnych kompromisów. Poddasz się mej władzy.

– Nie.

– Spałaś z Travelerem i zakochałaś się w nim. Ten rodzaj emocji stwarza dla niego zagrożenie – oznajmiła oschle Mother Blessing i uniosła miecz. – Ponieważ pokonałam własny strach, potrafię wzbudzać go w innych. Ponieważ nie dbam o własne życie, wszyscy moi wrogowie giną. Twój ojciec próbował przekazać ci tę prawdę, lecz ty okazałaś się zbyt buntownicza. Być może potrafię sprawić, że mnie posłuchasz...

Mother Blessing wysunęła do przodu lewą nogę. Był to ruch pełen gracji i dobrze przećwiczony

– jak początek tańca. Potem ruszyła do przodu, atakując szybkimi, ostrymi ruchami nadgarstków i rąk. Przecinała powietrze i wykonywała sztychy z nieposkromioną siłą, natomiast Maya ustępowała jej pola i usiłowała jedynie się bronić. Płomień świecy migotał, a ciszę przerwał szcęk uderzających o siebie mieczy.

O jakiś metr od ołtarza Maya przeskoczyła na drugą stronę kaplicy, jak nurek wyłaniający się z wody. Wykonała salto, oddalając się od drugiej Arlekinki, cofnęła się i ponownie uniosła miecz.

Mother Blessing ponowiła atak, zmuszając Mayę do przesuwania się w stronę ściany. Wykonała natarcie mieczem do prawej, potem obróciła klingę, w ostatnim momencie chwytając miecz Mai tuż przy jelcu, i wyrwała jej oręż z rąk. Miecz przeleciał nad ołtarzem i wylądował po drugiej stronie kaplicy.

– Okażesz mi posłuszeństwo – zażądała Mother Blessing. – Posłuszeństwo albo pogodzisz się z konsekwencjami.

Maya uparcie milczała.

Bez ostrzeżenia czubek miecza Mother Blessing śmignął tuż przy torsie Mai, potem cofnął się i przeciął jej lewą rękę. Znów się cofnął i przeciął skórę na prawym ręku. Trzy rany były jak trzy oparzenia na ciele. Maya spojrzała w oczy Arlekinki i zrozumiała, że w następnej chwili miecz może zakończyć jej żywot. Zachowywała milczenie do momentu, kiedy ta myśl dotarła do niej z pełną mocą. Odrzuciła wówczas dumę.

– Pozwól mi zobaczyć Gabriela po raz ostatni.

– Nie.

– Okażę ci posłuszeństwo, ale muszę się z nim pożegnać.

22

Fundacja Evergreen zajmowała cały biurowy budynek przy Fifty-fourth Street i Madison Avenue na Manhattanie. Większość zatrudnionych sądziła, że pracuje dla organizacji non profit, która rozdaje dotacje na prace badawcze oraz nadzoruje wydatkowanie tychże funduszy. Tylko niewielka grupa pracowników z biurami na najwyższych ośmiu piętrach zajmowała się mniej jawną działalnością Bractwa.

Nathan Boone wszedł przez obrotowe drzwi i wkroczył do holu. Rzucił okiem na dekoracyjny wodospad oraz mały gaj sztucznych świerków ustawionych blisko okien. Architekci nalegali na umieszczenie wiecznie zielonych roślin, ale każda sadzonka więdła i obumierała, pozostawiając po sobie szkaradny dywan zbrązowiałych igieł. Ostatecznym rozwiązaniem było utworzenie gaju sztucznych drzewek z wymyślną siecią dostarczającą zapach sosnowego igliwia. Wszyscy woleli imitacje wiecznie zielonych roślin: wydawały się bardziej prawdziwe niż te rosnące w lesie.

Boone podszedł do biurka ochrony, umiejscowionego w skromnym żółtym boksie, i pozwolił strażnikom przyjrzeć się jego oczom. Gdy tożsamość Boone'a została zweryfikowana, ochroniarz spojrział na ekran monitora.

– Dzień dobry, panie Boone. Jest pan upoważniony do wejścia na osiemnaste piętro.

– Jakież dodatkowe informacje?

– Nie, sir. To wszystko, co jest tu napisane. Pan Raymond odprowadzi pana do odpowiedniej windy.

Boone podążył za drugim strażnikiem do ostatniej windy w korytarzu holu. Mężczyzna przesunął kartę identyfikacyjną przed czujnikiem i wkroczyli do środka, zanim drzwi się zamknęły. Gdy tylko

winda ruszyła, zamontowana w niej kamera wideo zaczęła skanować twarz Boone'a oraz weryfikować ten obraz z danymi na serwerze Fundacji.

Tego ranka Boone odebrał e-mail, w którym poproszono go o spotkanie z członkami zarządu Bractwa. Był to fakt zupełnie niezwykły. W ciągu ostatnich kilku lat, Boone spotykał zarząd tylko z inicjatywy Nasha. Jak dotąd sądził, że generał wciąż przebywa na Dark Island na Rzece Świętego Wawrzyńca.

Drzwi windy otworzyły się i Boone wszedł do pustej poczekalni. W recepcji nie zastał nikogo, zauważył jednak głośniczek na biurku.

– Witam, panie Boone – głos, który wydobył się z głośnika, był generowany komputerowo, ale sprawiał wrażenie, że posługuje się nim prawdziwa osoba – młoda, bystra i zdolna kobieta.

– Dzień dobry.

– Proszę poczekać chwilę w recepcji. Damy panu znać, kiedy spotkanie się rozpocznie.

Boone usiadł na zamuszonej kanapie obok szklanego stolika na kawę. Nigdy jeszcze nie był na osiemnastym piętrze i nie miał zielonego pojęcia, jaki rodzaj sprzętu ocenia jego reakcje. Niezwykle czuły mikrofon mógł bowiem słuchać bicia jego serca, podczas gdy ukryta kamera na podczerwień monitorowała zmiany temperatury jego skóry – ludzie rozżłoszczeni lub przestraszeni mieli zarumienioną skórę i przyspieszone bicie serca. Komputer potrafił zanalizować te dane i przewidzieć prawdopodobieństwo gwałtownego zachowania.

Słysząc było nagle brzęczenie, a potem szuflada w biurku recepcyjnym się otworzyła.

– Czujniki zaalarmowały nas, że posiada pan pistolet – powiedział głos z komputera. – Proszę go włożyć do szuflady. Zostanie panu zwrócony po zakończeniu spotkania.

Boone obszedł biurko i wbił wzrok w otwartą szufladę. Mimo że pracował dla Braci prawie od ośmiu lat, nigdy nie został poproszony o oddanie osobistej broni. Zawsze był godnym zaufania i posłusznym pracownikiem. Czyżby zaczęli wątpić w jego lojalność?

– Ponawiam prośbę – powtórzył głos. – Odmowa podporządkowania się może być uznana za naruszenie zasad bezpieczeństwa.

– Jestem odpowiedzialny za ochronę – oznajmił Boone, po czym uświadomił sobie, że mówi do maszyny.

Odczekał kilka sekund tylko po to, by udowodnić swoją niezależność, i wyjął broń z kabury. Gdy umieścił ją w szufladzie biurka, trzy wiązki światła otoczyły broń ścisłym trójkątem. Szuflada wślizgnęła się na miejsce, a Boone powrócił na kanapę. Nie miał nic przeciwko skanowaniu przez maszynę, ale irytowało go, że jest traktowany jak kryminalista. Oczywiście, program nie był tak skalibrowany, by okazywać odmienne stopnie szacunku.

Wpatrzył się w wielki obraz wiszący na ścianie naprzeciwko. Przedstawiał pastelową plamę z nogami, przypominającą rozgniecione pająka. Troje drzwi, każde pomalowane na inny kolor, znajdowało się na końcu pomieszczenia. Nie było innego wyjścia poza windą, a i tę kontrolował komputer.

– Zebranie zaraz się rozpocznie – przemówił głos. – Proszę przejść przez niebieskie drzwi i iść do końca korytarza.

Boone wstał powoli, starając się nie okazać ogarniającej go irytacji.

– Również życzę miłego dnia – zwrócił się do maszyny.

Niebieskie drzwi wsunęły się płynnie w ścianę w chwili, gdy czujniki wykryły jego ciało. Ruszył korytarzem, by dojść do stalowych drzwi, na których nie było żadnej skazy ani plamy, a także zamka ani klamki. Gdy te drzwi się rozsunęły, wszedł do sali konferencyjnej z potężnymi oknami, przez które było widać sylwetkę drapaczy chmur Manhattanu na tle nieba. Dwoje członków zarządu

Bractwa siedziało za długim czarnym stołem – doktor Anders Jensen i pani Brewster, Brytyjka, która przeforsowywała wdrożenie nowego programu Cień w Berlinie.

– Dzień dobry, Nathanie. – Pani Brewster zachowywała się, jakby był kimś w rodzaju posłańca, który wpadł na chwilę do jej mieszkania w South Kensington. – Podejrzewam, że znasz doktora Jensena z Danii.

Boone skinął głową Jensenowi.

– Spotkaliśmy się w zeszłym roku w Europie.

Trzecia osoba stała naprzeciw okien, przyglądając się miastu. Był to Michael Corrigan. Parę miesięcy temu Boone pojmał go w Los Angeles i przetransportował na Wschodnie Wybrzeże. Widział wtedy młodego, przerażonego i zmieszanego mężczyznę, a teraz zauważył ogromną zmianę. Traveler promieniował pewnością siebie oraz poczuciem władzy.

– To ja domagałem się tego spotkania – powiedział. – Dziękuję za przybycie mimo tak późnego powiadomienia.

– Michael wspiera teraz nasze wysiłki – oznajmiła pani Brewster. – W pełni rozumie też nasze nowe cele.

„Ale jest Travelerem”, pomyślał Boone. „Zabijaliśmy takich jak on od tysięcy lat. „Poczuł impuls, by chwycić panią Brewster i potrząsnąć nią z całej siły, jakby przed chwilą podpałiła własny dom. Czemu to robisz? Czy nie dostrzegasz zagrożenia?

– A jakie są nasze nowe cele? – zapytał na głos. – Bracia uczynili wszystko, co możliwe, by skonstruować Panoptikon. Czy cele zmieniły się w ciągu ostatnich kilku tygodni?

– Cel się nie zmienia, ale teraz staje się realny – do rozmowy dołączył Michael. – Jeśli program Cień zadziała w Berlinie, będziemy mogli potem rozprzestrzenić go na Europę i Amerykę Północną.

– To dotyczy centrum komputerowego – odparł Boone. – Moją pracą jest ochrona Bractwa przed atakami jego wrogów.

– I nie spisałeś się najlepiej w spełnianiu tego obowiązku – wtrącił doktor Jensen. – Nasz ośrodek badawczy w Westchester został napadnięty i prawie zniszczony, ukończenie prac nad komputerem kwantowym znacząco się opóźniło, a ostatniej nocy Hollis Wilson poturbował kilku twoich ludzi w klubie tanecznym na Manhattanie.

– Spodziewaliśmy się starcia naszych najemników – powiedziała pani Brewster. – Ale naprawdę martwi nas to, że Hollis Wilson zdołał uciec.

– Potrzebuję większej ekipy.

– Gabriel i jego przyjaciele nie są bezpośrednim problemem – odparł Michael. – Musisz się skupić na odnalezieniu mojego ojca.

Boone zawahał się i zaczął ostrożnie.

– W ostatnim czasie otrzymuję różne instrukcje z różnych źródeł.

– Mój brat nigdy nie był zdolny do zorganizowania czegokolwiek. Był tylko motocyklowym kurierem w Los Angeles, gdy wasi ludzie nas wytropili. Mój ojciec był przez całe życie Travelerem i wiemy, że zainspirował powstawanie alternatywnych wspólnot. Matthew Corrigan jest niebezpieczny i dlatego jest naszym celem. Oto pańskie rozkazy, panie Boone.

Pani Brewster pokiwała nieznacznie głową na znak zgody. Boone poczuł się, jakby wielkie okno się roztrzaskało i wszędzie leżały odłamki szkła. W imieniu Braci przemawiał Traveler, jeden z ich wrogów.

– Jeżeli właśnie tego pan sobie życzy...

Michael przeszedł powoli przez pokój. Wbił wzrok w Boone'a, jakby właśnie usłyszał jego nielojalne myśli.

– Tak, panie Boone. Jestem odpowiedzialny za odnalezienie mojego ojca. I tego właśnie sobie życzę.

23

Gabriel usłyszał, jak drzwi magazynu otwierają się z trzaskiem, potem dobiegł go stukot ciężko podbitych butów na schodach. Wciąż owinięty w gruby pled, przewrócił się na plecy i otworzył oczy. Siostra Faustyna, polska zakonnica, wkroczyła do środka z drewnianą tacą. Postawiła śniadanie na podłodze i oparła ręce na talii.

– Spisz?

– Już nie.

– Twoi przyjaciele obudzili się jakiś czas temu. Po śniadaniu udaj się do kaplicy.

– Dziękuję, siostrzo Faustyno. Tak zrobię.

Rosła kobieta została przy klatce schodowej, przypatrując się Gabrielowi jak jakiemuś nowemu gatunkowi morskiego ssaka, który obmywa swoje ciało na brzegu wyspy.

– Rozmawialiśmy z twoim ojcem. To człowiek wielkiej wiary – powiedziała, wciąż wpatrując się w niego i głośno wzdychając. Gabriel poczuł się, jak gdyby oblał jakiś egzamin. – Modlimy się za twojego ojca każdej nocy. Możliwe, że jest w ciemnym miejscu. Prawdopodobnie nie może znaleźć drogi do domu...

– Dziękuję, siostrzo.

Siostra Faustyna skinęła głową i zeszła na dół. W pokoju było zimno, więc Gabriel ubrał się szybko. Zakonnica zostawiła mu dzbanek herbaty, bochenek ciemnego chleba, masło, dżem morelowy i gruby plaster sera cheddar. Gabriel był głodny, więc zjadł błyskawicznie, przerywając ucztę tylko na moment, by dolać sobie herbaty.

Czy naprawdę kochali się z Mają zeszłej nocy? W zimnym magazynie promienie słońca przebijały się nieśmiało przez okrągłe okna. Ten moment w kaplicy był odległy i zjawiskowy. Zapamiętał pierwszy, długi pocałunek, drgające płomienie świec, gdy ich ciała stworzyły jedność, a później się rozdzieliły. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, czuł jak wszystkie obronne fortyfikacje Mai kruszeją i mógł ją zobaczyć wyraźnie. Kochała go i troszczyła się o niego, a jego własne uczucia wpływały w nią. Oboje na chwilę oddalili się od zwyczajnego świata i teraz te dwa fragmenty układanki w jakiś sposób zetknęły się z sobą ściśle.

Wkładając kurtkę, wyszedł z magazynu i podążył kamienną ścieżką, mijając inne budynki. Niebo było przejrzyste, ale był to surowy, zimny dzień z północnym wiatrem przeciskającym się między lichą trawą a ostami. Ciemny dym ciągnął się z komina kuchni, ale Gabriel ominął ciepłe, kuszące wnętrza i udał się wprost do kaplicy.

Zauważył Mayę na ławce z mieczem w pochwie spoczywającym na nogach. Mother Blessing, ubrana w czarny golf i czarne spodnie, cofnęła się o krok, by stanąć naprzeciw ołtarza. Gdy wszedł do pomieszczenia, rozmowa między Arlekinkami ucichła.

– Siostra Faustyna powiedziała, że mam tu przyjść.

– Zgadza się – odparła Mother Blessing. – Maya ma ci coś do powiedzenia.

Maya spojrzała na Gabriela z góry w taki sposób, że poczuł się, jakby został ugodzony nożem. Wojownicza pewność siebie młodej Arlekinki zniknęła. Wydawała się smutna i pokonana, a Gabriel zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób Mother Blessing dowiedziała się o ich nocy.

– To niebezpieczne, gdy dwoje Travelerów znajduje się w tym samym miejscu – powiedziała

Maya. Jej głos był bezbarwny i pozbawiony emocji. – Skontaktowałyśmy się z kapitanem Foleyem przez telefon satelitarny. Odpłyniesz dzisiejszego ranka razem z Mother Blessing i powrócisz na kontynent. Zabierze cię do bezpiecznego miejsca, gdzieś w Irlandii. Ja pozostanę tutaj i zajmę się twoim ojcem.

– Jeżeli muszę odejść, chcę, byś wyjechała ze mną.

– Już postanowiłyśmy – ucięła Mother Blessing. – Nie masz wyboru. Ochraniałam twojego ojca przez sześć miesięcy. Teraz będzie to powinność Mai.

– Nie rozumiem, dlaczego Maya i ja nie możemy zostać razem.

– My wiemy, co jest najlepsze, żebyś przeżył.

Maya ścisnęła pochwę miecza, jak gdyby broń miała ją wybawić od tej rozmowy. Jej twarz wyrażała rozpacz, więc odwróciła oczy i wbiła wzrok w podłogę.

– To jest najbardziej logiczna decyzja, Gabrielu. I tak właśnie powinni postępować Arlekini: podejmować przemyślane, logiczne decyzje dotyczące ochrony Travelerów. Mother Blessing jest dużo bardziej doświadczona niż ja. Ma dostęp do broni i niezawodnych najemników.

– I nie zapomnij o Vicki Fraser i małej dziewczynce – powiedziała Mother Blessing. – Będą bezpieczne tu, na wyspie. Podróż z dzieckiem sprawia trudności.

– Jak dotąd nie zawiedliśmy.

– Mielicie szczęście – Mother Blessing zwróciła się ku jasnemu oknu za ołtarzem. Za nim było widać skrawek morza. Gabriel chciał się spierać z Arlekiną, ale coś w tej Irlandce bardzo go niepokoiło. Przez lata Gabriel widział bez liku bójek w barach i na ulicy, gdzie dwóch pijaków znieważało się nawzajem i wymierzali sobie razy. Mother Blessing przekroczyła tę granicę przed wieloma laty. Jeśli się ją sprowokuje, zaatakuje natychmiast, pozbawiona wszelkich hamulców.

– Kiedy znów cię zobaczę? – zapytał Mayę.

– Gdzieś za rok może będzie mogła opuścić wyspę – odpowiedziała Mother Blessing. – Może to nastąpić wcześniej, oczywiście, jeśli twój ojciec wróci do tego świata.

– Rok? Przecież to szaleństwo.

– Łódź zjawi się tu w ciągu dwudziestu minut, Gabrielu. Przygotuj się do drogi.

Rozmowa była skończona. Oszołomiony Gabriel zostawił kobiety i wyszedł z kaplicy. Widział Vicki i Alice stojące na grani. Wspiął się na kamienne schody naprzeciw półki skalnej, okrążając ogród i deszczówkę złapaną w zagłębieniu, potem zaś podążył ścieżką wiodącą do najwyższego punktu na wyspie.

Siedząca na głazie Vicki przypatrywała się granatowemu oceanowi, który otaczał ich ze wszystkich stron. Tu na wyspie Gabriel odnosił wrażenie, że nie istnieje nic poza nią – że tak naprawdę są samotni pośrodku tego świata. Jakieś dziesięć metrów dalej Alice gramoliła się między skałami, przystając co kilka minut, by ciachnąć wysokie chwasty patykiem.

Vicki uśmiechnęła się, gdy Gabriel podszedł do niej i skinął na powitanie.

– Wydaje mi się, że ona chce udawać Arlekina.

– Nie wiem, czy to rozsądny pomysł – odparł Gabriel i usiadł obok Vicki.

Na niebie nad nimi roiło się od głuptaków i burzyków. Ptaki wznosiły się dzięki niewidocznym prądom powietrza wprost do nieba i z powrotem szybowały w dół.

– Opuszczam wyspę – oznajmił Gabriel.

Kiedy relacjonował rozmowę w kaplicy, decyzja Mother Blessing nabierała wagi i znaczenia, niczym odległe miasto, które przebija się przez mgłę. Wiatr wzmagął się i czarno-białe głuptaki zaczęły zawodzić piskliwym płaczem, który wzmógł uczucie samotności Gabriela.

– Nie martw się o swojego ojca, Gabrielu. Maya i ja będziemy go strzegły.

– Jeśli powróci na ten świat, a mnie nie będzie przy nim, co wtedy?

Vicki chwyciła jego rękę i ścisnęła ją kurczowo.

– Wtedy powiemy mu, że ma lojalnego syna, który uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby go odnaleźć.

Gabriel powrócił do magazynu, zapalił świeczkę i zszedł do piwnicy. Ciało jego ojca wciąż spoczywało na kamiennej płycie, przykryte prześcieradłem. Cień Gabriela załamał się na ścianie, gdy siał przykrycie. Włosy Matthew Corriganu były długie i siwe, głębokie zmarszczki rysowały się na czole oraz w kącikach ust. Gdy Gabriel dorastał, każdy twierdził, że wygląda jak jego ojciec, lecz on dopiero teraz dostrzegł to podobieństwo. Miał wrażenie, że patrzy na starszą wersję samego siebie – strudzonego życiem i baczny spoglądaniem w dusze i serca innych.

Klęcząc obok ciała, Gabriel przyłożył ucho do klatki piersiowej ojca. Odczekał kilka minut i zdołał usłyszeć słabe uderzenie. Wydawało mu się, że jego ojciec jest tylko kilka kroków od niego i wzywa go z ciemności. Gabriel powstał, ucałował ojca w czoło i zwrócił się ku schodom. Gdy zamykał klapę w podłodze, do magazynu weszła Maya.

– Czy z twoim ojcem wszystko w porządku?

– Bez zmian – Gabriel zbliżył się do wejścia i objął ją.

Na krótką chwilę odwzajemniła emocje, ściskając go mocno, kiedy on głaskał jej włosy.

– Foley właśnie przypląnął – powiedziała. – Mother Blessing schodzi już kamienną ścieżką do przystani. Musisz ruszyć za nią, bez chwili zwłoki.

– Czy ona wie o poprzedniej nocy?

– Oczywiście, że wie – wiatr wdarł się do środka przez na wpół uchylone drzwi, a Maya postąpiła o krok i zamknęła je z trzaskiem. – Popełniliśmy błąd. Nie dopełniłam zobowiązania.

– Przestań mówić jak Arlekin.

– Jestem Arlekinem, Gabrielu. Nie będę mogła cię ochraniać, dopóki nie stanę się taka jak Mother Blessing. Zimna i wyrachowana.

– Nie wierzę w to.

– Jestem Arlekinem, a ty Travelerem. Już czas, byś zaczął się zachowywać jak jeden z nich.

– O czym ty mówisz?

– Twój ojciec przeszedł do innego wymiaru i może już nie wrócić. Twój brat dołączył do Tabulów. Jesteś jedyną osobą, na którą wszyscy liczą. Wiem, że masz moc, Gabrielu. Teraz musisz jej użyć.

– Wcale o nią nie prosiłem.

– Ja też nie prosiłam się o moje osobliwe życie, ale takie nam dano. Zeszłej nocy oboje próbowaliśmy zapomnieć o swoich obowiązkach. Mother Blessing ma rację. Miłość sprawia, że stajemy się nierozsądni i słabi.

Gabriel zrobił parę kroków naprzód, chcąc ją objąć.

– Mayu...

– Akceptuję swój los. Ty też powinieneś uznać swoje zobowiązania.

– Co zatem powinienem uczynić? Stanąć na czele Free Runnerów?

– Mógłbyś z nimi porozmawiać. To byłby początek. Oni cię podziwiają, Gabrielu. Gdy byliśmy w Vine House, widziałam to w ich oczach.

– W porządku, porozmawiam z nimi. Ale chcę, żebyś była przy mnie.

Maya odwróciła się od Gabriela, żeby nie mógł widzieć jej twarzy.

– Dbaj o siebie – powiedziała napiętym głosem i szybko wyszła. Oddalała się kamienistym stokiem, a wiatr szarpał czarnymi pasmami jej włosów.

Gabriel chwycił torbę i zszedł po kamiennych schodach do przystani. Kapitan Foley siedział w swoim kutrze, majstrując przy silniku. Mother Blessing weszła dziarskim krokiem na betonową płytę.

– Maya dała mi kluczyki od samochodu, który zostawiłeś w Portmagee – zwróciła się do Gabriela. – Pojedziemy na północ do kryjówki w hrabstwie Cavan. Muszę porozumieć się z kilkoma moimi ludźmi i upewnić się, że...

Gabriel jej przerwał.

– Możesz robić, co ci się żywnie podoba, ale ja wracam do Londynu.

Mother Blessing sprawdziła, czy kapitan Foley wciąż jest na kutrze – był za daleko, by usłyszeć ich rozmowę.

– Zgodziłeś się na moją ochronę, Gabrielu. A to oznacza, że ja podejmuję decyzje.

– Mam paru przyjaciół w mieście. Free Runnerów. I chcę z nimi porozmawiać.

– A jeśli się na to nie zgodzę?

– Obawiasz się Tabulów, Mother Blessing? Czy to jest problem?

Arlekinka z Irlandii zmarszczyła brwi, gdy dotknęła czarnej, metalowej pochwy miecza.

Wyglądała jak pogańska królowa, która właśnie została obrażona przez jakiegoś prostaczka.

– Chyba nikt nie żywi cienia wątpliwości, że to oni boją się mnie.

– Dobrze. Ponieważ zamierzam wrócić do Londynu. Jeśli chcesz mnie chronić, musisz pojechać ze mną.

24

Gabriel siedział nieopodal okna na poddaszu Vine House i spoglądał na mały miejski park pośrodku Bonnington Square. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Zapadł już mrok, zimna warstwa mgły unosiła się nad Tamizą i wciskała w ciasne uliczki południowego Londynu. Latarnie dookoła placu tliły się słabym światłem, niczym drobiny ognia pokonywane przez zimniejszą, dużo potężniejszą siłę. Nikogo nie było w parku, jednakże co jakiś czas kolejne grupy młodych mężczyzn i kobiet podchodziły do domu i pukały do drzwi.

Gabriel wrócił do Londynu trzy dni temu. Zatrzymał się w sklepie z instrumentami perkusyjnymi, prowadzonym przez Winstona Abose przy Camden Market. Poprosił Juggera i jego przyjaciół o pomoc, i nie musiał długo na nią czekać. Wieść się rozniosła i Free Runnerzy ze wszystkich zakątków kraju zaczęli przyjeżdżać do Vine House.

Jugger zastukał dwa razy do drzwi, potem wsunął głowę za próg. Wyglądał na podekscytowanego i nieco zdenerwowanego. Gabriel słyszał głosy osób gromadzących się tłumnie na parterze.

– Zjechało się wielu ludzi – powiedział Jugger. – Nasze ekipy przybywają z Glasgow i Liverpoolu. Nawet twój stary kumpel Cutter przyjechał z Manchesteru wraz z przyjaciółmi.

– Zmieścimy się wszyscy?

– Ice zachowuje się jak kierowniczka wakacyjnego obozu. Mówi ludziom, gdzie mają siedzieć. Roland i Sebastian ciągną kable przez korytarz. Dom będzie naszpikowany głośnikami.

– Dzięki, Jugger.

Free Runner zdjął czapkę z dzianiny i z zakłopotaniem uśmiechnął się do Gabriela.

– Słuchaj, stary. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Możemy rozmawiać o wszystkim.

– W czym problem?

– Chodzi o tę kobietę z Irlandii, która jest twoim ochroniarzem. Ponieważ we frontowych drzwiach stał tłum, Roland poszedł dookoła i wspiął się na mur, by wejść do ogrodu. Robimy to cały czas, by dostać się wprost do kuchni. Przechodząc do rzeczy, ta Irlandka przyłożyła automatyczny dwunastostrzałowy pistolet do głowy Rolanda.

– Zrobiła mu krzywdę?

– No nie, ale prawie posikał się ze strachu. Przysięgam na Boga, Gabrielu. Może mogłaby poczekać na zewnątrz podczas twojego przemówienia. Nie chcę, by ktokolwiek zginął dzisiejszej nocy.

– Nie musisz się obawiać. Znikniemy stąd, gdy tylko skończę przemowę.

– I co potem?

– Wyjeżdżam poszukać pomocy. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Chcę byś był pośrednikiem między mną a ludźmi zebranych na dole.

– Nie ma sprawy. Dam sobie z tym radę.

– Zatrzymam się przy Camden Market w podziemnej strefie zwanej katakumbami. Znajduje się tam sklep z instrumentami perkusyjnymi, prowadzony przez człowieka o imieniu Winston. On będzie wiedział, jak mnie odnaleźć.

– To brzmi jak plan, stary – Jugger przytaknął z powagą. – Wszyscy chcą cię usłyszeć, ale daj nam parę minut. Muszę pogadać z paroma ludźmi.

Free Runner opuścił pomieszczenie i wąskimi schodami wrócił na dół. Gabriel pozostał w fotelu i spoglądał na mały ogród pośrodku placu. Sebastian opowiedział mu, że kiedyś w tym miejscu znajdował się budynek zbombardowany podczas drugiej wojny światowej. Później to miejsce zamieniło się w śmietnisko oraz złomowisko starych samochodów. W końcu jednak lokalna społeczność zmobilizowała się i razem posprzątała ten teren. Potem posadzono kilka pospolitych krzewów, bluszcz i odrobinę bardziej egzotycznej roślinności. Były tam palmy i bananowce, które rosły naprzeciw angielskich herbacianych róż. Sebastian był przekonany, iż Bonnington Square jest odrębną ekologiczną strefą z własnym, odmiennym mikroklimatem.

Free Runnerzy prowadzili warzywny ogród znajdujący się za Vine House. Z tego miejsca można było dostrzec krzewy i drzewa rosnące na dachu każdego budynku dookoła placu. Chociaż w Londynie znajdowały się tysiące kamer monitorujących, wciąż niestłumiona potrzeba posiadania ogrodu stanowiła dla przeciętnego obywatela swoisty symbol ucieczki i oderwania się od Rozległej Sieci. Z przyjaciółmi oraz jedzeniem i butelką wina nawet prosty ogródek wyglądał na duży i drogi.

Parę minut później Jugger zapukał dwa razy, po czym otworzył drzwi.

– Jesteś gotów? – zapytał.

Kilku Free Runnerów siedziało na schodach, inni tłoczyli się w korytarzu. Mother Blessing stała w salonie tuż przy stole, pośrodku którego leżał mały mikrofon. Jeden z jej irlandzkich najemników, mężczyzna o wyglądzie zabijaki, z białą blizną na karku, pełnił straż na zewnątrz domu.

Gabriel podniósł mikrofon i włączył go. Przewód prowadził do wzmacniacza stereo, podłączonego do licznych głośników. Traveler wziął głęboki oddech i usłyszał głos nadchodzący z korytarza.

– Gdy chodziłem do szkoły, wszystkim nam wręczono wielki podręcznik historii na pierwsze dni zajęć. Pamiętam, z jakim mozołem każdego poranka wpychałem tomisko do tornistra. Każda historyczna epoka miała kolorową wkładkę z ilustracjami. Nasz nauczyciel usiłował przekonać nas, że w pewnym, określonym momencie ludzie przestawali zaliczać się do Średniowiecza i

zdecydowali, iż zaczynają żyć w Renesansie.

Oczywiście, prawdziwa historia wygląda zupełnie inaczej. Różne światopoglądy oraz różne technologie mogą istnieć równolegle, jedna obok drugiej. W momencie gdy pojawia się prawdziwa innowacja, większość ludzi nie ma nawet pojęcia o jej sile ani o tym, jak wpłynie na ich życie.

Jeden ze sposobów percepcji historii każe postrzegać ją jak opowieść o nieustannej bitwie. Konflikcie pomiędzy jednostkami, w których głowach rodzą się nowe idee, a tymi, którzy pragną kontrolować społeczeństwo. Część z was zapewne słyszała plotki o pewnej grupie potężnych i wpływowych ludzi nazywanych Tabularni. Tabulowie kierowali działaniami królów oraz rządów, wykorzystując do tego własną filozofię totalnej kontroli. Oni chcą przemienić świat w gigantyczne więzienie, w którym więźniowie znajdują się pod ustawiczną i nieprzerwaną obserwacją. Prędzej czy później każdy więzień zaakceptuje te warunki i uzna je za rzeczywistość.

Część ludzi nie uświadamia sobie tego, co się dzieje. Inni wolą być ślepi. Ale wszyscy ci, którzy się tu zgromadzili, są Free Runnerami. Nie boimy się otaczających nas budynków. Wspinamy się po ścianach i przeskakujemy z dachu na dach.

Gabriel zauważył, że siedzący pod ścianą Cutter, przywódca Free Runnerów z Manchesteru, ma rękę w gipsie.

– Szanuję was wszystkich, a w szczególności tego człowieka, Cuttera. Prawdziwy Free Runner nie zaakceptuje standardowych ograniczeń i limitów. To nie jest sport ani sposób na pokazanie się w telewizji. To życiowa decyzja, którą wszyscy podjęliśmy. Droga do pokazania tego, co się kryje w naszych sercach.

Mimo że część z nas zrezygnowała z pewnych zdobyczy technologii, wciąż jesteśmy świadomi tego, w jaki sposób komputer zmienił świat. To naprawdę jest nowa historyczna era: Era Rozległej Sieci. Kamery monitorujące oraz wszelkiego rodzaju czujniki są już niemal wszędzie. Niedługo coś takiego jak prywatne życie zniknie całkowicie. Wszystkie te zmiany są usprawiedliwiane przez rozszerzającą się kulturę strachu. Media nieustannie krzyczą o kolejnych, nowych zagrożeniach naszego życia. Wybrani przez nas przywódcy wzmacniają ten strach, jednocześnie odbierając nam wolność.

Jednak Free Runnerzy nie dali się zastraszyć. Część z nas stara się żyć poza Siecią. Inni czynią małe gesty buntu. Dzisiejszego wieczoru proszę was o większe zaangażowanie. Wierzę, że Tabulowie planują zrobienie decydującego kroku naprzód w celu stworzenia elektronicznego więzienia. Nie chodzi tu tylko o kilka kolejnych kamer bezpieczeństwa czy programów skanujących. To ostateczna faza rozwojowa ich planu.

Jaki to plan? Oto jest pytanie. Proszę was, żebyście słuchali plotek i oddzielili plewy od ziaren prawdy. Potrzebuję ludzi, którzy będą rozmawiać z przyjaciółmi i znajomymi, przeszukiwać Internet... słuchać tego, co w trawie piszczy – Gabriel wskazał na Sebastiana. – Ten człowiek zaprojektował pierwszą z kilku podziemnych stron internetowych. Przesyłajcie na nie zdobywane informacje i w ten sposób zaczniemy organizować ruch oporu.

Pamiętajcie, że wszyscy wciąż możecie podjąć decyzję. Nie musicie akceptować narzucanego siłą systemu kontroli i strachu. Mamy dość sił, by się temu przeciwstawić. Mamy prawo być wolnymi ludźmi. Dziękuję.

Nikt nie zareagował oklaskami ani wiwatami, ale gdy Gabriel wychodził, wydawało się, że go popierają. Ściskali go za ręce, gdy ich mijał.

Na zewnątrz było zimno. Mother Blessing skinęła na Briana, irlandzkiego najemnika, który stał na chodniku.

– Skończył. Idziemy.

Usiedli w tyle czarnej dostawczej furgonetki, a Brian wśliznął się na miejsce kierowcy. Kilka sekund później van jechał powoli przez mgłę, która osiadła na Langley Lane.

Mother Blessing obróciła głowę i spojrzała na Gabriela. Po raz pierwszy od czasu, kiedy ją spotkał, nie traktowała go z całkowitą pogardą.

– Masz zamiar dawać kolejne przemowy? – zapytała.

W dalszym ciągu będę poszukiwał swojego ojca, pomyślał Gabriel, jednakże nie wyjawiał tego zamiaru na głos.

– Może. Nie wiem.

– Przypominasz mi twojego ojca – rzekła Mother Blessing. – Zanim wyjechaliśmy do Irlandii, słyszałam jak przemawiał kilka razy do zebranych ludzi w Portugalii i Hiszpanii.

– Czy kiedykolwiek wspominał o swojej rodzinie?

– Powiedział mi, że ty i twój brat spotkaliście Thorna, gdy byliście małymi chłopcami.

– I to wszystko? Ochraniałaś mojego ojca przez kilka miesięcy i nie powiedział nic więcej?

Gdy przekraczali most na rzece, Mother Blessing wyjrzała przez okno.

– Powiedział, że obie grupy, Arlekini i Travelerzy, pokonali daleką drogę i czasem ciężko im było dostrzec światło w oddali.

To w Camden Market Maya, Vicki i Alice opuściły łódź i wkroczyły do Londynu. W epoce wiktoriańskiej miejsce to pełniło funkcję punktu załadunkowego barek przewożących węgiel i drewno. Magazyny i tereny stoczni przemieniły się w targowisko pełne sklepików z odzieżą i straganów z żywnością. Tu można było kupić wyroby garncarskie, ciasta, starą biżuterię czy wojskowe mundury z demobilu.

Brian wysadził ich przy Chalk Farm Road i Mother Blessing zaprowadziła Gabriela na targowisko. Imigranci handlujący żywnością na straganach siedzieli na krzesłach i przekładali zepsute już kurczaki curry do toreb na śmieci. Kilka kolorowych światełek, które stanowiły pozostałość po Bożym Narodzeniu kołysało się w tę i w tę. Jednak obrzeża targowiska pozostawały ciemne, a szczury przemykały w mroku.

Mother Blessing знаła pozycję każdej kamery monitorującej w okolicy, ale od czasu do czasu zatrzymywała się i używała wykrywacza kamer – poręcznego urządzenia wielkości telefonu komórkowego. Silne diody przyrządu emitowały podczerwone promienie, niezauważalne dla ludzkiego oka. Soczewki kamer bezpieczeństwa odbijały to światło o wąskim spektrum, dzięki czemu świeciło niczym miniaturowy księżyc w pełni w wizjerze urządzenia. Na Gabrielu zrobiła wrażenie szybkość, z jaką Arlekinka potrafiła wykryć kamery i usunąć się z ich zasięgu.

Wschodnia część targu była pełna starych ceglanych budynków, używanych kiedyś jako stajnie dla koni ciągnących wozy oraz omnibusy ulicami Londynu. Starsze stajnie znajdowały się w tunelu zwanym „katakumbami”, który biegł pod torami kolejowymi. Mother Blessing prowadziła Gabriela przez ceglana bramę wprost do katakumb i w pośpiechu mijali zamknięte sklepy i pracownie artystyczne. Na długości około sześciu metrów ściany tunelu ktoś pomalował na różowo. W innym miejscu były pokryte folią aluminiową. W końcu doszli do sklepu Winstona Abosa. Mężczyzna urodzony w Afryce Zachodniej siedział na betonowej podłodze i naciągał zwierzęcą skórę na drewnianą ramę bębna.

Winston wstał i skinął przybyłym głową.

– Witajcie ponownie. Jak się udało przemówienie?

– Byli jacyś klienci? – zapytała Mother Blessing.

– Nie, proszę pani. To był bardzo spokojny wieczór.

Przeszli pomiędzy afrykańskimi bębnami a statuetkami plemiennych bożków oraz ciężarnych

kobiet, wykonanymi z kości słoniowej. Winston odepchnął transparent zapraszający na festiwal bębnów w Stonehenge i ich oczom ukazały się wzmocnione stalowe drzwi, wmurowane w ceglana ścianę. Odblokował drzwi i weszli do mieszkania z czterema pomieszczeniami, połączonymi korytarzem. Pokój wejściowy posiadał składane łóżko i dwa monitory ukazujące, co się dzieje w sklepie i przy wejściu do katakumb. Gabriel przeszedł dalej korytarzem, mijając małą kuchnię i łazienkę, i dotarł do ślepej sypialni z krzesłem, biurkiem i twardym łóżkiem. To miejsce było jego domem przez trzy dni.

Mother Blessing otworzyła kuchenną szafkę i wzięła stamtąd butelkę irlandzkiej whisky.

Winston podążył za Gabrielem do sypialni.

– Jest pan głodny, panie Gabrielu?

– Na razie nie, Winstonie. Zrobię sobie później jakąś herbatę i tosty.

– Okoliczne restauracje są wciąż otwarte. Mogę kupić jakieś jedzenie na wynos.

– Dzięki. Ale rób to, na co masz ochotę. Mam zamiar poleżeć tutaj chwilę.

Winston zamknął drzwi, a Gabriel słyszał, jak rozmawia z Mother Blessing. Położył się na łóżku i spoglądał na pojedynczą żarówkę, zwisającą ze środka sufitu. Pokój był chłodny, a z pęknięcia w ścianie ściekała woda.

Energia, która wezbrała w Gabrielu, kiedy przemawiał, teraz się rozproszyła. Uświadomił sobie, że zachowuje się jak jego ojciec – obaj leżeli w ukrytym pokoju, pod ochroną Arlekinów. Jednak Traveler nie musiał wcale godzić się na te ograniczenia. Światło jest w stanie podążyć za Światłem w równoległym świecie. Jeśli przejdzie przez bariery, będzie mógł podjąć próbę odnalezienia ojca w pierwszym wymiarze.

Gabriel podniósł się i usiadł na krawędzi łóżka. Położył ręce na kolanach, a stopy na betonowej podłodze. Odpręż się, powiedział sobie w myślach. W pierwszej fazie przechodzenie do innych wymiarów przypominało modlitwę lub medytację. Zamknął oczy i zaczął sobie wyobrażać świetlistą aurę ukrytą wewnątrz fizycznego ciała. Czuł energię tego Światła, znajdował jego zarys w ramionach, rękach i nadgarstkach.

Wdech. Wydech. Niespodziewanie jego lewa ręka zsunęła się z kolan i opadła na materac niczym ciężar ponad siły. Gdy otworzył oczy, ujrzał, że świetlana ręka oraz dłoń opuszczają jego fizyczne ciało. Ramię stanowiło czarną przestrzeń usianą drobnymi punktami światła, jak gwiazdna konstelacja na nocnym niebie. Koncentrując uwagę na tej odmiennej rzeczywistości, wznosił eteryczną rękę jeszcze wyżej. Potem nagle Światło wydostało się z cielesnej powłoki, niczym poczwarka wydobywająca się z kokonu.

25

Stojąc na werandzie dwukondygnacyjnego domu, zbudowanego z szalunkowych desek, Rosaleen Magan patrzyła, jak kapitan Thomas Foley chwieje się na nogach, idąc wąską boczną uliczką miasteczka Portmagee. Jej ojciec zdążył opróżnić pięć butelek piwa Guinness przy kolacji, ale Rosaleen nie narzekała na jego zamięrowanie do alkoholu. W końcu kapitan pomógł jej wychować szóstkę dzieci. Wyruszał na połów ryb bez względu na pogodę i nigdy się nie bił w miejscowym pubie. Jeśli ma ochotę na kolejną butelkę, niech sobie wypije, pomyślała. Dzięki temu łatwiej zapomina o swoim artretyzmie...

Poszła do kuchni i włączyła osobisty komputer, stojący we wnęce. Jej mąż był w Limerick na zajęciach w szkole, natomiast syn pracował w Ameryce jako stolarz zajmujący się wyrobem mebli

artystycznych. Latem dom wypełniali turyści, ale w trakcie zimowych miesięcy nawet amatorzy oglądania teatru trzymali się z daleka. Rosaleen preferowała jednak te spokojne miesiące, mimo że w ciągu dnia działo się wtedy niewiele. Jej najstarsza siostra pracowała na poczcie w Dublinie. Często też paplała na temat ostatnio oglądanych filmów bądź też sztuk dramatycznych na scenie Abbey Theatre. Raz nawet była na tyle grubiańska, że nazwała Portmagee „zapadłą senną wiochą”.

Tego wieczora Rosaleen zebrała tyle nowin, że starczyłoby tego na pękaty e-mail. Z pewnością na Skellig Columba działy się jakieś dziwne rzeczy, a jej ojciec był jedynym wiarygodnym źródłem informacji o wyspie.

Rosaleen przypomniała siostrze, że przed rokiem pewien starszy mężczyzna imieniem Matthew przybył na wyspę w towarzystwie rudowłosej Irlandki, która nagle przejęła przewodnictwo w zgromadzeniu sióstr klarysek. Przed paroma dniami w Portmagee pojawiła się jeszcze bardziej osobliwa grupa – mała chińska dziewczynka, czarnoskóra kobieta, mężczyzna Amerykanin oraz młoda kobieta z brytyjskim akcentem. Dzień po tym, jak ojciec zawiózł ich na wyspę, otrzymał zadanie przetransportowania osoby nazywanej przeoryszą oraz Amerykanina z powrotem na kontynent. Cokolwiek tu się dzieje, z pewnością jest dziwaczne, wbijała słowa z klawiatury Rosaleen. Być może nie jest to Dublin, ale tu w Portmagee również mamy tajemnice.

W komputerze czaił się ukryty szpiegowski robak, który zainfekował miliony pecetów na całym świecie. Wirus ten czekał cierpliwie niczym tropikalny wąż na dzień mrocznej, ciemnej laguny. Kiedy się pojawiły pewne słowa oraz imiona, program wykrywał nową informację, kopiował ją, a potem przemierzał bezkres Internetu, by dotrzeć do swego informatycznego mocodawcy.

Vicki Fraser z radością obudziła się w dormitorium umieszczonym w kuchennym budynku zakonnego zgromadzenia. Jej twarz z reguły była chłodna, ale resztę ciała owinęła w pierzynę z gęsiego puchu. Alice wciąż spała w rogu, a Maya o jakiś metr od niej, z arlekińskim mieczem w zasięgu ręki.

W kuchni rankiem panował spokój. Kiedy słońce docierało do budynku, pod określonym kątem, żółtawo-biały promień światła przebijał się przez uchylone okno i przesuwiał powoli po posadzce. Myśli Vicki pobiegły ku Hollisowi i wyobraziła sobie, że leży obok niej. Jego ciało pokrywały blizny, stanowiące pamiątkę po licznych walkach i pojedynkach, ale gdy patrzyła w jego oczy, widziała w nich łagodność. Teraz, kiedy byli bezpieczni na wyspie, Vicki miała wreszcie dość czasu, by myśleć o nim. Hollis potrafił walczyć bardzo dobrze, ale martwiła się, że jego pewność siebie może kiedyś ściągnąć na niego kłopoty.

Około szóstej rano siostra Joan powróciła do kuchni i zaczęła stukać rondlami, szykując kawę. Pół godziny później dotarły tu trzy inne siostry i razem zjadły śniadanie. Duży słój miodu stał pośrodku stołu w jadalni. Trzymając go w obu dłoniach, Alice lubiła nalewać kształty w postaci esów-floresów na powierzchni swojego talerza z owsianką.

Dziewczynka wciąż nie mówiła, lecz można było odnieść wrażenie, iż życie na wyspie sprawia jej radość. Pomagała siostronom w ich codziennych obowiązkach, zrywała kwiaty i wkładała je do pustych słoików po konfiturach. Wybierała się też na wycieczki po wyspie z patykiem, który był w jej oczach arlekińskim mieczem. Pewnego razu zaprowadziła Vicki w dół wąską ścieżką biegnącą z boczem klifu. Szły jakieś sto metrów w dół po skalnym wybrzeżu, gdzie fale rozbijały się o skały.

Na końcu ścieżki znajdowała się mała pieczara. Była tu też kamienna ławka, porośnięta mchem, a także niewielki ołtarz z celtyckim krzyżem.

– Wygląda to jak jaskinia pustelnika – powiedziała wtedy Vicki, a Alice sprawiała wrażenie ucieszonej z tego pomysłu.

We dwie siedziały przed wąskim wejściem do jaskini, podczas gdy dziewczynka rzucała otoczaki w stronę horyzontu.

Alice traktowała Vicki jak starszą siostrę, odpowiedzialną za rozczesywanie jej włosów. Darzyła sympatią mniszki, które czytały jej przygodowe książki oraz piekły ciastka z rodzynkami do herbaty. Pewnego wieczoru leżała nawet na ławce w kaplicy z głową na kolanach siostry Joan. Maya w oczach małej dziewczynki plasowała się w innej kategorii. Nie była matką Alice ani jej siostrą, ani też jej przyjaciółką. Niekiedy Vicki widziała, jak spoglądają na siebie z jakimś osobliwym zrozumieniem. Wydawało się, że dzielą to samo uczucie samotności bez względu na to, ile osób znajduje się wokół nich w pomieszczeniu.

Dwa razy dziennie Maya dokonywała oględzin ciała Matthew Corrigan w krypcie pod budynkiem magazynu. Resztę czasu spędzała samotnie, przechadzając się kamienną ścieżką do przystani i wpatrując w morze. Vicki nie miała odwagi zapytać, co się stało, ale było oczywiste, że Maya zrobiła coś, co dało Mother Blessing powód do zabrania Gabriela i opuszczenia wyspy Skellig Columba.

Ósmego dnia pobytu na wyspie Vicki obudziła się wczesnym rankiem i dostrzegła Arlekinę klęczącą obok niej.

– Zejdźmy na dół – szepnęła Maya. – Muszę z tobą porozmawiać.

Owinięta w czarny szal Vicki zeszła do sali jadalnej, gdzie znajdował się długi stół i dwie ławy. Maya rozpałała już w piecu, używając torfu, i rozeszło się trochę ciepła. Vicki siadła na jednej z ław i oparła się o ścianę. Pośrodku stołu paliła się duża świeca, a jej płomyk rzucał migotliwe cienie na twarz Mai, kiedy chodziła w kółko po pomieszczeniu.

– Pamiętasz, kiedy przybyliśmy pierwszy raz do Portmagee, a ja wraz z Gabrielem udałam się na poszukiwania kapitana Foleya? Kiedy opuściliśmy jego dom, usiedliśmy na ławce przy nabrzeżu i przysięgłam wówczas, że zawsze będę stała przy Gabrielu, bez względu na to, co się wydarzy.

Vicki przytaknęła.

– To musiało być trudne – odezwała się miękkim głosem. – Powiedziałaś mi kiedyś, że Arlekinie nie przepadają za składaniem obietnic...

– To wcale nie było trudne. Chciałam powiedzieć te słowa. Pragnęłam tego bardziej niż czegokolwiek – Maya podeszła do świecy i wpatrywała się w płomyk. – Złożyłam Gabrielowi obietnicę i zamierzam jej dotrzymać.

– Co masz na myśli?

– Pojadę do Londynu i odnajdę Gabriela. Nikt nie potrafi chronić go lepiej niż ja.

– A co na to Mother Blessing?

– Zaatakowała mnie w kaplicy, ponieważ chciała przyciągnąć moją uwagę. Następnym razem nie dam się zastraszyć – Maya znów zaczęła chodzić, a w jej oczach pojawił się błysk gniewu. – Podejmę walkę z nią lub z Lindenem i z kimkolwiek, kto zechce trzymać mnie z dala od Gabriela. Rozmaici Arlekinie wydawali mi rozkazy, odkąd byłam dzieckiem, ale ten czas już minął.

„Mother Blessing cię zabije”, pomyślała Vicki. Lecz nie powiedziała tego na głos. Twarz Mai promieniała teraz żywiołową energią.

– Jeśli ta obietnica jest dla ciebie ważna, to jedź do Londynu. Nie martw się o Matthew Corrigan. Będę tu, kiedy powróci do tego świata z innego wymiaru.

– Niepokoję się o moje obowiązki, Vicki. Zgodziłam się tu pozostać i chronić go.

– Na wyspie jest bezpiecznie – odrzekła Vicki. – Nawet Mother Blessing to przyznała.

Przebywała tutaj niemal sześć miesięcy i nie widziała nawet jednego miłośnika ptactwa.

– A jeśli coś się wydarzy?

– W takim razie poradzę sobie. Jestem podobna do ciebie, Mayu. Przestałam już być małą dziewczynką.

Maya zatrzymała się i uśmiechnęła lekko.

– Tak. Zmieniłaś się, ty również.

– Foley przybędzie tutaj jutro rano z prowiantem, a zatem będzie mógł zabrać cię z powrotem na ląd. Ale jak zamierzasz odnaleźć Gabriela w Londynie?

– Prawdopodobnie skontaktował się z Free Runnerami. Byłam w ich domu przy South Bank, zatem udam się tam ponownie i pogadam z jego przyjaciółmi.

– Zabierz wszystkie pieniądze z mojego plecaka. Nie będziemy ich potrzebować tu na wyspie.

– Mayu... – odezwał się cienki głosik, a Vicki ze zdumieniem dostrzegła Alice Chen, która stała w pobliżu schodów.

Dziewczynka odezwała się po raz pierwszy, odkąd wkroczyła w ich życie. Jej usta poruszały się w milczeniu, jak gdyby sama nie wierzyła, że jakiś głos dobywa się z jej gardła.

– Proszę, nie odchodź, Mayu – odezwała się ponownie. – Wolę, żebyś tu była.

Twarz Mai w pierwszej chwili przybrała typową dla Arlekina maskę obojętności, lecz jej usta po chwili złagodniały i pozwoliła sobie na inne uczucie niż gniew. Vicki obserwowała dzielne zachowanie Mai w ciągu minionych kilku miesięcy, lecz ten moment był chwilą największej odwagi – właśnie teraz – kiedy przeszła przez jadalnię i wzięła małą dziewczynkę w ramiona.

Jeden z brytyjskich najemników, którzy wylądowali w Irlandii wraz z Boonem, otworzył boczne drzwi przedziału cargo helikoptera. Boone siedział na stalowej ławce i pracował z laptopem.

– Przepraszam, sir. Prosił pan, żeby powiadomić go, kiedy przybędzie pan Harkness.

– To prawda. Dziękuję.

Boone włożył kurtkę i wysiadł ze śmigłowca. Dwóch najemników oraz pilot stali na lądowisku, paląc papierosy i rozmawiając o ofertach pracy, które nadeszły z Moskwy. W ciągu ostatnich trzech godzin wszyscy czekali na niewielkim lotnisku pod Killarney. Było już późne popołudnie, piloci amatorzy, którzy ćwiczyli lądowanie przy wietrze bocznym, odprowadzili maszyny na parking i pojechali do domu. Lotnisko znajdowało się głęboko na irlandzkiej prowincji, otoczone ogrodzonymi pastwiskami. Owce pasły się po północnej stronie użytków zielonych, natomiast krowy mleczne na południu, w pobliżu chat przy osadzie Quonset. W powietrzu unosił się przyjemny zapach skoszonej trawy.

Mały pick-up, którego przyczepa zabudowana była stalową kabiną, stał zaparkowany w odległości około dwustu metrów bezpośrednio za bramą wjazdową. Pan Harkness wysiadł z furgonetki, gdy Boone ruszył w jego stronę przez płytę lotniska. Boone spotkał emerytowanego pielęgniarza ogrodu zoologicznego w Pradze, kiedy pochwycili, przesłuchiwali, a w końcu zabili ojca Mai. Starszy mężczyzna miał bladą skórę i cuchnęło mu z ust. Ubrany był w sportową kurtkę z tweedu oraz poplamiony, wojskowy krawat.

Boone wynajmował i nadzorował już wielu najemników, ale przy Harknessie czuł się zakłopotany. Stary mężczyzna zdawał się odczuwać radość, zajmując się sklejakami. Było to oczywiście jego zadanie. Jednak podniecał się, kiedy mówił o tych genetycznych bestiach, stworzonych przez naukowców z ośrodków badawczych sponsorowanych przez Bractwo. Był człowiekiem pozbawionym władzy, jednak miał pod kontrolą coś, co było wysoce niebezpieczne. Boone zawsze odnosił wrażenie, że ma do czynienia z żebrakiem, który się bawi granatami bojowymi.

– Dobry wieczór, panie Boone. Miło znowu pana widzieć. – Harkness skinął głową i ukłonił się z szacunkiem.

– Jakież problemy na lotnisku w Dublinie?

– Nie, sir. Wszystkie papiery zostały zgodnie z procedurą opieczetowane i podpisane przez naszych przyjaciół z tamtejszego ogrodu zoologicznego. Celnicy nawet nie zaglądali do klatek.

– Czy w trakcie transportu doszło do jakichś zranień?

– Każdy okaz wygląda na zdrowy. Chce pan się przekonać na własne oczy?

Boone milczał, kiedy Harkness otworzył tylne drzwi obudowy półciężarówki. W środku były cztery plastikowe pojemniki służące do transportu – rozmiarów klatek dla psów przewożonych samolotem. W obudowie pojemników znajdowały się otwory przykryte gęstą siatką drucianą, z każdego z nich zionął jednak zatęchły odór uryny oraz przegniłego mięsa.

– Nakarmiłem je po przylocie na lotnisko, ale to wszystko. Głód jest dla nich najlepszym bodźcem do działania.

Harkness uderzył spodem dłoni w górną ściankę jednego z pojemników. Ze środka dobiegło groźne szczeknięcie, sklejała z pozostałych pojemników odpowiedziały. Owce pasące się w pobliżu lotniska dosłyszały te odgłosy. Przez moment nasłuchiwały z trwogą, potem popędziły w przeciwnym kierunku.

– Wredne kreatury – skomentował Harkness, odsłaniając pożółkłe zęby.

– Czy walczą też z sobą?

– Raczej rzadko. Te zwierzęta zostały poddane zabiegom inżynierii genetycznej po to, by atakowały, ale wciąż posiadają ogólne cechy gatunków wyjściowych. Ten w zielonym pojemniku to kapitan, natomiast pozostałe trzy to podlegli mu młodszy oficerowie. Nie atakuje się przywódcy, jeśli nie ma się pewności, iż jest się w stanie go zabić.

Boone zatrzymał się i spojrzał w oczy Harknessowi.

– Potrafi pan zapanować nad nimi?

– Tak, sir. Mam z sobą w ciężarówce grube szczypce oraz elektryczny pręt do popędzania bydła. Nie powinno być z nimi problemu.

– Co się stanie, kiedy je wypuścimy?

– Cóż, panie Boone... – Harkness skierował wzrok w dół na własne buty. – Kiedy już wykonają swoje zadanie, najlepszym narzędziem jest śrutówka.

Przerwali rozmowę, gdy od wschodu nadleciał drugi śmigłowiec. Zatoczył krąg nad lotniskiem, potem usiadł na trawie. Boone opuścił Harknessa i poszedł betonową nawierzchnią lotniska w stronę nowo przybyłych. Boczne drzwi maszyny otworzyły się i jeden z najemników opuścił krótką drabinkę, a w drzwiach pojawił się Michael Corrigan.

– Dzień dobry! – odezwał się radośnie.

Boone wciąż jeszcze się nie zdecydował, czy powinien zwracać się do Travelera per Michael, czy też per pan Corrigan. Skinął więc głową w geście powitania.

– Jak minął lot?

– Bez najmniejszych problemów. Czy jest pan gotów wyruszyć do akcji, Boone?

Tak, byli gotowi. Lecz Boone'a niepokoił fakt, że ktoś inny oprócz generała Nasha mógł zadać mu to pytanie.

– Sądzę, że powinniśmy poczekać do wieczora – powiedział. – Łatwiej nam będzie odnaleźć obiekt, gdy będzie się znajdował w budynku.

Po lekkiej kolacji złożonej z zupy z soczewicy i paczki krakersów, klaryski opuściły ciepły budynek kuchenny i zeszły na dół do kaplicy. Alice podażyła za nimi. Ponieważ Maya opuściła wyspę, znów zapadła w swoje milczenie, chociaż sprawiała wrażenie zadowolonej, kiedy przysłuchiwała się modlitewnym śpiewom. Czasami jej wargi poruszały się, jak gdyby w myślach wtórowała mniszkom. *Kyrie eleison. Kyrie eleison. Boże, zmiłuj się nad nami.*

Vicki została w kuchni, żeby pozmywać naczynia. Po jakimś czasie, gdy reszta już poszła, zdała sobie sprawę, że Alice zostawiła kurtkę pod ławką w pobliżu drzwi wejściowych. Na dworze znów zerwał się ostry wiatr, wiejący od wschodu, a w kaplicy było zimno. Vicki zostawiła więc naczynia w kamiennym zlewie, chwyciła dziecięcą kurtkę i wybiegła pospiesznie na zewnątrz.

Wyspa stanowiła zamknięty świat. Kiedy obeszło się ją dookoła kilka razy, uświadamiało się sobie, że jedynym sposobem wyrwania się na wolność z tej szczególnej rzeczywistości jest zadarcie głowy w górę i spoglądanie ku niebu. W Los Angeles smog poprzecinany smugami zakrywał większość gwiazd, lecz tu nad wyspą powietrze było czyste. Stojąc w pobliżu kuchni, Vicki spoglądała na księżyc w nowiu oraz migoczący pył Drogi Mlecznej. Usłyszała dobiegający z oddali krzyk mewy, której odpowiedział inny ptak.

Na wschodzie pojawiły się cztery czerwone światła; wyglądały jak dwie pary przednich świateł pojazdu, przecinającego nocne niebo. Samoloty, pomyślała. Nie, to dwa helikoptery. W ciągu kilku sekund Vicki zdała sobie sprawę, co się szykuje. Wcześniej Tabulowie zaatakowali w ten sam sposób, kiedy przebywała w kościelnym ośrodku na północny zachód od Los Angeles.

Starając się nie potknąć na wapiennych gładkach, popędziła w dół na dolną półkę i wpadła do kaplicy o kształcie łodzi. Modlitewny zaśpiew ucichł natychmiast, kiedy dębowe drzwi otworzyły się z impetem. Alice stała i rozglądała się po wąskim pomieszczeniu.

– Nadlatują dwa helikoptery z Tabularni – powiedziała szybko Vicki. – Musicie stąd natychmiast uciekać i ukryć się.

Siostra Maura wyglądała na przerażoną.

– Gdzie? W budynku magazynu razem z Matthew?

– Alice, zaprowadź siostry do pieczary pustelnika. Potrafisz ją odnaleźć po ciemku?

Mała dziewczynka przytaknęła. Wzięła za rękę siostrę Joan i pociągnęła mniszkę kucharkę w stronę wyjścia.

– A co z tobą, Vicki?

– Dołączę do was. Najpierw muszę zatroszczyć się o bezpieczeństwo Travelera.

Alice wpatrywała się w Vicki przez kilka sekund, potem poprowadziła siostry obok budynku kaplicy i zniknęły w mroku wieczoru. Vicki wróciła na średnią półkę i dostrzegła, że helikoptery są już znacznie bliżej – czerwone światła krążyły teraz nad wyspą niczym złośliwe duchy. Słyszała też monotonne fump-fump-fump łopat wirnika, tnących powietrze.

W magazynie zapaliła świecę i podniosła drzwi wpuszczone w posadzkę. Niemal wierzyła, że Matthew Coriggan wyczuł nadchodzące niebezpieczeństwo. Być może Światło powróciło do jego ziemskiej powłoki i spotka ojca Gabriela siedzącego w podziemnej krypcie. Kiedy otworzyła drzwi, wystarczyło parę sekund, by zeszła schodami na dół i przekonała się, że Traveler wciąż leży bez ruchu, przykryty muślinowym prześcieradłem. Szybko wbiegła z powrotem po schodach, zamknęła wpuszczane drzwi i przykryła je plastikową folią. Położyła na to stary silnik od motorówki, potem rozrzuciła wokół kilka narzędzi, chcąc stworzyć wrażenie, iż ktoś usiłował naprawić urządzenie.

– Boże, chroń twego sługę Matthew – modliła się na głos. – Proszę, ocal go od zagłady.

Nic więcej nie mogła zrobić. Teraz nadeszła pora, by dołączyła do reszty w pieczarze. Kiedy jednak wyszła na zewnątrz, dostrzegła światła szperaczy na górnej półce oraz ciemne sylwetki

najemników Tabulów na tle rozgwieźdzonego nieba. Cofnęła się więc z powrotem do budynku magazynowego i wsunęła stalową zasuwę do metalowej klamry. Powiedziała Mai, że będzie chronić Travelera. Było to zobowiązanie. Rozumiane z perspektywy Arlekina. Słowo to dotarło do jej świadomości z porażającą siłą, kiedy próbowała przesunąć ciężki magazynowy pojemnik za dębowe drzwi.

Przed ponad stu laty Arlekin imieniem Lew Świątyni został pojmany, torturowany, a później zamordowany razem z prorokiem Isaakiem T. Jonesem. Vicki oraz niewielka grupka wiernych ich religijnej wspólnoty uważała, że nigdy nie zadośćuczynili do końca temu poświęceniu. Dlaczego Bóg wprowadził do jej życia Mayę i Gabriela? Dlaczego dotarła w końcu tu na tę wyspę i chroni Travelera? Dług Niespłacony, pomyślała. Dług Niespłacony.

Trzy spośród budowli w kształcie uli były puste. Czwarty budynek był jednak zamknięty i najemnicy nie zdołali otworzyć go siłą. Przed przybyciem na wyspę Skellig Columba Boone przeczytał wszelkie dostępne dane na jej temat i wiedział, iż te wzniesione dawno temu budynki mają bardzo mocne kamienne ściany. Grube mury utrudniały zastosowanie skanerów na podczerwień, oddział Boone'a przywiózł więc z sobą przenośne urządzenie backscatterowe.

Kiedy dwa helikoptery wylądowały na wyspie, najemnicy wyskoczyli z maszyn, pałając żądzą pochwylenia jeńców lub ich zabijania. Teraz odruch agresji znacząco osłabł. Uzbrojeni ludzie rozmawiali ściszymi głosami, gdy snopy światła latarek przemykały po skalnym krajobrazie. Dwóch mężczyzn zniosło w dół stoku sprzęt zabrany z helikoptera. Jedna część urządzenia skanującego przypominała wyglądem teleskop refraktorowy ustawiony na trójnogu. Urządzenie emitowało promienie rentgenowskie przenikające przez docelowy obiekt, natomiast niewielka paraboliczna antena wychwytywała odbijane protony.

Działanie aparatury rentgenowskiej w szpitalach opierała się na podobnej zasadzie. Obiekty o większej gęstości pochłaniają po prostu większą ilość promieniowania X niż obiekty o mniejszej gęstości. Urządzenie skanujące wykorzystywał fakt, że fotony promieni X przechodzą w różny sposób przez różne rodzaje materiałów. Ludzkie ciało dawało inny obraz niż plastik czy stal. Obywatele zamieszkali w obrębie Rozległej Sieci monitorującej nie zdawali sobie sprawy, iż backscatter jest zainstalowany potajemnie na większych lotniskach oraz że personel służb ochrony zaglądał pod odzież pasażerów.

Michael Corrigan wyszedł z kaplicy w towarzystwie dwóch najemników. Miał na sobie ocieplaną kurtkę oraz buty do biegania, jak gdyby zamierzał zafundować sobie rundkę joggingu dookoła wyspy.

– Nikogo nie ma w kaplicy, Boone. A ten budynek?

– Zaraz to sprawdzimy.

Boone podłączył swojego laptopa do urządzenia backscatterowego, włączył przyrząd i usiadł na głazie. Michael oraz kilku innych mężczyzn stanęło za nim. Upłynęło kilka sekund, zanim szarobiały obraz pojawił się na ciekłokrystalicznym ekranie. W pomieszczeniu budynku magazynowego znajdowała się kobieta, która przesuwiała pojemniki, blokując tym samym drzwi. To nie jest jedna z ubogich klarysek, pomyślał Boone. Backscatter pokazałby zapewne ciemne tło zakonnego habitu.

– Niech pan spojrzy – rzekł Boone do Michaela. – W środku znajduje się jedna osoba. Kobieta. Teraz tarasuje drzwi.

Michael wyglądał na rozdrażnionego.

– Co z moim ojcem? Powiedział mi pan, że na wyspie znajduje się Gabriel albo mój ojciec.

– Taką otrzymałem informację – odparł Boone, przekręcając jednocześnie obraz, by sprawdzić inne narożniki pomieszczenia. – To może być Maya. Jest Arlekiną, która broniła pańskiego brata w Nowym Jorku i...

– Wiem, kim ona jest – przerwał mu obcesowo Michael. – Niech pan nie zapomina, że widziałem ją tego wieczora, kiedy zaatakowała centrum badawcze.

– Być może uda się nam ją wypytać.

– Zabije pańskich ludzi, a potem samą siebie, zanim wykurzymy ją z tego budynku. Niech pan poprosi Harknessa, żeby przyszedł tutaj ze sklejakami.

– W tej chwili to nie jest konieczne – Boone dokładał starań, by w jego głosie nie dało się wyczuć rozdrażnienia.

– To ja decyduję tutaj, co jest konieczne, Boone. Wykonałem kilka prób w obecności pani Brewster i zgodziłem się na przeprowadzenie tej misji. Te stare budowle mają niewiarygodnie grube ściany. Dlatego właśnie chciałem, żeby pan Harkness wszedł w skład naszego zespołu.

Gdy średniowieczni mnisi obrabiali kamienie, które posłużyły im do wzniesienia każdego z budynków, zostawili niewielkie szczeliny w górnych partiach ścian, żeby uchodził nimi dym. Wiele lat później te otwory wentylacyjne zamieniono na okna na górnej kondygnacji. Miały średnicę od trzydziestu do czterdziestu centymetrów. Nawet jeśli napastnicy, którzy przylecieli helikopterami, wybiją szyby, nie będą w stanie precyzyjnie się przez te otwory.

Vicki stała w cieniu, gdy usłyszała, jak ktoś szarpie za klamkę, a potem wali pięścią w drzwi. W końcu zapadła cisza. Następnie rozległo się głośne uderzenie. Dębowe drzwi zadrżały, oparły się na ciężkiej stalowej zasuwie, jednak metalowe rygle były zamurowane w ścianie. Vicki przypomniała sobie, jak mniszki opowiadały o najazdach wikingów na irlandzkie klasztory w dwunastym stuleciu. Jeśli zakonnicy nie zdążyli uciec poza klasztor, chronili się w kamiennej wieży wraz ze złotymi krzyżami oraz inkrustowanymi klejnotami relikwiarzami. Potem modlili się – i czekali – gdy wikingowie usiłowali dostać się do środka.

Vicki dosunęła jeszcze więcej pojemników magazynowych, tarasując drzwi, i ustawiała je jeden na drugim. Znów usłyszała walenie, potem zapadła cisza. Kiedy przeszła na drugą stronę, do stóp schodów, dostrzegła snop światła latarki przenikającej przez jedno z małych okrągłych okienek na górnej kondygnacji.

W swoim liście z Meridian w stanie Missisipi Isaac Jones obwieścił wiernym, co następuje: Spójrzcie w głąb siebie i odnajdźcie studnię, która nigdy nie wyschnie. Wasze serca napełnią się odwagą i miłością...

Przed zaledwie kilkoma miesiącami Vicki stała na lotnisku w Los Angeles – dziewczyna z kościelnej gminy, nieśmiała i wystraszona, i czekała na spotkanie z Arlekiną. Od tamtej pory przeszła próby wielokrotnie, lecz nigdy nie uciekła. Isaac Jones miał rację. Jej serce zawsze wypełniała odwaga.

Brzęk tłuczonego szkła dobiegł od szczytu schodów, gdy ktoś wybijał szybę w oknie. Odłamki szkła upadły na posadzkę. Czy zdołają tu wejść?, zastanawiała się Vicki. Nie, tylko dziecko byłoby w stanie precyzyjnie się przez tak mały otwór. Spodziewała się teraz usłyszeć odgłos strzałów bądź eksplozję. Zamiast tego jednak do jej uszu dobiegło groźne warczenie, które skojarzyło się jej z zabijanym ptakiem.

– Boże ocal mnie. Błagam, ocal mnie... – wyszeptała Vicki.

Rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiejś broni i zobaczyła tylko dwa kołki od

sieci rybackiej, worek cementu oraz pusty kanister po paliwie. W panice odepchnęła te nieprzydatne przedmioty na bok i dostrzegła kilka ogrodowych narzędzi opartych o ścianę. Na samym spodzie stosu znajdowała się pobrudzona ziemią łopata.

Vicki usłyszała niski warczący dźwięk i cofnęła się do narożnika. Dostrzegła jakąś sylwetkę na schodach – podobną do karła w przysiadzie, z dużym wiszącym brzuchem i szerokimi barkami. Karzeł zszedł do połowy schodów w dół, potem obrócił twarz w jej kierunku. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że to nie człowiek, lecz jakieś zwierzę z głową psa o czarnym pysku.

Pomrukując i charcząc, stworzenie zeskoczyło ze schodów i ruszyło pędem w jej stronę. Vicki uniosła łopatę na wysokość barków, a kiedy zwierzę odbiło się od skrzynki na warzywa, zamachnęła się i uderzyła z całej siły – trafiając w środek klatki piersiowej. Zwierzę upadło na posadzkę, lecz natychmiast zerwało się i ponownie skoczyło, chwytając jej nogę łapami o pięciu palcach.

Vicki ponownie uderzyła łopatą i skraj trafił zwierzę w szyję. W pomieszczeniu rozległ się przerażający pisk, kiedy waliła łopatą jak kijem golfowym, raz za razem biorąc zamach i uderzając w dół. W końcu zwierzę przewróciło się na grzbiet i wyszczerzyło zęby. Krew ciekła smuzką z jego pyska, a kończyny znieruchomiały. Przez moment bestia usiłowała jeszcze powstać, lecz Vicki nie przestawała walić w nią łopatą. W końcu stworzenie przestało się ruszać. Był martwy.

Dwie ze świec upadły na podłogę i zgasły. Vicki chwyciła ostatnią, która jeszcze się paliła, i przyświeciła nią na stwora. Zaskoczona stwierdziła, że to nieduży pawian o żółtawobrazowym futrze. Miał worki policzkowe, długi, pozbawiony sierści pysk oraz potężne ręce i nogi. Oczy osadzone blisko siebie wciąż były otwarte i sprawiały wrażenie, jak gdyby martwy zwierz spoglądał na nią. Vicki przypomniała sobie, jak Hollis opowiadał o stworach, które zaatakowały go w jego domu w Los Angeles. To były te same stwory. Hollis nazwał je... sklejakami. Chromosomy pawiana zostały zmieszane przez naukowców służących Tabulom, w celu stworzenia genetycznej hybrydy, której jedyną żądzą było atakowanie i zabijanie.

Mężczyźni na zewnątrz wybili szybę w drugim oknie na górze. Vicki trzymała łopatę w obu dłoniach i ruszyła powoli dookoła pomieszczenia. Rana na jej lewej nodze krwawiła. Krew skapywała z mankietu spodni, a but pośliznął się na posadzce. Przez mniej więcej minutę nie wydarzyło się nic. Potem pojedynczy płomień świecy lekko zamigotał, a po schodach zeszły na dół trzy kolejne sklejaki. Zatrzymały się, zaczęły wachać, a przywódca zaszczekał charkotliwie. Było ich zbyt wiele i były zbyt silne. Vicki wiedziała, iż nie ujdzie śmierci. Myśli przemknęły przez jej umysł jak fotografie ze starego albumu – jej matka, szkoła, przyjaciele – tyle rzeczy, które nagle wydały się ważne, a które dawno temu odeszły w przeszłość. Najsilniejsze wspomnienie wiązało się z Hollisem. Poczula głęboki smutek, że nigdy więcej już go nie zobaczy. Kocham cię, powiedziała do siebie w myślach. Na zawsze. Moja miłość nigdy nie zginie.

Sklejaki wyczuły jej krew. Zeskoczyły ze schodów i ruszyły w jej kierunku we wściekłym pędzie. Zwierzęta kwiczały i odgłos ten wypełnił niewielkie pomieszczenie. Ich zęby przypominały zęby wilków. Żadnych szans, pomyślała Vicki. Żadnych szans. Lecz mimo to uniosła łopatę i przyjęła atak.

Od Sophii Briggs Gabriel dowiedział się, że w każdej żywej istocie kryje się wieczna, niezniszczalna energia nazywana Światłem. Gdy ludzie umierają, ich Światło zasila energię, jaka jest obecna w całym wszechświecie. Jednak tylko Travelerowie posiadali zdolność wysyłania własnego

Światła do innych światów, a potem powracania do żywej fizycznej powłoki.

Sophia tłumaczyła, że istnieje sześć różnych światów. Sześć równoległych wymiarów, oddzielonych barierami utworzonymi z wody, ziemi, ognia oraz powietrza. Gabriel odnalazł przejścia i korytarze w każdej z tych barier, kiedy po raz pierwszy nauczył się opuszczać ciało i uwalniać Światło. A teraz, kiedy jego ciało pozostało na zapleczu sklepu z instrumentami perkusyjnymi Camden Market, odniósł wrażenie, że dryfuje w przestrzeni otoczony nieskończoną ciemnością. Myśli Gabriela pobiegły ku ojcu, gdy nagle poczuł, że coś pcha go do przodu w nieznaną, a siłą napędową jest intensywne pragnienie odnalezienia tej jednej osoby.

Uczucie dryfowania ustąpiło. Pod rękami czuł mokre błoto oraz ostre kawałki żwiru. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że leży na plecach, kilka metrów od dużej rzeki. Szybko wstał i rozejrzał się dookoła, czy nie ma jakiegoś zagrożenia. Stał na błotnistym stoku, na którym znajdowały się wraki samochodów oraz zardzewiałe elementy różnych maszyn. Jakies sześć metrów powyżej dostrzegł poczerńiałe ruiny kilku budynków, wzniesionych na wierzchołku nadrzecznej skarpy. Gabriel nie potrafił rozstrzygnąć, czy to dzień, czy noc, ponieważ niebo zakrywała gęsta powoła żółtawo-szarych chmur, która gdzieniegdzie rozrzedzała się i w tym miejscu dostrzegał jaśniejszy odcień popielatej szarości. Chmury takie jak te widział już kilka razy w Los Angeles, kiedy dym z płonących zarośli łączył się z zanieczyszczeniami powietrza i całkowicie przesłaniał słońce.

O jakieś pół mili w górę rzeki dostrzegł zavalony most. Odniosł wrażenie, że budowla została wysadzona przy użyciu ładunków wybuchowych bądź zbombardowana. Ceglane fundamenty oraz dwa pełne gracji łuki wystawały z wody. Podtrzymywały je pogięte dźwigary, na moście pozostał też fragment jezdni.

Gabriel zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę rzeki, jednocześnie usiłując przypomnieć sobie to, co Hollis powiedział w Nowym Jorku, kiedy rozmawiał z Nazem, ich przewodnikiem w tunelach metra. Hollis i Vicki często cytowali wersy z *Listów* Isaaca Jonesa, lecz Gabriel nie zwracał nigdy na to specjalnej uwagi. Chodziło o słowa dotyczące błędnej ścieżki, która prowadzi do mrocznej rzeki.

Cóż, Isaac Jones miał rację co do tego miejsca, pomyślał. Ta konkretna rzeka niosła czarne niczym olej wody, a na jej powierzchni widniały strzępy brudnobiałej piany. Od rzeki bił ostry kwaśny fetor, jak gdyby woda była zanieczyszczona chemikaliami. Gabriel ukląkł i zagarnął w dłonie nieco wody, lecz natychmiast ją strzepnął, gdy poczuł ostre pieczenie na skórze.

Ponownie wstał i rozejrzał się dookoła, chcąc się upewnić, że jest bezpieczny. Przez chwilę czuł żal, że nie ma przy sobie miecza – talizmanu, który podarował mu ojciec, ale oręż był teraz w rękach Mai. Nie potrzebujesz broni, przekonywał sam siebie. Nie jesteś tutaj, by zabijać innych. Szedł ostrożnie i starał się nie być na widoku. Być może znajdzie tutaj ojca, szukając korytarza prowadzącego z powrotem do jego własnego świata.

Był niemal pewien, że dotarł do pierwszego wymiaru. W innych kulturach miejsce to nazywano Podziemiami, Hadesem, Sheolem – piekłem. Opowieść o Orfeuszu i Eurydyce była greckim mitem, o którym uczono dzieci w szkole, lecz zawarte w niej były również doświadczenia nieznanego z imienia Travelera, który kiedyś dotarł do tego świata. Ważne było, żeby nic tu nie jeść, nawet jeśli strawę proponuje potężny władca. Kiedy w końcu odnajdzie się przejście, nie wolno mu będzie w żadnym razie oglądać się za siebie.

W tekście relacji świętego Kolumby, przetłumaczonym przez ojca Gabriela, piekło zostało opisane jako miasto zamieszkiwane przez ludzi. Obywatele piekła opowiedzieli Kolumbie o innych

miastach, o których słyszeli bądź też sami je widzieli z oddali. Gabriel wiedział, że w tym miejscu może zostać zabity lub uwięziony. Postanowił więc trzymać się blisko rzeki oraz iść w kierunku przeciwnym do zawalonego mostu. Jeżeli natrafi na przeszkodę lub dostrzeże coś, co będzie wyglądało na niebezpieczne, zawróci i podąży z powrotem wzdłuż rzeki do miejsca, w którym rozpoczął tę peregrynację.

Zbocze skarpy było strome i śliskie. Upłynęło kilka minut, zanim dotarł do ceglanych ruin zniszczonego budynku. Ze środka dobiegało migoczące światło, on zaś zastanawiał się, czy budowla wciąż jeszcze płonie. Ostrożnie zerknął przez okienną ramę, lecz w środku zamiast pożogi dostrzegł ciemnopomarańczowy płomień, bijący z czegoś, co wyglądało na rozerwaną rurę gazową. Pomieszczenie to było kiedyś kuchnią, lecz kuchenkę i zlew teraz pokrywała sadza, a jedynym meblem był drewniany stół, podparty jedną nogą. Nagle usłyszał odgłos kroków w błocie. Zanim zdążył zareagować, jakaś ręka chwyciła go od tyłu, natomiast druga przyłożyła mu ostrze do gardła.

– Oddaj mi swoje jedzenie – wyszeptał jakiś mężczyzna. Jego głos był pozbawiony tchu i pełen wahania, jak gdyby nie dawał wiary własnym słowom. – Oddaj mi całe jedzenie, jakie masz, to nie umrzesz.

– Zgoda – odparł Gabriel i zaczął się obracać.

– Nie ruszaj się! Nie patrz na mnie!

– Wcale nie zamierzam na ciebie patrzeć – uspokoił go Gabriel. – Zostawiłem jedzenie tam, w pobliżu mostu. Jest ukryte w sekretnym miejscu.

– Nikt nie ma przede mną sekretów – powiedział głos z nieco większą pewnością. – Zaprowadź mnie do jedzenia, pośpiesz się.

Z nożem przyłożonym do szyi Gabriel ruszył powoli, oddalając się od budynku. Kiedy dotarł do rzecznej skarpy, zrobił kilka szybkich kroków w dół zbocza i znalazł się nieco niżej niż napastnik.

Chwycił go za nadgarstek, pociągnął w dół i wykręcił w prawo. Mężczyzna jęknął z bólu, wypuścił nóż i upadł do przodu. Gabriel sięgnął po ostrze. Była to zaimprovizowana broń, która wyglądała jak stalowy kątownik naostrzony na kamieniu.

Gabriel stał teraz nad niewiarygodnie szczupłym mężczyzną, który skulony ze strachu, siedział w kucki. Miał przetłuszczone włosy i postrzępioną czarną brodę. Nosił podarte spodnie – niemal łachmany – oraz wytartą marynarkę z tweedu. Kościste palce jego lewej dłoni gładziły poplamioną zieloną muszkę, jak gdyby ten zupełnie nie na miejscu element garderoby jakimś cudem mógł uratować mu życie.

– Wyrażam szczerą skruchę – stęknął chudzielec. – Nie powinienem był tego uczynić.

Złożył ramiona na piersi i pochylił głowę.

– Karaluchy nie robią takich rzeczy. Karaluchy nie powinny zachowywać się jak wilki.

Gabriel uniósł nóż.

– Chcę żebyś mi coś wyjaśnił. Zrozumiałeś? Nie każ mi zrobić z tego użytku.

– Rozumiem, sir. Niech pan popatrzy! – mężczyzna uniósł w górę chude ręce i stał nieruchomo.

– Nie ruszam się.

– Jak się nazywasz?

– Moje nazwisko, sir? Pickering. Tak, nazywam się Pickering. Kiedyś miałem też imię, ale zapomniałem. Powinienem był sobie je zapisać – uśmiechnął się nerwowo. – Chyba to było Thomas, Theodore – coś, co się zaczynało na literę T. Ale z pewnością Pickering, to właściwe nazwisko. Co do tego nie ma wątpliwości. Zawsze tylko słyszałem „Chodź tu, Pickering. Zrób to, Pickering”. Wiem też, jak być posłusznym, sir. Niech pan zapyta kogo chce.

– W porządku, Pickering. Zatem gdzie jesteście? Jak się nazywa to miejsce?

Pickering wyglądał na zdumionego, że ktoś może zadawać takie pytanie. Jego oczy biegały nerwowo od lewej do prawej.

– Jesteśmy na Wyspie. Tak nazywamy to miejsce. Wyspą.

Gabriel spojrział w kierunku rzeki i zawalonego mostu. Z jakiegoś powodu zakładał, iż może opuścić to miejsce i znaleźć bezpieczną kryjówkę. Jeśli był to jedyny most – albo jeśli wszystkie pozostałe też były zawalone – zostanie uwięziony na tej Wyspie do momentu, aż znajdzie przejście. Czy to samo przydarzyło się jego ojcu? Czy on również błąkał się po tym ponurym świecie, szukając drogi powrotnej do domu?

– Musi pan być przybyszem, sir – Pickering zastanawiał się przez moment, potem zaczął mówić szybko i chrapliwie. – To znaczy... Nie zamierzałem sugerować, że nie jest pan wilkiem, sir. Nic z tych rzeczy! Oczywiście, jest pan silnym wilkiem. Nie jest pan karaluchem, w żadnym wypadku.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co chcesz powiedzieć. I szukam innego przybysza podobnego do mnie. Starszego człowieka.

– Może będę w stanie panu pomóc – zadeklarował Pickering. – Tak, oczywiście. Jestem tym, który panu pomoże.

Wstał na nogi i znów zaczął gładzić zieloną muszkę.

– Byłem już na całej Wyspie. Widziałem wszystko.

Gabriel wsunął nóż domowej roboty za pasek.

– Jeśli mi pomożesz, będę cię chronił. Zostanę twoim przyjacielem.

Usta Pickeringa drżały, kiedy szeptał sam do siebie.

– Przyjaciel. Tak, oczywiście. Przyjaciel...

Brzmiało to tak, jak gdyby wypowiedział to słowo po raz pierwszy w życiu.

Gdzieś z terenu miasta dobiegł odgłos eksplozji – głuchy, dudniący dźwięk, i Pickering zaczął wspinać się po skarpie.

– Z wszelkim należnym szacunkiem, sir... Nie możemy tu zostać. Zbliża się patrol. Bardzo nieprzyjemny. Proszę, niech pan idzie za mną.

Pickering sam siebie nazwał „karaluchem”. Ruszał się teraz szybko, niczym insekt spłoszony jaskrawym światłem. Wszedł do jednego ze zburzonych budynków, minął labirynt pomieszczeń wypełnionych starymi meblami oraz stertami śmieci. W tym momencie Gabriel zdał sobie sprawę, że nadepnął na kości ludzkiego szkieletu. Nie było jednak czasu, by wyjaśniać to, co się tu wydarzyło.

– Niech pan patrzy pod nogi, sir. Ale nie zatrzymuje się. Nie możemy robić postojów.

Gabriel podążył za chudym mężczyzną przez otwór w drzwiach i wyszedł na ulicę.

Zaskoczyło go światło z ogromnej gazowej pochodni, która z hukiem unosiła się nad szczeliną w chodniku. Pomarańczowy płomień migotał niczym złośliwy duch. Dym z płomienia pokrył czarnym osadem ściany sąsiednich budynków oraz wrak rozbitej taksówki.

Gabriel zatrzymał się i stanął na środku ulicy. Pickering dotarł do chodnika po drugiej stronie. Machał rękami, w panice, jak matka ponaglająca dziecko, by jak najszybciej podążyło za nią.

– Nieco szybciej, mój przyjacielu. Proszę. Zbliża się patrol, musimy się ukryć.

– Jaki patrol? – zapytał Gabriel, lecz Pickering zniknął już za kolejnymi drzwiami.

Traveler ruszył biegiem, aby dogonić swego odzianego w łachmany przewodnika i podążył za nim przez puste pokoje w kierunku kolejnej ulicy. Usiłował sobie wyobrazić, jak to miasto wyglądało, nim doszło do zniszczeń. Białe budynki liczyły cztery lub pięć kondygnacji, miały płaskie dachy oraz liczne balkony. Powykręcana stalowa markiza wciąż tworzyła zadaszenie nad połamanymi stolikami, które kiedyś były kawiarnianym ogródkiem. Gabriel widział miasta takie jak to na filmach i w czasopiśmie. Przypominało prowincjonalną stolicę jakiegoś tropikalnego kraju –

osobliwe miejsce, w którym ludzie w ciągu dnia chadzali na plażę, a późnym wieczorem spożywali kolację.

Teraz we wszystkich oknach szyby były powybijane, a większość drzwi wyrwano z zawiasów. Doczepiony kilkoma bolcami misterny kuty balkon wisiał na bocznej ścianie budynku, niczym żywe stworzenie usiłujące obronić się przed upadkiem na ulicę. Każdą ścianę pokrywało graffiti. Gabriel dostrzegł liczby, nazwiska oraz słowa wypisane drukowanymi literami. Niechlujnie narysowane strzałki wskazywały w nieznanym kierunku.

Pickering wszedł do wnętrza kolejnego budynku i poruszał się teraz z większą ostrożnością. Kilka razy zatrzymywał się i nasłuchiwał, pozostając w bezruchu do chwili, kiedy upewnił się, że są sami. Gabriel szedł za swym przewodnikiem po marmurowych schodach, potem korytarzem do pokoju, w którym znajdował się w połowie spalony materac, oparty o ścianę. Pickering odsunął materac na bok, odsłaniając otwór drzwiowy. Weszli do pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa okna zasłonięte płytami ze sklejki. Jedyne światło dawał niewielki płomień gazu uchodzącego z miedzianej rury, wyrwanej ze ściany.

Gdy Pickering na powrót przesunął materac, by zasłonić wejście, Gabriel rozejrzał się po pomieszczeniu. Było pełne śmieci, które Pickering zbierał w trakcie eskapad do miasta. Puste szklane butelki, sterta zatechłych koców, zielony fotel mający tylko dwie nogi oraz kilka popękanych lusterek. Gabriel w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że tapeta odchodzi od ściany. Potem jednak uświadomił sobie, iż Pickering przyczepił pinezkami ilustracje z krawieckich magazynów z wykrojami. Kobiety na poblaskłych rysunkach miały na sobie suknie do kostek oraz bluzki z wysokim kołnierzem, jakie noszono przed stu laty.

– Czy w tych czasach żyłeś?

Pickering skierował spojrzenie na rysunki zawieszane na ścianie.

– Mam nadzieję, że czuje się pan tutaj komfortowo, sir. To moje słodkie domowe pielesze – rzekł bez odrobiny ironii.

– Czy zawsze mieszkałeś w tym budynku? Czy tutaj się urodziłeś?

– Jak masz na imię, mój przyjacielu? Czy możesz mi powiedzieć? Przyjaciele powinni znać się z imienia.

– Gabriel.

– Usiądź, Gabrielu. Bądź moim gościem. Proszę, usiądź.

Gabriel spoczął w głębokim fotelu. Zielone obicie zionęło zatechłym, spleśniałym fetorem. Pickering sprawiał wrażenie jednocześnie zdenerwowanego i zadowolonego, że gości w domu drugą osobę. Niczym sumienny służący zaczął chodzić po pokoju. Zbierał różne śmieci i układał je w staranne sterty.

– Nikt nie urodził się na Wyspie. Wszyscy zbudziliśmy się tutaj pewnego ranka. Mieliśmy mieszkanie i odzież, lodówki pełne żywności. Kiedy naciskaliśmy włącznik, zapalało się światło, kiedy odkręcaliśmy kurek, z kranu płynęła woda. Mieliśmy również posady. Na komodzie w sypialni leżały klucze od mojego warsztatu, oddalonego o kilka przecznic stąd – Pickering uśmiechnął się błogo, jak gdyby wspomnienia całkowicie go pochłonęły. – Nazywałem się wówczas pan Pickering i byłem damskim krawcem. W moim zakładzie leżą bele kosztownych materiałów. Nie byłem zwyczajnym krawcem. Co do tego nie ma wątpliwości.

– A nie zastanawialiście się, dlaczego się tutaj znaleźliście?

– Pierwszego ranka czuliśmy się niemal jak w bajce, przez kilka godzin każdy sądził, że trafiliśmy w niezwykle miejsce. Ludzie zwiedzali całą Wyspę, dokonywali oględzin różnych budynków i zburzonego mostu – po raz pierwszy Gabriel dostrzegł za powłoką strachu odrobinę

wrażliwości i inteligencji. – To był taki szczęśliwy dzień, Gabrielu. Nawet sobie nie wyobrażasz jak szczęśliwy. Ponieważ wszyscy wierzyli, że znaleźliśmy się w cudownym miejscu. Niektórzy sugerowali nawet, że trafiliśmy do Nieba.

– Ale nie byliście w stanie przypomnieć sobie rodziców ani dzieciństwa?

– Nie istnieją wcześniejsze, osobiste wspomnienia sięgające poza pierwszy dzień. Zaledwie kilka snów. To wszystko. Każdy pisze tutaj jakieś słowa i dodaje liczby. Możemy posługiwać się narzędziami i jeździć samochodami. Nikt jednak nie pamięta, kiedy i w jaki sposób posiadał te umiejętności.

– Zatem miasto nie było zniszczone już pierwszego dnia?

– Oczywiście, że nie – Pickering wziął kilka pustych butelek po winie i ustawił je obok ściany.

– Było światło. Wszystkie samochody miały baki zatankowane do pełna. Tego popołudnia ludzie rozmawiali o powołaniu rządu i przystąpieniu do prac remontowych na moście. Gdy stanęło się na dachu, można było dostrzec, iż Wyspa znajduje się pośrodku ogromnej rzeki. Drugi brzeg widniał w odległości kilku mil.

– Co stało się potem?

– Walki rozpoczęły się już pierwszego wieczora. Kilku ludzi zaczęło kopać się nawzajem i przepychać, podczas gdy reszta patrzyła na nich jak na dzieci uczące się nowej zabawy. O brzasku następnego dnia zaczęło się zabijanie – Pickering miał teraz minę, jakby był z siebie dumny. – Nawet ja zabiłem człowieka, który usiłował włamać się do mojego zakładu. Posłużyłem się nożyczkami.

– Ale dlaczego ludzie niszczyli swoje własne domy?

– Miasto zostało podzielone na sektory, którymi rządzą różni watażkowie. Powstały punkty kontrolne, granice oraz strefy śmierci. Tu przez długi czas był Sektor Zielony. Nasz watażka nazywał się Vinnick i rządził do chwili, kiedy został zabity przez swego zastępcę.

– Jak długo trwały walki?

– Na Wyspie nie ma kalendarza, a wszystkie zegary zostały zniszczone. Ludzie przywykli do liczenia dni, lecz różne grupy podają inne liczby i oczywiście zaczęła się walka o to, kto ma rację. Na jakiś czas nasz Zielony Sektor zawarł pakt z Sektorem Czerwonym, ale później podpisaliśmy tajny sojusz i zdradziliśmy ich na rzecz Niebieskich. Na początku walczone pistoletami i karabinami. Potem, kiedy skończyła się amunicja, ludzie zaczęli wytwarzać broń własnej roboty. W końcu watażków zabito, a ich armie się połączyły. Obecnie osobą, która wysyła patrole, jest komisarz.

– Nie można wypracować jakiejś formy porozumienia?

Pickering roześmiał się bezmyślnie.

– Nie miałem zamiaru pana obrazić, sir. Mój przyjacielu, Gabrielu. Proszę, nie gniewaj się. Twoje pytanie było po prostu... niespodziewane.

– Nie gniewam się.

– W czasach watażków ludzie zaczęli mówić, że walka będzie trwała do momentu, kiedy przeżyje określona liczba ludzi. Zaczęły się oczywiście spory o tę liczbę. Czy chodziło o dziewięćdziesięciu dziewięciu ocalałych, trzynastu czy tylko trzech? Nikt tego nie wie. Wierzymy jednak, że ci ostatni odnajdą drogę, która im pozwoli opuścić to miejsce, a reszta z nas narodzi się ponownie, by cierpieć tę samą niedolę.

– Ilu ludzi zdołało więc przeżyć?

– Może dziesięć procent pierwotnej populacji. Niektórzy z nas są karaluchami. Kryjemy się za murami i w piwnicach; dzięki temu wciąż żyjemy. Ludzie, którzy się nie kryją, to wilki. Chodzą po mieście, formują patrole i zabijają każdego, kogo zobaczą.

– Dlatego właśnie się ukrywasz?

– Tak! – Pickering wyglądał teraz, jakby odzyskał pewność siebie. – Z całego serca mogę cię zapewnić, że karaluchy przetrwają dłużej niż wilki.

– Posłuchaj, nie uczestniczę w waszej wojnie i nie chcę być po żadnej stronie. Szukam innego przybysza. To wszystko.

– Rozumiem, Gabrielu – Pickering podniósł pękniętą umywalkę i postawił ją w narożniku pokoju. – Proszę, bądź moim gościem. Zostań tu przez chwilę, a ja udam się na poszukiwania tego przybysza. Nie ryzykuj życiem, mój przyjacielu. Jeżeli patrol cię odkryje, zatłuką cię na ulicy.

Zanim Gabriel zdążył zareagować, Pickering odsunął na bok nadpalony materac, przesunął się przez otwór, potem ponownie umieścił przegrodę we właściwym miejscu. Gabriel siedział w głębokim fotelu i zastanawiał się nad tym, co widział od chwili, kiedy znalazł się na nadrzecznej skarpie. Dusze pełne gwałtu i przemocy znalazły się w tym świecie na zawsze i uczestniczą w nieskończonym cyklu zemsty i zniszczenia. Jednak piekło nie cechowało się niczym szczególnym. W jego własnym świecie również istniał gwałt i przemoc.

Płomyk gazu uchodzącego z rozerwanej rury zdawał się pochłaniać cały tlen z pomieszczenia. Gabriel zaczął się pocić i poczuł suchość w ustach. Wiedział, że nie powinien niczego jeść w tym miejscu, lecz chciał znaleźć źródło wody. Wstał, odsunął materac i opuścił kryjówkę Pickeringa. Kiedy zaczął penetrować budynek, zdał sobie sprawę, że jest on podzielony na biura. Były tu biurka i krzesła, szafy na segregatory oraz porzucone staromodne maszyny do pisania. Teraz to wszystko pokrywała cienka warstwa białawego kurzu. Kto tutaj pracował? Czy opuścili swoje mieszkania tamtego pierwszego ranka i poszli do pracy, niemal nie przeczuwając, iż to tylko dalszy ciąg ich snów?

Wciąż szukając wody, natrafił na wybite okno i wyrztał na ulicę. Dostrzegł dwa rozbite samochody, które zderzyły się z sobą. Ich karoseria była zgnieciona niczym harmonijka. Pickering wyszedł zza rogu, a Gabriel skrył się w cieniu. Chudy mężczyzna zatrzymał się i spojrzał przez ramię, jak gdyby na kogoś czekał.

Po kilku sekundach pojawiło się pięciu mężczyzn. Jeśli Pickering nazywał siebie karaluchem, ci mężczyźni reprezentowali bez cienia wątpliwości kastę wilków. Byli dziwnie ubrani we fragmenty garderoby pochodzące z najprzeróżniejszych źródeł. Mężczyzna o blond włosach zaplecionych w warkocze miał na sobie tropikalne szorty oraz czarną marynarkę od smokingu z satynowymi połami. Szedł obok czarnoskórego mężczyzny ubranego w biały laboratoryjny kitel. Wilki były uzbrojone w broń domowej roboty – pałki, miecze, siekiery oraz noże.

Gabriel natychmiast opuścił ten pokój, lecz skręcił w niewłaściwą stronę i w końcu znalazł się w innym ciągu opuszczonych pomieszczeń biurowych. Zanim dotarł do marmurowych schodów, słyszał już pozbawiony tchu głos Pickeringa, który dobiegał z parteru.

– Tędy, proszę, chodźcie. Tędy.

Gabriel szedł schodami na trzecie piętro. Spojrzał w dół klatki schodowej i dostrzegł blask pomarańczowego płomienia. Jeden z wilków właśnie rozpałił pochodnię zrobioną z nogi od stołu, owiniętej szmatami umoczonymi w smole.

– Nie okłamałem was – zarzekał się Pickering. – On tu był. Spójrzcie, poszedł na górę. Nie widzicie?

Gabriel zdał sobie sprawę, że zostawił odciski stóp na warstwie pyłu, który pokrywał stopnie schodów. Na korytarzu za nim również był białawy kurz. Gdziekolwiek pójdzie, wilki bez trudu go wytropią.

Nie możesz tu zostać, pomyślał i ruszył dalej schodami. Schody kończyły się na piątym piętrze. Minął stalowe drzwi przeciwpożarowe zwisające z zawiasów i znalazł się na dachu. Żółtawoszare

chmury pokrywające niebo stały się teraz ciemniejsze i bardziej kłębiaste, jak gdyby za chwilę miał spaść deszcz. Spoglądając ku horyzontowi, Gabriel dostrzegł zawalony most oraz czarną wstążkę rzeki.

Podszedł do niskiej podmurówki zabezpieczającej dach, która biegła po całym obwodzie budynku. Od następnego dachu dzieliła go odległość mniej więcej czterech i pół metra. Jeśli skok się nie uda, nigdy nie powróci do własnego świata. Czy Maya kiedykolwiek zobaczy jego martwe ciało? Czy przyłoży ucho do jego piersi i zda sobie sprawę, że w końcu przestał oddychać? Obszedł dach dookoła jeden raz, potem drugi i w końcu powrócił do punktu wyjścia. Ze względu na zabezpieczający mur, nie był w stanie rozpędzić się i przeskoczyć na dach drugiego domu.

Stalowe drzwi przeciwpożarowe zostały wyrwane z zawiasów i spadły w dół klatki schodowej. Pickering oraz patrol weszli na dach.

– Widzicie? Mówiłem wam! – zarzekał się Pickering.

Gabriel stanął na szczycie betonowego muru i spojrzał na sąsiedni budynek. To za daleko, pomyślał. O wiele za daleko.

Wilki uniosły broń i ruszyły w jego kierunku.

27

Dwóch najemników Tabulów wspięło się w górę stoku do helikoptera i przyniosło przenośny agregat prądotwórczy. Postawiono go w pobliżu budynku magazynowego i podłączono do niego lampę sodową. Michael podniósł wzrok do góry. Na nocnym niebie skrzyły się miliony gwiazd. Zrobiło się bardzo chłodno i oddechy zamieniały się w delikatną mgiełkę.

Michael odczuwał rozczarowanie faktem, że na wyspie nie ma ani Gabriela, ani jego ojca, ale operacja nie zakończyła się kompletnym fiaskiem. Być może oddziałowi najemników uda się znaleźć dokumenty albo informacje na komputerze, które pozwolą zlokalizować bardziej obiecujące obiekty. Poza tym pani Brewster zostanie przekazana informacja, że zabrał z sobą sklejaki oraz domagał się zastosowania agresywnych metod przy przeszukiwaniu klasztornych budowli. Członkowie Bractwa lubili ludzi, którzy potrafili przejmować dowodzenie.

Siedział na odłamie wapiennej skały i patrzył, jak Boone wydaje polecenia swoim ludziom. Kiedy obraz uzyskany za pomocą backscattera wykazał, że osoba znajdująca się w środku została wyeliminowana, jeden z najemników z siekierą zaczął rąbać grube dębowe drzwi. Po chwili, gdy wyrąbano dziurę o powierzchni mniej więcej jednej piątej metra kwadratowego, Boone kazał najemnikowi się wstrzymać. Kiedy jeden z genetycznie zmodyfikowanych pawianów spojrzał przez dziurę niczym zaciekawiony pies, Boone strzelił bestii prosto w głowę.

Dwa pozostałe sklejaki wewnątrz magazynu zaczęły przywoływać się nawzajem. Wykazały dostatecznie dużo rozsądku, by wyczuć niebezpieczeństwo, i trzymały się z dala od wyrąbanego otworu. Mężczyzna z siekierą kontynuował zadanie. Po piętnastu minutach drzwi przestały istnieć. Ludzie Boone'a weszli ostrożnie, odpychając pojemniki magazynowe i unosząc do góry broń, zanim odważyli się wejść głębiej. Po chwili Michael usłyszał wściekłe piski bestii oraz kolejne strzały.

Jeden z ludzi Boone'a rozpałił ogień w budynku kuchennym i przyniósł pozostałym kubki z herbatą. Michael wykorzystał gorący kubek do ogrzania zmarzniętych dłoni, gdy czekał na dalsze informacje. Po dziesięciu minutach Boone wyszedł przez wyrąbane drzwi. Uśmiechał się i poruszał w sposób znamionujący pewność siebie, jak gdyby ponownie jakimś sposobem odzyskał władzę. Wziął kubek z herbatą i podszedł do Michaela.

– Czy Arlekinka nie żyje? – zapytał Michael.

– Mai tam nie było. To młoda kobieta z Los Angeles nazwiskiem Victory Od Grzechu Fraser – Boone zachichotał. – To nazwisko zawsze budziło we mnie rozbawienie.

– Była jedyną osobą w tym budynku?

– Ach nie, był ktoś jeszcze. Na dole w piwnicy – Boone zawahał się przez kilka sekund, czerpiąc radość z napięcia, które dostrzegł na twarzy Michaela. – Po prostu znaleźliśmy pańskiego ojca. To znaczy... ciało pańskiego ojca.

Michael wziął latarkę od jednego z najemników i podążył za Boone'em do budynku magazynowego. Podłoga i ściany były obryzgane krwią, wciąż jeszcze jaskrawoczerwoną i połyskującą. Cztery martwe sklejaki leżały przykryte folią. Drugim arkuszem folii zakryto ciało Victory Fraser, lecz Michael widział pogryzione podeszwy jej butów.

Zeszli schodami do piwnicy z posadzką wysypaną żwirem i przeszli przez drzwi do bocznego pomieszczenia. Na kamiennej płycie leżał Matthew Corrigan, z nogami przykrytymi muślinem. Gdy Michael spojrzał z góry na ciało, przez jego głowę przemknęły obrazy z obezwładniającą siłą. Przypomniał sobie ojca, który plewił ogród na tyłach farmerskiego domu, prowadził zdezelowanego pick-upa, ostrzył nóż przed zarżnięciem świętecznego indyka. Przypomniał sobie, jak ojciec rąbał drewno pewnego zimowego dnia, a śnieg osiadał na jego długich brązowych włosach, gdy ostrze siekiery unosiło się w górę ku niebu. Tamte dni dzieciństwa odeszły. Odeszły na zawsze. Jednak wspomnienia wciąż wzruszały Michaela, a to sprawiło, że poczuł gniew.

– On nie jest martwy – wyjaśnił Boone. – Mam stetoskop i słuchałem bicia jego serca. Tak właśnie wyglądacie, kiedy opuszczacie fizyczne ciało i udajecie się do innych wymiarów.

Michaelowi nie spodobał się buńczuczny uśmiech oraz pełen insynuacji ton.

– W porządku, znalazł go pan – oznajmił. – A teraz niech pan stąd znika.

– Z jakiego powodu?

– Nie muszę podawać panu powodów. Jeśli chce pan zachować swoją posiadłość, radziłbym panu okazać nieco respektu przedstawicielowi zarządu. Proszę iść na górę i zostawić mnie samego.

Boone zacisnął usta, lecz skinął głową i opuścił piwnicę. Michael słyszał, jak pozostali ludzie chodzą wokół budynku i przesuwiają pojemniki w magazynie. Trzymając latarkę w lewej dłoni, spoglądał z góry na Matthew Corrigan. Kiedy Michael dorastał w Dakocie Południowej, dorośli zawsze twierdzili, iż Gabriel jest podobny do ojca. Chociaż włosy Matthew były teraz siwe, a jego twarz zryta głębokimi zmarszczkami, Michael dostrzegał to podobieństwo. Zastanawiał się, czy prawdą są pogłoski, które wychwyciły komputery Tabulów. Czy Gabriel był również na tej wyspie i czy odkrył ciało ojca?

– Słyszysz mnie? – zapytał. – Czy... mnie... słyszysz?

Żadnej reakcji. Dotknął szyi ojca i mocno nacisnął przez sekundę. Wydało mu się, że wyczuwa słaby puls. Jeśli odłoży latarkę, będzie w stanie zacisnąć gardło ojca obiema dłońmi. Nawet gdy jego Światło podróżowało po innych światach, ciało mogło umrzeć tu na tym świecie. Nikt nie byłby w stanie powstrzymać go przed zamordowaniem Matthew, poza tym nikt też nie podawałby w wątpliwość jego decyzji. Pani Brewster uznałaby jego działanie za kolejną demonstrację wierności sprawie.

Michael położył latarkę na półce wrytej w ścianie. Para z jego oddechu pojawiła się na moment, potem znikła w chłodnym powietrzu. W całym swoim życiu nigdy nie czuł takiej koncentracji jak w tym momencie. Zrób to, pomyślał Michael. Opuścił was piętnaście lat temu, teraz zniknie na zawsze.

Nachylił się ponownie i podniósł powiekę ojca. Niebieskie oko spoglądało na niego, ale w

ciemnej źrenicy nie dostrzegł nawet iskierki życia. Michael czuł się tak, jak gdyby patrzył na nieboszczyka, i to właśnie stanowiło problem. W tym czy innym świecie pragnął konfrontacji z ojcem, chciał zmusić go do wyznania, że porzucił własną rodzinę. Wyeliminowanie tej pustej powłoki nic dla niego nie znaczyło. I nie doznałby żadnej satysfakcji. Wspomnienia znów przemknęły przez jego głowę z szybkością błyskawicy. Jak toczył bójki w Dakocie Południowej, kiedy miał kilkanaście lat. Gdy Michael stłukł i skopał przeciwnika, ten drugi chłopak padł na ziemię i zakrył twarz rękami. Jednak on nie miał dosyć. Nie tego oczekiwał. Pragnął kompletnego poddania się. Pragnął dostrzec trwogę.

Znów sięgnął po latarkę i ruszył schodami do obryzganego krwią pomieszczenia, gdzie czekał na niego Boone oraz dwóch najemników.

– Zanieście ciało do helikoptera – polecił im Michael. – Zabieramy go z tej wyspy.

28

Wilki czekały, aż Gabriel zejdzie z powrotem na dach, potem go pochwytyły. Wykręciły mu ręce do tyłu, a nadgarstki związały kawałkiem elektrycznego przewodu. Oczy przewiązały mu przepaską z kawałka porwanej koszuli. Kiedy nie był już w stanie się bronić, jeden uderzył go pięścią w gardło. Gabriel upadł na pokryty papą dach i usiłował się skulić, gdy wilki kopały go w brzuch i klatkę piersiową. Nic nie widział, był zrozpaczony i usiłował złapać oddech.

Ktoś uderzył go drewnianą pałką w krzyż, a promieniujący ból rozszedł się po całym jego ciele. Gabriel usłyszał, że mówią coś o szkole. Zabierzmy go do szkoły. Czyjeś ręce postawiły go na nogi i pociągnęły w dół po marmurowych schodach. Gdy znaleźli się na ulicy, potykał się i zahaczał o bryły gruzu. Usiłował zapamiętać, którądy idą. Zakręcił w lewo. Zakręcił w prawo. Postój. Jednak silny ból utrudniał myślenie. W końcu zaprowadziły go na inne schody i do pomieszczenia, którego posadzkę stanowiły gładkie kamienne płyty. Zdjęli mu więzy z przewodu elektrycznego i skuli ręce kajdankami. Założyli mu też obręcz na szyję, a drugi koniec łańcucha przypięli do stalowego kółka przymocowanego sworzniem do posadzki.

Ciało Gabriela było obolałe, czuł też wysychającą krew na policzkach i dłoniach. Obrazy rzeki, zawalonego mostu, płonących gazowych pochodni wśród ruin zdominowały jego myśli. Po chwili zapadł w półsen. Zbudził się, kiedy usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Czyjeś ręce zdjęły opaskę z jego oczu i zobaczył przed sobą czarnoskórego człowieka ubranego w biały laboratoryjny fartuch oraz mężczyznę z włosami blond zaplecionymi w warkocze.

– Nie wolno ci wyjść z tego budynku – oznajmił blondyn. – Nie masz już życia, chyba że oddamy ci je z powrotem.

Gdy wilki zdjęły obręcz z jego szyi, Gabriel rozejrzał się po pomieszczeniu, dostrzegł biurko nauczyciela oraz czarną staromodną tablicę. Na ścianie były przypięte wyblakłe, niegdyś zielone litery alfabetu, wykonane z tektury. Niektóre z nich wisiały koślawo, trzymając się tylko na jednej pinezce.

– Pójdiesz z nami – rozkazał czarnoskóry. – Komisarz chce się z tobą spotkać.

Dwa wilki chwyciły Gabriela za ręce i pociągnęły korytarzem. Trzykondygnacyjny budynek miał ceglane ściany oraz małe okna przesłonięte okiennicami. Na jakimś etapie wiecznej walki wilki zamieniły szkołę w fort. Było tu dormitorium, magazyn oraz więzienie. Kto był komisarzem?, zastanawiał się Gabriel. Musiał być kimś ważniejszym, silniejszym i być może bardziej złośliwym niż ludzie, którzy wlekli go korytarzem uzbrojeni w pałki i noże zawieszane u pasów.

Skręcili za róg, minęli uchylone drzwi i weszli do dużej sali, która była kiedyś szkolnym audytorium. Wygięte rzędy drewnianych siedzeń stały naprzeciw podestu. W poprzek podestu biegła stalowa rura, doprowadzająca gaz do palącego się jasnym płomieniem palnika w kształcie litery L. Dwie ławki ustawiono w głębi pod ścianą. Dwa wilki siedziały tam niczym petenci przed drzwiami króla.

Pośrodku podestu znajdował się duży stół. Leżały na nim segregatory z szarej tektury oraz czarne księgi. Mężczyzna, który siedział za stołem, miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę oraz czerwoną muszkę. Był szczupły i łysy, z jego twarzy emanowała pewność siebie oraz buta. Nawet z oddali Gabriel wyczuł, że ten człowiek zna wszystkie przepisy i jest gotów wprowadzać je w życie przy użyciu wszystkich możliwych środków. Nie było żadnej szansy na negocjacje czy ustępstwa – każdy był winny i każdy zostanie ukarany. Dwaj strażnicy pilnujący Gabriela zatrzymali się w połowie przejścia i czekali, aż komisarz skończy rozmowę z roslym mężczyzną, trzymającym worek przemoczony krwią. Jeden z pomocników komisarza liczył przedmioty znajdujące się w worku. Potem przekazał mu szeptem ich liczbę.

– Bardzo dobrze – głos komisarza był silny i władczy. – Dostaniesz swój przydział żywności.

Mężczyzna z workiem opuścił podest, a komisarz wpisał numer sprawy do czarnej księgi. Ignorując pozostałych petentów, dwa wilki odprowadziły Gabriela do podestu i zmusiły go, by usiadł na drewnianym taborecie przed stołem. Komisarz zamknął księgę, podniósł wzrok i zajął się nową sprawą.

– Dobrze, a zatem mamy naszego przybysza z innych światów. Powiedziano mi, że masz na imię Gabriel. Czy to precyzyjna informacja?

Gabriel milczał do chwili, gdy blondyn dźgnął go w plecy pałką.

– To prawda, a pan kim jest?

– Moi poprzednicy ochoczo sięgali po dumnie brzmiące, choć nic nie znaczące tytuły, jak generał, major czy szef sztabu. Jeden z nich nazywał nawet siebie prezydentem życia. Oczywiście jego władza trwał zaledwie pięć dni. Po licznych przemyśleniach wybrałem skromniejszy tytuł. Jestem komisarzem patroli nadzorujących ten sektor miasta.

Gabriel przytaknął, lecz nie przerywał milczenia. Gazowy płomień za nim wydawał szumiący odgłos.

– Przybysze z zewnątrz pojawiali się wcześniej w mieście, ale ty jesteś pierwszym, którego spotykam. A zatem kim jesteś i jak się tutaj dostałeś?

– Jestem po prostu taki sam jak każdy inny – oznajmił Gabriel. – Otworzyłem oczy i znalazłem się nad rzeką.

– Nie wierzę w to.

Komisarz patroli wstał od stołu. Gabriel zobaczył, że do jego pasa przypięty jest rewolwer. Komisarz strzelił palcami i jeden z jego asystentów pośpiesznie podsunął drugi stółek. Komisarz usiadł blisko Gabriela i nachylił się do przodu.

– Niektórzy twierdzą, że boska moc wyzwoli grupę tych, którzy ocaleją – powiedział szeptem. – Oczywiście, w moim interesie leży propagowanie takich pełnych nadziei fantazji. Osobiście jednak uważam, że jesteśmy skazani na wyrzynanie się nawzajem na okrągło aż po koniec czasów. Oznacza to, że jestem tu na wieczność, chyba że znajdę drogę wyjścia.

– Czy to jedyne miasto w tym świecie?

– Oczywiście, że nie. Zanim niebo zrobi się ciemne, można zobaczyć inne wyspy dalej w dół rzeki. Zakładam jednak, że to tylko inne piekielne miejsca, być może zamieszkane przez ludzi z innych kultur bądź też z innych epok. Ale wszystkie wyspy są takie same. Jest to miejsce, gdzie dusze są

skazane na powtarzanie ciągłego cyklu niedoli i przemocy po wsze czasy.

– Jeśli pozwoli mi pan spenetrować Wyspę, będę mógł odnaleźć korytarz prowadzący na zewnątrz.

– Tak, to by ci się podobało. Nieprawdaż? – komisarz wstał i ponownie pstryknął palcami. – Przeprowadźcie tu specjalny fotel.

Jeden z asystentów pobiegł i wrócił po chwili ze staromodnym wózkiem na kółkach – wyrafinowana konstrukcja wykonana była z giętego drewna, miała wiklinowe siedzenie oraz gumowe opony. Z rąk Gabriela zdjęto kajdanki i nylonową linkę. Kawałkiem elektrycznego przewodu asystenci komisarza przywiązali jego ręce i nogi do ramy wózka. Komisarz patroli obserwował to, co się dzieje, od czasu do czasu dając swoim ludziom wskazówki, gdzie powinni zrobić dodatkowe węzły.

– Jesteś tu przywódcą – zwrócił się do niego Gabriel. – Dlaczego więc nie powstrzymasz tego zabijania?

– Nie mogę wytrzebić gniewu i nienawiści. Potrafię tylko nimi kierować. Zdołałem przetrwać, ponieważ posiadam zdolność identyfikowania naszych wrogów, zdegenerowanych form życia, które trzeba eksterminować. Obecnie polujemy na karaluchy, które kryją się w ciemności.

Komisarz zszedł na dół z podestu. Mężczyzna o blond włosach podążył za nim, pchając przed sobą wózek, na którym siedział spętany Gabriel. Kolejny raz minęli korytarz na parterze szkolnego budynku. Czekające tam wilki ukłoniły się lekko na widok dowódcy. Gdyby dostrzegł choćby ślad nielojalności w ich oczach, natychmiast staliby się jego wrogami.

Przy końcu korytarza komisarz wyciągnął klucze z kieszeni i otworzył czarne drzwi.

– Zostań tu – powiedział do blondyna, potem pchnął wózek z Gabrielem przez otwarte drzwi.

Znaleźli się w dużym pomieszczeniu wypełnionym szeregami zielonych metalowych regałów na dokumenty. Kilka szuflad było wyciągniętych, a ich zawartość rozsypana na podłodze. Gabriel spojrział w dół i dostrzegł szkolne dzienniki, wypracowania oraz uwagi nauczycieli. Niektóre z segregatorów były wymazane krwią.

– We wszystkich tych regałach znajdują się szkolne dzienniki – wyjaśnił komisarz. – Na Wyspie nie ma dzieci, ale kiedy obudziliśmy się pierwszego dnia, istniała tutaj prawdziwa szkoła. A zatem była kreda do pisania na tablicy, papier i ołówki, jedzenie w pojemnikach w szkolnym bufecie. Takie drobne szczegóły podnoszą poziom okrucieństwa. My po prostu nie zniszczyliśmy miasta z wyobrażeń, lecz rzeczywiste miejsce ze światłami ulicznymi oraz lodziarniami.

– Czy dlatego tu mnie pan przyprowadził?

Komisarz przepchnął wózek z Gabrielem obok szaf na segregatory. Z końcówek dwóch rur wystających ze ściany były płomyki gazu, ale światło to w niewielkim stopniu rozjaśniało mrok pomieszczenia.

– Istnieje określony powód, dla którego wybrałem tę szkołę na swoją główną kwaterę. Wszystkie relacje z przybyszami wiążą się z tym pomieszczeniem. Musi być coś szczególnego związanego z tym miejscem, ale nie zdołałem jak dotąd odkryć tej tajemnicy.

Dotarli do centralnej pracowni, gdzie znajdowały się stoły, tace oraz metalowe krzesła. Gabriel był więźniem na wózku inwalidzkim, ale mógł obracać głową i szukać plamy nieskończonej czarnej przestrzeni, która mogła okazać się przejściem prowadzącym z powrotem do czwartego wymiaru.

– Jeśli przybysze mogą podróżować do tego świata, musi istnieć też możliwość jego opuszczenia. Gdzie jest to przejście, Gabrielu? Musisz mi to powiedzieć.

– Nie wiem.

– Taka odpowiedź jest nie do zaakceptowania. Posłuchaj mnie uważnie. W tym momencie

widzę wyłącznie dwie możliwości. Albo okażesz się moją jedyną nadzieją ucieczki stąd, albo też zagroziysz mojemu przetrwaniu. Nie mam czasu ani ochoty na zgadywanie, która z tych opcji jest właściwa – komisarz wyciągnął rewolwer i przyłożył go do głowy Gabriela. – W magazynku zostały jeszcze trzy kule. Prawdopodobnie ostatnie trzy kule, jakie istnieją na tej Wyspie. Nie zmuszaj mnie do tego, bym zmarnował jedną z nich, zabijając ciebie.

29

Maya wciąż miała przy sobie rewolwer, który kupiła w Nowym Jorku. Posiadanie broni determinowało wybór środka transportu. Unikając lotnisk, jechała z Irlandii do Londynu lokalnymi autobusami, potem promem, a na koniec pociągiem. Dotarwszy do Victoria Station w środku nocy, nie miała pojęcia, jak znaleźć Gabriela. Przed opuszczeniem wyspy Skelling Columba obiecał, że się skontaktuje z Free Runnerami, Maya zdecydowała więc, iż zajrzy do Vine House przy South Bank. Być może Jugger i jego przyjaciele będą wiedzieli, czy Gabriel wciąż jeszcze przebywa w mieście.

Przeszła na drugą stronę Tamizy i podążała wzdłuż Langley Lane w kierunku Bonnington Square. O tak późnej porze ulice były puste, ale widziała poświatę telewizorów w ciemnych pokojach. Minęła kilka odnowionych budynków z werandami oraz budynek szkoły z czerwonej cegły, wzniesiony w epoce wiktoriańskiej, przekształcony na apartamentowiec dla klientów z wyższych sfer. W takim otoczeniu Vine House wyglądał jak zaniedbany starzec pośród elegancko ubranych bankierów i prawników.

Kiedy Maya dotarła do otaczającego ogród przy Vine House kamiennego muru, niespełna dwumetrowej wysokości, wyczuła drapiący zapach, który przypominał jej pożar wysypiska śmieci. Zatrzymała się i wyjrzała zza rogu budynku. Na chodniku nie dostrzegła nikogo, nikt też nie siedział w niewielkim ogródku usytuowanym pośrodku placu. Okolice zatem wydawała się bezpieczna, ale po chwili zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących w furgonetce dostarczającej kwiaty, zaparkowanej przy końcu przecznicy. Wątpiła, by ktokolwiek zamówił tuzin róż o pierwszej w nocy.

Od strony Langley Lane nie było wejścia na tył ogrodu, chwyciła więc za krawędź kamiennego muru, wciągnęła się i znalazła po drugiej stronie. Śwąd spalenizny przybrał na sile, lecz wciąż nigdzie nie widziała ognia. Światło padało z ulicznej latarni, a księżyc w nowiu rzucał słabą poświatę na zachodnią stronę nieba. Jak najciszej przeszła ogrodową ścieżką na tył domu i natrafiła na drzwi, które ostrożnie otworzyła.

Dym wypływał przez otwarte drzwi i otoczył ją niczym fala zastałej mętnej wody. Cofnęła się o krok, zaczęła kaszleć i machać rękami. Ktoś podłożył ogień pod Vine House. Osiemnastowieczne dębowe belki oraz drewniane podłogi dawały tyle dymu, co pryzma wypalanego węgla drzewnego.

Gdzie się znajdowali Free Runnerzy? Czy zdołali uciec z domu, czy też byli już martwi? Padła na ręce i kolana, po czym na czworakach wpełzła do korytarza na parterze. Drzwi po lewej prowadziły do pustej kuchni. Natomiast te po prawej otwierały drogę do łazienki, której pojedyncza lampa dawała słabe światło w panującym mroku.

Pośrodku łazienki leżał jakiś mężczyzna, w połowie na podłodze i w połowie na materacu, jak gdyby był zbyt zamroczony, by znaleźć drogę do łóżka. Maya chwyciła go za rękę i wyciągnęła przez drzwi na korytarz, a potem do ogrodu. Dusił się od kaszlu, oczy napełniły się łzami, ale zorientowała się, że nieprzytomnym mężczyzną jest przyjaciel Gabriela, Jugger. Uniosła jego tułów, potem wymierzyła mu siarczysty policzek. Jugger zamrugał powiekami i zaczął kaszleć.

– Posłuchaj mnie! – powiedziała Maya. – Czy ktoś jest jeszcze wewnątrz domu?

– Roland. Sebastian... – Jugger znów Zakrzusił się i zaczął kaszleć.

– Co się stało? Czy oni nie żyją?

– Dwaj mężczyźni przyjechali furgonetką. Mieli broń. Kazali nam położyć się na podłodze.

Potem zrobili nam jakieś zastrzyki...

Raz jeszcze weszła do domu, wzięła głęboki oddech i wkroczyła do środka. Pełzając jak zwierzę, minęła korytarz i skierowała się na wąskie schody. Jakaś część jej umysłu pozostawała bystra, podczas gdy płuca walczyły o oddech. Zabicie Free Runnerów przy użyciu broni palnej lub noży przyciągnęłoby zbyt dużą uwagę lokalnych władz. Dlatego najemnicy Tabulów wstrzyknęli trzem mężczyznom narkotyki, a potem podłożyli ogień pod opuszczony dom. Teraz czekali przed frontowymi drzwiami i wejściem do ogrodu, chcąc się upewnić, że nikt nie ujdzie z życiem. Następnego ranka strażacy znajdują trzy zwęglone ciała w dymiących zgliszczach. Lokalne władze wystawią ziemię na sprzedaż, a londyńskie gazety opublikują krótką historię na ostatnich stronach: Trzy śmiertelne ofiary w nielegalnie zamieszkanym domu.

Maya odnalazła Sebastiana w sypialni na piętrze i ściągnęła po schodach do ogrodu. Kiedy wróciła po raz trzeci, widziała już płomienie buchające w ciemności, płonące deski podłogi obok fotela oraz języki ognia sięgające poręczy. U góry schodów pojawił się czarny dym i była już niemal kompletnie ślepa, kiedy po omacku trafiła na bezwładne ciało Rolanda w sypialni na poddaszu. Ściągała go pomalutku, zatrzymując się. Odcinek po odcinku. Przestała już cokolwiek widzieć i słyszeć w powłoce dymu. Tylko jakaś cząstka w jej umyśle pozostała świadoma.

Wypadła przez tylne drzwi, puściła ciało Rolanda i sama legła na błotnistej glebie w ogrodzie. Po kilku minutach, kaszląc i łapczywie chwytając powietrze, usiadła i przecierała oczy. Jugger wciąż był przytomny, mówił coś bełkotliwie o zastrzykach. Maya dotknęła piersi dwóch pozostałych Free Runnerów i wyczuła oddech. Żyli.

Miała z sobą pistolet, ale użycie go w tej dzielnicy mogło być niebezpieczne. Hollis tłumaczył kiedyś, że Los Angeles w noc sylwestrową przypomina walkę na froncie. W Londynie dźwięk wystrzału był raczej czymś niezwykłym. Gdyby wystrzeliła z rewolweru, połowa okolicznych mieszkańców usłyszałaby huk i natychmiast zadzwoniła po policję. Dom płonął już na dobre, dojrzała też pomarańczowe języki ognia, którymi zajęła się zasłona w sypialni Juggera. Wstała, podeszła do tylnych drzwi i poczuła falę gorąca, która biła przez mroźne powietrze nocy. Kiedy odzyskała normalny oddech, przypomniała sobie rozmowę ojca i Mother Blessing na temat tłumików. W Europie tłumiki były nielegalne. Trudno je było zdobyć i ciężko przewozić. Czasami więc łatwiej było zaimprovizować wyjście awaryjne.

Rozejrzała się po podwórku i znalazła wysypujący się kosz na śmieci w pobliżu muru. Zaczęła grzebać wśród śmieci, aż w końcu znalazła pustą dwulitrową butelkę po wodzie oraz kawałek różowego gumowanego materiału, który wyglądał jak podłogowa wykładzina. Włożyła odrobinę wykładziny do butelki, potem wsunęła lufę pistoletu w otwór. Na schodach obok tylnych drzwi znalazła starą rolkę z taśmą, owinęła więc nią szczelnie lufę oraz plastikową szyjkę butelki. Jugger siedział i patrzył na nią z drugiej strony ogrodu.

– Co... co właściwie robisz?

– Obudź przyjaciół, zaraz stąd znikamy.

Ściskając zaimprovizowaną broń, przeszła z powrotem przez mur, pobiegła w dół alejką i zbliżyła się od tyłu do furgonetki dostarczającej kwiaty. Boczne okno było do połowy opuszczone, wydostawał się przez nie dym z papierosa. Usłyszała też rozmowę dwóch mężczyzn.

– Jak długo musimy tu czekać? – zapytał kierowca. – Zaczynam być głodny.

Drugi się roześmiał.

– Więc wracaj do tego domu. Tam już piecze się mięso...

Maya podeszła do okna od strony kierowcy, uniosła pistolet i wystrzeliła. Pierwsza kula rozwalila denko plastikowej butelki i przebiła szybę. Wystrzał zabrzmiał jak klaśnięcie dłońmi – dwa szybkie strzały jeden po drugim, potem zapadła cisza.

30

Na godzinę przed planowanym lądowaniem na lotnisku Heathrow, Hollis udał się do toalety pokładowej i w ciasnej kabinie zmienił ubranie. Czuł, że budzi podejrzenia, kiedy wrócił na swoje miejsce w granatowej koszuli i spodniach takiegoż koloru, ale ludzie byli zbyt zamroczeni i nikt najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Jego stare ubranie zostało wciśnięte do małej torebki, którą zamierzał zostawić na pokładzie samolotu. Wszystko, czego potrzebował, by znaleźć się na terenie Anglii niezauważony, znajdowało się w szarej kopercie, którą trzymał pod pachą.

W ciągu kilku ostatnich dni pobytu w Nowym Jorku, otrzymał e-maila od Lindena, który informował go, że jego zadanie zostało wykonane i nadeszła pora przybycia do Anglii. Francuski Arlekin nie zdołał znaleźć statku handlowego, który przewiózłby Hollisa do Europy nielegalnie. Istniała możliwość, iż Tabulowie wprowadzili dane biometryczne Hollisa do baz danych systemów ochrony, z których czerpały informacje służby kontroli granicznej na całym świecie. Kiedy Hollis przybędzie na lotnisko Heathrow, może zadziałać alarm systemu ochrony i zostanie zatrzymany przez miejscowe władze. Linden poinformował Hollisa o innej drodze – z ominięciem Siatki – na teren Wielkiej Brytanii, chociaż wymagało to odrobiny sprawnego działania na lotniskowym terminalu.

Samolot linii American Airlines wylądował o czasie na płycie lotniska Heathrow. Pasażerowie siedzący wokół Hollisa zaczęli włączać swoje telefony komórkowe. Funkcjonariusze ochrony lotniska obserwowali uważnie pasażerów, kiedy ci szli po płycie lotniska, a potem wsiadali do autobusów tranzytowych, które przewoziły ich do terminalu czwartego.

Ponieważ Hollis nie przesiadał się na inny lot, wsiadł do drugiego autobusu, który przejeżdżał przez zatłoczone lotnisko i zmierzał do terminalu pierwszego, gdzie dokonywano kontroli granicznej. Wszedł potem na kilka minut do męskiej toalety, następnie wyszedł i zmieszał się z pasażerami, którzy przylecieli innymi rejsami. Stopniowo zaczął rozumieć przebiegłą prostotę planu Lindena. W jego otoczeniu nie było już nikogo, kto wiedziałby, że dopiero co przyleciał z Nowego Jorku. Inni pasażerowie byli zmęczeni i nieco otepiali, gotowi jak najszybciej opuścić terminal.

Wsiadł do kolejnego tranzytowego autobusu, który zmierzał do pierwszego terminalu. Kiedy pojazd był już pełen ludzi, wyciągnął żółtą odblaskową kamizelkę z koperty i włożył na siebie. Granatowa koszula, spodnie oraz kamizelka sprawiły, iż wyglądał jak pracownik portu lotniczego. Plakietka z fałszywą kartą identyfikacyjną okazała się na dobrą sprawę niepotrzebna. Trutnie pracujący na lotnisku spoglądali jedynie na powierzchnię, w poszukiwaniu rzucających się w oczy punktów zaczepienia, które pozwalały im przyporządkować każdego z przybyszy do odpowiedniej kategorii.

Kiedy autobus dojechał do pierwszego terminalu, inni pasażerowie wysiedli i ruszyli pośpiesznie przez elektrycznie otwierane drzwi. Hollis udawał, że rozmawia przez telefon komórkowy, gdy stał w pobliżu chodnika w miejscu, gdzie wysiadali pasażerowie. Następnie skinął głową w stronę znużonego funkcjonariusza ochrony, który siedział wewnątrz przy biurku, skrzył i poszedł dalej. Niemal spodziewał się odgłosu syren i pościgu grupy policjantów, wymachujących pistoletami, lecz nikt go nie zatrzymał. Wyrafinowany technicznie system bezpieczeństwa lotniska

został oszukany dzięki odblaskowej kamizelce za osiem dolarów, kupionej w sklepie rowerowym na Brooklynie.

Dwadzieścia minut później Hollis siedział w dostawczej furgonetce wraz z Winstonem Abosą, pulchnym młodym mężczyzną z Nigerii o kojącym głosie oraz nienagannych manierach. Hollis spoglądał przez okno, kiedy wjechali do Londynu. Podróżował po Meksyku i Ameryce Łacińskiej, ale nigdy wcześniej nie był w Europie. Brytyjskie drogi cechowały się dużą liczbą rond oraz malowanych w pasy przejść dla pieszych. Większość dwukondygnacyjnych budynków z czerwonej cegły posiadała niewielkie ogrody na tyłach. Kamery monitorujące były zainstalowane wszędzie i koncentrowały się na tablicach rejestracyjnych każdego przejeżdżającego pojazdu.

Nowy krajobraz przypominał Hollisowi fragment z książki Sparrowa *Droga miecza*. Zdaniem japońskiego Arlekina, wojownik dysponował dużą przewagą, jeśli znał miasto, które miało stanowić teren walki. Gdy wojownik nagle musiał stoczyć walkę w nieznanym miejscu, było to tak, jak gdyby rankiem zbudził się w innym pokoju.

– Czy spotkałeś Vicki Fraser? – zapytał Hollis.

– Oczywiście – Winston prowadził ostrożnie, trzymając obie ręce na kierownicy. – Spotkałem wszystkich pańskich przyjaciół.

– Czy są w Anglii? Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi na moje e-maile.

– Panna Fraser, panna Maya oraz mała dziewczynka są w Irlandii. Pan Gabriel jest... – Winston zawahał się. – Pan Gabriel jest w Londynie.

– Co się stało? Dlaczego nie są razem?

– Jestem tylko pracownikiem, sir. Pan Linden oraz madame płacą mi dobrze, żebym nie podawał w wątpliwość ich decyzji.

– O czym ty mówisz? Kim jest madame?

Na twarzy Winstona pojawiło się napięcie.

– Nic nie wiem, sir. Pan Linden udzielił odpowiedzi na wszystkie pańskie pytania.

Winston zaparkował w pobliżu Regent's Canal i poprowadził Hollisa tylnymi ulicami w kierunku zatłoczonych arkad i podwórz przy Camden Market. Podążając zygżakiem w celu ominięcia kamer, dotarli do wejścia do katakumb, znajdujących się pod torami kolejowymi. Starsza Angielka o włosach pomalowanych na różowawo-biały kolor siedziała obok szyldu, który oferował jej usługi tarocistki. Winston upuścił banknot o nominale dziesięciu funtów na składany stół kobiety. Kiedy sięgała po pieniądze, Hollis dojrzał mały nadajnik radiowy, ukryty w jej prawej dłoni. Staruszka stanowiła pierwszą linię obrony przed nieproszonymi gośćmi.

Winston wszedł w głąb tunelu, po czym wkroczyli do sklepu wypełnionego instrumentami perkusyjnymi oraz afrykańskimi rzeźbami. W jednym z rogów znajdowała się flaga – przesłaniała stalowe drzwi do ukrytego mieszkania.

– Proszę powiedzieć panu Lindenowi, że będę tu w sklepie – rzekł Winston. – Jeśli pan będzie czegoś potrzebował, proszę dać mi znać.

Hollis znalazł się w korytarzu prowadzącym do czterech pomieszczeń. W pierwszym nie było nikogo, natomiast w kuchni siedział Linden. Pił kawę i czytał gazetę. Hollis dokonał szybkiej oceny francuskiego Arlekina. Niektórzy rośli mężczyźni, z którymi walczył w Brazylii, byli oprychami pałającymi żądzą wykorzystania pokaźnych rozmiarów w walce z niższym przeciwnikiem. Linden ważył co najmniej sto piętnaście kilogramów, lecz w jego wyglądzie czy zachowaniu nie było nawet odrobiny ociężałości. Zachowywał się spokojnie i cicho, a jego oczy wychwytywały wszystko.

– Dzień dobry, monsieur Wilson. Zakładam, że na lotnisku wszystko przebiegło zgodnie z planem?

Hollis wzruszył ramionami.

– Minęła chwila, zanim odnalazłem wyjście dla pracowników. Później reszta już była prosta. Winston czekał w furgonetce zaparkowanej przy sąsiedniej ulicy.

– Napije się pan kawy albo herbaty?

– Chcę zobaczyć Vicki. Winston poinformował mnie, że ona jest w Irlandii.

– Proszę, niech pan usiądzie – Linden wskazał gestem na krzesło znajdujące się po drugiej stronie. – W ciągu ostatnich dziesięciu dni wiele się wydarzyło.

Hollis położył szarą kopertę, w której było jego przebranie, i usiadł na krześle. Linden wstał, włączył elektryczny czajnik, odmierzył porcję mielonej kawy i wsypał ją do francuskiego ekspresu. Przez cały czas jednak spoglądał na Hollisa, jak gdyby był bokserem oceniającym nowego przeciwnika, który znalazł się w drugim narożniku.

– Nie czuje pan zmęczenia po tak długim locie, monsieur Wilson?

– Czuję się w porządku. Ten kraj to po prostu „inny pokój”. To wszystko. Muszę tylko przystosować się do zmian.

Linden wyglądał na zdziwionego.

– Czytał pan książkę Sparrowa?

– Jasne. Czy to wbrew arlekińskim zasadom?

– W żadnym razie. Sam przetłumaczyłem tę książkę na francuski i opublikowałem nakładem niewielkiego wydawnictwa w Paryżu. Ojciec Mai spotkał Sparrowa w Tokio. Ja zaś poznałem jego syna, tuż przed tym, jak zabili go Tabulowie.

– Tak, wiem. Porozmawiamy o tym później. Kiedy zobaczę się z Vicki, Maya oraz Gabrielem? W e-mailu stwierdził pan, że otrzymam odpowiedzi na wszystkie pytania, kiedy tu dotrę.

– Vicki i Maya są na wyspie położonej u zachodnich wybrzeży Irlandii. Maya chroni Matthew Corrigana.

Hollis roześmiał się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– No, no, to ci dopiero niespodzianka. Gdzież więc ojciec Gabriela ukrywał się przez te wszystkie lata?

– To tylko powłoka, jego fizyczne ciało. Matthew udał się do pierwszego wymiaru i coś poszło nie tak. Nie powrócił.

– Co znaczy pierwszy wymiar? Nie mam o tym wszystkim najbledszego pojęcia.

– *L'enfer* – odparł Linden, potem zdał sobie sprawę, iż Hollis nie zna francuskiego. – Świat podziemi. Piekło.

– Czy u Vicki wszystko w porządku?

– Tak zakładam. Mother Blessing, irlandzka Arlekina, zostawiła Mai telefon satelitarny. Ale w ciągu ostatnich dni dzwoniliśmy tam bez końca i nikt nie odbierał. Madame bardzo to rozdrażniło. Teraz właśnie jedzie z powrotem na wyspę.

– Maya opowiadała mi o Mother Blessing. Sądziłem, że ona nie żyje.

Linden nalał wrzątku do francuskiego ekspresu.

– Zapewniam pana, iż madame jak najbardziej żyje.

– A co się dzieje z Gabrielem? Czy mogę się z nim zobaczyć? Winston mówił, że jest w Londynie.

– Mother Blessing przywiozła Gabriela do Londynu, a potem on zniknął.

Hollis obrócił się na siedzeniu i spojrzął na Lindena.

– O czym pan mówi?

– Nasz Traveler wyruszył do pierwszego wymiaru na poszukiwanie ojca. Wciąż żyje, lecz on również nie powrócił.

– Gdzie zatem jest jego ciało?

– Dlaczego najpierw nie napije się pan kawy?

– Nie mam ochoty na pieprzoną kawę. Gdzie jest Gabriel? To mój przyjaciel.

Linden wzruszył potężnymi ramionami.

– Niech pan pójdzie w dół korytarza...

Hollis wyszedł z kuchni i ruszył w dół korytarza do małego zaniedbanego pokoju, w którym Gabriel leżał na łóżku. Ciało Travelera było bezwładne i nie reagowało na bodźce, jak gdyby został uchwycony w fazie najgłębszego snu. Siedząc na brzegu łóżka, Hollis dotknął dłoni Travelera.

Chociaż wiedział, że Gabriel prawdopodobnie nie słyszy go, czuł potrzebę porozmawiania z nim.

– Hej, Gabe. To ja, twój przyjaciel Hollis. Nie martw się. Będę cię chronił.

– Dobrze, tego właśnie potrzebujemy – Hollis obrócił głowę i zobaczył Lindena, stojącego w drzwiach. – Zapłacimy panu pięćset funtów za tydzień.

– Nie jestem najemnikiem i nie chcę, by mnie tak traktowano. Będę chronił Gabriela, ponieważ jest moim przyjacielem. Ale najpierw muszę się upewnić, czy u Vicki wszystko w porządku.

Zrozumiał pan?

Hollis zawsze preferował agresywny sposób postępowania, gdy ktoś usiłował wydawać mu rozkazy. Teraz jednak nie był tego taki pewien. Linden pochylił się i wyciągnął półautomatyczny pistolet kaliber 9 milimetrów z kabury przypiętej nad kostką. Widząc broń i chłodny wyraz twarzy Arlekina, Hollis pomyślał, że to jego ostatnie chwile. „Ten drań zamierza mnie zabić.”

Linden odwrócił broń i podał ją Hollisowi kolbą.

– Umie się pan z tym obchodzić, monsieur Wilson?

– Oczywiście – Hollis wziął od Lindena półautomatyczny pistolet i schował go za koszulą.

– Mother Blessing dotrze na wyspę jutro. Porozmawia z mademoiselle Fraser i przekona się, czy ona chce przyjechać do Londynu. Jestem pewien, że za kilka dni zobaczy pan tę młodą damę.

– Dziękuję.

– Nigdy niech pan nie dziękuje Arlekinowi. Nie robię tego z sympatii do pana. Potrzebny jest nam jeszcze jeden wojownik i przybył pan we właściwym momencie.

Hollis i Winston Abosa szli w górę Chalk Farm Road. Większość sklepów przy tej ulicy sprzedawała rozmaity asortyment rzeczy związanych z buntem. Czarne skórzane spodnie dla motocyklistów, gotyckie szaty wampirów lub T-shirty z nadrukami o obsceniczej treści. Punki o włosach w kolorze limonkowo-zielonym, z kolczykami w brwiach, zbierali się w niewielkich grupkach i zabawiali komentowaniem przechodzących obok nich obywateli.

Kupili ser, chleb, mleko oraz kawę, potem Winston zaprowadził Hollisa do niepozornych drzwi między salonem tatuażu a sklepem, w którym sprzedawano skrzydełka wrózek. Pokój z łóżkiem i telewizorem był usytuowany na pierwszym piętrze. Łazienka i kuchnia znajdowały się na korytarzu.

– Tutaj będzie pan mieszkał – oznajmił Winston. – Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, przez cały dzień znajdzie mnie pan w sklepie z instrumentami perkusyjnymi.

Kiedy Winston wyszedł, Hollis usiadł na łóżku i zjadł nieco chleba z serem. Z jakiegoś miejsca w budynku dochodził zapach curry. Na ulicy głośno trąbiły auta. W Nowym Jorku znalazłby jakąś drogę wyjścia, ale tu otaczała go Rozległa Sieć monitorująca. Wszystko byłoby w porządku, gdyby

mógł przytulić Vicki Fraser oraz usłyszeć jej głos. Jej miłość wzmocniła go. Miłość dawała człowiekowi siłę. Pozwalała mu nawiązać kontakt ze Światłem.

Zanim zszedł na dół, by wziąć prysznic, wcisnął kawałek gumy do żucia w szczelinę między podłogą a dolną krawędzią drzwi. W kabinie prysznicowej przy studziencie odpływowej zalęgła się pleśń, a woda była letnia. Kiedy ubrał się i wrócił do pokoju, zauważył, iż guma jest rozdzielona na dwie części.

Położył mydło i ręcznik na podłodze, potem sięgnął pod koszulę i wyciągnął pistolet. Nigdy wcześniej nikogo nie zabił. Jednak teraz wiedział, że to się zdarzy. Był pewien, iż w środku czekali na niego Tabulowie. Zaatakują w momencie, kiedy stanie w drzwiach.

Trzymając pistolet w prawej dłoni, wsunął klucz do zamka jak najciszej. Jeden, zaczął odliczać. Dwa. Trzy. Przekręcił gałkę, uniósł pistolet i wpadł do pokoju.

Przy oknie stała samotnie Maya.

31

Wczesnym rankiem następnego dnia Maya wspięła się na dach dawnej końskiej lecznicy, usytuowanej pośrodku Camden Market. Chore konie oraz rzeźnia odeszły do historii wraz z końcem epoki wiktoriańskiej, teraz natomiast w dwupiętrowym budynku znajdowały się eleganckie butik, sprzedające specjalnie wyrabiane mydła oraz tybetańskie kilimy modlitewne. Nikt nie zauważył Mai, kiedy stała obok skrzypiącego wiatrowskazu o kształcie galopującego konia.

Widziała, jak Hollis szedł przez rynek i wkroczył do ceglanego tunelu, prowadzącego do katakumb. Linden spędził noc w sklepie z instrumentami perkusyjnymi, a Hollis miał jej dać znać, kiedy francuski Arlekin opuści kryjówkę.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przemieszczała się nieustannie po Londynie. Vine House spłonął, ona zaś pomogła Juggerowi i jego przyjaciołom wydostać się przez ogród na tyłach domu. Cała czwórka znalazła taksówkę w pobliżu Vauxhall Bridge, a kierowca zabrał ich do pustego mieszkania w dzielnicy Chiswick, które wynajmował brat Rolanda. Free Runnerzy przywykli do życia poza Siatką i wszyscy obiecali pozostać w ukryciu do czasu, kiedy policja przestanie prowadzić dochodzenie w sprawie dwóch zabitych mężczyzn w furgonetce dostarczającej kwiaty.

Gabriel powiedział Juggerowi, że zamierza zostać w sklepie z instrumentami perkusyjnymi przy Camden Market. Maya wyszła z założenia, iż zarówno Linden, jak i Mother Blessing chronili Travelera. Przez resztę dnia obserwowała wejście do katakumb do czasu, kiedy Hollis dotarł do sklepu. Mother Blessing zabiłaby ją za nieposłuszeństwo, ale Hollis był przyjacielem. Z pewnością uczyni wszystko, co możliwe, żeby mogła zobaczyć Gabriela.

Stała na dachu, kiedy Linden wyszedł z ceglanego tunelu, prowadzącego do katakumb. Arlekin, z mieczem zawieszonym na lewym ramieniu, poszedł zjeść śniadanie do kawiarni nad kanałem. Hollis wyszedł dziesięć minut później i dał jej znak ręką. Teren czysty.

Hollis zaprowadził ją obok instrumentów perkusyjnych i afrykańskich rzeźb do chłodnego, niewielkiego pomieszczenia, w którym na łóżku leżało ciało Gabriela. Uklękawszy na betonowej posadzce, Maya dotknęła dłoni Gabriela. Wiedziała, że wciąż jeszcze żyje, ale czuła się jak wdowa przy martwym mężu. Widziała świętą księgę na wyspie Skellig Columba i przyglądała się iluminowanym wizerunkom piekła. Nie miała wątpliwości, że Gabriel tam właśnie wyruszył na poszukiwanie ojca.

Wszystkie umiejętności, których nauczył ją ojciec oraz inni Arlekini, wydawały się w tej chwili bezużyteczne. Nie było przeciwnika, z którym musiałaby walczyć, nie było warownego zamku o kamiennych ścianach i żelaznych bramach. Poświęciłaby wszystko, żeby ocalić Gabriela, lecz nie miała takiej sposobności.

Stalowe drzwi pomieszczenia otworzyły się ze skrzypnięciem. Hollis podniósł wzrok zaskoczony.

– Czy to ty, Winstonie?

Maya zerwała się na równe nogi i wyciągnęła pistolet. Cisza. Potem w progu podziemnej sypialni pojawił się Linden. Rosły mężczyzna trzymał ręce w kieszeniach i uśmiechał się nieśmiało.

– Zamierzasz mnie zastrzelić, Mayu? Zawsze pamiętaj, by celować nieco niżej. Gdy ludzie są zdenerwowani, celują zbyt wysoko.

– Nie wiedzieliśmy, kto idzie – Maya wsunęła rewolwer do kabury.

– Spodziewałem się, że możesz tu przyjść. Mother Blessing powiedziała mi o twoim *attachment sentimental* z Gabrielem. Kiedy wyłączyłaś telefon satelitarny, zdałem sobie sprawę, że opuściłaś wyspę.

– Powiedziałaś jej o tym?

– Nie, na pewno będzie rozgniewana, kiedy zjawi się na wyspie Skelling Columba i stwierdzi, że Travelera chroni czarnoskóra dziewczyna oraz kilka mniszek.

– Musiałam go zobaczyć.

– Czy warto było? – Linden rozsiadł się na jedynym krześle w pomieszczeniu. – On zaginął, podobnie jak jego ojciec. Tu jest tylko jego fizyczna powłoka.

– Zamierzam ocalić Gabriela – oświadczyła z determinacją Maya. – Muszę tylko odnaleźć sposób.

– To niemożliwe. On odszedł. Zniknął.

Maya zastanawiała się przez chwilę, zanim przemówiła.

– Potrzebuję kogoś, kto ma wystarczającą wiedzę o innych wymiarach. Czy znasz kogoś takiego tu w Anglii?

– To nie nasz problem, Mayu. My chronimy Travelerów wyłącznie na tym świecie, tak stanowi reguła.

– Nie obchodzą mnie reguły. „Kultywowanie przypadkowości”. Czy nie tak napisał Sparrow? Być może nadeszła pora, by uczynić coś innego, ponieważ ta strategia przestała być skuteczna.

– Ona ma rację, Linden – Hollis odezwał się po raz pierwszy. – W tej chwili Michael Corrigan jest jedynym Travelerem na tym świecie, lecz on pracuje dla Tabulów.

– Pomóż mi, Linden. Proszę. Potrzebuję tylko nazwiska.

Arlekin z Francji wstał i zamierzał opuścić pomieszczenie. Kiedy doszedł do drzwi, zatrzymał się i przestawił ciężar ciała na drugą nogę, jak mężczyzna usiłujący wybrać właściwą drogę w mroku nocy.

– Istnieje kilku ekspertów znających się na wymiarach, którzy mieszkają w Europie, lecz tylko jednej osobie możemy zaufać. Nazywa się Simon Lombroso. Był przyjacielem twojego ojca. O ile wiem, wciąż mieszka w Rzymie.

– Mój ojciec nigdy nie miał przyjaciół. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Tego słowa użył Thorn – odparł Linden. – Powinnaś zatem pojechać do Rzymu i sama go odnaleźć.

Hollis dopijał filiżankę kawy w kryjówce, kiedy Linden przyszedł ze sklepu z instrumentami perkusyjnymi, niosąc z sobą telefon satelitarny.

- Właśnie rozmawiałem z Mother Blessing, dotarła już na Skelling Columba.
- Założę się, że nie była zbyt zachwycona, kiedy stwierdziła, że Maya zniknęła.
- Rozmowa była bardzo krótka. Powiedziałem jej, że dotarł pan do Londynu, ona zaś poprosiła, żeby pan pojechał na wyspę.

– Czy chce, żebym chronił ciało Matthew Corrigana?

Linden przytaknął.

– To logiczny wniosek.

– A co z Vicki?

– Nie wspomniała nic o mademoiselle Fraser.

Hollis nalał filiżankę kawy dla Arlekina z Francji i postawił ją na kuchennym stole.

– Powiedział mi pan, jak mam dojechać do Irlandii, a zatem potrzebuję jeszcze tylko łódki, by mnie zabrała do zakonnego zgromadzenia.

– Madame stwierdziła, że pragnie, by dotarł pan na wyspę jak najszybciej. A zatem...

Poczyniłem inne przygotowania.

Hollis szybko się przekonał, że owe „inne przygotowania” oznaczają wynajęcie prywatnego śmigłowca, który miał go zabrać na wyspę. Po dwóch godzinach Winston Abosa wiozł go do White Waltham, na niewielkie lotnisko z trawiastym pasem startowym w pobliżu Maidenhead w hrabstwie Berkshire. Hollis miał przy sobie szarą kopertę z gotówką. Na parkingu obok lotniska spotkał się z pilotem, który miał już dobrze ponad sześćdziesiątkę. Było coś osobliwego w wyglądzie tego człowieka – krótko ścięte włosy oraz wyprostowana postawa – co sugerowało, iż w przeszłości był wojskowym.

– Czy pan jest klientem, który wybiera się do Irlandii? – zapytał pilot.

– Zgadza się. Nazywam się...

– Tego nie chcę wiedzieć, chcę zobaczyć pieniądze.

Hollis odniósł wrażenie, że pilot zawiózłby Kubę Rozpruwacza do szkoły dla dziewcząt, gdyby tylko otrzymał w zamian kopertę z odpowiednią sumą euro. Dziesięć minut później helikopter był już w powietrzu i zmierzał w kierunku zachodnim. Pilot milczał, poza krótką i oschłą wymianą zdań z kontrolą lotów. Jediną cechą osobowości, jaką ujawnił, była brawura, kiedy w agresywny sposób leciał nad linią wzgórz, nurkując w dół zielonych kotlin z polami odgraniczonymi kamiennym murem.

– Może pan mówić do mnie Richard – odezwał się w pewnym momencie, lecz nie pofatygował się zapytać, jak Hollis miał na imię.

Zmagając się ze wschodnim wiatrem, przelecieli nad Morzem Irlandzkim i ponownie zatankowali na niewielkim lotnisku pod Dublinem. Kiedy znów lecieli nad wiejskimi terenami, Hollis spoglądał w dół i widział stogi siana, niewielkie skupiska domów oraz wąskie drogi, które rzadko prowadziły wzdłuż prostych linii. Kiedy dotarli do zachodniego wybrzeża Irlandii, Richard zdjął słoneczne okulary i zaczął spoglądać na urządzenie GPS na tablicy z instrumentami i wskaźnikami. Leciał teraz nisko, omijając górą stado pelikanów lecących kluczem w kształcie litery V. Bezpośrednio pod ptakami wzbierały fale i rozbijały się, tworząc białą pianę.

W końcu dostrzegli dwie sterczące wieże wyspy Skelling Columba. Richard zatoczył koło nad

wyspą, aż zobaczył białą tkaninę łopoczącą na maszcie. Przeleciał nad tą zaimprovizowaną flagą, potem wylądował na skrawku płaskiego, skalistego terenu. Kiedy łopaty helikoptera przestały się obracać, Hollis usłyszał gwizd wiatru przeciskającego się przez szczeliny wentylacyjne.

– Na wyspie jest kilka mniszek – oznajmił Hollis. – Jestem pewien, że z ochotą poczęstują pana filiżanką herbaty.

– Zgodnie z instrukcją mam czekać w śmigłowcu – odparł Richard. – Poza tym dostałem premię za przestrzeganie tych instrukcji.

– W takim razie niech pan robi co sobie życzy. Może to jednak chwilę potrwać. Jest tu też irlandzka kobieta, która prawdopodobnie zechce wrócić do Londynu.

Hollis wysiadł z helikoptera i spojrzał w dół skalistego zbocza, ku zakonnemu zgromadzeniu. „Gdzie Vicki?”, pomyślał. „Czy nie powiedzieli jej, że przyjadę?”

Zamiast Vicki dostrzegł Alice, która biegła w stronę helikoptera, a za nią podążała siostra i – kilka metrów dalej – kobieta o ciemnorudych włosach. Alice dobiegła do niego pierwsza, stanęła na głazie, tak że jej buzia była na równym poziomie z jego twarzą. Miała potargane włosy, a buty umazane błotem.

– Gdzie jest Maya? – zapytała.

Po raz pierwszy Hollis usłyszał jej głos.

– Maya jest w Londynie. U niej wszystko w porządku. Nie masz się czym martwić.

Alice zeskoczyła ze skały i pobiegła w górę zbocza, a za nią podążyła pulchna zakonnica o rumianej twarzy. Mniszka skinęła głową w jego stronę, on zaś dojrzał w jej oczach smutek. Potem jednak poszła dalej, a on stanął twarzą w twarz z Mother Blessing.

Irlandzka Arlekinka miała na sobie czarne spodnie z wełny i skórzaną kurtkę. Była mniejsza niż Hollis sobie wyobrażał, a wyraz jej twarzy był dumny i władczy.

– Witamy na Skellig Columba, panie Wilson.

– Dzięki za przejażdżkę helikopterem.

– Czy siostra Joan rozmawiała z panem?

– Nie, a powinna? – Hollis spojrzał w dół zbocza. – Gdzie jest Vicki? Tak naprawdę przyjechałem tutaj po to, by się z nią spotkać.

– Tak, proszę za mną.

Hollis podążył za Arlekiną w dół ścieżką, w stronę czterech budynków przypominających ule, wzniesionych na środkowym tarasie. Czuł się tak, jak gdyby doszło do samochodowego karambolu, a on miał obejrzeć rozbite wraki.

– Czy zebrał pan kiedyś tęgie baty, panie Wilson?

– Oczywiście. Wałęczyłem profesjonalnie w Brazylii.

– I jakim sposobem zdołał pan to przeżyć?

– Jeśli nie możesz uniknąć pięści przeciwnika, staraj się wykonać ruch w tym samym kierunku. Jeśli będziesz stał jak kamień, zostaniesz powalony na ziemię.

– Rozsądna rada – skomentowała Mother Blessing, kiedy zatrzymała się przed jednym z budynków. – Dwa dni temu Tabulowie dokonali najazdu na wyspę z użyciem helikopterów. Zakonnice uciekły do jaskini razem z dziewczynką, lecz najwyraźniej panna Fraser pozostała tu, by chronić Travelera.

– Gdzie więc jest? Co się stało?

– To nie będzie łatwe, panie Wilson. Ale może pan popatrzeć, jeśli takie jest pańskie życzenie.

Otworzyła drzwi do budynku i przepuściła go przodem. Hollis wszedł do chłodnego pomieszczenia, w którym znajdowały się tekturowe kartony oraz plastikowe pojemniki ustawione w

sterty pod ścianą. Drewniane drzwi były czymś obryzane. Minęło kilka chwil, zanim zdał sobie sprawę, że to zaschnięta krew.

Mother Blessing stanęła za nim. Jej głos był spokojny i pozbawiony emocji, jak gdyby mówiła o pogodzie.

– Tabulowie przywieźli z sobą sklejaki, które były w stanie wejść do środka przez małe okienka. Jestem też pewna, że później zabili te stwory, a ich ciała wrzucili do morza.

Wskazała na obiekt przykryty plastikowym brezentem, a Hollis od razu zrozumiał, że to Vicki. Ruszył ku niej niczym lunatyk, potem ściągnął brezent. Z ledwością rozpoznał Vicki – ślady zębów na jej nogach i rękach wskazywały na to, iż zabiły ją jakieś zwierzęta.

Hollis stał nad zmasakrowanym ciałem. Czuł się, jakby i jego zniszczono. Lewa dłoń stanowiła masę rozerwanego mięsa i pogryzionych kości, ale prawa pozostała nienaruszona. Na środku jej dłoni leżał srebrny medalion w kształcie serca. Hollis rozpoznał go natychmiast. Większość kobiet w kościelnej wspólnoty nosiła podobną biżuterię. Kiedy otworzyło się medalion, w środku znajdowała się biało-czarna fotografia Isaaca Jonesa.

– Zdjęłam medalion z jej szyi – wyjaśniła Mother Blessing. – Sądziłam, że zechce pan zobaczyć, co jest w środku.

Hollis wziął medalion i nacisnął paznokciem na wierzchołek małego srebrnego serduszka. Mechanizm otwierający zadziałał. W środku nie było jednak znanej fotografii proroka, lecz kawałek zwiniętej kartki. Powoli odwinął papier i wygładził go na dłoni. Vicki napisała siedem słów, staromodnym wiecznym piórem, starając się, by każda litera wyglądała perfekcyjnie. „Hollis Wilson jest moim w sercu – na zawsze”.

Szok i ból gdzieś zniknęły, a w ich miejsce pojawił się gniew, tak ogromny, iż czuł, że chce wyć. Bez względu na to, co się wydarzy, dopadnie ludzi, którzy ją zabili, i zniszczy ich wszystkich. Nigdy nie spocznie, nigdy.

– Czy już dość się pan napatrzył? – zapytała Mother Blessing. – Chyba pora wykopać grób.

Gdy Hollis nie odpowiadał, przeszła przez pomieszczenie i przykryła ciało brezentem.

Maya opuściła sklep z instrumentami perkusyjnymi i poszła do kafejki internetowej przy Chalk Farm Road. Linden powiedział, że ufa jednemu z ekspertów biegłych w dziedzinie sześciu wymiarów – Włochowi nazwiskiem Simon Lumbroso. Krótkie przeszukiwanie w globalnej sieci pozwoliło jej odnaleźć człowieka o tym nazwisku, który pracował w Rzymie jako ekspert od wyceny dzieł sztuki. Maya zapisała adres biura Lumbrosa oraz numer telefonu, lecz nie zadzwoniła do niego. Postanowiła polecieć do Rzymu i osobiście się spotkać z człowiekiem, który rzekomo był przyjacielem jej ojca.

Po zrobieniu rezerwacji na samolot, pojechała taksówką do starego schowka, który wciąż wynajmowała we wschodnim Londynie, i wzięła stamtąd nowy zestaw fałszywych dokumentów. Szykując się do podróży do Rzymu, postanowiła wykorzystać najbardziej bezpieczną opcję, czyli jeden z niewykorzystanych jeszcze paszportów PO-TF. PO-TF było skrótem od „pochodzenie oryginalne, tożsamość fałszywa”. Te paszporty były wystawiane przez oficjalne władze, a wszystkie informacje w nich zawarte zasilały bazy danych Rozległej Sieci monitorującej.

Stworzenie tożsamości PO-TF Mai zajmowało całe lata. Kiedy miała dziewięć lat, Thorn zdobył akty urodzenia kilkorga zmarłych dzieci. Całe ich „życie” przypominało owocowe drzewa, które wymagały od czasu do czasu pielęgnacyjnego przycinania oraz podlewania. W dokumentach te

dziewczynki zdobyły świadectwo maturalne, uzyskały prawo jazdy, rozpoczęły pracę, złożyły wnioski o karty kredytowe. Maya uzupełniała na bieżąco dokumentację, nawet wtedy, kiedy żyła w obrębie Siatki i usiłowała funkcjonować jak zwykły obywatel.

Kiedy brytyjski rząd wprowadził biometryczne dowody tożsamości, dane fizyczne wprowadzone do elektronicznego paszportu musiały być zgodne z fałszywą tożsamością. Maya kupiła więc specjalne soczewki kontaktowe, które pozwalały jej przejść przez skaner siatkówki na lotnisku. Zdobyła też delikatne plastikowe osłonki, które można było nakleić na opuszki palców wskazujących. W niektórych z jej paszportów były zdjęcia z jej twarzą, podczas gdy fotografie na innych wykonano w jakiś czas po tym, jak wstrzykiwała sobie środki farmakologiczne zmieniające rysy twarzy.

W miarę upływu lat, zaczęła traktować każdy z paszportów jako inny aspekt swojej osobowości. Fałszywy dokument na nazwisko Judith Strand wzbudzał w niej uczucie, że jest ambitną kobietą, robiącą zawodową karierę. Natomiast paszport, który zabierała z sobą do Włoch, był wystawiony na nazwisko zmarłej dziewczynki z Brighton, Rebeci Green. Maya doszła do przekonania, że Rebecca jest artystyczną duszą, która lubi słuchać muzyki elektronicznej.

Zabranie pistoletu na pokład samolotu było zbyt niebezpieczne – nawet w bagażu głównym – zatem Maya zostawiła rewolwer w schowku i wzięła miecz, talizman Gabriela, a także sztylet i nóż do rzucania. Wszystkie trzy sztuki broni zostały ukryte w stalowej ramie składanego nosidełka dla niemowląt, zbudowanego przed paru laty przez pewnego fachowca w Hiszpanii, na którego namiar podał jej ojciec.

Z lotniska Da Vinci pojechała taksówką do śródmieścia Rzymu. Serce miasta tworzyło trójkąt, którego podstawa opierała się na brzegu Tybru. Tam znajdowały się znane turystyczne atrakcje, jak Forum Romanum oraz Koloseum. Maya wynajęła pokój w hotelu, blisko północnego wierzchołka trójkąta, niedaleko Piazza del Popolo. Przypięła noże do przedramion i ruszyła w kierunku południowym, omijając mauzoleum cesarza Augusta i zmierzając w stronę brukowanych uliczek starego miasta.

Parter osiemnastowiecznych kamienic zajmowały restauracje oraz butik dla ekskluzywnej klienteli. Znużone ekspedientki nosiły opięte spódniczki i stały przed małymi sklepikami, rozmawiając przez telefon komórkowy ze swoimi chłopakami. Unikając kamer monitorujących, zamontowanych w pobliżu gmachu parlamentu, weszła na mały plac, na którym wzniesiono Panteon. Ogromna budowla z cegły i marmuru została ufundowana przez cesarza Hadriana; miała być świątynią wszystkich bogów. Od dwóch tysięcy lat stała w centrum Rzymu.

Maya minęła granitową kolumnadę portyku. Wewnątrz pod kopułą poczuła nerwową energię, która emanowała od grup turystów oraz ich przewodników. Mówili ściszym głosem, przechodząc po marmurowej posadzce i oglądając nagrobek Rafaela. Maya stanęła pośrodku ogromnej świątyni, usiłując opracować jakiś plan. Co powinna powiedzieć, kiedy spotka Lumbrosa? Czy będzie wiedział, w jaki sposób uratować Gabriela?

Coś przemknęło przez powietrze, podniosła wzrok i spojrzała na okulus – okrągły otwór w szczycie kopuły. Gołąb o szarym upierzeniu znalazł się w pułapce we wnętrzu świątyni i usiłował się wydostać. Rozpaczliwie trzepotał skrzydłami, unosił się w górę wąską spiralą. Jednak otwór znajdował się zbyt wysoko, a ptak rezygnował, gdy był zaledwie kilka metrów od niego. Maya widziała, że gołąb traci już siły, każda nowa próba kończyła się fiaskiem, a ptak zataczał coraz niższe koła – ściągany w dół ciężarem wyczerpanego ciała. Ptaka ogarnęły przestrasz i desperacja, lecz był jedynie w stanie frunąć bez skutku, jak gdyby ruch mógł go ocalić.

Poczucie pewności siebie, które napełniło ją w Londynie, nagle stopniało. Czuli się teraz słaba i bezradna. Opuściła świątynię i ruszyła pośpiesznie w dół ulicy ku tłumom zgromadzonym przy autobusach i wozach bufetowych w pobliżu Teatro Argentino. Maya obeszła ruiny pośrodku placu i wkroczyła w labirynt wąskich uliczek dzielnicy, stanowiącej w przeszłości żydowskie getto.

To getto przypominało dawną dzielnicę we wschodnim Londynie z epoki wiktoriańskiej – stanowiło azyl, gdzie uciekinierzy mogli się ukryć i znaleźć sprzymierzeńców. Żydzi mieszkali w Rzymie od drugiego stulecia przed Chrystusem. Jednak w szesnastym wieku zmuszono ich do zamieszkania wewnątrz obszaru otoczonego murem, w pobliżu starego targu rybnego. Nawet żydowskim lekarzom, którzy leczyli włoskich arystokratów, wolno było opuszczać getto tylko w ciągu dnia. W każdą niedzielę żydowskie dzieci zmuszono do słuchania kazania w kościele w Saint Angelo w Pescherii – katolicki kapłan obwieszczał im wówczas, że są skazane na piekło. Kościół wciąż jeszcze stał, obok zaś duża biała synagoga, która wyglądała jak muzeum *belle époque*, wyciągnięte z centrum Paryża.

Simon Lombroso mieszkał w dwukondygnacyjnym budynku, w pobliżu ruin portyku Oktawiana. Jego nazwisko było wygrawerowane na mosiężnej tabliczce zamontowanej obok drzwi, a poniżej znajdował się opis świadczonych przez niego usług w językach: włoskim, niemieckim, francuskim, hebrajskim oraz angielskim – SIMON LUMBROSO/WYCENA DZIEŁ SZTUKI/WYSTAWIANIE CERTYFIKATÓW.

Maya nacisnęła czarny przycisk dzwonka od drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. Kiedy nacisnęła po raz drugi, z głośnika w ścianie dobiegł męski głos.

– *Buon giorno.*

– Dzień dobry. Szukam pana Lombrosa.

– W jakim celu? – Głos, przed chwilą ciepły i przyjazny, zabrzmiał teraz ostro i nieco opryskliwie.

– Zamierzam kupić pewien przedmiot i chciałabym się dowiedzieć, ile lat sobie liczy.

– Widzę panią na ekranie wideo, lecz nie ma pani przy sobie żadnej figurki ani obrazu.

– To biżuteria, złota broszka.

– Oczywiście. Piękna biżuteria dla *una donna bella*.

Zamek otworzył się z brzękiem i Maya weszła do budynku. Parter składał się z dwóch połączonych z sobą pomieszczeń, prowadzących na zamknięty dziedziniec. Mieszkanie wyglądało tak, jak gdyby wyposażenie laboratorium i galerii sztuki załadowano na jedną ciężarówkę, a potem zrzucono w jednym miejscu. W pokoju od frontu Maya dostrzegła spektroskop, wirówkę oraz mikroskop ustawione na różnych stołach, a także liczne posążki z brązu oraz obrazy olejne.

Minęła kilka zabytkowych mebli, potem weszła do tylnego pomieszczenia, w którym dostrzegła siedemdziesięcioparoletniego mężczyznę z brodą, siedzącego przy stole warsztatowym, zajętego oglądaniem arkusza pergaminu z iluminowanymi literami. Mężczyzna miał na sobie czarne spodnie, białą koszulę z długimi rękawami oraz czarną jarmułkę. Jak u wielu ortodoksyjnych żydów. Nosi też szal modlitewny znany jako tallit katan

Mężczyzna wskazał gestem na arkusz znajdujący się na roboczym stole.

– Ten pergamin jest bardzo stary, być może został wycięty z jakiejś starodawnej Biblii, ale napisy są nowe. Średniowieczni mnisi do wyrobu inkaustu używali sadzy, mielonych muszli małży morskich, a nawet własnej krwi. Nie mogli przecież wybrać się do sklepu i kupić wyrobów przemysłu petrochemicznego.

– Czy mam przyjemność z panem Simonem Lombrosem?

– W pani głosie pobrzmiwa wątpliwość. Posiadam wprawdzie wizytówki, lecz nieustannie je

gubię – nałożył na nos parę okularów o grubych soczewkach, które powiększyły jego ciemnobrązowe oczy. – W dzisiejszych czasach nazwiska są rzeczą nietrwałą. Niektórzy ludzie zmieniają je niczym buty. A jak brzmi pani godność, *signorina*?

– Nazywam się Rebecca Green, przyjechałam z Londynu. Zostawiłam broszkę w hotelu, ale mogę ją panu narysować, żeby mógł pan sobie wyobrazić, jak wygląda.

Lumbroso uśmiechnął się i pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Obawiam się, że będę potrzebował oryginału. Jeśli jest w nim szlachetny kamień, mogę go wyjąć i sprawdzić wygląd patyny na oprawie.

– Proszę mi podać kartkę papieru. Być może rozpozna pan ten wzór.

Spoglądając sceptycznie, Lumbroso podał jej notatnik oraz flamaster.

– Jak pani sobie życzy, *signorina*.

Maya szybkimi ruchami narysowała arlekińską lutnię. Wyrwała kartkę z notesu i położyła ją na stole. Simon Lumbroso spojrział na owalną kreskę przeciętą trzema liniami, potem obrócił się lekko i patrzył badawczo na jej twarz. Maya czuła się tak jak gdyby była dziełem sztuki, które przywieziono tutaj w celu oszacowania.

– Tak, oczywiście. Rozpoznaję ten wzór. Jeśli pani pozwoli, być może będę mógł podać kilka dodatkowych informacji.

Podszedł do dużego sejfu ustawionego przy ścianie i zaczął wybierać numery z klawiatury.

– Zatem twierdzi pani, że jest z Londynu. Czy pani rodzice urodzili się w Wielkiej Brytanii?

– Moja matka pochodziła z rodziny Sikhów, zamieszkałej w Manchesterze.

– A pani ojciec?

– Był Niemcem.

Lumbroso otworzył sejf i wyciągnął tekturowe pudełko na buty, wypełnione grubo ponad setką listów, ułożonych według dat. Postawił pudełko na stole, potem zaczął przebierać w ich zawartości.

– Nie mogę pani powiedzieć wiele na temat broszy. W rzeczywistości nie sędzę, by ona faktycznie istniała. Ale wiem coś na temat miejsca pani pochodzenia.

Otworzył kopertę, wyciągnął czarno-białą fotografię i położył ją na stole.

– Moim zdaniem jest pani córką Dietricha Schöllera. A przynajmniej tak nazywał się ten człowiek, zanim został Arlekinem imieniem Thorn.

Maya przyglądała się fotografii i ze zdumieniem dostrzegła samą siebie w wieku dziewięciu lat, siedzącą obok ojca na ławce w St. Jamess Park. Zdjęcie zapewne zrobiła jej matka.

– Skąd pan to ma?

– Pani ojciec przysyłał mi listy przez blisko czterdzieści lat. Mam też gdzieś zdjęcie pani jako niemowlaka, jeśli zechciałaby je pani obejrzyć.

– Arlekin nigdy nie robią zdjęć, chyba że mają posłużyć do wyrobienia fałszywego paszportu bądź też jakiegoś dokumentu tożsamości. Zawsze zostawałam w domu, kiedy w szkole robiono klasowe zdjęcia.

– Cóż, pani ojciec zrobił kilka zdjęć, a potem przysyłał mi je na przechowanie. Zatem gdzie on jest, Mayu? Wysyłałem mu listy na skrytkę pocztową w Pradze, lecz wszystkie zostały odesłane z powrotem.

– On nie żyje. Zamordowali go Tabulowie.

W oczach Lumbrosa załśniły łzy na wieść o śmierci ojca Mai, jej porywczego, pełnego arogancji ojca. Pociągał głośno nosem, w końcu znalazł chusteczkę na stole i wydmuchał nos.

– Nie zaskoczyła mnie ta wiadomość. Dietrich prowadził bardzo niebezpieczne życie. Ale mimo to jego śmierć bardzo mnie zasmuca. Był moim najbliższym przyjacielem.

– Nie sądzę, żeby w ogóle znał pan mojego ojca. On nigdy w swoim życiu nie miał przyjaciela. Nigdy nikogo nie kochał, wliczając w to moją matkę.

Lumbroso spojrział na nią najpierw ze zdumieniem, potem ze smutkiem. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jak może pani mówić takie rzeczy? Pani ojciec darzył ogromnym szacunkiem pani matkę. Kiedy umarła, przez długi czas nie mógł otrząsnąć się z przygnębienia i depresji.

– Nic o tym nie wiem. Ale wiem, co się wydarzyło, kiedy byłam małą dziewczynką. Ojciec nauczył mnie zabijania ludzi.

– Tak, przemienił panią w Arlekinę. Nie zamierzam bronić jego decyzji – Lumbroso wstał, podszedł do drewnianego stojaka na kapelusze i zdjął z niego czarny płaszcz. – Proszę pójść ze mną, Mayu. Chodźmy coś zjeść. Jak mówią Rzymianie: „Żadnych opowieści na pusty żołądek”.

W eleganckim płaszczu i czarnej fedorze Simon Lumbroso towarzyszył jej w spacerze przez dawne getto. Słońce schowało się za dachami krytymi czerwoną dachówką, nieliczni mieszkańcy siedzieli na ulicy na kuchennych krzesłach i plotkowali, podczas gdy dzieci kopały piłkę. Wydawało się, że każdy zna Lumbrosa. Pozdrawiał sąsiadów, dotykając dwoma palcami szerokiego runda kapelusza.

– Czterdzieści lat temu oprowadzałem wycieczki zagranicznych turystów po tej dzielnicy. Przy tej okazji poznałem twojego ojca. Pewnego popołudnia był jedyną osobą, która stanęła na zewnątrz synagogi. Twój ojciec był oczywiście gojem, ale bardzo dobrze znał historię Żydów. Zadawał inteligentne pytania i prowadziliśmy ciekawą debatę na temat różnych teorii. Powiedziałem mu, że z ochotą podszkoliłem swoją niemczyznę i nie oczekuję od niego zapłaty.

– Oznacza to, że mój ojciec miał wobec pana zobowiązanie.

Lumbroso uśmiechnął się.

– Tak, w taki sposób postrzega to Arlekin. Lecz ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. W tamtym czasie grupa bogatych młodych mężczyzn, tu w Rzymie, uformowała faszystowskie stowarzyszenie i przychodzili tu do getta późnym wieczorem rozrabiać i bić Żydów. Złapali mnie pewnego razu nad Tybrem – zaledwie o kilkaset metrów od tego miejsca. Byłem sam przeciwko pięciu. I wtedy nagle pojawił się twój ojciec.

– I pokonał ich...

– Tak. Ale sposób, w jaki to uczynił przeraził mnie. W trakcie walki nie widać było w nim najmniejszego lęku. Tylko zimna skoncentrowana agresja i całkowity brak strachu. Pobił pięciu napastników do nieprzytomności i z pewnością wrzuciłby ich do rzeki, gdzie niechybnie by utonęli, gdybym go nie odciągnął.

– To, co pan mówi teraz, idealnie pasuje do mojego ojca.

– Od tamtej pory zaczęliśmy się widywać i razem poznawać miasto. A także wspólnie spożywać kolacje. Stopniowo Dietrich opowiedział mi o swoim życiu. Chociaż pochodził z rodziny Arlekinów, nigdy nie widział siebie w tej roli. O ile sobie przypominam, studiował historię na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, potem postanowił zostać malarzem i przeprowadził się do Rzymu. Niektórzy mężczyźni eksperymentowali z narkotykami lub seksem. W przypadku pani ojca posiadanie przyjaciela było czymś zabronionym. Nigdy nie miał przyjaciela – nawet gdy był nastolatkiem w Oberschule.

Obeszli synagogę przy Lungotevere i przeszli kładką dla pieszych Ponte Fabricio na małą wyspę, usytuowaną pośrodku Tybru. Lumbroso zatrzymał się na kładce, a Maya spojrzała w dół na błotnistozieloną wodę, która przepływała przez Wieczne Miasto.

– Kiedy dorastałam, ojciec przekonywał mnie, że za sprawą przyjaciół człowiek staje się słaby.

– Przyjaźń jest równie potrzebna w życiu jak pokarm i woda. Minęło oczywiście nieco czasu, ale w końcu staliśmy się bliskimi przyjaciółmi, nie mieliśmy przed sobą żadnych sekretów. Nie zdziwiło mnie więc, kiedy dowiedziałem się o istnieniu Travelerów. Istnieje mistyczna gałąź judaizmu bazująca na Kabale, która opisuje tego rodzaju boskie objawienia. Co do Tabulów, wystarczy przeczytać codzienne gazety, by sobie uświadomić, że oni rzeczywiście istnieją.

– Nie wierzę, że mój ojciec nie chciał być Arlekinem.

– A cóż w tym takiego zdumiewającego? Był przecież człowiekiem, tak jak każdy z nas. Sądziłem, że uwolnił się od swojej rodziny i że zamierza zostać w Rzymie i malować obrazy. Potem pojawił się pewien Arlekin z Hiszpanii i poprosił go o pomoc. Dietrich wtedy ustąpił. Kiedy twój ojciec wrócił do Włoch osiem miesięcy później, nosił już arlekińskie imię. Wszystko się zmieniło, jego normalne życie odeszło do historii, ale miłość do Rzymu pozostała w jego sercu. Widywaliśmy się od czasu do czasu, on zaś przysyłał mi listy dwa razy w roku. Czasami list zawierał twoje zdjęcie. Obserwowałem, jak rosłaś i stawałaś się młodą damą.

– Nauczył mnie, jak być Arlekinem – odparła Maya. – Czy pan wie, co to znaczy?

Lumbroso dotknął lekko ramienia Mai.

– Tylko ty możesz wybaczyć ojcu. Mogę ci jedynie powiedzieć, że bardzo cię kochał.

Każde z nich pograżyło się we własnych myślach. Ruszyli dalej kładką i weszli na teren dzielnicy Trastevere po drugiej stronie rzeki. Trzy – i czterokondygnacyjne domy stały wzdłuż wąskich ulic, niektóre były nieco szersze niż zaułki. Domy miały wyblakłe pastelowe kolory, ciemny bluszcz piał się po ścianach. Lumbroso poprowadził ją jedną z uliczek, która kończyła się na niewielkim brukowanym placu o nazwie Piazza Mercanti. Było tam pusto, jedynie tuzin wygłodniałych mew walczył o zawartość wywróconego kosza na śmieci. Ptaki pokrzykiwały na siebie niczym grupa Rzymian toczących spór na temat futbolu.

– Tylko turyści lub chorzy jadają o tak wczesnej porze – oznajmił Lumbroso. – Ale to dobry czas na prywatną rozmowę.

Weszli do trattorii, w której nie było jeszcze klientów. Kelner z imponującym wąsem zaprowadził ich do stolika na tyłach i Lumbroso zamówił butelkę wina pinot grigio oraz na pierwsze danie smażone filety z dorsza.

Maya pociągnęła łyk wina, lecz nie tknęła jedzenia. Sposób, w jaki Lumbroso postrzegał jej ojca, był dla niej całkowitym zaskoczeniem. Czy Thorn rzeczywiście troszczył się o nią? Czy było możliwe, że nie chciał zostać Arlekinem? Konsekwencje tych pytań były na tyle kłopotliwe, iż odsunęła te myśli i skoncentrowała się na powodach, dla których przyjechała do Rzymu.

– Nie przybyłam tutaj rozmawiać o moim ojcu – podjęła rozmowę. – Arlekin imieniem Linden twierdzi, że jest pan ekspertem w dziedzinie sześciu wymiarów.

Lumbroso uśmiechnął się, krojąc rybę na porcje wielkości kęsów.

– Jedynym prawdziwym ekspertem jest Traveler, ale ja również wiem sporo. Spotkanie z twoim ojcem zmieniło moje życie. Miałem udaną karierę zawodową jako rzeczoznawca dzieł sztuki, ale moją prawdziwą pasją stało się gromadzenie wiedzy na temat różnych światów. Usiłowałem zdobyć egzemplarz każdej książki, dziennika czy listu, opisujących ich złożony charakter.

Ściszone głosem Maya opowiadała, jak odnalazła Gabriela w Los Angeles i jak w końcu trafili do Europy. Lumbroso odłożył na bok widelec i słuchał z zapartym tchem, kiedy mówiła o tym, co odkryli na wyspie Skellig Columba.

– Sądzę, że Gabriel wyruszył do pierwszego wymiaru odnaleźć ojca. Jeśli wpadł w pułapkę, czy jest jakiś sposób, żeby sprowadzić go stamtąd z powrotem?

– Nie – odpowiedział Lumbroso. – Nie, o ile nie dotrze się tam samemu.

Oboje zamilkli, kiedy kelner przyniósł danie z makaronem, niewielkie kluski o nazwie gnocchi alla Romana. Maya wciąż nie tknęła jedzenia, lecz Lumbroso nalał jej drugi kieliszek wina.

– Co pan przez to rozumie? Czy to jest możliwe?

– Musisz zrozumieć, że antyczni Grecy i Rzymianie nie dostrzegali sztywnej granicy między naszym światem a innymi. W tamtym czasie również istnieli Travelerzy, ale ludzie antyku też wierzyli w istnienie pewnych „drzwi”, umożliwiających każdemu przejście do innego wymiaru.

– To tak jakby chodziło o przejścia?

– Powiedziałbym, że chodzi bardziej o punkty dostępne dla każdego, kto szuka. Nowoczesną analogią tego mogły być tunele czasoprzestrzenne. Jest skrót między przestrzenią a czasem, który ułatwia nam szybkie podróżowanie z jednego świata równoległego do drugiego. Wielu współczesnych fizyków przemawia dzisiaj podobnie jak delficka wyrocznia – z tym że dysponują matematycznymi równaniami.

Lumbroso sięgnął po serwetkę i starł sos pomidorowy z brody.

– Czytając antyczne teksty, można zyskać jasność, że wiele takich świętych miejsc istniało w świecie klasycznym, choćby Stonehenge, zbudowane pierwotnie wokół obiektu, który zapewniał dostęp do takiego punktu przejścia prowadzącego do innych światów. Wedle mej wiedzy żaden z takich punktów nie przetrwał do dziś. Ale Rzymianie być może zostawili wskazówkę, która jest w stanie podpowiedzieć nam, gdzie taki punkt znaleźć.

Maya odłożyła kieliszek z winem.

– Czy to jest mapa?

– To coś znacznie lepszego. Mapę można zagubić lub może zostać zniszczona. Ta szczególna wskazówka jest ukryta pod ulicami Rzymu. To Horologium Augusti – zegar słoneczny ufundowany przez cesarza Augusta.

Kiedy kelner podszedł do stolika, Lumbroso dyskutował z nim różne opcje kolejnego dania, w końcu zdecydował się na cielęcinę duszoną ze świeżą szalwią. Kiedy znów zostali sami, nalał sobie kolejny kieliszek wina.

– Horologium nie był pierwszym lepszym zegarem słonecznym, który znajduje się w ogródku na tyłach domu. Usytuowano go w centrum Rzymu – ogromne kamienne inkrustowane koło z białego trawertynu z liniami i literami wykonanymi z brązu. Jeśli przechodziła pani obok gmachu włoskiego parlamentu, usytuowanego przy Piazza di Montecitorio, widziała pani zapewne egipski obelisk, który rzucił cień na płytę zegara.

– Czy ten zegar jest zakopany pod powierzchnią ziemi?

– Większość antycznego Rzymu znajduje się pod ziemią. W zasadzie można się spierać, że każde miasto posiada swoje widmo ukryte przed ludzkimi oczyma. Niewielka część tego słonecznego zegara została odkryta w trakcie wykopalisk, prowadzonych w latach siedemdziesiątych dwudziestego stulecia przez niemieckich archeologów – niektórzy z nich to moi przyjaciele. Ale po roku prace zostały przerwane. Wciąż pod ulicami Rzymu biją naturalne źródła, a podwodny nurt płynie nad taflą słonecznego zegara. Poza tym pojawiły się problemy z bezpieczeństwem. Karabinierzy nie życzyli sobie, by archeologowie kopali korytarz, który prowadził bezpośrednio do budynku parlamentu.

– Cóż jednak ma to wspólnego ze znalezieniem punktu przejścia do innego wymiaru?

– Zegar słoneczny był czymś więcej niż tylko czasomierzem i kalendarzem. Służył też Rzymianom jako środek wszechświata. Na jego zewnętrznym obwodzie widniały strzałki wskazujące kierunek na Afrykę i Galię, jak i wskazujące kierunki ku duchowym wrotom, prowadzącym do innych wymiarów. Jak powiedziałem, ludzie antyku nie dzielili tak ograniczonego oglądu rzeczywistości.

Zapewne postrzegali pierwszy wymiar jako odległą prowincję na obrzeżach znanego świata.

Kiedy niemieccy archeologowie zakończyli swój projekt, większa część zegara słonecznego wciąż była przykryta błotem i gruzem. Lecz działo się to ponad trzydzieści lat temu, a Rzym od tamtego czasu nawiedziło kilka powodzi. Pamiętaj też, że podziemna rzeka wciąż płynie w tym miejscu. Sam kiedyś spenetrowałem to miejsce i stwierdziłem, że znacznie większa część zegara jest teraz odsłonięta.

– Dlaczego więc nie sprawdził pan tego sam? – zapytała Maya.

– Kto odważy się tam wejść, musi być sprawny, silny i – Lumbroso wskazał na swój wydatny brzuch – znacznie mniej korpulentny. Konieczna jest też butla z tlenem oraz aparat do oddychania pod wodą. Ponadto potrzeba dużo odwagi. Podłoże jest bardzo niestabilne.

Oboje zamilkli na kilka minut. Maya popijała wino.

– A jeśli kupię niezbędny ekwipunek?

– Ekwipunek nie stanowi problemu. Jesteś córką mego przyjaciela, a to znaczy, że chcę ci pomóc, ale nikt dotąd nie spenetrował tamtego miejsca z uwagi na podziemny nurt. Pragnę zatem, żebyś mi obiecała, że zawrócisz i wyjdiesz na powierzchnię, kiedy zrobi się niebezpiecznie.

W pierwszym odruchu Maya chciała powiedzieć, że Arlekini nie składają obietnic, ale przecież złamała tę zasadę w przypadku Gabriela.

– Będę zachowywała ostrożność, Simonie. Nie mogę przyrzec nic więcej.

Lumbroso zmiął serwetkę i rzucił ją na stół.

– Mojemu żołądkowi nie podoba się ten pomysł. To zły omen.

– Ja natomiast umieram z głodu – odparła Maya. – Gdzie jest kelner?

34

Następnego wieczoru Maya spotkała się z Simonem Lumbrosoem przed Panteonem. Cały dzień spędziła na zakupach sprzętu do nurkowania w specjalistycznym sklepie usytuowanym na zachodnich przedmieściach i wszystko upchnęła w dwóch płóciennych workach. Lumbroso również udał się na sprawunki, kupił lampę zasilaną bateriami, w rodzaju tych, których używają grotolazi w jaskiniach. Spojrzał na turystów siedzących na placu i zajadających się lodami, i uśmiechnął się.

– Grecki filozof Diogenes z Sinope wędrował po Atenach z latarnią, szukając uczciwego człowieka. My szukamy czegoś równie rzadkiego, Mayu. Musisz zrobić zdjęcia, wystarczy tylko jedno zdjęcie, na którym zostanie ujęty kierunek prowadzący nas do innego świata – uśmiechnął się do niej. – Czy jesteśmy gotowi?

Maya przytaknęła.

Lumbroso zaprowadził ją do Campo Marzio, bocznej uliczki nieopodal parlamentu. W połowie ciągu budynków zatrzymał się przed drzwiami usytuowanymi między herbaciarnią a sklepem perfumeryjnym.

– Czy dysponujemy uniwersalnym kluczem? – spytała Maya.

Lumbroso sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął plik banknotów euro.

– Jedynym kluczem uniwersalnym skutecznym w Rzymie są banknoty.

Zastukał głośno; drzwi otworzył łysy starzec w gumiakach na nogach. Lumbroso pozdrowił go uprzejmie, uściśnął mu dłoń, dając łapówkę, ale nie zniżając się do rozmowy o pieniądzu. Łysy mężczyzna wprowadził ich do korytarza, powiedział coś po włosku, po czym opuścił budynek.

– Co on powiedział, Simonie?

– Nie bądź głupcem i zamknij za sobą, kiedy skończysz.

Ruszyli w głąb korytarza na otwarte podwórko, na którym pełno było desek, elementów rusztowania oraz pustych puszek po farbie. Rodziny zamieszkiwały w tej kamienicy od setek lat, ale teraz budynek był już pusty, a na pokrytych stiukiem ścianach widniały plamy od powodzi. Szyby we wszystkich oknach powybijano, lecz stalowe pręty wciąż tworzyły kraty w okiennych ramach. Metalowe pręty nadawały budynkowi wygląd opuszczonego więzienia.

Lumbroso otworzył niezamknięte na klucz drzwi i zeszli w dół schodami pokrytymi pyłem. Kiedy dotarli do czegoś, co wyglądało na piwnicę, Lumbroso włączył lampę i otworzył kolejne drzwi, na których widniał napis, namalowany czerwoną farbą: PERICOLO – NO ENTRI.

– Od tego miejsca nie dysponujemy już energią elektryczną, musimy zatem posłużyć się tą lampą – wyjaśnił Lumbroso. – Patrz uważnie pod nogi.

Trzymając nisko lampę, szedł powoli w głąb korytarza z cegieł. Posadzkę tworzyły płyty ze sklejki ułożone na betonowych podporach. Niecałe pięć metrów za drzwiami Lumbroso zatrzymał się i przyklęknął obok otworu w drewnianej posadzce. Maya stanęła za nim, spojrzała nad jego ramieniem i dostrzegła Horologium Augusti.

Odsłonięty dzięki wykopaliskom fragment zegara słonecznego stał się teraz posadzką piwnicy o kamiennych ścianach, szerokości niecałych dwóch i pół metra i długości blisko sześciu metrów. Chociaż płyta słonecznego zegara znajdowała się pod wodą, Maya była w stanie dostrzec jego wykonaną z trawertynu powierzchnię, a także kilka linii oraz greckich liter z brązu, wpuszczonych w wapien. Niemieccy archeologowie usunęli wszelki gruz, a pomieszczenie przypominało ograbiony grobowiec. Jedyne nowoczesne element wnętrza stanowiła stalowa drabina, biegnąca od otworu w posadzce do dna podziemnej krypty, znajdującego się jakieś trzy metry niżej.

– Idziesz pierwsza – oznajmił Lumbroso. – Podam ci sprzęt; potem zejdziesz na dół z lampą.

Maya położyła dwa worki ze sprzętem na posadzce ze sklejki, zdjęła kurtkę, buty i skarpetki. Potem zeszła po drabinie na płytę słonecznego zegara. Woda była zimna i miała w tym miejscu niecały metr głębokości. Lumbroso podał Mai worki ze sprzętem, ona zaś zrobiła pętle ze sznurków ściągających i przywiązała je do drabiny, dzięki czemu worki zwisały po drugiej stronie drabiny.

Gdy Simon zdejmował kapelusz, płaszcz i buty, Maya rozejrzała się po podziemnej krypcie. Kiedy obchodziła pomieszczenie dookoła, niewielkie fale przesuwwały się do przodu i do tyłu, rozbijając się lekko o ściany. Z biegiem lat substancje mineralne w wodzie przemieniły białą powierzchnię trawertynowego zegara w płyty szarawego kamienia. W różnych miejscach skała była odbita, popękana i przebarwiona. Linie z brązu oraz greckie symbole na wapieniu miały kiedyś jaskrawy, złotawy kolor, który mienił się w słońcu, świecącym za czasów rzymskiego imperium. Teraz jednak powierzchnia metalu uległa całkowitemu utlenieniu, a litery miały barwę ciemnozieloną.

– Nie lubię drabin – wyznał Lumbroso.

Postawił stopę na najwyższym szczeblu, jak gdyby chciał sprawdzić wytrzymałość drabiny, potem zszedł powoli z lampą w rękę. Maya zbliżyła się do narożnika i znalazła otwór odpływowy w szarej kamiennej ścianie. Dziura miała wielkość mniej więcej ćwierci metra kwadratowego i znajdowała się całkowicie pod powierzchnią wody. Jej dolna krawędź zbiegała się z powierzchnią tarczy słonecznego zegara.

– Woda odpływa tędy?

– Zgadza się. I tędy właśnie będziesz musiała pójść.

W białej koszuli z długimi rękawami, krawacie oraz czarnych spodniach Lumbroso prezentował dość osobliwy widok, stojąc po pas w wodzie.

– Natychmiast zwróć uwagę, jeśli natrafisz na przeszkody.

Maya wróciła do drabiny i wyciągnęła z płóciennych worków sprzęt do nurkowania. Był tam pas z ołowianymi ciężarkami, dwustopniowy regulator dopływu powietrza, maska do nurkowania oraz butla z tlenem, długości około trzydziestu centymetrów i średnicy dziesięciu. Kupiła też podwodną latarkę oraz podwodny cyfrowy aparat fotograficzny – asortyment, którym posługiwali się turyści nurkujący na Bahamach.

– Butla z tlenem sprawia wrażenie bardzo małej – zauważył Lumbroso.

– Nazywają ją kucykiem. Powiedziałeś mi, że w tunelu nie ma zbyt dużo miejsca.

Maya założyła najpierw pas z balastem, następnie podłączyła jeden koniec regulatora do butli z tlenem, przewiesiła przez szyję aparat fotograficzny na plastikowym sznurze. Tunel był na tyle wąski, że musiała liczyć się z tym, iż jedną z rąk będzie z konieczności trzymać butlę, przyciskając ją do ciała.

– Czego zatem mam szukać?

– Potrzebne nam są fotografie każdego zdania zapisanego po łacinie lub greką na zewnętrznym obwodzie tarczy zegara słonecznego. Niektóre z tych zdań opisują miasta istniejące w świecie antycznym, natomiast inne odwołują się do miejsc duchowych, punktów przejścia do innych wymiarów.

– A jeśli te słowa będą przykryte gruzem?

– Będziesz musiała odsunąć gruz, ale nie dotykaj ścian.

Maya wyciągnęła maskę do nurkowania i nałożyła ją na twarz, potem odkręciła zawór powietrza i zaczęła oddychać przez ustnik aparatu do nurkowania.

– Powodzenia – rzekł Lumbroso. – I proszę, bądź ostrożna.

Uklękła na posadzce i opuściła głowę poniżej poziomu wody. Leżąc na wodzie, przesunęła się w stronę otworu w ścianie. Słyszała własny oddech, a także szum bąbelków powietrza oraz zgrzytliwy odgłos, gdy krawędź butli tlenowej ocierała się o kamienną posadzkę.

Kiedy dotarła do otworu, wyciągnęła ręce do przodu i skierowała snop z latarki w ciemność. Przez lata strumień płynącej wody wyłobił podziemny tunel w rupieciach przeszłości. Ściany tunelu tworzyły zlepione kamienie, cegły z czasów rzymskich oraz bryły białego marmuru. Sprawiały wrażenie kruchych, jak gdyby wszystko lada chwila miało się zawalić, lecz rzeczywiste zagrożenie wiązało się ze współczesnymi czasami. W celu wzmocnienia opadających fundamentów budynku, ktoś wbił głęboko w podłoże stalowe pręty. Ich czubki sterczały z sufitu niczym szpice zardzewiałych głowni mieczy.

Odpychając się palcami stóp, Maya przesuwała się w głąb tunelu. Kiedy podniosła wzrok do góry na sklepienie i stalowe pręty, poczuła się tak, jak gdyby ciężar Rzymu znajdował się bezpośrednio nad jej głową. Docisnęła ciało do trawertynowej posadzki, lecz nigdzie nie mogła dostrzec słów zapisanych literami z brązu.

Regulator dopływu tlenu wydał nagle chrapliwy odgłos. Roje bąbelków powietrza przebiegły przed jej twarzą. Centymetr po centymetrze posuwała się do przodu, aż w końcu całe jej ciało znalazło się w obrębie tunelu. Podziemny korytarz był na tyle wąski, że nie miała możliwości zawrócenia. Jeśli zechce powrócić do podziemnej krypty, będzie musiała przesuwać się do tyłu, odpychając się rękami.

Zapomnij o strachu, uczył ją Thorn. Skoncentruj się na mieczu. Ojciec nigdy się nie wahał. A jednak spędził dwa lata w Rzymie, chcąc uciec od własnego przeznaczenia. Maya odepchnęła inne myśli na bok i skoncentrowała się na podwodnym tunelu i przesuwanie się do przodu.

Pokonała już jakieś cztery lub pięć metrów, kiedy dotarła do punktu, w którym tunel skręcał w

prawo. Przesuwając się pod stalowymi prętami, natrafiła na nieco szersze miejsce, które wyglądało jak podwodna grotka. Powierzchnia zegara słonecznego była w tym miejscu ciemna. Kiedy jednak podплыnęła bliżej, dostrzegła wpuszczone w skałę słowa wypisane literami z brązu, po grecku, i po łacinie.

Trzymając latarkę w lewej dłoni, prawą sięgnęła po aparat i zaczęła robić zdjęcia. Gdy przemieszczała ciało, cienie tworzyły się lub znikwały.

W miarę jak przesuwała się do przodu, butla tlenowa odsunęła się od niej i dotknęła bocznej ściany tunelu. Gruz poluzował się i opadł na posadzkę. Nie było to nic groźnego, po prostu kilka czarnych otoczków, lecz nagle zawładnął nią silny strach.

Ze ściany posypał się znowu piasek i kamienie. Większa bryła skalna uderzyła o posadzkę i potoczyła się w jej kierunku. Wykonała jeszcze kilka szybkich zdjęć i chciała się cofnąć, lecz nagle fragment sufitu zapadł się i opadł bezpośrednio przed jej głową.

Od opadającego piasku woda zrobiła się mętna. Maya usiłowała się wycofać, lecz coś ją przytrzymało. Starając się pokonać panikę, docisnęła dłonie do marmurowej posadzki i odepchnęła się mocno. Bąble powietrza nagle eksplodowały, a do jej ust napłynął strumień wody.

Przecięła wężyk od dozownika tlenu o szpikulce jednego z metalowych prętów. Nie miała już powietrza. Nie wiedziała też, jak się stąd wydostać. Zgubiła latarkę i zmagala się teraz w całkowitej ciemności. Zagryzła ustnik zębami, sięgnęła ręką wzdłuż ramienia i wyczuła drugi koniec przeciętego wężyka doprowadzającego tlen. Odcinek węża dobiegający do ustnika był teraz wypełniony wodą, lecz z wężyka połączonego z butlą wciąż wychodziły pęcherzyki. Połączyła z sobą obydwa fragmenty plastikowej rurki i zacisnęła je w pięści. Powietrze zmieszane z wodą znów napłynęło do ustnika. Połknęła wodę i wciągała tlen do płuc.

Trzymając oba fragmenty wężyka zaciśnięte w prawej dłoni, odpychała się lewą dłonią, przemieszczając się do tyłu i czując pod stopami szorstkie ziarenka piasku. Była niczym widz oglądający wypadek samochodowy – jej umysł się wyłączył, obserwował z boku ze spokojem to, co się stało, i wyciągał wnioski. Była teraz całkowicie ślepa. W przeciągu minuty, mniej więcej, butla z tlenem się opróżni. Jediną szansą było odnalezienie tunelu, który prowadził z powrotem do piwnicznego pomieszczenia.

Kiedy jej stopy dotknęły bocznej ściany, zatrzymała się natychmiast i wsunęła ciało bokiem. Skoncentrowała się na ziarnistej powierzchni leżących na dnie gruzów. Jej życie rozbiło się teraz na cząsteczki kości, krwi oraz tkanek miękkich.

Starając się nie spowodować kolejnego zawału, pełzła do tyłu, centymetr po centymetrze. Dozownik powietrza wydawał cichy, gulgocący odgłos, a jej język wyczuwał smak przypominający popiół. Usiłowała wciągnąć powietrze, lecz w pewnej chwili nic już nie wypełniało jej płuc. Przez przecięty wężyk butla z tlenem opróżniła się całkowicie.

Maya wyciągnęła ręce, odepchnęła się ku tyłowi, a palce jej stóp wyczuły zakręt w tunelu. Wciąż się przemieszczała i modliła, by nie zahaczyć o jeden z metalowych szpikulców. Miała wrażenie, że jej mózg reaguje powoli, i zastanawiała się, czy zdoła wyjść z tej opresji cało.

Kilka sekund później poczuła, jak za kostki chwytają ją czyjeś dłonie. Mocnym szarpnięciem Lumbroso wyciągnął ją z podwodnego tunelu.

– Co się stało? – zapytał. – Widziałem jak w tunelu wzbija się piach. Jesteś ranna? Nic ci nie jest?

Maya ściągnęła maskę z twarzy, wypluła ustniki i łapczywie wciągała powietrze. W jej płucach płonął żywy ogień. Miała wrażenie, że ktoś uderzył ją mocno w żołądek. Lumbroso nie przestawał do niej mówić, lecz ona nie była w stanie odpowiedzieć. Odebrało jej mowę, a w głowie trwała tylko

jedna myśl: Wciąż żyję.

Aparat fotograficzny do zdjęć pod wodą wisiał na jej szyi. Podała go Włochowi niczym cenny klejnot.

Około godziny ósmej następnego ranka Maya siedziała przy jednym ze stolików w kawiarnianym ogródku przy Piazza San Lorenzo w dzielnicy Lucina. Placyk znajdował się o niecałe sto metrów od wejścia do opuszczonego budynku, pod którym był ukryty słoneczny zegar. Bezpośrednio pod jej stopami spoczywały warstwy przeszłości, sekretna rzeka toczyła wody w ciemnościach. Gdy zamykała oczy, wciąż widziała samą siebie, schwytaną w pułapce podwodnego tunelu; nie czuła pragnienia, by raz jeszcze odtwarzać w pamięci te chwile. Zdołała wyjść cało z opresji i pozostała na tym świecie, wśród żywych. Wszystko, co znajdowało się wokół niej, wydawało się zwyczajne i piękne. Dotknęła gładkiego marmurowego blatu stolika, gdy młody włoski kelner przyniósł jej filiżankę cappuccino oraz tartę brzoskwiniową, przybraną listkiem mięty. Skorupka tarty była jasna i popękana, ona zaś rozkoszowała się przez chwilę słodkim smakiem brzoskwini na języku. Chociaż jej miecz wisiał na oparciu odlanego z żeliwa krzesła, nagle poczuła szalony impuls opuszczenia tego miejsca i przespacerowania się po placu, jak gdyby była zwyczajną kobietą. Zapragnęła wejść do każdego sklepu, by wciągnąć w nozdrza zapach perfum i przymierzać jedwabne szale.

Lumbroso pojawił się, kiedy skończyła jeść ciastko. Miał na sobie to samo ciemne ubranie co zwykle, a pod ręką niósł skórzaną aktówkę.

– *Buon giorno, Mayu. Come sta?* To przyjemność widzieć cię tego ranka.

Dosiadł się i zamówił cappuccino.

– W zeszłym tygodniu widziałem turystę, który zamawiał cappuccino o piątej po południu. To jest Rzym, nie Starbucks! Kelner był do głębi dotknięty. We wszystkich trattoriach powinny wisieć szyldy: „Zamawianie cappuccino po dziesiątej rano oznacza złamanie prawa”.

Maya uśmiechnęła się.

– A jeśli chodzi o espresso?

– Espresso to nie dotyczy – otworzył aktówkę i wyciągnął z niej kopertę z szarego papieru wypełnioną zdjęciami o matowej powierzchni. – Późnym wieczorem przerzuciłem zdjęcia na komputer i wydrukowałem je na papierze fotograficznym. Wykonałaś świetną robotę, Mayu. Bez trudu wszystko przeczytałem.

– Czy jest tam wzmianka o przejściu?

– Zegar słoneczny łączył miejsca, które z punktu widzenia naszej współczesnej percepcji moglibyśmy uznać za rzeczywiste, jak również takie miejsce, które pozwalało przejść do innych wymiarów. Spójrz na tę fotografię... – położył zdjęcie przed nią. – Jest napisane po łacinie i odnosi się do Aegyptus – to rzymska nazwa Egiptu. Po śmierci Kleopatry Egipt stał się częścią imperium. Po prawej stronie tego łacińskiego napisu są też słowa zapisane greką.

Lumbroso podał jej kolejne zdjęcie i upił łyk cappuccino. Maya przyglądała się fotografii, na której widniały greckie i łacińskie słowa.

– W tej inskrypcji pojawia się słowo, które oznacza „wejście” lub „portal” – Lumbroso wziął zdjęcie i zaczął tłumaczyć. – Portal prowadzący do Boga zabrano z Ludaea do Ta Netier – Ziemi Boga.

– Innymi słowy, nie wiemy, gdzie znajduje się to przejście.

– Nie zgodziłbym się z tobą. Wskazówka jest tak jasna, jak jeden z licznych przewodników oprowadzających po Rzymie. Ludaea to rzymska prowincja, w której znajdowała się Jerozolima. Ta

Netier – Ziemia Boga – nosiła również nazwę Punt. Ogólnie uważa się, że chodziło o północną Etiopię.

Maya wzruszyła ramionami.

– Nie rozumiem, Simonie. W jaki sposób portal, punkt przejścia, mógł zostać przemieszczony.

– Tylko jeden sławetny obiekt został zabrany z Jerozolimy do Etiopii. To „portal”, który w naszych współczesnych czasach jest określany nazwą Arki Przymierza.

– Arka to tylko legenda – wysunęła wątpliwość Maya. – Podobnie jak Atlantyda czy król Artur. Lumbroso pochylił się i ściszył głos.

– Nie studiowałem książek poświęconych królowi Arturowi, ale wiem bardzo dużo o Arce Przymierza. To skrzynia wykonana z akacjowego drewna, pokrytego złotem. Jej pokrywa z litego złota nosi nazwę *capporet*. Biblia podaje nam nawet dokładne rozmiary tego świętego przedmiotu. Jego długość wynosi mniej więcej sto piętnaście centymetrów, a szerokość prawie siedemdziesiąt.

Arkę wykonali Izraelici w trakcie wygnania na pustyni. Zajmowała honorowe miejsce w Pierwszej Świątyni, zbudowanej przez Salomona. Wedle powszechnego przekonania w Arce przechowywano tablice z Dziesięciorgiem Przykazań. Ale moim zdaniem bardziej logiczne wydaje się, że stanowiła swego rodzaju punkt przejścia. Arkę przetrzymywano w „Miejscu Najświętszym” – najbardziej sekretnej części świątyni.

– Ale przecież zniszczyli ją Asyryjczycy.

– Zapewne masz na myśli Babilończyków – skorygował ją Lumbroso z uśmiechem. – Wszelkie dostępne źródła potwierdzają jednak fakt, iż Arki nie było w świątyni, kiedy Nabuchodonozor zdobył Jerozolimę. Babilończycy zrobili szczegółową listę tego, co splądrowali, lecz nie było na niej Arki. Słynny Miedziany Zwój, jeden ze zwojów znalezionych nad Morzem Martwym w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku, stwierdza jednoznacznie, że Miskan, przenośna świątynia, w której była umieszczona Arka, została wyprowadzona ze świątyni Salomona jeszcze przed zajęciem miasta przez najeźdźców.

Niektórzy są zdania, że Jozjasz ukrył Arkę gdzieś w Izraelu, ale inskrypcja na słonecznym zegarze potwierdza wersję, jakoby Arkę zabrał do Etiopii Menelik I, syn Salomona i królowej Saby. Rzymianie wiedzieli o tym, kiedy pisano tę inskrypcję.

– A zatem Arka znajduje się w Afryce?

– Na dobrą sprawę to wcale nie jest tajemnica, Mayu. Informacje o tym możesz znaleźć w Internecie albo przeczytać na ten temat z tuzin różnych książek. Arka jest obecnie przechowywana w kościele pod wezwaniem Świętej Marii z Syjonu, w mieście Aksum w północnej Etiopii. Strzeże jej grupa etiopskich kapłanów, a do wnętrza świątyni ma prawo wejść tylko jeden duchowny.

– Istnieje jednak pewien problem związany z twoją teorią – oznajmiła Maya. – Jeśli Arka znajduje się w Etiopii, dlaczego Izrael nie uczynił niczego, by ją odzyskać lub by ją chronić.

– Ach, przecież tak zrobili. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku grupa archeologów z Muzeum Izraela poleciała do Etiopii. Uzyskali pozwolenie od cesarza Hajle Sellasiego na przeprowadzenie badań pewnych historycznych artefaktów. W tamtym czasie w prowincji Wollo panowała katastrofalna susza, a cesarz rozpaczliwie potrzebował międzynarodowej pomocy.

Ci archeologowie pojechali do klasztorów nad jeziorem Tana oraz do miasta Aksum. Co jednak dosyć osobliwe, nigdy nie powstał oficjalny raport ani nie opublikowano oficjalnego oświadczenia. Dwa tygodnie po ich powrocie do Jerozolimy Izrael zaczął wysyłać pomoc wojskową i humanitarną do Etiopii. Pomoc ta była kontynuowana również po śmierci cesarza w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku. I trwa do dzisiaj – Lumbroso uśmiechnął się i dopił

cappuccino. – Izraelici nie chwala się tą pomocą, podobnie zresztą jak Etiopczycy. Ponieważ, co oczywiste, nie ma politycznych powodów do wydawania pieniędzy, chyba że wierzy się w istnienie Arki.

Maya pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Być może kilku historyków wymyśliło sobie tę historię, a kilku etiopskich duchownych chce w nią wierzyć. Ale dlaczego Izraelczycy po prostu nie zabiorą Arki i nie przewiozą jej z powrotem do Jerozolimy?

– Ponieważ Arka musiałaby powrócić do świątyni, która już nie istnieje. Tam jest obecnie Świątynia Skały. To miejsce, w którym prorok Mahomet wstąpił do raju. Gdyby Arka powróciła do Jerozolimy, określone grupy fundamentalistów, zarówno chrześcijan, jak i żydów, chciałyby zburzyć Świątynię Skały i odbudować dawniejszą świątynię. To zaś rozpoczęłoby wojnę, wobec której wcześniejsze konflikty byłyby zaiste igraszką.

Mężczyźni i kobiety, którzy dzierżą władzę w Izraelu, to głęboko religijni żydzi. Jednak są jednocześnie pragmatykami. Ich celem jest zapewnienie przetrwania narodowi żydowskiemu, a nie rozpoczęcie trzeciej wojny światowej. Dlatego najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli Arka pozostanie w Etiopii, a w ludziach podsycą się wiarę, że została zniszczona przed tysiącami lat.

– Co się stanie, jeśli pojedę do Etiopii? – zapytała Maya. – Nie mogę przecież wejść do świątyni i oznajmić, że chciałabym zobaczyć Arkę.

– Oczywiście, że nie. Dlatego właśnie muszę pojechać z tobą. W ciągu kilku ostatnich lat kupowałem dzieła sztuki od etiopskiego żyda o nazwisku Petros Semo. Poproszę go, żeby odebrał nas w Addis Abebie i pomógł nam w rozmowach z kapłanami.

– Czy Arka stanowi punkt przejścia, który zaprowadzi mnie do pierwszego wymiaru?

– Być może do każdego z wymiarów. Teksty źródłowe nie są w tej kwestii jednoznaczne. Ogólny wniosek jest taki, że musisz najpierw wysłać swoją duszę, a potem podążyć za nią. Moim zdaniem oznacza to, że musisz chcieć tam wyruszyć, pragnąć tego z całego serca. W tym momencie zostawiamy za sobą zarówno historię, jak i naukę. Jeśli przejdiesz przez te wrota, opuścisz naszą konkretną rzeczywistość.

– Ale czy odnajdę Gabriela?

– Nie wiem.

– A jeśli nie będę w stanie go odnaleźć, czy powrócę na ten świat?

– Tego też nie wiem, Mayu. Jeśli przeanalizujesz klasyczne mity o świecie podziemi, wszystkie zgadzają się co do jednego: musisz wrócić tą samą drogą, którą tam dotrzesz.

Maya spojrzała na placyk oraz piękno, które tak ujęło ją przed kilkoma minutami. Obiecała Gabrielowi, że zawsze będzie stała u jego boku. Gdyby nie uszanowała teraz własnych słów, tamta chwila między nimi straciłaby znaczenie.

– Jak zatem dostaniemy się do Etiopii?

Lumbroso włożył zdjęcia z powrotem do koperty.

– Po pierwsze, zamówimy jeszcze po filiżance cappuccino.

Skinął na kelnera i wskazał na ich puste filiżanki.

porastających okoliczne wzgórza. Bezpośrednio pod nim goście obecni na popołudniowym bankiecie wychodzili z rezydencji i spacerowali po różanym ogrodzie. Kelnerzy w białych smokingach serwowali musujące wino oraz tartinki, a kwartet smyczkowy grał *Cztery pory roku* Vivaldiego. Chociaż poprzedniego popołudnia padał deszcz, ta niedziela była pogodna i słoneczna, a niebo wyglądało niemal sztucznie – błękitny jedwabny namiot, tworzący zadaszenie nad zebranymi w ogrodzie gośćmi.

Wellspring było jeszcze jedną nieruchomością w posiadaniu Fundacji Evergreen. Pierwsze dwie kondygnacje przeznaczono do działań o charakterze publicznym, najwyższe piętro zajmowały natomiast prywatne apartamenty chronione przez służbę. Michael mieszkał w posiadłości przez ostatnie osiem dni. W tym czasie pani Brewster wytłumaczyła mu dogłębnie, jakie są oficjalne i mniej oficjalne zadania organizacji Young World Leaders Program. Oficerowie sił zbrojnych w stopniu pułkownika oraz policyjni dygnitarze, którzy w różanym ogrodzie zajadali ciasteczka z krabów, przyjechali do Anglii w celu zdobycia wiedzy o zwalczaniu terroryzmu. W trakcie trzech dni seminariów nauczyli się sporo o monitoringu w globalnej sieci, funkcjonowaniu systemów kamer monitorujących, chipów RFID oraz totalnych systemach informacyjnych.

Garden party stanowiło zakończenie bloku zajęć dydaktycznych. Przywódcy mieli się tu spotkać z przedstawicielami wielkich korporacji, którzy z ogromnym zapałem pragnęli wdrażać nowe technologie w krajach słabo rozwiniętych. Każdy z nich otrzymał specjalną skórzaną teczkę, do której wkładał biznesowe wizytówki, rozdawane po pierwszym kieliszku wina.

Wychylając się przez balustradę balkonu, Michael obserwował, jak pani Brewster przemierza się przez tłum. Jej turkusowa spódnica i żakiet wyróżniały się wśród ponurych garniturów i oliwkowozielonych wojskowych mundurów. Z oddali wyglądała jak molekuła katalizatora wrzucona do zlewki wypełnionej różnymi substancjami chemicznymi. Kiedy spotykała się z kimś, rozmawiała i żegnała całusem, tworzyła nowe znajomości między młodymi liderami a tymi, którzy chcieli im służyć.

Opuścił balkon, przeszedł przez przeszklone drzwi i wszedł do pomieszczenia, które kiedyś było główną sypialnią rezydencji. Teraz na operacyjnym stole pośrodku pokoju leżał jego ojciec. Kupidyny z białego gipsu spoglądały na niego z sufitu. Głowa Matthew Corrigan była ogolona, a czujniki aparatury medycznej zostały wprowadzone do jego mózgu. Uderzenia serca oraz temperatura ciała były nieustannie monitorowane. Jeden z neurologów oznajmił nawet, że zagubiony w innym wymiarze Traveler był „martwy jak nieboszczyk, a jednocześnie wciąż żywy”.

Michaela niepokoił fakt, że nieustannie powraca do tego pomieszczenia, by zobaczyć nieruchome ciało spoczywające na stole. Czuł się jak bokser, który zapędził przeciwnika do narożnika. Z pozoru walka była wygrana, ale jakimś cudem jego ojciec zdołał zrobić unik i teraz tańczył na ringu poza zasięgiem jego pięści.

– Tu więc jest sławetny Matthew Corrigan – odezwał się nagle znajomy głos.

Michael zrobił pół obrotu i zobaczył w progu Kennarda Nasha. Generał miał na sobie ciemnoniebieski garnitur ze znaczkiem Fundacji Evergreen w klapie.

– Witam, generale. Sądziłem, że wciąż pan jest na Dark Island.

– Wczoraj wieczorem byłem już w Nowym Jorku, ale zawsze pojawiaam się na końcowej ceremonii z udziałem uczestników sympozjum dla Young World Leaders Program. Poza tym chciałem obejrzeć ostatnią zdobycz pana Boone'a... – Nash podszedł do stołu i spojrzał badawczo na Matthew Corrigan.

– Czy to naprawdę twój ojciec?

– Tak.

Generał wyprostował palec wskazujący i dziabnął nim w twarz Matthew Corrigan.

– Muszę przyznać, że jestem odrobinę rozczarowany. Sądziłem, że jego wygląd robi większe wrażenie.

– Gdyby wciąż był aktywny, mógłby wywołać poważny opór wobec programu Ciebie w Berlinie.

– Ale to się nie zdarzy, prawda? – Nash uśmiechnął się do Michaela z wyraźną drwiną, nie czyniąc żadnego wysiłku, by ukryć pogardę. – Zrozumiałem, że zdołałeś zmanipulować członków zarządu i że wzbudziłeś w nich strach wobec tego pozbawionego życia ciała leżącego tu na stole. Jeśli chodzi o moją opinię, Travelerzy przestali być istotnym czynnikiem. Odnosi się to do ciebie... oraz twojego brata.

– Powinien pan porozmawiać z panią Brewster. Sądzę, że pomagam Bractwu w osiągnięciu naszych celów.

– Słyszałem o twoich różnych sugestiach, ale nie jestem wcale pod wrażeniem. Pani Brewster zawsze głęboko wierzyła w naszą sprawę, lecz moim zdaniem uczyniła wielką szkodę, pozwalając ci podróżować po Europie i wygłaszać wszystkie te brednie.

– To pan pierwszy przedstawił mnie zarządowi, generale.

– To błąd, który już wkrótce zostanie skorygowany. Pora, żebyś wrócił do ośrodka badawczego, Michaelu. Albo być może po prostu dołączysz do ojca w innym wymiarze. Chcę przez to powiedzieć, że do tego właśnie są zobligowani Travelerzy. Mam rację? Jesteście genetycznymi wybrykami natury. Tak jak nasze sklejaki.

Drzwi balkonowe wciąż były otwarte, a Michael usłyszał, jak kwartet smyczkowy zmierza do końącego finału. Kilka sekund później rozległy się lekkie trzaski systemu nagłaśniającego, a następnie głos pani Brewster dobiegł z przenośnych głośników.

– Wi-tamy – zaczęła przemowę, rozdzielając wyraz na dwie sylaby. – To piękny dzień i odpowiednie zakończenie trzydniowego sympozjum Young World Leaders Program. Jestem nie tylko zainspirowana, jestem do głębi poruszona komentarzami, które słyszałam dzisiaj w tym ogrodzie...

– Wygląda na to, że pani Brewster szykuje się do wygłoszenia małej przemowy – Nash wsunął dłoń do kieszeni i skierował się ku drzwiom. – Idziesz ze mną?

– To nie jest konieczne.

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież w końcu nie jesteś jednym z nas. Czy może jesteś?

Generał Nash oddalił się niespiesznym krokiem, Michael natomiast pozostał po drugiej stronie stołu z ciałem ojca. Zagrożenie ze strony Nasha było całkiem realne, ale Michael w tej chwili odczuwał spokój. Nie miał zamiaru powrócić do strzeżonego pokoju ani też nie planował odlecieć do innego wymiaru. Wciąż miał jeszcze czas na wykonanie kilku manewrów. Już zawiązał sojusz z panią Brewster. Teraz musiał przeciągnąć na swoją stronę innych członków Bractwa. Michael bez trudu porozmawiał z każdym w ciągu ostatnich dni. Ponieważ potrafił dostrzec wszelkie przelotne zmiany wyrazu twarzy, mógł dobierać własne słowa w taki sposób, by prowadzić interlokutorów we właściwym kierunku.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – skierował pytanie do ojca. – Nie zdobyłeś pieniędzy, nie zdobyłeś władzy. Nie zdobyłeś niczego. Zamiast tego ukrywałeś się z nami...

Michael czekał na odpowiedź, lecz jego ojciec nie przerwał milczenia. Odwróciwszy się od jego ciała, Michael opuścił pokój i wrócił na balkon. Pani Brewster wciąż przemawiała.

– Wszyscy jesteście prawdziwymi idealistami – ciągnęła. – Oddaję cześć waszej sile oraz waszej mądrości. Odrzuciliście głupawe slogany tych, którzy popierają tak zwaną „cnotę” wolności. Wolności dla kogo? Dla przestępców i terrorystów? Uczciwie i ciężko pracujący ludzie na tym świecie pragną porządku, nie retoryki. Ze wszystkich sił żądają silnego przywództwa. Dziękuję

Bogu, że wszyscy jesteście gotowi podjąć to wyzwanie. W ciągu tego roku jeden z europejskich krajów wykona pierwszy krok w kierunku systemowej kontroli własnych mieszkańców. Sukces tego programu zainspiruje rządy państw całego świata.

Pani Brewster uniosła kieliszek z winem.

– Wznoszę toast za pokój i stabilizację.

Z tłumu dobiegły pełne szacunku i poważania odgłosy. W całym ogrodzie promienie słońca odbiły się od wzniesionych kieliszków.

36

Hollis i Mother Blessing wrócili do Londynu, zostawiając na wyspie Alice razem z zakonnicami. Hollis przebywał w mieście zaledwie od dwudziestu czterech godzin, lecz zdążył już obmyślić plan. Jeden z Free Runnerów, student college'u, o imieniu Sebastian, uciekł do domu rodziców w południowej Anglii, ale Jugger oraz Roland nigdzie się nie wybierali. Jugger przez godzinę chodził po dwupokojowym mieszkaniu w Chiswick, wygłaszając przemówienie skierowane przeciw Tabulom i intensywnie przy tym gestykulując. Roland siedział na drewnianym taborecie, pochylony do przodu, z rękami opartymi na kolanach. Kiedy Hollis zapytał, co o tym sądzi, ten odparł niskim, pełnym nienawiści głosem:

– Zapłacą za to, co zrobili.

O szóstej po południu Hollis wrócił do sklepu z instrumentami perkusyjnymi, by zająć się ochroną Gabriela. Jugger pojawił się cztery godziny później i chodził po zabałaganionym pokoju, przyglądając się afrykańskim rzeźbom i stukając palcami w niektóre z instrumentów perkusyjnych.

– To miejsce jest całkiem ciekawe – skomentował. – Jak cholerna podróż do Konga.

Gdy zbliżała się północ, Free Runner zaczął okazywać oznaki zdenerwowania. Opychał się czekoladowymi batonami, a jego głowa nerwowo podrygiwała za każdym razem, gdy rozlegał się jakiś hałas.

– Czy oni wiedzą, że ja tu będę?

– Nie – odparł Hollis.

– Dlaczego nie?

– Nie ma powodu do obaw. Po prostu powiesz im to, co powiedziałeś mnie.

– Nie jestem zdenerwowany – Jugger wstał i poczuł ssanie w żołądku. – Po prostu nie lubię tej Irlandki. Ona zabiłaby każdego, kto kichnąłby w jej stronę.

Zasuwa cicho szcęknęła, potem do sklepu wkroczyli Linden oraz Mother Blessing. Żadne z Arlekinów nie sprawiało wrażenia ucieszonego widokiem Juggera. Mother Blessing instynktownie przeszła przez pokój i stanęła na straży wejścia do ukrytego pomieszczenia, gdzie w ciemności spoczywało ciało Gabriela.

– Wygląda na to, że ma pan w Londynie nowego przyjaciela, panie Wilson. Ale nie przypominam sobie, żebyśmy byli sobie przedstawieni – oznajmiła Mother Blessing.

– Maya uratowała Juggera i jego przyjaciół, kiedy wróciła do Londynu. Powiedziała mi, gdzie się ukrywają. Jak pani wie, Gabriel wygłosił przemowę dla Free Runnerów. Poprosił ich, żeby postarali się dowiedzieć, jakie są zamiary Tabulów.

– I właśnie dlatego tamci mężczyźni usiłowali nas zabić – wyjaśnił Jugger. – Sądzę, że ludzie po prostu byli zbyt gadatliwi, rozmawiając przez telefony komórkowe, lub też rozesłali plotki w Internecie. Ale zdobyliśmy naprawdę ważne informacje, zanim Tabulowie podpalili dom.

Mother Blessing spojrzała na niego sceptycznie.

– Wątpię, żeby ktoś taki jak ty wiedział coś o kardynalnym znaczeniu.

– Tabulowie posiadają oficjalną strukturę o nazwie Fundacja Evergreen – kontynuował Jugger.

– Prowadzą tam badania genetyczne. Ponadto przywieźli policjantów z różnych krajów tu do Anglii, żeby nauczyli się, jak śledzić ludzi w Internecie.

– Wiemy wszystko na temat Young World Leaders Program – odparła Mother Blessing. – Jest prowadzony już od kilku lat.

Jugger stanął między bębniami wykonanymi ze skóry zebry a drewnianym posązką przedstawiającą bóstwo deszczu.

– Nasi przyjaciele w Berlinie twierdzą, że Fundacja Evergreen testuje w tej chwili wersję beta programu komputerowego o nazwie Cień. Wykorzystują dane z chipów RFID oraz kamer monitorujących do śledzenia każdej osoby w mieście. Jeśli program sprawdzi się w Berlinie, zamierzają rozpropagować go po całych Niemczech, a później w innych krajach Europy.

Linden spojrzał na Mother Blessing.

– Berlin to dla nich dobra lokalizacja. Tam właśnie znajduje się ich komputerowe centrum.

– A my wiemy, gdzie to centrum ma siedzibę – dodał Jugger. – Free Runner imieniem Tristan odnalazł ten budynek. To obszar, który znajduje się w martwej strefie w pobliżu muru berlińskiego.

– To wszystko, co musimy wiedzieć w tej chwili. Dzięki za wizytę, Jugger. – Hollis otworzył drzwi wejściowe do sklepu. – Będziemy w kontakcie.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć – Jugger skierował się ku drzwiom. – Jest jedna rzecz, którą chciałbym wiedzieć. Czy u Gabriela wszystko w porządku?

– Nie ma powodów do zmartwień – odparł Linden. – Jest dobrze chroniony.

– W to nie wątpię. Chciałbym tylko, abyście wiedzieli, że Free Runnerzy nieustannie o nim mówią. Dzięki niemu znów pojawiła się iskierka nadziei.

Jugger opuścił sklep i zostali teraz we troje. Mother Blessing przesunęła pochwę miecza i przeszła przez pokój.

– On może ujawnić swoim przyjacielom adres tego miejsca. Oznacza to, że musimy przenieść Travelera.

– Czy to wszystko, co zamierza pani powiedzieć? – zapytał Hollis. – Czy nie zamierzamy niczego zrobić z tą informacją?

– To, co się dzieje w Berlinie, nas nie dotyczy.

– Jeśli program Cień zadziała, każdy rząd na świecie prędzej czy później będzie się nim posługiwał.

– Rozwój technologii jest nieunikniony – skomentowała sucho Mother Blessing.

Hollis skoncentrował uwagę na srebrnym medalionie, który miał zawieszony na szyi, a z jego głosu przebijał teraz lodowaty gniew.

– Myślcie sobie, co chcecie. Możecie biegać po całym świecie ze swoimi cholernymi mieczami, ale ja nie zamierzam pozwolić na to, by Tabulowie zwyciężyli.

– Żądam od pana posłuszeństwa, panie Wilson. Żadnej inicjatywy. Ślepego posłuszeństwa oraz szalonej odwagi.

– Czy właśnie dlatego ściągnęła mnie pani na wyspę i pokazała ciało Vicki? – chciał wiedzieć Hollis. – Zamierzała pani przemienić mnie w perfekcyjnego żołnierzyka?

Mother Blessing uśmiechnęła się chłodno.

– Sądzę, że moje zamiary spaliły na panewce.

– Zamierzam zniszczyć ludzi, którzy zabili Vicki. Ale mam własny plan, jak tego dokonać.

– Nie zna pan historii Tabulów i Arlekinów. Konflikt trwa już tysiące lat.

– I zobaczcie, co się stało. Wy, Arlekini, odchodzicie już do przeszłości, ta cała wasza niewiele znacząca tradycja. Przegraliście wojnę.

Linden usiadł na ławce.

– Nie sędzę, że przegraliśmy już z kretesem. Znajdujemy się w przełomowym punkcie. Nadeszła pora, by coś zrobić.

Mother Blessing obróciła się na pięcie i spojrzała na drugiego Arlekina. Chociaż jej twarz wciąż kryła się za maską pozbawioną wyrazu, w zielonych oczach płonął ogień.

– A zatem teraz jesteś po stronie Wilsona?

– Nie jestem po niczyjej stronie, lecz nadeszła pora, by stawić czoło wrogowi. Tabulowie nie czują już przed nami lęku, madame. Ukrywaliśmy się zbyt długo.

Mother Blessing dotknęła futerału miecza i zaczęła chodzić dookoła pełnego eksponatów pomieszczenia. Hollis miał wrażenie, jak gdyby chciała kogoś zabić, tylko po to, żeby udowodnić, że jeszcze żyje.

– Ma pan jakąś propozycję? – skierowała pytanie do Hollisa.

– Chcę pojechać do Berlina, skontaktować się z tamtejszymi Free Runnerami, a potem zniszczyć program Ciebie.

– Czy zamierza pan zrobić to w pojedynkę?

– Na to wygląda.

– Zawiedzie pan z kretesem, chyba że Arlekin będzie panu towarzyszył. Jakikolwiek rokujący nadzieję na powodzenie plan wymaga mojego udziału.

– A jeśli zechcę zrobić to sam, co wtedy? – zapytał Hollis.

– Nie ma pan wyboru, panie Wilson. Z pańskich słów wynika, że pragnie pan być sojusznikiem, nie najemnikiem. W porządku, wyrażam zgodę na zmianę statusu. Ale nawet sojusznicy wymagają dowodzenia.

Hollis przez kilka sekund nie odpowiadał, potem skinął głową. Mother Blessing odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do Lindena.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego pan Wilson nie miałby pojechać do Berlina ze mną. Jestem przecież bardzo miłą Irlandką w średnim wieku...

– *Oui, madame. Une femme Irlandaise...* uzbrojoną w bardzo ostry miecz.

37

W nieregularnych odstępach czasu mężczyzna o blond włosach zawiązanych w warkocze oraz Murzyn odziany w biały laboratoryjny fartuch zabierali Gabriela z jego celi i wlekli na dół do szkolnej sali gimnastycznej. W tym długim i wąskim pomieszczeniu wciąż znajdowały się ławki dla widzów po jednej stronie, a drewniana posadzka wzdłuż obwodu pomalowana była w czerwone pasy. Zamiast jednak służyć za boisko do koszykówki lub badmintona, sala była wykorzystywana jako miejsce tortur więźniów.

W piekle nie było nowych form tortur, wszystkie techniki wykorzystywały ból, strach oraz upokorzenie. Gabriel znał je z własnego świata. Nieco wcześniej wilki zdobyły wiedzę na temat czterech barier, które oddzielały ich własny świat od pozostałych wymiarów. Ich konkretny świat tortur otoczony był barierami powietrza, ognia, wody i ziemi.

W przypadku przesłuchań inspirowanych żywiołem powietrza, nadgarstki Gabriela

zawiazywano liną, a jego ręce wykręcano do tyłu. Lina była przywiązana do obręczy przytroczonej do tablicy od kosza. Potem wciągano go na górę tak, że wisiał o kilka centymetrów nad podłogą.

– Fruwasz? – pytali go prześladowcy. – Dlaczego nie pofruniesz nieco dalej?

Wtedy ktoś popychał go, a Gabriel kołysał się tam i z powrotem, podczas gdy jego ręce trzaskały w stawach.

Gdy żywiołem był ogień, rozgrzewano metalowe pręty do białości w gazowym płomieniu i przykładano mu do skóry. W przypadku wody zanurzano mu głowę w korycie z wodą i wynurzano dopiero wtedy, kiedy wciągał wodę do płuc.

Przesłuchanie inspirowane „żywiołem ziemi” budziło szczególną trwogę. Pewnego dnia zawiązano mu oczy i wyciągnięto z celi na skrawek ziemi za budynkiem szkolnym. Ktoś przyniósł tu krzesło z prostym oparciem i włożył je do głębokiego dołu. Gabriela przywiązano do krzesła, a potem – bez pośpiechu – oprawcy przystąpili do zakopywania go żywcem.

Zimna ziemia otoczyła jego stopy, potem zakryła nogi, biodra i klatkę piersiową. Od czasu do czasu oba wilki przerywały na chwilę i powtarzały wciąż te same pytania. Gdzie jest przejście? Jak możemy je odnaleźć? Kto wie, jak opuścić ten wymiar? W końcu ziemia sięgała do twarzy Gabriela. Był całkowicie przysypany, a z każdym oddechem wciągał do nozdrzy bryłki ziemi, dopiero potem dwaj oprawcy odkopywali go.

Podczas każdej z tych tortur Gabriel zastanawiał się, czy jego ojciec również został schwytany. Być może inna grupa na tej wyspie przetrzymywała go jako więźnia albo Matthew znalazł w końcu drogę powrotną do domu. Gabriel usiłował odgadnąć, jaką lekcję jego ojciec tutaj zaliczył. Nie był zaskoczony, gdy odkrył, że nienawiść i gniew posiadały trwałą moc, ale współczucie wciąż jeszcze tliło się w jego sercu.

Gabriel odmówił zjadania ochłapów, które przynoszono mu do celi, a wygłodniali strażnicy wyżerali wszystko, co było w misce. Słabł coraz bardziej, ale wciąż zachował wspomnienia o Mai. Ciągłe jeszcze widział piękno jej ciała, kiedy ćwiczyli razem szermiercze sztychy na poddaszu w Nowym Jorku. Przypominał sobie też smutek w jej oczach oraz dotyk jej skóry, kiedy kochali się w kaplicy. Chwile te odeszły – utracone na zawsze – czasem jednak wydawały się bardziej realne niż wszystko dookoła niego.

Blondyn nazywał sam siebie panem Dewittem, a czarnoskóry mężczyzna nosił nazwisko Lewis. Nazwiska te wprawiały ich w ogromną dumę, jak gdyby ich posiadanie sugerowało zarówno świetną przeszłość, jak i obiecującą przyszłość. Być może z powodu laboratoryjnego fartucha Lewis zachowywał się spokojnie i poważnie, Dewitt natomiast przypominał dużego chłopaka ze szkolnego podwórka. Czasami, kiedy wlekli więźnia przez szkolne korytarze, Dewitt opowiadał jakiś dowcip i wybuchał śmiechem. Oba wilki odczuwały paraliżujący strach przed komisarzem, który rozstrzygał o życiu i śmierci każdego w tej części miasta.

Czas mijał i po raz kolejny wleczono go na dół, do sali gimnastycznej, gdzie już czekało na niego koryto z wodą. Mężczyźni związali nadgarstki Gabriela z przodu za pomocą kawałka liny, on zaś nieoczekiwanie skierował na nich wzrok.

– Sądzicie, że postępujecie właściwie?

Obaj wyglądali na zaskoczonych – jak gdyby nigdy wcześniej nie słyszeli podobnego pytania. Spojrzeli na siebie, potem Lewis pokręcił z dezaprobatą głową.

– Na tej Wyspie nie ma rzeczy słusznych ani niesłusznych.

– Czego nauczyli was rodzice, kiedy byliście dziećmi?

– Nikt nie wychował się tutaj – jęknął Dewitt.

– Czy w szkolnej bibliotece były jakieś książki? Podręczniki filozofii albo książki religijne, jak choćby Biblia?

Obaj mężczyźni raz jeszcze spojrzeli po sobie, jak gdyby dzielili wspólną tajemnicę. Potem Lewis sięgnął do zewnętrznej kieszeni laboratoryjnego fartucha i wyciągnął z niej szkolny notes z pobrudzonymi kartkami papieru.

– To nazywamy Biblią – wyjaśnił. – Kiedy zaczęły się walki, niektórzy ludzie zdali sobie sprawę, że prędzej czy później zginą. Zanim jednak ponieśli śmierć, napisali książki opisujące miejsca, w których przechowywano broń, oraz techniki pokonywania wrogów.

– To swego rodzaju podręcznik, wyjaśniający, jak być potężnym następnym razem – wyjaśnił Dewitt. – Ukryli egzemplarze Biblii po całym mieście, aby mogli znaleźć je, kiedy zacznie się następny cykl. Widziałeś słowa i liczby namalowane na murach? Większość z tych liczb to zaszyfrowane wiadomości, mówiące o tym, jak odnaleźć egzemplarze Biblii oraz schowki z bronią.

– Oczywiście, niektórzy ludzie okazali się naprawdę przebiegli – dodał Lewis. – Pisali fałszywe Biblie, w których celowo i świadomie udzielali fałszywych porad.

Ostrożnie podał książeczkę Gabrielowi.

– Być może będziesz w stanie nam powiedzieć, czy to jest fałszywa Biblia.

Gabriel wziął notes i otworzył okładkę. Na każdej stronie były napisane instrukcje, jak odnaleźć broń oraz gdzie zbudować pozycje obronne. Niektóre strony wypełniały pokrętne wyjaśnienia, dlaczego istnieje piekło oraz kto miał tutaj egzystować.

Gabriel oddał notes Lewisowi.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, czy co jest prawdziwe, czy nie.

– Tak – mruknął Dewitt. – Nikt niczego nie wie.

– Tu obowiązuje tylko jedna zasada – wyjaśnił Lewis. – Robisz to, co dobre dla siebie.

– Lepiej będzie, jeśli zrewidujecie przyjętą strategię – oznajmił im Gabriel. – Koniec końców i tak zostanieie zlikwidowani przez komisarza. On bowiem chce mieć pewność, że pozostanie ostatnią żywą osobą.

Dewitt drapał się po twarzy niczym mały chłopiec.

– W porządku. Być może to prawda. Ale nie możemy nic na to poradzić.

– Możemy pomóc sobie nawzajem. Jeśli odkryję wrota prowadzące z tego świata, wy dwaj możecie opuścić go ze mną.

– Mógłbyś to zrobić? – zapytał Lewis.

– Wystarczy, że znajdę przejście. Komisarz stwierdził, że najwięcej legend wiąże się z pokojem, gdzie jest przechowywana szkolna dokumentacja.

Wilki spojrzały na siebie. Strach przed komisarzem niemal stłumił ich pragnienie ucieczki.

– Być może... Być może mógłbym zabrać cię tam, abyś przez chwilę się tam rozejrzał – wyznał Dewitt.

– Jeśli zamierzasz opuścić Wyspę, w takim razie ja również uciekam – zadeklarował Lewis. – Zróbmy to teraz. Wszyscy są poza budynkiem i przeczesują teren w poszukiwaniu karaluchów.

Obaj mężczyźni rozwiązali spętane ręce Gabriela i pomogli mu wstać. Trzymali go mocno za ręce, kiedy opuścili salę gimnastyczną i śpiesznym krokiem podążali pustym korytarzem do szkolnej kancelarii. Wilki sprawiały wrażenie zaniepokojonych i przestraszonych, kiedy otwierały drzwi i wciągały go do środka.

Szkolna kancelaria nie zmieniła się od czasu jego ostatniej wizyty. Jedynym źródłem światła były drobne płomienie gazu płonącego na końcówkach zerwanych rur. Chociaż Gabriel odczuwał

ból, zrobił się czujny. Coś było w tym pomieszczeniu. Droga ku wolności, spojrzął przez ramię i dostrzegł, że Dewitt i Lewis obserwują go, jak gdyby był kuglarzem, który za chwilę wykona jakąś sztuczkę.

Powoli ruszył zewnętrznym przejściem wzdłuż metalowych szaf na dokumenty. Kiedy on i Michael byli małymi chłopcami, zwykle w deszczowe dni bawili się z matką w pewną zabawę. Ona ukrywała gdzieś w domu jakiś drobny przedmiot, a oni go szukali, podczas gdy naprowadzała ich na właściwy trop, mówiąc „zimno” lub „ciepło”. Ruszył tym samym przejściem w drugą stronę. Potem drugim przejściem w dół. Wyczuł coś pośrodku pomieszczenia w pobliżu biurka roboczego. Ciepło, pomyślał. Ciepłej. Nie, teraz idziesz w złym kierunku.

Nagle drzwi od kancelarii otworzyły się. Zanim Lewis i Dewitt zdążyli zareagować, do środka wbiegła grupa uzbrojonych mężczyzn.

– Zabierzcie im broń – powiedział jakiś głos. – Nie pozwólcie im uciec.

Mężczyźni pochwycili dwóch zdrajców, gdy do pomieszczenia wszedł komisarz, trzymając w ręku pistolet.

38

Hollis spoglądał przez okno pociągu, który mknął po torze i wjechał do tunelu pod kanałem La Manche. Wagon pierwszej klasy przypominał kabinę pasażerskiego odrzutowca. Francuska stewardesa pchała przed sobą wózek między fotelami, podając śniadanie złożone z rogalików, soku pomarańczowego oraz szampana.

Mother Blessing siedziała obok niego w szarej garsonce i okularach. Niesforne rude włosy upięła w elegancki kok. Gdy czytała zaszyfrowane e-maile na ekranie notebooka, wyglądała jak bankier inwestycyjny w drodze na spotkanie z klientem w Paryżu. Hollis był pod wrażeniem skuteczności, z jaką irlandzka Arlekinka zorganizowała ich podróż do Berlina. W przeciągu czterdziestu ośmiu godzin od spotkania w sklepie Winstona Abosy został wyposażony w garnitur, fałszywy dowód tożsamości oraz dokumenty potwierdzające jego nową tożsamość super-specjalisty od dystrybucji filmów w londyńskiej firmie.

Pociąg wyłonił się z tunelu i mknął na południowy wschód przez Francję. Mother Blessing wyłączyła komputer i poprosiła stewardesę o kieliszek szampana. Było coś w jej nieco impertynenckim sposobie bycia, co sprawiało, że ludzie opuszczali głowy, kiedy ją obsługiwali.

– Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić, madame? – zapytała stewardesa kojącym głosem. – Zauważyłam, że nie zjadła pani śniadania...

– Wykonała pani swoją pracę odpowiednio – odparła Mother Blessing. – Nie będziemy już od pani niczego potrzebować.

Trzymając w rękach owiniętą w serwetkę butelkę szampana, stewardesa wycofała się.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy opuścili Londyn, Mother Blessing obróciła głowę w stronę Hollisa i uznała fakt, że obok niej siedzi inna ludzka istota. Przed kilkoma tygodniami zapewne uśmiechnąłby się do niej i starałby się adorować tę kobietę o trudnym charakterze, lecz teraz wszystko się zmieniło. Gniew z powodu śmierci Vicki był tak potężny, że chwilami czuł, jak gdyby jakiś zły duch przejął władzę w jego ciele.

Arlekinka z Irlandii zdjęła z szyi złoty łańcuszek. Wisiało na nim niewielkie urządzenie w czarnej plastikowej obudowie, wielkości krótkiego ołówka.

– Niech pan to weźmie, panie Wilson. To jest *flash drive*. Jeśli zdoła się pan dostać do

komputera Tabulów, pańskim zadaniem będzie włożenie tego do gniazda USB. Nie musi pan nawet dotykać klawiatury. Drive jest tak zaprogramowany, że się ładuje automatycznie.

– Co się na nim znajduje?

– Czy słyszał pan kiedykolwiek o *banshee*? To zjawą, która krąży wokół domów w Irlandii, zanim ktoś umrze. Tu znajduje się wirus *banshee*. Niszczy nie tylko wszystkie dane na komputerze *mainframe*, ale także sam komputer.

– Skąd pani to ma? Od jakiegoś hakera?

– Władze są skłonne do obwiniania siedemnastolatków o rozprzestrzenianie wirusów, ale wiedzą dobrze, że najpotężniejsze wirusy są dziełem rządowych zespołów badawczych lub kryminalnych grup przestępczych. Ten konkretny wirus kupiłam od byłych bojowników IRA, którzy mieszkali w Londynie. Specjalizują się w zamachach na internetowe strony z hazardem.

Hollis zawiesił łańcuszek na szyi i wsunął *flash drive* pod koszulę, obok srebrnego medalionu Vicki.

– A jeśli wirus przedostanie się do Internetu?

– To mało prawdopodobne. Wirusa zaprojektowano jako system zamknięty.

– Ale coś takiego może się zdarzyć?

– Na tym świecie wydarza się wiele niemiłych rzeczy, lecz to nie mój problem.

– Czy wszyscy Arlekini są tak egocentryczni jak pani?

Mother Blessing zdjęła okulary i spojrzała na Hollisa ostrym, krytycznym spojrzeniem.

– Nie jestem egocentryczna, panie Wilson. Koncentruję się na kilku zadaniach i odrzucam całą resztę.

– Czy zawsze działa pani w ten sposób?

– Nie widzę powodu tłumaczenia się przed panem.

– Po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego ktoś zostaje Arlekinem.

– Przypuszczam, że mogłabym z tym skończyć i pójść w siną dal, lecz ten styl życia mi odpowiada. Arlekini uwolnili się od drobnych drażniących spraw codziennego życia. Nie martwimy się o pleśń w suterenie ani o stan rachunku debetowego pod koniec miesiąca. Nie mamy kochanków, których moglibyśmy zawieść, nie wracając do domu na czas. Nie mamy przyjaciół, którzy czuliby się odrzuceni, gdy nie odpowiadamy na ich telefony. Poza naszymi mieczami nie odczuwamy więzi z nikim. Nawet nasze nazwiska nie są ważne. W miarę jak się starzeję, z coraz większym trudem zmuszam się do zapamiętania aktualnego nazwiska w moim paszporcie.

– Czy to daje pani szczęście?

– Szczęście jest słowem tak bardzo nadużywanym, że niemal straciło znaczenie. Szczęście istnieje, to oczywiste, ale ma przelotny charakter. Jeśli zaaprobuje pan koncepcję, że większość Travelerów przyczynia się do pozytywnych zmian na tym świecie, w takim razie życie Arlekina ma znaczenie. Bronimy prawa ludzkości do wzrostu i rozwoju.

– Zatem broni pani przyszłości?

– Tak. Dobrze pan to ujął.

Mother Blessing dopiła szampana i odstawiła kieliszek na składany stolik. Kiedy spoglądała badawczo na Hollisa, on wyczuł w niej chłonny umysł, pracujący za zasłoną chropawej osobowości.

– Czy takie życie interesowałoby pana? Arlekini zazwyczaj pochodzą z określonych rodzin, ale czasami akceptujemy ludzi z zewnątrz.

– Mam gdzieś Arlekinów. Chcę po prostu, by Tabulowie cierpieli za to, co zrobili Vicki.

– Jak pan sobie życzy, panie Wilson. Ale ostrzegam pana. Wiem z własnego doświadczenia, że jest taki głód, którego nigdy się nie zaspokoi.

O pierwszej w nocy dotarli do dworca Gare du Nord i pojechali taksówką na północno-wschodnie przedmieścia Clichysous-Bois. W tej okolicy dominowały duże komunalne osiedla – ogromne szare budynki przy bocznych uliczkach, przy których tłoczyły się salony wideo oraz sklepy rzeźnicze. Wszędzie było widać wraki spalonych aut, a jedyne jasne kolory w tym miejscu wносиła pościel i niemowlęce ubrania suszące się na sznurkach. Ich francuski kierowca zamknął drzwi taksówki, kiedy przejeżdżali obok kobiet ubranych w czadory oraz mijali grupy nieciekawie wyglądających wyrostków, odzianych w bluzy z kapturami.

Mother Blessing kazała kierowcy zatrzymać się na przystanku autobusowym, potem poprowadziła Hollisa brukowaną ulicą do arabskiej księgarni. Właściciel księgarni bez słowa wziął kopertę z gotówką i wręczył Mother Blessing klucz. Wyszli tylnymi drzwiami z księgarni i posługując się kluczem, otworzyli kłódkę stalowych drzwi garażu. Wewnątrz stał nowy model limuzyny marki Mercedes-Benz. Dopilnowano każdego detalu. Bak był zatankowany do pełna, w pojemnikach na kubki znajdowały się butelki z wodą, a w stacyjce tkwił kluczyk.

- Rejestracja samochodu?
- Jest własnością firmy-słupa, z siedzibą w Zurychu.
- Broń?
- Powinna znajdować się z tyłu.

Mother Blessing otworzyła bagażnik i wyciągnęła kartony, w których się znajdował jej arlekiński miecz oraz czarna płócienna torba. Włożyła do torby notebooka, a Hollis widział, że w torbie są także nożyce do cięcia metalu, wytrychy oraz niewielki kanister z płynnym azotem do unieszkodliwiania detektorów ruchu, działających na podczerwień. Dwie aluminiowe walizki również znajdowały się w bagażniku. W środku spoczywały belgijskie pistolety maszynowe oraz dwa półautomatyczne pistolety kaliber dziewięć milimetrów z kaburami.

- Gdzie pani dostała ten sprzęt?
- Broń można dostać wszędzie. To tak jak aukcja w Kerry. Wynajduje pan sprzedawcę i negocjuje cenę.

Mother Blessing poszła do toalety i wróciła po chwili ze sprzętem i wyjęła z niej elektryczny śrubokręt.

- Zamierzam zablokować czarną skrzynkę samochodu. Jest połączona z poduszką powietrzną.
- Dlaczego? Czy skrzynka nie służy do zapisu informacji o ewentualnym wypadku?
- Taka była pierwotna intencja – Arlekinka otworzyła przednie drzwi samochodu i usiadła na siedzeniu, po czym odkręciła plastikowy panel pod kierownicą. – Początkowo urządzenie Event Data Recorders służyło jedynie do rejestracji zdarzeń w trakcie wypadku. Jednak firmy wynajmujące auta zaczęły stosować elektroniczny monitoring do identyfikacji kierowców, którzy jeździli zbyt szybko. Obecnie we wszystkich nowych samochodach czarne skrzynki są podłączone z GPS. A zatem znana jest nie tylko lokalizacja pojazdu, ale także takt czy przyśpiesza, czy hamuje oraz czy zapięty jest pas bezpieczeństwa.

- W jaki sposób się o tym dowiadują?

Mother Blessing odkręciła panel, odsłaniając system z poduszką powietrzną samochodu.

- Gdyby prywatność miała nagrobek, napis na nim mógłby brzmieć: „Nie martw się. To było dla twojego dobra”.

Skręcili w autostradę A2 i ruszyli przez Francję w kierunku granicy z Belgią. Kiedy Mother Blessing skupiała uwagę na drodze, Hollis podłączył telefon satelitarny do komputera i nawiązał kontakt z

Juggerem w Londynie. Otrzymał on kolejną informację od kilku Free Runnerów w Berlinie. Kiedy Hollis i Mother Blessing dotrą do miasta, mają się spotkać z tymi ludźmi w bloku mieszkalnym przy Auguststrasse.

– Czy podali nam jakieś nazwiska? – zapytała Mother Blessing.

– Dwóch Free Runnerów o imionach Tristan oraz Kröte.

Mother Blessing uśmiechnęła się.

– Kröte to w niemieckim wyraz oznaczający ropuchę.

– To tylko pseudonim. I niech już pani przestanie. Przecież panią nazywają Mother Blessing.

– To nie był mój wybór. Wychowałam się w rodzinie z sześciorgiem dzieci. Wuj był Arlekinem, lecz moja rodzina wybrała mnie, bym kontynuowała tradycję. Moi bracia i siostry zostali zwykłymi obywatelami, mają posady oraz pozakładali rodziny. Ja natomiast uczyłam się, jak zabijać ludzi.

– Czy odczuwa pani z tego powodu gniew?

– Czasami mówi pan jak psycholog, panie Wilson. Czy to amerykańska afektacja? Gdybym była panem, nie marnowałabym czasu na zawracanie sobie głowy sprawami z dzieciństwa. Żyjemy w teraźniejszości i potykając się, zmierzamy ku przyszłości.

Kiedy przekroczyli granicę Niemiec, Hollis usiadł za kierownicą. Zdziwił się, gdy stwierdził, że na tamtejszej autostradzie nie obowiązuje ograniczenie prędkości. Mercedes mknął z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, lecz inne auta bez trudu ich wyprzedzały. Mijały godziny, a oni mijali drogowskazy na Dortmund, Bielefeld, Magdeburg i w końcu na Berlin.

Hollis wybrał zjazd numer siedem w stronę Kaiserdamm i po kilku minutach sunęli już Sophie-Charlotten-Strasse. Dochodziła północ. Drapacze chmur ze szkła i stali żarzyły się licznymi światłami, ale ulicami przemykali tylko nieliczni przechodnie.

Zaparkowali samochód na bocznej uliczce i wyciągnęli broń z bagażnika. Oboje ukryli pod ubraniami pistolety automatyczne kaliber 9 milimetrów. Mother Blessing wsunęła arlekiński miecz do metalowej pochwy z paskiem na ramię, podczas gdy Hollis rozładował pistolet maszynowy i włożył go do torby ze sprzętem.

Hollis zastanawiał się, czy tej nocy zginie. Czuł w duchu pustkę i był zupełnie oderwany od własnego życia. Być może to właśnie dostrzegła w nim Mother Blessing. Osiągnął dostateczny poziom zimnej krwi, by stać się Arlekinem. Obrona przyszłości była dla niego szansą, ale Arlekinini zawsze stanowili zwierzynę łowną. Nie mieli przyjaciół. Nie mieli kochanków. Nic dziwnego, że w oczach Mai dostrzegał tyle samotności i bólu.

Dom przy Auguststrasse okazał się zaniedbanym, pięciokondygnacyjnym budynkiem. Na parterze mieścił się lokal Ballhaus Mitte, dawniej dyskoteka dla klasy robotniczej, obecnie zamieniona na restaurację i nocny klub. Przed lokalem ustawili się długi ogonek młodych Niemców, czekających na wejście do środka. Ludzie w kolejce palili papierosy i obserwowali, jak jakaś para namiętnie się całuje. Kiedy ktoś otworzył drzwi, z wnętrza uderzyła głośnie fala rytmicznej muzyki.

– Idziemy pod numer cztery B – oznajmiła Mother Blessing.

Hollis zerknął na zegarek.

– Jesteśmy godzinę przed czasem.

– Zawsze najlepiej być wcześniej. Jeśli nie znasz tego, z kim masz się skontaktować, nigdy nie pojawiaj się o umówionej porze.

Hollis wszedł za nią do budynku i potem schodami na górę. Najwyraźniej instalacja elektryczna w budynku była wymieniana, ponieważ ze ścian zerwano tynk, a podłogę pokrywał pył i gruz

zaprawy murarskiej. Muzyka dobiegająca z nocnego klubu robiła się coraz cichsza, aż w końcu nie było jej wcale słychać.

Kiedy dotarli na czwarte piętro, Mother Blessing dała znak dłonią. Zachowuj się cicho. Przygotuj się. Hollis dotknął klamki u drzwi mieszkania cztery B i zdał sobie sprawę, że drzwi nie są zamknięte. Spojrzał na nią przez ramię. Mother Blessing wyciągnęła automatyczny pistolet i trzymała go blisko ciała. Kiedy otworzył drzwi, Arlekinka wskoczyła do pustego pokoju.

W mieszkaniu znajdowały się liczne meble z wystawek. Była kanapa bez nóg, dwa stare materace oraz stoły i krzesła od różnych kompletów. Na każdej ze ścian znajdowały się duże zdjęcia Free Runnerów wykonujących akrobacje, takie jak gwiazda, salto w tył czy skoki z jednego budynku na drugi. Wyglądało to tak, jakby młodzi mężczyźni i młode kobiety na fotografiach nie podlegali prawu grawitacji.

– Co teraz? – zapytał Hollis.

– Teraz zaczekamy.

Mother Blessing wsunęła pistolet z powrotem do kabury pod ramieniem i usiadła na kuchennym krześle.

Dokładnie o pierwszej w nocy ktoś zaczął schodzić po fasadzie budynku mieszczącym lokal Ballhaus. Hollis dostrzegł dwie nogi dyndające w powietrzu tuż za oknem, potem lewa stopa wspinaczka znalazła oparcie na ozdobnym gzymsie. Przybysz sięgnął półki znajdującej się na zewnątrz, następnie otworzył okno i wskoczył do pokoju. Mógł mieć około siedemnastu lat. Miał na sobie podarte džinsy oraz bluzę od dresu z kapturem. Jego długie włosy były zaplecione w dredy, a grzbiety dłoni pokrywały geometryczne tatuaże.

Kilka sekund później druga para nóg pojawiła się za ramą okna. Drugi z Free Runnerów był chłopcem jedenasto-, może dwunastoletnim. Miał gęstą czuprynę kręconych brązowych włosów, co sprawiało, że wyglądał jak dzikie dziecko wychowane w lesie. Do paska miał przypięty cyfrowy odtwarzacz, a w uszach słuchawki.

Po tym jak chłopiec znalazł się w pokoju, jego starszy przyjaciel ukłonił się. W jego ruchach była jakaś przesada. Zachowywał się jak aktor, który zawsze był świadom podziwiającej go publiczności.

– *Guten Abend*. Witamy w Berlinie.

– Wasza wspinaczka nie zrobiła na mnie wrażenia – odparła Mother Blessing. – Następnym razem wejście schodami.

– Sądziłem, że będzie to najszybszy sposób, żeby pokazać – jak to będzie po angielsku – nasze „kwalifikacje”. Należymy do ekipy Free Runnerów ze Spandau. Mam na imię Tristan, a to mój kuzyn, Kröte.

Chłopiec o kręconych włosach kiwał głową w rytm muzyki w słuchawkach. Nagle zauważył, że wszyscy wpatrują się w niego. Nieco zawstydzony cofnął się do okna. Hollis zastanawiał się nawet, czy Kröte nie zamierza wyjść na gzyms i uciec.

– Czy on mówi po angielsku? – chciał wiedzieć Hollis. – Tylko kilka słów – Tristan zwrócił się do kuzyna. – Kröte! Powiedz coś po angielsku!

– Wielowymiarowy – wyszeptał chłopak.

– *Sehr gut!* – Tristan uśmiechnął się z dumą. – Nauczył się tego w Internecie.

– I w ten sam sposób dowiedzieliście się o programie Cień?

– Wiemy to od ludzi ze środowiska Free Runnerów. Nasza przyjaciółka Ingrid pracuje dla firmy o nazwie Personal Customer. Pewnie była dobra w tym, co robi, ponieważ człowiek nazwiskiem Lars Reichardt zaprosił ją do pracy w swoim dziale. Każda osoba w tym zespole otrzymywała

określone zadania i nie posiadała informacji o tym, co robią jej koledzy. Dwa tygodnie temu Ingrid dostała się do innej części systemu i znalazła informacje na temat programu Cień. Wtedy też otrzymaliśmy list pocztą elektroniczną od brytyjskich Free Runnerów.

– Musimy dostać się do centrum komputerowego – oznajmiła Mother Blessing. – Czy możecie nam pomóc?

– Oczywiście! – Tristan wyciągnął ręce, jak gdyby oferował im prezent. – Zaprowadzimy was do samego celu.

– Czy będziemy musieli wspinać się po ścianach? – chciała wiedzieć Mother Blessing. – Nie wzięłam z sobą lin.

– Liny nie będą potrzebne. Będziemy iść pod ulicami. Podczas drugiej wojny światowej na Berlin spadły tysiące bomb, ale Hitler siedział bezpieczny w swoim bunkrze. Większość bunkrów i tuneli wciąż istnieje. Kröte penetruje system podziemnych przejść od czasu, kiedy miał dziewięć lat.

– Wydaje mi się, chłopaki, że nie macie czasu na szkołę – skomentował Hollis.

– Chodzimy do szkoły. Czasami. Są tam przecież dziewczyny, poza tym lubię grać w piłkę.

Kilka minut później cała czwórka opuściła Ballhaus i przeszła na drugą stronę rzeki. Kröte niósł nylonowy plecak, w którym znajdował się sprzęt do penetrowania podziemnych przejść. Wyglądał niczym harcerz ze zmierzwioną czupryną i szedł o kilka kroków przed swoim kuzynem.

Gdy doszli do końca szerokiej alei, graniczącej z ogrodem zoologicznym Tiergarten, dotarli do pomnika Pomordowanych Holocaustu. Miał postać dużej, pochyłej kraty, pokrytej betonowymi płytami o różnej wysokości. W oczach Hollisa wyglądało to jak tysiące szarych trumien. Tristan wyjaśnił, że środek chemiczny antygraffiti, którym pomalowano płyty, jest produkowany przez firmę powiązaną z koncernem, który w czasie wojny produkował cyklon B stosowany w komorach śmierci.

– W czasie wojny produkowali trujący gaz, a w czasie pokoju walczą z graffitiarzami – Tristan wzruszył ramionami. – Wszystko to stanowi część Rozległej Sieci.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pomnika, znajdował się szereg sklepów z pamiątkami oraz kawiarnie i restauracje. Budynek wyglądał jak nietrwała konstrukcja, wykonana z desek i kilku tafli szkła. Kröte minął biegiem sklep Dunkin Donuts i zniknął za narożnikiem budynku. Po chwili zobaczyli, jak chłopak otwiera kłódkę od stalowej klapy wjazdu, wpuszczonego w betonową płytę.

– Skąd macie klucze? – zapytała Mother Blessing.

– Przed rokiem odcięliśmy miejską kłódkę i założyliśmy własną.

Kröte otworzył plecak i wyjął z niego trzy latarki. Na swoją głowę nasunął górniczą lampę z żarówką o dużej mocy.

Odsunęli wjazd i pośpiesznie zeszli w dół stalową drabinką. Hollis jedną ręką trzymał się szczebli, drugą natomiast przyciskał do piersi torbę ze sprzętem. Zeszli do tunelu technicznego, w którym biegły kable telekomunikacyjne. Kröte otworzył drugą kłódkę założoną przy nieoznaczonych, stalowych drzwiach.

– Dlaczego nikt nie zauważył, że zmieniliście kłódkę? – chciał wiedzieć Hollis.

– Nikt z urzędników nie lubi zaglądać do tego miejsca. Jedynie eksploratorzy tacy jak my. Tu jest ponuro i strasznie. To jest *altes Deutschland*. Przeszłość.

Gęsiego przeszli przez drzwi prowadzące do korytarza z betonową posadzką. Znajdowali się teraz bezpośrednio pod pomnikiem i stali w bunkrze wykorzystywanym przez Josepha Goebbelsa oraz jego sztab w czasie bombowych nalotów. Hollis spodziewał się czegoś, co zrobiłoby nieco większe wrażenie – zakurzonych biurowych mebli czy nazistowskiej flagi zawieszanej na ścianie.

Zamiast tego snop światła ich latarek oświetlił betonowe ściany pokryte szarawą farbą z wymalowanymi słowami: *Rauchen verboten* – palenie zabronione.

– Farba jest fluorescencyjna. Po upływie tylu lat wciąż jeszcze ją widać.

Kröte szedł powoli w dół korytarza, kierując snop światła latarki na ścianę.

– *Licht* – powiedział cichym głosem.

Tristan kazał Hollisowi i Mother Blessing, aby wyłączyli latarki. W ciemności widzieli, jak przemieszczający się Kröte tworzy na ścianie jaskrawozieloną linię, która jarzyła się przez trzy do czterech sekund, zanim znikła.

Ponownie włączyli latarki i ruszyli dalej przez bunkier. W jednym z pomieszczeń znajdowała się stara rama łóżka bez materaca. Inny podziemny pokój wyglądał jak mały gabinet zabiegowy, z pomalowanym na biało stołem oraz pustymi szklanymi gablotami.

– Rosjanie gwałcili tu berlińskie kobiety i rabowali niemal wszystko – wyjaśnił Tristan. – Omijali z daleka tylko jedno miejsce w tym bunkrze. Być może byli zbyt leniwi albo też widok tam był zbyt przerażający.

– O czym ty mówisz? – zapytała Mother Blessing.

– Tysiące Niemców popełniły samobójstwo, kiedy nadeszli Rosjanie.

– Gdzie to robili?

– W toaletach. Tylko tam mogli być sami.

Kröte stał obok otwartych drzwi, na których namalowane było słowo *Waschraum*. Strzałki wskazywały w dwóch kierunkach: *Maenner* i *Frauen*.

– W kabinach toalet wciąż leżą kości – oznajmił Tristan. – Możecie je zobaczyć, jeśli się nie boicie.

Mother Blessing pokręciła z dezaprobatą głową.

– Strata czasu.

Hollis czuł jednak jakiś przymus i podążył za chłopcem trzema stopniami w górę, potem minął drzwi, które prowadziły do damskiej toalety. Snopy światła dwóch latarek pozwoliły im zobaczyć ciąg drewnianych kabin ubikacji. Drzwi były zamknięte, a Hollis poczuł, że skrywa się w nich więcej niż jedno szczątki samobójców. Kröte zrobił kilka kroków do przodu i wskazał określone miejsce. Przy końcu pomieszczenia drewniane drzwi były niedomknięte. Wystająca przez szczelinę z mumifikowana dłoń wyglądała jak czarne szpony. Hollis poczuł się, jakby przyprowadzono go do krainy umarłych. Drżał na całym ciele i pośpiesznie podążył z powrotem do głównego korytarza.

– Widziałeś tę dłoń?

– Tak. Widziałem.

– Cały Berlin jest zbudowany na czymś takim – rzekł Tristan. – Zbudowany na zmarłych.

– Mam to gdzieś – ucięła szorstko rozmowę Mother Blessing. – Ruszajmy.

Przy końcu korytarza znajdował się kolejny stalowy właz, lecz ten nie był zamknięty. Tristan złapał uchwyt i otworzył klapę.

– Teraz wchodzimy do starego systemu kanalizacyjnego. Ponieważ obszar ten znajdował się blisko muru, zarówno Niemcy Wschodnie, jak i Zachodnie nic tutaj nie robiły.

Zeszli w dół z bunkra do rury kanalizacyjnej o średnicy około dwóch i pół metra. Na dnie płynęła woda. Snopy światła ich latarek dotknęły jej powierzchni i odbijały się refleksami. Stalaktyty z soli zwisały ze szczytu rury kanalizacyjnej niczym kawałki białego sznurka. Była też tutaj biała pleśń oraz grzyby o dziwacznym wyglądzie, które przypominały żółtawe zwały tłuszczu. Brodząc w wodzie, Kröte prowadził ich dalej. Kiedy dotarł do rozgałęzienia i obrócił się, czekając na nich, światło zamigotało niczym robaczek świętojański.

W końcu dotarli do rury o znacznie mniejszej średnicy, uchodzącej do większego kanału. Kröte zaczął rozmawiać z kuzynem po niemiecku, wskazując na rurę i gestykulując rękami.

– Jesteśmy na miejscu. Musicie przeczołgać się teraz jakieś dziesięć metrów i utorować sobie drogę.

– O czym ty mówisz? – Mother Blessing spojrzała gniewnie na Tristana. – Obiecaliście doprowadzić nas do celu.

– Nie zamierzamy iść do centrum komputerowego Tabulów – oznajmił Tristan. – To zbyt niebezpieczne.

– Prawdziwe niebezpieczeństwo stoi przed tobą, młody człowieku. Nie lubię ludzi, którzy nie wywiązują się z danych obietnic...

– Ale przecież wyświadczyliśmy wam przysługę!

– To twoja interpretacja, nie moja. Wiem tylko, że wzięłeś na siebie zobowiązanie.

Chłód w oczach Arlekinki oraz precyzyjnie dobrane słowa działały zastraszająco. Tristan przestał się kołysać, zamieniony w słup soli pośrodku tunelu.

Kröte spoglądał na kuzyna i wyglądał na przestraszonego.

Hollis wystąpił do przodu.

– Pozwólcie, że pójde pierwszy. Rozeznam się w sytuacji.

– Zaczekam tutaj dziesięć minut, panie Wilson. Jeśli pan nic wróci, konsekwencje tego będą bardzo surowe.

39

Hollis czołgał się w poziomej rurze w kierunku odległej plamy światła. Rura była wąska, a jego ręce dotykały śliskiej i lepkiej cieczy, przypominającej mieszaninę silnikowego oleju i wody. Szybko dotarł do kraty studzienki ściekowej, zamykającej czoło rury. Światło padające z pomieszczenia ponad nim było rozdzielone na małe kwadraty, on zaś leżał bezpośrednio pod siatką tych linii.

Pochylił mocno głowę, dotykając podbródkiem klatki piersiowej i ułożył się w takiej pozycji, w której góra pleców zetknęła się z żelazną kratą. Stalowy prostokąt miał grubość około dziesięciu centymetrów i był bardzo ciężki, ale nogi Hollisa były silne, a kratowana kłapa nie wyglądała na przymocowaną bolcami. Pchał mocno do góry, aż prostokąt wysunął się z ramy. Wtedy dłońmi odepchnął ciężką kratę o kilka centymetrów w prawo. Kiedy pojawiła się szczelina szerokości nieco ponad dziesięciu centymetrów, zmienił ułożenie rąk i przepchnął kratę po posadzce.

Następnie podciągnął się do góry na wierzchołek ściekowej rury i natychmiast wyciągnął pistolet. Znalazł się w podziemnym korytarzu, w którym biegły kable elektryczne oraz rury wodociągowe. Gdy nic się nie działo, zawrócił do rury ściekowej i przeczołgał się z powrotem do Mother Blessing oraz dwójki Free Runnerów.

– Ta rura prowadzi nas do sektora technicznego. Wygląda to na bezpieczny punkt wejścia. Nikogo tam nie ma.

Tristan odetchnął z ulgą.

– Widzi pani? – skierował pytanie do Mother Blessing. – Wszystko jest w idealnym porządku.

– Wątpię – odparła i wręczyła Hollisowi torbę ze sprzętem.

– Możemy iść?

– Dziękuję wam – rzekł Hollis. – I bądźcie ostrożni.

Tristan odzyskał nieco pewności siebie, ukłonił się, a Kröte obdarzył Hollisa szerokim

uśmiechem.

– Życzenia szczęścia od Free Runnerów ze Spandau!

Hollis ciągnął za sobą torbę ze sprzętem, pokonując rurę, a Mother Blessing czołgała się o kilka metrów za nim. Kiedy oboje stali już w korytarzu technicznym, Arlekinka przyłożyła usta do jego ucha.

– Mów cicho – szepnęła – mogą tu mieć czujniki głosu.

Szli ostrożnie w głąb korytarza, w kierunku ciężkich stalowych drzwi, w których się znajdowała szczelina na klucz w postaci karty magnetycznej. Mother Blessing położyła torbę ze sprzętem na podłodze i rozsunęła zamek błyskawiczny. Wyciągnęła pistolet maszynowy i coś, co wyglądało jak karta kredytowa podpięta do cienkiego kabelka. Arlekinka podłączyła kabelek do laptopa, wpisała polecenie z klawiatury i włożyła kartę do szczeliny przy drzwiach.

Oboje spoglądali na ekran komputera, gdy pojawiło się na nim sześć niebieskich kwadratów. Upłynęła niecała minuta, kiedy w pierwszym z kwadratów ukazała się trzycyfrowa liczba, później proces ten przyspieszył. Po około czterech minutach wszystkie szesnaście kwadratów wypełniły liczby, a zamek otworzył się ze szcęknięciem.

– Wchodzimy? – zapytał szeptem Hollis.

– Jeszcze nie. Nie jesteśmy w stanie ominąć kamer monitorujących, musimy więc użyć *shieldera* – wyciągnęła jakieś urządzenie, które przypominało wyglądem niedużą kamerę wideo. – Trzymaj to na ramieniu. Kiedy otworzę drzwi, naciśnij srebrny guzik.

Mother Blessing z powrotem zapakowała urządzenia do torby, a Hollis ustawił *shieldera* na prawym ramieniu i wycelował obiektywem do przodu.

– Gotowe?

Z pistoletem maszynowym w ręku Mother Blessing lekko uchylila drzwi. Hollis wsunął się przez wejście, dostrzegł kamerę monitorującą i włączył *shieldera*, jak gdyby nakręcał film wideo. Wiązka podczerwonych promieni pomknęła w głąb korytarza. Promienie uderzyły w zwierciadlane soczewki kamery monitorującej, a światło podczerwone odbiło się ponownie od źródła. Kiedy pozycja kamery monitorującej została ustalona, zielony promień lasera automatycznie został nakierowany na soczewki kamery.

– Nie stój tu – ponagliła Mother Blessing. – Ruszaj.

– A kamera monitorująca?

– Laser już się nią zajmie. Jeśli ochroniarz obserwuje monitor, zobaczy tylko refleks światła.

Ruszyli pośpiesznie w głąb korytarza i skręcili za rogiem. Po raz kolejny *shielder* wykrył kamerę, a strumień lasera trafił w środek obiektywu. Drugie drzwi znajdowały się na końcu korytarza i prowadziły do ewakuacyjnej klatki schodowej. Ruszyli schodami w górę, na pierwszy podest i ponownie się zatrzymali.

– Jesteś gotów? – zapytała Mother Blessing, a Hollis przytaknął.

– Niech pani idzie.

– Spędziłam zbyt wiele miesięcy, siedząc na tej przeklętej wysepce – odparła Mother Blessing.

– To jest o wiele bardziej zabawne.

Otworzyła drzwi i weszła do pomieszczenia w suterenie, wypełnionego urządzeniami oraz sprzętem telekomunikacyjnym. Białe pasy na podłodze prowadziły do biurka recepcyjnego, przy którym siedział funkcjonariusz służby ochrony i zajadał kanapkę zawiniętą w papier śniadaniowy.

– Zostań tutaj – szepnęła Mother Blessing do Hollisa, wręczyła mu pistolet maszynowy, wyszła

z mroku i dziarskim krokiem ruszyła w stronę recepcji.

– Niech się pan nie martwi! Wszystko będzie w porządku. Czy odebrał pan telefon?

Wciąż trzymając w ręku sandwicza, ochroniarz obrócił głowę.

– Jaki telefon?

Irlandzka Arlekinka wyciągnęła automatyczny pistolet zza kurtki i wystrzeliła. Kula trafiła ochroniarza w środek klatki piersiowej i zrzuciła go z krzesła. Mother Blessing nie przerwała marszu. Wsunęła pistolet z powrotem do kabury, ominęła biurko recepcyjne i podeszła do stalowych drzwi.

Hollis ruszył za Arlekiną.

– Tu nie ma klamki.

– Te drzwi są otwierane elektronicznie – Mother Blessing przyglądała się niedużemu stalowemu pudełku o niewielkich rozmiarach, zamontowanemu na ścianie obok drzwi. – To skaner naczyń krwionośnych dłoni, który wykorzystuje światło podczerwone. Nawet gdybyśmy o tym wiedzieli, trudno byłoby stworzyć biopodróbkę. Większość żył nie jest widoczna pod skórą.

– Co zatem zrobimy?

– Jeśli usiłujesz pokonać bariery zabezpieczające, masz wybór: zastosować prostą technikę albo sięgnąć po tę wyrefinowaną.

Mother Blessing wzięła od Hollisa pistolet maszynowy, wyciągnęła zapasowy magazynek z torby i włożyła go za pasek od spodni. Wymierzyła broń w drzwi i dała Hollisowi gestem znać, aby odstąpił na bok.

– Przygotuj się, wybieramy technikę prymitywną.

Otworzyła ogień z pistoletu. Kawałki metalu i drzazgi drewna wystrzeliwały w powietrze, gdy kule wyrąbały dziurę o nierównych krawędziach w tym, co pozostało jeszcze z framugi drzwi. Kiedy Mother Blessing sięgnęła po zapasowy magazynek, Hollis wsunął rękę do dziury i mocno pociągnął. Metal potarł o metal i drzwi, choć z trudem, otworzyły się.

Wbiegł do pomieszczenia, a jego wzrok zatrzymał się na szklanej wieży wysokości co najmniej trzech kondygnacji. Wewnątrz znajdowały się szeregi ustawionych na sobie komputerów, a ich migające światełka odbijały się w szklanych taflach niczym miniaturowe fajerwerki. Cała budowla prezentowała się jednocześnie przepięknie i tajemniczo, jak gdyby statek kosmiczny pozaziemskiej cywilizacji zmaterializował się nagle wewnątrz tego budynku.

Duży monitor wisiał na ścianie o jakieś sześć metrów od wieży. Widniał na nim obraz Berlina, ujęty z jakiegoś miejsca na zewnątrz budynku. Wirtualny świat, w którym postacie wygenerowane przez komputer spacerowały po miejskim placu. Dwóch przerażonych techników komputerowych stało przy panelu kontrolnym, bezpośrednio pod monitorem. Przez kilka sekund zamarli w bezruchu, potem młodszy wcisnął przycisk na panelu i pomknął przez pomieszczenie.

Mother Blessing wyciągnęła pistolet, odczekała sekundę i strzeliła uciekającemu w nogę. Kiedy technik przewrócił się na ziemię, światła alarmowe zamigotały, a z głośnika w ścianie dobiegł głos wygenerowany przez komputer.

– *Verlassen Sie das Gebäude, Verlassen Sie...*

Mother Blessing z rozdrażnioną miną posłała pocisk w głośnik.

– Nie chcemy opuszczać budynku – oznajmiła. – Doskonale się bawimy.

Ranny mężczyzna leżał na boku, ściskając postrzeloną nogę i wydzierając się wniebogłosy. Mother Blessing podeszła do celu i stanęła nad rannym.

– Bądź cicho i dziękuj losowi, że żyjesz. Nie lubię ludzi, którzy uruchamiają alarmy.

Postrzelony mężczyzna zignorował ją jednak. Nadal wzywał lekarza i zaczął turlać się tam i z

powrotem.

– Prosiłam, żebyś był cicho – powtórzyła Mother Blessing. – To całkiem zrozumiała prośba.

Odczekała jeszcze kilka sekund, chcąc się przekonać, czy ranny się jej podporządkuje. Kiedy nie przestawał się wydierać, strzeliła mu w głowę i podeszła do panelu kontrolnego. Technik, który wciąż jeszcze żył, był szczupłym mężczyzną w wieku trzydziestu paru lat, o krótko obciętych czarnych włosach i wystających kościach policzkowych. Oddychał tak szybko, że Hollis sądził, iż lada chwila zemdleje.

– A ty się nazywasz? – zapytała Mother Blessing.

– Gunther Lindemann.

– Dobry wieczór, panie Lindemann. Chcemy uzyskać dostęp do gniazda USB, by umieścić w nim *flash drive*.

– Nie... Nie tutaj – powiedział ledwo żywy ze strachu Lindemann. – Ale są trzy gniazda wewnątrz wieży.

– W porządku, a zatem urządzmy sobie wycieczkę.

Lindemann poprowadził ich do rozsuwanych drzwi po jednej ze stron wieży. Hollis zauważył, że ściany mają grubość niemal piętnastu centymetrów. Każdą szklaną tafelę podtrzymywała w miejscu zewnętrzna stalowa rama. Kolejny skaner naczyń krwionośnych dłoni był zamontowany w ścianie. Lindemann wsunął swoją dłoń w metalową szczelinę i drzwi otworzyły się ze szcękaniem.

Otoczyło ich chłodne powietrze, gdy weszli do sterylnej otoczenia. Szybkim krokiem podszedł do stacji roboczej z jednostką centralną, komputerem oraz monitorem. Zdjął złoty łańcuszek, na którym wisiał *flash drive*, następnie podłączył go do portu USB.

Na ekranie pojawiła się informacja w czterech językach: WYKRYTO NIEZNANY WIRUS. WYSOKIE RYZYKO. Na moment ekran zgasł, a potem pojawił się na nim czerwony kwadrat, zawierający dziewięćdziesiąt małych prostokątów. Tylko jeden z nich miał intensywny, czerwony kolor i migał, jak gdyby pojedyncza komórka rakowa dostała się do zdrowego organizmu.

Mother Blessing obróciła się do Lindemanna.

– Ilu ochroniarzy jest w budynku?

– Proszę nie...

Przerwała mu.

– Po prostu odpowiedz na moje pytanie.

– Jeden strażnik przy biurku na zewnątrz oraz dwóch na górze. Strażnicy ze zmiany odpoczywającej znajdują się w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy. Lada chwila wszyscy tutaj będą.

– W takim razie powinnam przygotować się na ich powitanie – zwróciła się do Hollisa. – Daj mi znać, kiedy będziemy gotowi.

Mother Blessing wyprowadziła Lindemanna przez drzwi, podczas gdy Hollis pozostał przy komputerowej stacji roboczej. Przez sekundę czerwony prostokąt migotał, a Hollis zastanawiał się, jakiego rodzaju walka toczy się wewnątrz komputera. Gdy czekał, jego myśli pobiegły ku Vicki. Cóż by powiedziała, gdyby stała teraz obok niego? Śmierć ochroniarza oraz technika komputerowego zapewne poruszyłaby ją do głębi. Z nasiona kielek. Zawsze posługiwała się tym zwrotem. Cokolwiek uczynisz z nienawiści, może potem rozrastać się i blokować Światło.

Ponownie skierował wzrok na monitor. Dwa czerwone prostokąty żarzyły się jaskrawo; teraz wirus replikował się w dwójnasób co dziesięć sekund. Wszystkie pozostałe światła w hali zaczęły migać, a syrena alarmowa rozległa się z jakiegoś miejsca wewnątrz wieży. Ekran monitora stacji roboczej miał teraz kolor intensywnie czerwony, potem zrobił się całkowicie czarny.

Hollis wybiegł z wieży i natrafił na Lindemanna leżącego twarzą do ziemi. Mother Blessing

stała o jakieś trzy metry, celując z pistoletu maszynowego w kierunku wejścia.

– Gotowe. Ruszajmy.

Obróciła się w stronę Lindemanna z tym samym chłodnym spojrzeniem w oczach.

– Nie marnuj czasu na zabijanie go – rzekł Hollis. – Uciekajmy stąd.

– Jak pan sobie życzy – odparła Mother Blessing, jak gdyby przed chwilą oszczędziła insekta. –

On może powiedzieć Tabulom, że nie ukrywam się już na wyspie.

Wrócili do sutereny. Kiedy przechodzili obok rozmaitych sprzętów, w pomieszczeniu zrobiło się jasno od nagłego huku wystrzałów. Hollis i Mother Blessing rzucili się na podłogę za awaryjnym generatorem prądu. Kule lecące z różnych kierunków wbijały się w rury ciepłownicze biegnące nad ich głowami.

Strzelanina ucichła, Hollis usłyszał szcęknięcia towarzyszące zmianie magazynków. Ktoś zawołał coś po niemiecku i nagle wszystkie lampy na suficie sutereny zgasły.

Hollis i Mother Blessing leżeli obok siebie na betonowej posadzce. Odrobina światła dobiegała z żarzących się czerwonych lampek kontrolnych generatora mocy. Hollis dostrzegł czarną sylwetkę ciała Mother Blessing, gdy usiadła i sięgnęła po torbę ze sprzętem.

– Schody znajdują się o jakieś trzydzieści metrów od nas – wyszeptał Hollis. – Pobiegnijmy tam.

– Wyłączyli światła – odparła Mother Blessing. – Oznacza to, że prawdopodobnie mają urządzenia na podczerwień. My jesteśmy ślepi, oni zaś widzą.

– Co zatem chce pani zrobić? – zapytał Hollis. – Zostać tu i walczyć?

– Schłodź mnie – rzekła Arlekinka i podała Hollisowi latarkę oraz mały metalowy pojemnik. Upłynęło kilka sekund, zanim zdał sobie sprawę, że to płynny azot, który zabrali z sobą w celu dezaktywacji detektorów ruchu.

– Chce pani, żebym ją tym spryskał?

– Nie na skórę. Skieruj strumień na odzież i włosy. Będę zbyt zimna, by mogli mnie widzieć.

Hollis włączył latarkę i trzymał ją w dłoni tak, żeby światło lekko przebijało przez zaciśnięte palce. Mother Blessing leżała na brzuchu, a Hollis opryskał płynnym azotem jej spodnie, buty oraz kurtkę. Kiedy obróciła się na plecy, starał się tak skierować strumień, aby nie opryskać jej dłoni ani oczu. Z pojemnika dobiegł cichy syk, oznaczający, że jego zawartość się wyczerpała. Arlekinka usiadła, a jej usta drżały. Dotknął jej ramienia i poczuł przeraźliwy chłód.

– Chce pani wziąć pistolet maszynowy? – zapytał.

– Nie. Błyski z wylotu lufy zdradziłyby moją lokalizację. Wezmę miecz.

– Ale jak pani zamierza ich odnaleźć?

– Niech pan użyje zmysłów, panie Wilson. Oni są przestraszeni, zatem głośno oddychają i strzelają do cieni. Najczęściej taki wróg pokonuje sam siebie.

– Co mogę zrobić?

– Niech mi pan da pięć sekund, potem zaczniesz strzelać w prawą stronę.

Ruszyła w lewo i zniknęła w mroku. Hollis wstał i strzelał z pistoletu maszynowego, aż do ostatniego naboju w magazynku. Najemnicy odpowiedzieli ogniem – z trzech punktów po lewej stronie pomieszczenia. Sekundę później usłyszał krzyk mężczyzny, potem znów rozległy się strzały.

Hollis wyciągnął półautomatyczny pistolet, odbezpieczył go i zarepetował, wprowadzając nabój do komory. Usłyszał, jak ktoś przeładowuje magazynek w karabinie, i pobiegł w kierunku tego dźwięku. Z otwartej windy dochodziło światło przy końcu pokoju, on zaś strzelił w stronę ciemnej sylwetki, stojącej obok jednego z urządzeń.

Znów rozległa się seria. Potem zapadła cisza. Hollis włączył latarkę i dostrzegł martwego

mężczyznę, który leżał niecałe dwa metry przed nim. Ostrożnie przemieszczał się przez suterene i niemal potknął się o inne ciało leżące w pobliżu urządzenia klimatyzacyjnego. Prawa ręka najemnika była odcięta od ramienia.

Hollis przejechał snopem światła latarki po pomieszczeniu i dostrzegł jeszcze jednego martwego mężczyznę po przeciwnej stronie i czwarte ciało, tuż przy windzie. O niecały metr dalej zobaczył postać zwiniętą w kłębek. Kiedy podszedł do niej, rozpoznał Mother Blessing. Arlekinka otrzymała postrzał w klatkę piersiową, a jej sweter przesiąknął już krwią. Wciąż trzymała rękojeść miecza, jak gdyby mógł ocalić jej życie.

– Farciarz – powiedziała. – Strzał na ślepo.

Głos Mother Blessing utracił normalną szorstkość i brzmiał teraz, jak gdyby usiłowała złapać oddech.

– To chyba dobrze, że śmierć nadeszła jako rezultat przypadku.

– Pani nie umrze – rzekł Hollis. – Wyniosę stąd panią.

Jej głowa obsunęła się w jego kierunku.

– Niech pan nie będzie głupcem. Proszę to wziąć – Mother Blessing wyciągnęła rękę i zmusiła go do przyjęcia miecza. – Niech pan sobie wybierze odpowiednie arlekińskie imię, panie Wilson. Moje wybrała mi matka. Zawsze go nienawidziłam.

Hollis położył miecz na ziemi i pochylił się, by wziąć ją na ręce. Resztką sił Mother Blessing odepchnęła go.

– Byłam pięknym dzieckiem. Wszyscy tak mówili – zaczęła mówić niewyraźnie, kiedy z jej ust popłynęła strużka krwi. – Piękną małą dziewczynką...

40

Kiedy Maya miała osiemnaście lat, wysłano ją do Nigerii w celu odzyskania zawartości sejfu umiejscowionego w jednym z banków w śródmieściu Lagos. Zabity brytyjski Arlekin o przydomku Greenman zostawił w nim woreczek z diamentami, a Thorn potrzebował wówczas pieniędzy.

Na lotnisku w Lagos doszło wtedy do awarii zasilania i żaden z taśmociągów, z których odbiera się bagaże, nie działał. Zaczęła się też ulewa, kiedy czekała na swój bagaż. Brudna woda przeciekała przez dziury w suficie. Po zapłaceniu bakszyszu każdemu, kto nosił jakiś mundur, Maya dotarła do głównej hali lotniska i znalazła się w tłumie Nigeryjczyków. Taksówkarze walczyli o jej walizkę, krzyczeli na siebie i wymachiwali pięściami. Maya przepychała się w stronę wyjścia i poczuła, jak ktoś ciągnie za jej torebkę. Ośmioletni kieszonkowy złodziej usiłował odciąć pasek od torebki. Musiała wykręcić mu rękę i odebrać nóż.

Lot do Bole International Airport w Etiopii był innym doświadczeniem. Maya i Lumbroso dotarli na miejsce mniej więcej na godzinę przed brzaskiem. Terminal był czysty i cichy, a funkcjonariusze kontroli granicznej nieustannie powtarzali wyraz *tenaställën* – co w języku amharskim oznacza „proszę pozostać w dobrym zdrowiu”.

– Etiopia to konserwatywny kraj – wyjaśnił Simon Lumbroso. – Nigdy nie podnoś głosu i zawsze bądź uprzejma. Etiopczycy zazwyczaj zwracają się do innych po imieniu, w przypadku mężczyzn dodają z szacunkiem wyraz *Ato* – który oznacza „mister”. Ponieważ jesteś niezamężna, do ciebie będą się zwracać *Weyzerit* Maya.

– W jaki sposób traktują kobiety w tej kulturze?

– Kobiety mają prawo głosować, prowadzą firmy i studiują na uniwersytecie w Addis Abebie. Ty jesteś *farandzi*, cudzoziemka, a zatem kwalifikujesz się do specjalnej kategorii. – Lumbroso spojrział na podróżne ubranie Mai i przytaknął z aprobatą; miała na sobie luźne spodnie z płótna oraz białą bluzkę z długimi rękawami. – Jesteś ubrana skromnie, a to ważne. Jeśli kobieta odsłania ramiona lub kolana, uważa się jej zachowanie za wyzywające i wulgarne.

Przeszli przez kontrolę celną do sali przylotów, gdzie czekał już na nich Petros Semo. Był mężczyzną o niskim wzroście, delikatnej posturze i ciemnobrązowych oczach. Lumbroso wyraźnie górował nad swoim starym przyjacielem. Ściskali sobie dłonie przez niemal minutę, rozmawiając jednocześnie po hebrajsku.

– Witam w moim kraju – rzekł następnie Petros do Mai. – Wynająłem land-rovera, którym pojedziemy do Aksum.

– Czy rozmawiałeś już z kościelnymi hierarchami? – zapytał Lumbroso.

– Oczywiście, Ato Simon. Wszyscy kapłani znają mnie dość dobrze.

– Czy to oznacza, że będzie mi wolno zobaczyć Arkę? – chciała wiedzieć Maya.

– Tego nie mogę obiecać. W Etiopii mawiamy: *Egziabher Kale*. Jeśli Bóg tego sobie życzy.

Opuścili terminal i wsiedli do białego land-rovera, na którym wciąż jeszcze widniał emblemat norweskiej organizacji charytatywnej. Maya usiadła z przodu obok Petrosa, podczas gdy Lumbroso zajął miejsce z tyłu. Przed opuszczeniem Rzymu Maya wysłała japoński miecz Gabriela do Addis Abeby. Broń wciąż znajdowała się w transportowym pojemniku, a Petros przekazał jej tekturowe pudło, jak gdyby była to bomba.

– Proszę o wybaczenie, że pytam, Weyzerit Maya. Czy to jest pani broń?

– To trzynastowieczny miecz-talizman wykuty w Japonii. Mówi się, że Traveler może zabrać talizman do innych wymiarów. Nie wiem, jak ma się sprawa z innymi.

– Sądzę, że jest pani pierwszym *Tekelakai*, który znalazł się w Etiopii od wielu lat. *Tekelakai* to obrońca proroka. Takich ludzi dawno temu w Etiopii było wielu, lecz urządzano na nich polowania i zabijano ich w trakcie politycznych zamieszek.

By dotrzeć do trasy wiodącej na północ kraju, musieli przejechać przez Addis Abebę, największe miasto Etiopii. Był wczesny ranek, lecz ulice były już zakorkowane niebiesko-białymi furgonetkami-taksówkami, pick-upami oraz żółtymi miejskimi autobusami, pokrytymi kurzem. W śródmieściu Addis Abeby znajdowały się nowoczesne hotele oraz rządowe budynki, otoczone tysiącami dwuizbowych domów o blaszanych dachach.

Główne ulice przypominały rzeki zasilane nieutwardzonymi drogami oraz błotnistymi ścieżkami. Przy chodnikach Etiopczycy postawili jasno pomalowane budki, w których sprzedawano wszystko, począwszy od surowego mięsa po pirackie filmy rodem z Hollywoodu. Większość mężczyzn na ulicy nosiła ubrania na modłę zachodnią. Mieli też parasolki lub krótkie laski nazywane *dula*. Kobiety nosiły sandały, długie spódnice oraz białe szale, owinięte ciasno wokół tułowia.

Na rogatkach miasta land-rover musiał przedzierać się przez stada kóz pędzonych na rzeź. Kozy stanowiły jedynie preludium kolejnych spotkań ze zwierzętami – przypadkowymi kurczakami, owcami oraz wolno przemieszczającymi się grupkami afrykańskich krów z charakterystycznym garbem na grzbiecie. Za każdym razem, kiedy land-rover zwalniał, dzieci stojące przy drodze dostrzegały dwójkę cudzoziemców wewnątrz pojazdu. Mali chłopcy z ogolonymi głowami oraz chudymi jak patyki nogami biegli wtedy za autem przez milę lub dłużej, śmiejąc się, machając rękami i wykrzykując: „Ty! Ty!” po angielsku.

Simon Lumbroso rozparł się wygodnie na tylnym siedzeniu i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Myślę, że mogę ze spokojnym sumieniem stwierdzić, iż wydostaliśmy się poza zasięg

Rozległej Sieci monitorującej.

Gdy minęli pasmo niskich wzgórz, na których rosły drzewa eukaliptusowe, jechali nieutwardzoną drogą, prowadzącą na północ przez skalisty wyżynny krajobraz. Sezonowe deszcze padały przed kilkoma miesiącami, ale trawa wciąż jeszcze była żółtawozielona, a gdzieś tam widniały kępy biało-purpurowych kwiatów *meskel*. Jakies pięćdziesiąt mil od stolicy minęli dom otoczony przez kobiety w białych szatach. Z otwartych drzwi dobiegało zawodzenie. Petros wyjaśnił, że w tym budynku zagościła śmierć. W trzech innych wioskach, które mijali po drodze, śmierć również była gościem. Land-rover zbliżał się do zakrętu i o mały włos nie uderzył w żalobną procesję. Odziani w szale mężczyźni i kobiety nieśli czarną trumnę, która zdawała się dryfować nad nimi niczym łódź na morzu.

Etiopscy kapłani w wioskach nosili bawełniane togi nazywane *shamma*, a na głowach duże bawełniane czapki, które Mai kojarzyły się z futrzanymi czapami moskwian. Kapłan trzymał czarną parasolkę ze złotą rączką i stał na początku biegnącej zygzakiem drogi, która prowadziła wąwozem do Niebieskiego Nilu. Petros zatrzymał auto i wręczył kapłanowi jakieś pieniądze, żeby stary duchowny odmówił modlitwę za ich bezpieczeństwo w podróży.

Jechali w dół wąwozem, a koła land-rovera znajdowały się o centymetry od krawędzi drogi. Maya wyrzała przez boczne okno i widziała jedynie chmury oraz niebo. Wydawało się jej, że tylko dwa koła trzymają się drogi, a dwa pozostałe obracają w powietrzu.

– Ile zapłaciłeś temu kapłanowi? – chciał wiedzieć Lumbroso.

– Nie za wiele. Pięćdziesiąt birrów.

– Następnym razem daj mu sto – mruknął Lumbroso, gdy Petros mijał kolejny ostry zakręt.

Przemknęli przez metalowy most, który spinał brzegi Nilu, i wyjechali z wąwozu. Teraz w krajobrazie dominowały kaktusy oraz pustynna roślinność. Kozy wciąż blokowały drogę, ale mijali też karawany wielbłądów z drewnianymi ramami przywiązanymi do garbów. Lumbroso drzemał na tylnym siedzeniu; jego kapelusz leżał przygnieciony do szyby. Spał nawet, kiedy mijali wyboje oraz luźno porzrzućane kamienie wokół studni z kieratami. Na niebie krążyły sępy, pokryte kurzem i pyłem ciężarówka mijaly ich, wspinając się z wyciem na kolejne wzgórze.

Maya odkręciła boczną szybę i wpuściła nieco świeżego powietrza.

– Mam z sobą zarówno euro, jak i amerykańskie dolary – powiadomiła Petrosa. – A jeśli dam je kapłanom w prezencie? Czy to posunęłoby sprawy do przodu?

– Pieniądze potrafią rozwiązać wiele problemów – usłyszała w odpowiedzi. – Ale ta sprawa dotyczy Arki Przymierza. Arka jest bardzo ważną relikwią dla etiopskiego narodu. Zatem duchowni nigdy nie pozwolą na to, by na ich decyzję wpłynął bakszysz.

– Co się z panem dzieje, Petros? Czy sądzi pan, że Arka naprawdę istnieje?

– Dysponuje mocą. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Czy zdaniem rządu Izraela Arka istnieje?

– Zdecydowana większość etiopskich żydów mieszka obecnie w Izraelu. Izrael nie miałby żadnych korzyści z udzielania pomocy temu krajowi, a mimo to takiej pomocy wciąż udziela – odpowiedział Petros, uśmiechając się lekko. – To osobliwy fakt, który należy rozważyć.

– Według legendy, Arka została zabrana do Afryki przez syna króla Salomona i królowej Saby. Petros przytaknął.

– Według innej teorii, Arka została wywieziona z Jerozolimy, kiedy król Manasseh wprowadził idola do świątyni Salomona. Niektórzy uczeni są zdania, że Arka została najpierw zabrana do żydowskiej osady na wyspie Elefantyna w górnym biegu Nilu. Setki lat później, kiedy Egipcjanie zaatakowali tę osadę, Arkę przeniesiono na wysepkę położoną na środku jeziora Tana.

– A teraz jest w Aksum?

– Tak, jest przechowywana w specjalnym sanktuarium. Tylko jeden kapłan ma prawo zbliżyć się do Arki i czyni to raz w roku.

– Dlaczego więc mieliby mi dać pozwolenie na wejście do środka?

– Jak już powiedziałem pani na lotnisku, istnieje u nas długa tradycja wojowników broniących Travelerów. Kapłani są w stanie zrozumieć tę ideę, ale z panią wiąże się poważny problem.

– Ponieważ jestem cudzoziemką?

Petros wyglądał na nieco skonsternowanego.

– Ponieważ jest pani kobietą. Od trzystu lub czterystu lat nie było kobiety *Tekelakai*.

Zaczął padać, gdy jechali przez góry północnej części Etiopii. Droga prowadziła przez krajobraz w ołowianym kolorze, pozbawiony roślinności, poza nielicznymi poletkami na tarasach oraz rosnącymi z rzadka drzewami eukaliptusa, posadzonymi jako zapory przeciw wiatrom. Domy, szkoły oraz posterunki policji były zbudowane z bloków żółtego piaskowca. Stosy kamieni poukładano na blaszanych dachach, a kamienne mury biegły wysoko wzdłuż wzgórz, starając się daremnie przeciwstawić erozji.

Maya trzymała miecz na kolanach i wyglądała przez okno. W tej okolicy jedynymi punktami przyciągającymi oczy były ludzkie istoty. W jednej z wiosek wszyscy mężczyźni mieli na nogach niebieskie deszczowe buty, w innej osadzie trzyletnia dziewczynka stała przy rowie odwadniającym, trzymając jajko między kciukiem a palcem wskazującym. Był piątek, a chłopcy zmierzali na targowisko pod gołym niebem. Parasolki kołysały się w dół i w górę, niczym armia różnokolorowych grzybów maszerująca pod górę.

Wieczorem dotarli do starożytnego miasta Aksum. Deszcz przestał padać, lecz w powietrzu utrzymywała się rzadka mgła. Petros wyglądał teraz na spiętego i nieco zmartwionego. Nieustannie zerkał na Mayę i Lumbrosa.

– Wszyscy gotowi? Kapłani zostali powiadomieni o naszym przyjeździe.

– Co się wydarzy? – zapytał Lumbroso.

– Najpierw ja będę rozmawiał. Maya powinna nieść swój miecz, udowadniając, że jest *Tekelakai*, ale mogą ją zabić, jeśli wyciągnie go z pochwy. Pamiętajcie, że kapłani są gotowi umrzeć, by chronić Arkę. Nie może pani dostać się siłą do sanktuarium.

Kościelny kompleks znajdował się w centrum miasta. Nowoczesna architektura łączyła się z szarym kamieniem zewnętrznych murów kościoła Świętej Marii z Syjonu. Petros wjechał land-roverem na środek dziedzińca i wszyscy wysiedli. Stali we mgle, czekając, co się wydarzy, gdy nad ich głowami zawisły burzowe chmury.

– Tam – wyszeptał Petros. – Tam jest Arka.

Maya spojrzała w lewo i dostrzegła betonowy budynek o kształcie sześcianu z etiopskim krzyżem na dachu. Blaszane okiennice oraz żelazne kraty chroniły wąskie okna, a drzwi były przesłonięte czerwoną plandeką z plastiku.

Nagle z różnych budynków zaczęli się wyłaniać etiopscy kapłani. Mieli na sobie peleryny w różnych kolorach, nałożone na białe szaty, oraz szeroką paletę rozmaitych nakryć głowy. Większość była już w podeszłym wieku, a ich ciała cechowały się daleko posuniętym wychudzeniem. Pojawili się jednak także trzej młodszy mężczyźni z karabinami i stanęli na straży wokół land-lovera, ustawieni w trójkąt.

Kapłanów wyszło kilkunastu i wtedy otworzyły się boczne drzwi kościoła: Marii z Syjonu i

wyłonił się z nich starzec w nieskazitelnie białej szacie oraz piusce na głowie. Ściskając laskę z misternie rzeźbioną gałką, zrobił powolny krok, potem kolejny. Jego sandały wydawały cichy szurający odgłos na ścieżce z kamiennych płyt.

– To Tebaki – wyjaśnił Petros – strażnik Arki. Jest jedyną osobą, która ma prawo wchodzić do sanktuarium.

Kiedy strażnik był w odległości sześciu metrów od land-rovera, zatrzymał się i dał znak ręką. Petros podszedł do starca, uklonił się trzy razy i zaczął wygłaszać żarliwą przemowę w języku amharskim. Od czasu do czasu gestykulując żywiołowo, wskazywał na Mayę, jak gdyby recytował długą listę jej cnót i zalet. Oracja Petrosa trwała blisko dziesięć minut. Kiedy skończył, jego twarz była zroszona kropelkami potu. Kapłani czekali, aż strażnik coś powie. Głowa starego mężczyzny drżała, jak gdyby rozważał materię; potem przemówił krótko, również w języku amhara.

Petros ruszył pośpiesznie w stronę Mai.

– To dobry znak – wyszeptał. – Bardzo obiecujący. Pewien stary mnich znad jeziora Tana twierdzi, że potężny *Tekelakai* nawiedzi Etiopię.

– Kobieta czy mężczyzna? – zapytała Maya.

– Mężczyzna... Przypuszczalnie... Ale co do tego nie ma zgodności. Strażnik rozważy twoją prośbę. Chce teraz, żebyś coś powiedziała.

– Powiedz mi, co robić, Petros?

– Wyjaśnij, dlaczego powinnaś uzyskać pozwolenie wejścia do sanktuarium.

„Co powinnam powiedzieć?“, zastanawiała się Maya. „Prawdopodobnie obrażę ich tradycję i zastrzelą mnie“. Trzymając dłonie z dala od miecza, zrobiła kilka kroków do przodu. Kiedy ukloniła się strażnikowi, przypomniła sobie zdanie, które Petros wypowiedział, gdy spotkali się na lotnisku.

– *Egziabher Kale* – powiedziała po amharsku. Jeśli Bóg sobie tego życzy.

Potem ponownie się ukloniła i wróciła na swoje miejsce przy land-roverze.

Barki Petrosa rozluźniły się, jak gdyby dopiero co uniknęły katastrofy. Simon Lumbroso stał z Mają, ona zaś słyszała jego cichy chichot.

– Brawo – powiedział cicho.

Strażnik przez chwilę stał w milczeniu, rozważając słowa, które usłyszał, potem powiedział coś do Petrosa. Wciąż ściskając laskę, obrócił się i powłócząc nogami, ruszył w stronę głównego kościoła, w asyście pozostałych kapłanów. Na kościelnym dziedzińcu zostali jedynie trzej młodzi mężczyźni z karabinami.

– Co się właściwie stało? – zapytała Maya.

– Nie zamierzają nas zabić.

– Cóż, to naprawdę duże osiągnięcie – skomentował Lumbroso.

– To jest Etiopia, zatem potrzebne są długie dysputy – dodał Petros. – Strażnik musi podjąć decyzję, ale chce usłyszeć zdanie każdego z duchownych w tej kwestii.

– Co teraz robimy, Petrosie?

– Chodźmy coś zjeść i odpocznijmy. Wrócimy tu późnym wieczorem i dowiemy się, czy zyskałaś pozwolenie na wejście do sanktuarium.

Maya nie miała ochoty na spożycie posiłku w hotelu, gdzie mogliby natrafić na turystów, zatem Petros pojechał do baru i restauracji za miastem. Lokal zaczął się zapelniać, a na niewielką scenę weszło dwóch mężczyzn. Jeden niósł bęben, natomiast jego towarzysz mały instrument o nazwie masinko, na którym grało się z użyciem smyczka, podobnie jak na skrzypcach. Zagrali kilka pieśni,

ale nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi do chwili, kiedy na salę wszedł mały chłopiec, prowadzący ślepą kobietę.

Kobieta była sporej tuszy i miała rude włosy. Nosiła białą suknię i spódnicę do kostek, a na szyi miała zawieszonych kilka naszyjników z miedzi i srebra. Usiadła na krześle na środku sceny, rozstawiła nieco nogi, jak gdyby chciała zaprzeć się solidnie. Potem sięgnęła po mikrofon i zaczęła śpiewać potężnym głosem, który wypełnił każdą część pomieszczenia.

– To jest pieśniarka śpiewająca hymny pochwalne. Bardzo znana osoba tu na północy – wyjaśnił Petros. – Jeśli jej zapłacicie, zaśpiewa coś miłego na wasz temat.

Muzyk grający na bębnie utrzymywał rytm, chodząc wśród tłumów. Wziął pieniądze od jednego z gości, dowiedział się kilku rzeczy na jego temat, po czym wrócił na scenę, gdzie szeptem przekazał uzyskane informacje niewidomej. Nie przerywając rytmu, kobieta zaczęła śpiewać hymn pochwalny o tym mężczyźnie, słowa, które powodowały, że jego przyjaciele wybuchali śmiechem i uderzali dłońmi w blat stołu.

Po około godzinie tego rodzaju rozrywki, zespół zrobił krótką przerwę, a potem bębniarz podszedł do Petrosa.

– Być może moglibyśmy zaśpiewać coś o tobie i twoich przyjaciółach.

– To nie będzie konieczne.

– Nie, zaczekaj – powiedziała Maya, kiedy muzyk już odchodził.

Będąc Arlekinką, prowadziła tajemnicze życie, kryjąc tożsamość, pod różnymi fałszywymi nazwiskami. Jeśli umrze, nie będzie miała nagrobka, który upamiętni jej odejście.

– Mam na imię Maya – powiedziała do bębniarza i wręczyła mu plik etiopskich banknotów. – Może twoja przyjaciółka wymyśli dla mnie jakąś pieśń.

Bębniarz szepnął kilka słów do ucha niewidomej, potem powrócił do ich stołu.

– Przepraszam bardzo. Proszę mi wybaczyć, lecz ona chce z tobą porozmawiać.

Podczas gdy goście w restauracji zamawiali napoje, a barowe dziewczyny krążyły po sali, rozglądając się za samotnymi mężczyznami, Maya weszła na małą scenę i usiadła na rozkładanym krzesełku. Bębniarz ukląkł obok dwóch kobiet i tłumaczył, gdy pieśniarka nacisnęła kciukiem nadgarstek Mai, niczym lekarz mierzący puls.

– Jesteś zamężna? – zapytała.

– Nie.

– Gdzie jest twoja miłość?

– Wciąż go szukam.

– Czy ta podróż jest trudna?

– Tak, bardzo trudna.

– Wiem o tym. Wyczuwam to. Musisz przekroczyć mroczną rzekę. – Pieśniarka dotknęła uszu, ust oraz powiek Mai. – Niech święci chronią cię przed tym, co musisz usłyszeć, wyczuć i zobaczyć.

Kobieta zaczęła śpiewać bez mikrofonu, gdy Maya wróciła do stolika. Zaskoczony muzyk grający na maszynko pośpieszył z powrotem na scenę. Pieśń dla Mai była zupełnie inna od pochwalnych hymnów, które śpiewano tego wieczora. Słowa były smutne, artykułowane bez pośpiechu i bardzo głębokie. Dziewczyny z baru przestały się śmiać. Ci, którzy raczyli się piwem, odstawili kufle na stoliki. Nawet kelnerzy stanęli pośrodku restauracyjnej sali, wciąż ściskając banknoty w dłoniach.

Potem, równie nagle jak się zaczęła, pieśń dobiegła końca i wszystko – wróciło do stanu sprzed chwili. W oczach Petrosa zalśniły łzy, lecz obrócił się od May na tyle, aby nie mogła go widzieć. Rzucił kilka banknotów na stół.

– Chodźcie. Czas, żebyśmy już stąd poszli – powiedział szorstkim głosem.

Maya nie prosiła go o tłumaczenie. Po raz pierwszy w życiu ktoś zaśpiewał pieśń poświęconą jej osobiście. To wystarczyło.

Dochodziła prawie pierwsza w nocy, kiedy znów znaleźli się w obrębie kościelnego kompleksu i zaparkowali na dziedzińcu. Niemal na całym obszarze zapanowała ciemność, oni zaś stanęli w miejscu, gdzie znajdowało się jedyne światło. Simon Lombroso, w czarnym garniturze i muszce, robił ponure wrażenie, gdy spoglądał na sanktuarium. Petros, niższy, wyglądał na zdenerwowanego. Zignorował sanktuarium i spoglądał na budynek kościoła. Tym razem wszystko potoczyło się znacznie szybciej. Najpierw pojawili się trzej młodzi duchowni z karabinami; potem otworzyły się drzwi kościoła i wyszedł z nich strażnik Arki, a za nim orszak kapłanów. Na twarzach wszystkich rysowała się głęboka powaga i trudno było odgadnąć, jaką decyzję podjął starzec.

Strażnik zatrzymał się na ścieżce i uniósł głowę, gdy Petros podszedł do niego. Maya spodziewała się, że ujrzy jakąś specjalną ceremonię, usłyszy coś w rodzaju proklamacji – lecz strażnik po prostu uderzył laską o kamienne płyty i powiedział kilka słów w języku amharskim. Petros uklonił się i szybkim krokiem powrócił do terenowego auta.

– Święci uśmiechnęli się do nas. Najwyższy kapłan zdecydował, iż jesteś *Tekelakai*. Uzyskałaś zgodę na wejście do sanktuarium.

Maya przewiesiła przez ramię miecz-talizman i podążyła za strażnikiem do sanktuarium. Jeden z kapłanów z lampą naftową otworzył zewnętrzną furkę, po czym weszli do środka otoczonego płotem obszaru. Twarz strażnika była maską pozbawioną emocji, lecz nie ulegało wątpliwości, że odczuwa ból przy każdym ruchu. Zrobił jeden krok w stronę drzwi wejściowych do sanktuarium, zatrzymał się, starając odzyskać panowanie nad sobą, potem wykonał kolejny krok.

– Tylko *Weyzerit* Maya oraz Tebaki wejdą do wnętrza sanktuarium – wyjaśnił Petros. – Wszyscy inni zostaną tutaj.

– Dziękuję ci za pomoc, Petrosie.

– Poczytuję sobie za honor fakt, że cię poznałem, Mayu. Szczęśliwej podróży.

Maya chciała podać dłoń Simonowi Lombroso, lecz rzymianin podszedł do niej i objął ją. Był to najtrudniejszy moment ze wszystkich. Jakaś drobna cząstka niej chciała pozostać tu, gdzie wokół był duchowy komfort i poczucie bezpieczeństwa.

– Dziękuję, Simonie.

– Jesteś równie dzielna jak twój ojciec. Wiem, że byłby z ciebie bardzo dumny.

Jeden z kapłanów odsunął plandekę z czerwonego plastiku, a starzec otworzył drzwi sanktuarium. Wsunął kółko z kluczami do kieszeni swojej szaty i wziął lampę naftową. Wymamrotał kilka słów po aramejsku i dał znak Mai. Chodź za mną.

Drzwi otwierały się bardzo powoli do momentu, kiedy szerokość szczeliny wyniosła nieco ponad pół metra. Strażnik i Maya wsunęli się do wnętrza budynku, a drzwi za nimi zostały zamknięte. Znaleźli się w niewielkim przedsionku o powierzchni niewiele ponad metra kwadratowego. Jedyнным źródłem światła w pomieszczeniu była lampa naftowa. Kołysała się ona do przodu i do tyłu, kiedy strażnik szedł, powłócząc nogami po betonowej posadzce, w kierunku drugich drzwi. Maya rozejrzała się dookoła i dostrzegła, że ściany pokrywają freski przedstawiające historię Arki. Izraelici, o kolorze skóry Etiopczyków, podążali za Arką w trakcie długiej wędrówki przez pustynię Synaj. Na drugim malowidle widniała Arka niesiona do bitwy z Filistynami, a kolejna scena przedstawiała złożenie jej w świątyni Salomona.

Teraz drugie drzwi były już otwarte, ona zaś weszła w asyście strażnika do znacznie większego pomieszczenia. Pośrodku sali znajdowała się Arka, przykryta haftowanym całunem. Wokół stało dwanaście glinianych dzbanów, których pokrywy zapieczętowano woskiem. Maya przypomniała sobie wyjaśnienie Petrosa, że święconą wodę zabierano raz do roku i dawano do wypicia kobietom, które miały trudności z zajściem w ciążę i poczęciem potomstwa.

Kapłan spoglądał intensywnie na Mayę, jak gdyby oczekiwał, że zrobi coś gwałtownego. Postawił lampę na podłodze, podszedł do Arki i odsunął całun. Arka była drewnianą skrzynią, całkowicie pokrytą złotymi listkami. Stała na czterech nogach i miała długość około półtora metra. Po bokach wystawały z niej uchwyty, z dołączonymi kółkami, a na pokrywie widniały złote figurki dwóch cherubinów w pozycji klęczącej. Te anielskie istoty miały ciało człowieka oraz głowy i skrzydła orłów. Ich skrzydła mieniły się jaskrawo w świetle lampy.

Maya podeszła do Arki i uklękła przed nią. Chwyciła za dwa cherubiny, uniosła pokrywę i położyła ją na hartowanym całunie. Bądź ostrożna, powiedziała do siebie w myślach. Nie ma powodu do pochopnych działań. Pochyliła się do przodu i spojrzała do środka Arki, lecz nie zobaczyła nic poza wnętrzem wykonanym z drewna akacjowego. Tu nic nie ma, pomyślała. To całkowite oszustwo. Nie było tu żadnego przejścia do innego wymiaru – jedynie stara drewniana skrzynia, którą chroniono, kierując się zabobonami.

Czując gniew i rozczarowanie, skierowała wzrok na strażnika. On stał oparty na lasce i uśmiechał się do niej głupkowato. Raz jeszcze zajrzała do wnętrza Arki i spostrzegła mały, czarny punkt w pobliżu dna. „Czy to znamię po ogniu?“, zastanawiała się. „Czy też skaza drewna?“ Gdy wpatrywała się, czarny punkt zaczął się powiększać – po chwili miał wielkość angielskiego pensa i zaczął się unosić nad drewnianym dnem.

Czarny punkt zdawał się być bardzo głęboki, a plama czarnej przestrzeni pozbawiona granic. Kiedy punkt osiągnął już rozmiary talerza, wyciągnęła rękę w stronę Arki i dotknęła ciemności. Czubki jej palców zupełnie znikły. Zaskoczona i przestraszona cofnęła odruchowo dłoń. Wciąż jeszcze była w tym świetle. Wciąż żyła.

Kiedy punkt przejścia przestał się poruszać, zapomniała o strażniku oraz innych kapłanach. Zapomniała o wszystkim z wyjątkiem Gabriela. Czy jeśli ruszy do przodu, będzie w stanie go odnaleźć?

Przygotowała się, a potem zmusiła do wsunięcia prawej ręki w ciemność. Tym razem coś poczuła – bolesne zimno i mrowienie. Wsunęła lewą rękę, a ból ją zaskoczył. Nagle poczuła, jakby przewróciła ją ogromna fala, a potem w bezmiar wód wciągnął ją potężny prąd. Jej ciało drżało, potem zaczęło mknąć przed siebie, ku nicości. Maya pragnęła wypowiedzieć imię Gabriela, lecz okazało się to niemożliwe. Pogrzyżyła się w ciemności. Żaden dźwięk nie zdołał wyjść z jej ust.

Rozpadało się rzeźsiście, kiedy Boone dotarł do Chippewa Bay na Rzece Świętego Wawrzyńca. Gdy stał na nabrzeżu, z ledwością tylko widział zamek wznoszący się na Dark Island. Boone był na wyspie zaledwie kilka razy. Ostatnio odbyło się tu posiedzenie, któremu przewodniczył generał Nash, poświęcone prezentacji zarządowi programu Cień. Boone powinien być teraz w Berlinie, szukając przestępców, którzy zniszczyli centrum komputerowe, ale zarząd nalegał na to, żeby najpierw pojechał na wyspę. Chociaż misja, jaką miał do wykonania, nie należała do przyjemnych, musiał wypełnić polecenia przełożonych. Kiedy w końcu dotarła dwójka najemników, Boone dał

kapitanowi sygnał do natarcia przez nurt rzeki. Siedząc w kabinie, próbował otaksować mężczyzn, którzy mieli mu pomóc w sprzątnięciu kogoś z tego świata. Obydwaj najemnicy byli imigrantami, którzy niedawno dotarli tu z Rumunii i w jakiś sposób byli z sobą spokrewnieni. Ich nazwiska składały się ze zbyt wielu sylab, by dało się je wypowiedzieć. Natomiast Boone nie uważał za konieczne uczyć się ich prawidłowej wymowy. Mniejszego nazywał Able, a większego Baker. Obaj siedzieli po lewej stronie kabiny i zaparli się mocno stopami o pokład łodzi. Able był bardziej rozmowny, bez przerwy paplał coś nerwowo po rumuńsku, podczas gdy Baker co kilka sekund przytakiwał, potwierdzając, że słucha tego drugiego.

Na powierzchni rzeki pojawiły się fale i rozbiły się o dziób promu. Krople deszczu uderzały o dach kabiny z włókna szklanego, wywołując przy tym dźwięk, który Boone'owi kojarzył się z bębnieniem palcami o stół. Wycieraczki zamontowane na przedniej szybie kabiny przesuwały się w tę i z powrotem, gdy strugi wody zalewały szklaną tafelę. Kanadyjski kapitan promu dostrajał radio, kiedy pilot kontenerowca podawał dokładną pozycję swojej jednostki na wodnym szlaku.

– Jesteśmy o pół mili od was po prawej burcie – mówił jakiś głos. – Czy widzicie nas? *Over...*

Boone dotknął przodu ocieplanej parki i poczuł dwa czarne wybrzuszenia pod wodoodporną tkaniną. Fiolka z toksyną CS znajdowała się w lewej kieszeni jego koszuli. W prawej kieszonce natomiast było umieszczone czarne plastikowe pudełko zawierające strzykawkę. Boone nie cierpiał dotykania ludzi, zwłaszcza gdy umierali, ale użycie strzykawki wymagało nawiązania do pewnego stopnia fizycznego kontaktu.

Kiedy dotarli do Dark Island, kapitan wyłączył silnik i pozwolił promowi dryfować do nabrzeża. Szef służby bezpieczeństwa na wyspie, eks-oficer policji nazwiskiem Farrington, wyszedł im na powitanie. Chwycił dziobową linę cumowniczą i owinął ją wokół pala, gdy Boone zeskakiwał z łodzi.

– Gdzie reszta ludzi? – zapytał Boone.

– Właśnie jedzą lunch w kuchni.

– Gdzie jest Nash i jego goście?

– Generał Nash, pan Corrigan oraz pani Brewster są na górze w salonie dziennym.

– Dopilnuj, żeby ludzie z ochrony pozostawali w kuchni jeszcze przez następne dwadzieścia minut. Muszę przedstawić ważne informacje. Nie chcemy, żeby ktoś kręcił się po pokoju i podsłuchiwał naszą rozmowę.

– Rozumiem, sir.

Ruszyli pospiesznie opadającym tunelem, który biegł od nabrzeża do parteru zamku. Boone przełożył pudełko ze strzykawką oraz fiolkę z toksyną do kieszeni spodni, kiedy dwójka najemników zdejmowała mokre płaszcze. Obaj mężczyźni ubrani byli w czarne garnitury i muszki. Wyglądali, jak gdyby dopiero co wrócili z Rumunii, gdzie uczestniczyli w wiejskim pogrzebie. Podeszwy ich skórzanych butów wydawały piszczący dźwięk, gdy schodzili głównymi schodami.

Dębowe drzwi były zamknięte, Boone zawahał się na kilka sekund. Słyszał oddechy Rumunów i pisk ich podeszew. Prawdopodobnie zastanawiali się, dlaczego się zatrzymał. Wygladził dłonią mokre włosy, wyprostował się i wprowadził obu najemników do dziennego salonu.

Generał Nash, Michael i pani Brewster siedzieli przy jednym z końców długiego stołu. Właśnie kończyli jeść zupę pomidorową podaną w kokilkach, a Nash trzymał w dłoniach półmisek z sandwiczami.

– Co pan tutaj robi? – zapytał ze zdziwieniem Nash.

– Otrzymałem instrukcję od zarządu.

– Ja jestem szefem zarządu i nic o tym nie wiem.

Pani Brewster wzięła półmisek od Nasha i postawiła go na środku stołu.

– Zwołałam drugą telekonferencję, Kennard.

Nash wyglądał na zaskoczonego.

– Kiedy?

– Dzisiaj wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spałeś. Bracia nie byli zadowoleni, że odmówiłeś rezygnacji.

– A dlaczego miałbym zrezygnować? To, co się stało wczoraj w Berlinie, nie ma nic wspólnego ze mną. Należy o to obwinić Niemców albo obarczyć winą Boone'a, to przecież on odpowiada za sprawy bezpieczeństwa.

– Pan jest szefem naszej organizacji, a jednak nie chce wziąć odpowiedzialności na swoje barki – wtrącił Michael. – Niech pan nie zapomina o ataku sprzed kilku miesięcy, kiedy straciliśmy komputer kwantowy.

– Co znaczy „my”? Przecież nie jesteś członkiem zarządu.

– Teraz już jest – oznajmiła pani Brewster.

Generał Nash spiorunował wzrokiem Boone'a.

– Niech pan nie zapomina, kto pana wynajął, panie Boone. Ja stoję na czele tej organizacji i to ja wydaję panu bezpośrednio rozkazy. Życzę sobie, żeby pan odprowadził tych dwoje pod eskortą do sutereny i zamknął ich. Zwołam zebranie Bractwa jak najszybciej.

– Ty zupełnie nie słuchasz, Kennard. – Pani Brewster mówiła teraz jak nauczycielka, która nagle straciła cierpliwość do upartego uczniaka. – Zarząd spotkał się dzisiaj rano i odbyło się głosowanie. Jednogłośnie uchwalono, że z dniem dzisiejszym przestajesz pełnić funkcję prezesa zarządu. Sprawa ta nie podlega dyskusji. Przyjmij zatem pozycję emeryta, a być może otrzymasz jeszcze jakieś uposażenie i ewentualnie gdzieś jakieś biuro.

– Czy zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz? – zapytał Nash. – Mogę za chwilę zadzwonić do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prezydenta... i premierów trzech państw.

– Ach, tego sobie właśnie nie życzymy – odparła chłodno pani Brewster. – To jest sprawa wewnętrzna. Nie zamierzamy omawiać tej kwestii z naszymi zewnętrznymi sojusznikami.

Gdyby Nash pozostał w pozycji siedzącej, być może Boone pozwoliłby mu kontynuować rozmowę. Jednak generał odepchnął krzesło, jak gdyby chciał pobiec do biblioteki i zadzwonić do Białego Domu. Michael spojrzał na Boone'a. Nadeszła pora wykonać polecenie.

Boone skinął w stronę najemników. Obaj mężczyźni chwycili Nasha za ręce i rozciągnęli go na stole.

– Czyście poszaleli? Puśćcie mnie!

– Chciałabym, żeby jedno było jasne – oznajmiła pani Brewster. – Zawsze uważałam cię za przyjaciela, Kennard. Ale pamiętaj, wszyscy służymy wyższemu celowi.

Boone stanął za krzesłem Nasha, otworzył plastikowe pudełko i wyjął z niego strzykawkę. Toksyna znajdowała się w szklanej fiolce wielkości buteleczki z tabletkami. Wbił igłę przez aseptyczne zamknięcie i napełnił strzykawkę przezroczystym płynem. Kennard Nash spojrzał przez ramię i zrozumiał, co za chwilę się wydarzy. Wykrzykując obsceniczne bluźnierstwa zaczął się szarpać, usiłując się uwolnić. Talerze i sztucce spadły na podłogę, a kokilka z zupą rozpadła się na dwie połówki.

– Niech się pan uspokoi – mruknął Boone. – Niech pan zachowa odrobinę godności.

Wbił igłę w kark Nasha tuż obok kręgosłupa i wstrzyknął toksynę. Nash upadł. Jego głowa

uderzyła o stół, a z ust wypłynęła strużka śliny.

Boone spojrział na swoich nowych mocodawców.

– To trwa jedynie dwie lub trzy sekundy. Już jest martwy.

– Nagły atak serca – oświadczyła pani Brewster. – Jakie to smutne. Generał Kennard Nash był sługą swego narodu. Jego przyjaciele z pewnością pograżą się w żałobie.

Dwaj Rumuni wciąż trzymali Nasha za ręce, jak gdyby mógł wrócić do świata żywych i wyskoczyć przez okno.

– Wracajcie na łódź i zaczekajcie – polecił im Boone. – Na razie was nie potrzebuję.

– Tak, sir – Able poprawił czarną muszkę, pochylił głowę i wraz z Bakerem opuścił salon.

– Kiedy powiadomi pan policję? – zapytał Michael.

– Za pięć lub dziesięć minut.

– Ile czasu upłynie, zanim policja dotrze na wyspę?

– Około dwóch godzin. Do tego czasu w organizmie nie będzie już najmniejszego śladu toksyny.

– Niech pan zrzuci go na podłogę i rozerwie mu koszulę – powiedział Michael. – Niech to wygląda tak, jak byśmy usiłowali go reanimować.

– Tak, sir.

– Sądzę, że powinniśmy napić się whisky – zaproponowała pani Brewster. Ona i Michael wstali i podeszli do bocznych drzwi prowadzących do biblioteki. – Och, panie Boone. Jeszcze jedna rzecz...

– Tak, proszę pani?

– Wszystkie nasze dążenia wymagają wyższego poziomu efektywności. Generał Nash nie rozumiał tego. Mam nadzieję, że pan to pojmuje.

– Pojmuje – odparł Boone, potem został sam na sam ze zwłokami.

Przystawił z powrotem krzesło do stołu, odsunął ciało na prawą stronę i opuścił je na podłogę, czemu towarzyszył głuchy odgłos. Przyklękając, Boone rozerwał niebieską koszulę pod szyją generała. Perłowy guzik pofrunął przez powietrze.

Najpierw zadzwoni na policję, potem umyje ręce. Chciał umyć ręce w gorącej wodzie, używając aromatycznego mydła i papierowych ręczników. Podeszedł do okna i spojrział ku drzewom, rosnącym wzdłuż drogi wodnej na Rzece Świętego Wawrzyńca. Ulewny deszcz oraz niska powołała chmur zabarwiła nurt na kolor ciemnego srebra. Fale unosiły się i opadały, gdy rzeka niosła wody w kierunku wschodnim ku morzu.

42

Maya dryfowała w ciemności tak absolutnej, że jej ciało wydawało się zniknąć. Czas upływał, lecz ona nie miała żadnego punktu odniesienia, żadnego sposobu, by ocenić, czy chwila ta trwa zaledwie kilka minut, czy też kilka lat. Istniała jedynie jako iskierka świadomości, sekwencja myśli połączonych pragnieniem odnalezienia Gabriela.

Otworzyła usta i poczuła, że są pełne wody. Nie miała pojęcia, gdzie teraz jest. Woda otaczała ją, ale ona nie miała wrażenia, że znajduje się na powierzchni. Z pełną determinacją machała rękami i nogami, potem zapanowała nad ogarniającą ją paniką. Kiedy jej ciało wołało o tlen, ona odprężyła się i sprawiła, że pęcherzyki powietrza znajdujące się w płucach uniosły ją ku górze.

Gdy poczuła pewność, że zmierza we właściwym kierunku, uderzyła mocniej nogami i wynurzyła się na powierzchnię kipieli. Oddychając głęboko, płynęła na plecach i widziała nad sobą

żółtawoszare niebo. Woda wokół niej miała kolor czarny, a gdzieś na powierzchni nurtu utrzymywały się kłęby białej piany. Woda smakowała kwaśno, skóra i oczy zaczęły piec. Znajdowała się w rzece, której silny prąd spychał ją na boki. Gdyby zmieniła pozycję i obróciła się na moment, dostrzegłaby brzegi. W oddali widziała budynki oraz świetliste pomarańczowe punkty, wyglądające jak płomień.

Zamknęła oczy i zaczęła płynąć w stronę lądu. Pasek od pochwy z mieczem owinięty był wokół jej szyi i czuła, jak miecz lekko się porusza. Kiedy zatrzymała się, by poprawić pasek, zdała sobie sprawę, że brzeg rzeki się oddalił. Prąd był w tym miejscu zbyt silny. Jak opuszczona łódź wiosłowa, kręciła się wkoło bezradnie.

Spoglądając w kierunku prądu, dostrzegła w oddali zarysy zawalonego mostu. Zamiast więc walczyć z prądem rzeki, zawróciła szerokim łukiem i popłynęła w kierunku kamiennych filarów zakotwiczonych w dnie rzeki. Dzięki prądowi oraz sile własnych mięśni płynęła teraz do przodu, aż w końcu dotknęła rękami szarego chropawego kamienia. Zatrzymała się na mniej więcej minutę, potem podpłynęła do drugiego filaru. Prąd nie był tu już tak silny, a chwilę później zdołała wyjść na brzeg, brodząc w płytkiej wodzie.

„Nie mogę tu zostać”, pomyślała. „To miejsce jest zbyt odsłonięte”. Na czworakach wspięła się na nabrzeżną skarpe, ku kępie martwych drzew. Opadłe liście szeleściły cicho pod jej nogami. Niektóre z drzew były już przewrócone, inne natomiast opierały się o siebie niczym milczące niedobitki.

Przeszła jeszcze jakieś sto metrów od rzeki i podjęła próbę zorientowania się w nowym otoczeniu. Ten ciemny las nie stanowił wytworu fantazji i nie był też snem. Wyciągnęła ręce i dotknęła suchych pędów trawy, znajdującej się przed nią. Poczowała swąd czegoś, co się paliło, i słyszała z oddali huczący dźwięk, lecz... Nie, to było coś więcej. Ten świat zdominowany był gniewem i żądzą zniszczenia.

Maya wstała i ruszyła ostrożnie między drzewami. Natrafiła na żwirową ścieżkę i podążyła nią w stronę marmurowej ławki stojącej obok parkowej fontanny wypełnionej opadłymi liśćmi. Te dwa obiekty wydawały się nie pasować do martwego lasu, zaczęła więc się zastanawiać, czy przypadkiem nie znajdowały się tu po to, by kogoś przyciągnąć. Otoczenie przypominało europejski park, pełen starszych ludzi czytających gazety oraz piastunek spacerujących z dziecięcymi wózkami.

Ścieżka kończyła się przy budynku z czerwonej cegły. Szyby we wszystkich oknach były wybite, a drzwi powyrywane z zawiasów. Maya przesunęła miecz w taki sposób, by w razie potrzeby podjąć walkę. Weszła do środka, minęła puste pomieszczenia i wyjrzała przez okno. Na dworze dostrzegła czterech mężczyzn, którzy mijali opuszczony park. Mieli na sobie buty z cholewami, obuwie nie do pary oraz ubrania zupełnie do siebie nie dopasowane. Wszyscy byli też uzbrojeni w prowizoryczną broń własnej roboty – noże, pałki oraz oszczepy.

Kiedy mężczyźni dotarli do końca parku, pojawiła się druga grupa. Maya spodziewała się, że dojdzie do walki, ale obie grupy pozdrowiły się i szły teraz razem w jednym kierunku – oddalając się od rzeki. Maya postanowiła podążyć za nimi. Trzymała się z dala od ulic, zatrzymując się od czasu do czasu, by spojrzeć przez wybite okna. Ciemność skrywała jej ruchy, a w którymś momencie zatrzymała się z dala od płomieni gazu wydostającego się z rozerwanych rur. Większość z tych płomieni była niewielka i ledwo furczała, jednak kilka większych wystrzeliwało w górę słupami ognia. Pozostawiały sadzę na ścianach, przesycając powietrze zapachem spalonej gumi.

Ukryła się w częściowo zburzonym biurówcu. Kiedy znalazła drogę na ulicę, dostrzegła tłum ludzi gromadzących się wokół dużego płomienia gazowego na ulicy. Licząc, że nikt jej nie dostrzeże, przebiegła przez ulicę do kompleksu budynków mieszkalnych, gdzie po betonowych korytarzach

niczym strumień płynęła oleista woda. Weszła po schodach na trzecie piętro i wyjrzała przez otwór w ścianie.

Około dwustu uzbrojonych mężczyzn zebrało się na centralnym dziedzińcu budynku w kształcie litery U. Na fasadzie budowli widniały imiona i nazwiska sławnych postaci. PLATON. ARYSTOTELES. GALILEUSZ. DANTE. SZEKSPIR. Zastanawiała się, czy w tym budynku nie mieściła się kiedyś szkoła, lecz z trudem przychodziło jej uwierzyć w to, iż w tym świecie kiedykolwiek żyły dzieci.

Biała mężczyzna o włosach zaplecionych w warkocze oraz czarnoskóry w porwanym laboratoryjnym fartuchu stali na krzesłach pod konstrukcją z drewna, służącą za prowizoryczną szubienicę. Ręce związane im z tyłu, a na szyje zarzucono pętle. Tłuszcza kłębiła się wokół tych więźniów, wyszydając ich i dźgając nożami. Nagle ktoś wykrzyknął komendę i ze szkoły wymaszerowała inna grupa ludzi. Na czele szedł mężczyzna w niebieskim garniturze. Bezpośrednio za nim jeden z przybocznych ochroniarzy pchał staromodny wózek inwalidzki, do którego był przywiązany młody mężczyzna. Gabriel. Odnalazła swojego Travelera.

Człowiek w niebieskim garniturze wszedł na dach porzuconego auta. Stał z lewą ręką w kieszeni, prawą żywo gestykulował przy każdym słowie, które wychodziło z jego ust.

– Jako komisarz patroli przewodziłem wam i broniłem waszej wolności. Pod moim przywództwem wychwyciliśmy niemal wszystkie karaluchy, które podkładały ogień i wykradały nasze jedzenie. Kiedy ten sektor zostanie całkowicie uwolniony od tych pasożytów, wtedy wyruszymy do innych sektorów i przejmujemy całą Wyspę.

Tłuszcza wiwatowała, a kilku mężczyzn podrzuciło w górę broń. Maya wpatrywała się w Gabriela, starając się dostrzec, czy jest przytomny. Od nosa do szyi biegła mu strużka zaschniętej krwi. Miał zamknięte oczy.

– Jak wiecie, schwytaliśmy przybysza z zewnętrznego świata. Dzięki wnikliwemu przesłuchaniu zdołałem powiększyć wiedzę o naszej sytuacji. Moim zadaniem jest odnalezienie drogi dla nas wszystkich, dzięki której opuścimy wspólnie tę Wyspę. Niestety, szpiegzy i zdrajcy sabotują moje plany. Ci dwaj więźniowie zawiazali sekretny sojusz z przybyszem. Zdradzili was i usiłowali znaleźć dla siebie drogę ucieczki.

Czy powinniśmy na to pozwolić? Czy powinniśmy pozwolić im uciec, skoro sami pozostajemy więźniami w tym mieście?

– Nie! – wykrzyknął tłum.

– Jako komisarz patroli skazałem tych zdrajców na...

– Śmierć!

Komisarz poruszał teraz palcami, jak gdyby na jego dłoni usiadła mucha. Jeden z jego popleczników kopnął stołki, a dwaj więźniowie zawisli. Dyndali na końcach liny, podczas gdy inni szydzili z nich. Kiedy skazańcy w końcu znieruchomieli, przywódca ponownie uniosł dłonie i uciszył tłuszcza.

– Bądźcie czujni, moje wilki. Rozglądajcie się dookoła. Jeszcze nie wykryliśmy i nie unicestwiliśmy wszystkich zdrajców.

Chociaż mężczyzna w niebieskim garniturze zdawał się sprawować kontrolę nad wilkami, nieustannie rozglądał się dookoła, jakby spodziewał się ataku. Kiedy zszedł z samochodu, ruszył pospiesznie do szkolnego budynku wraz z Gabrielem i ochroniarzami.

Maya pozostała w ukryciu, gdy tłum powoli rozchodził się w różnych kierunkach. Patrole zebrały się razem tylko na czas egzekucji, teraz jednak wszyscy spoglądali na siebie z pewną dozą nieufności. Dwójkę skazańców pozostawiono na szubienicy, a ostatni patrol pozostał w tym miejscu

na tyle długo, żeby okraść z butów nieboszczyków.

Kiedy w końcu wszyscy zniknęli, Maya przeszła na drugą stronę pustej ulicy, do budynku sąsiadującego ze szkołą. Musiała tu wybuchnąć jakaś bomba, a z klatki schodowej pozostało tylko kilka metalowych poprzecznic. Wspinając się po nich, dotarła na najwyższe piętro, potem pokonała skokiem metrową odległość dzielącą ją od dachu budynku.

Kiedy zeszła na korytarz trzeciego piętra, znalazła wychudzonego mężczyznę z brodą przypiętego łańcuchem do grzejnika. Na szyi miał zielony krawat, którego supeł był do tego stopnia zaciśnięty, że wyglądał jak stryczek.

Mężczyzna sprawiał wrażenie nieprzytomnego, lecz Maya przeszła na czworakach obok niego i dźgnęła go w żebra ręką miecza. Otworzył oczy i zdobył się na uśmiech.

– Jest pani kobietą? Wygląda pani jak kobieta. Jestem Pickering, krawiec damski.

– Szukam mężczyzny na wózku inwalidzkim. Gdzie mogę go...

– To Gabriel. Każdy chce porozmawiać z przybyszem.

– Zatem gdzie mogę go znaleźć?

– Na dole. W starej sali wykładowej.

– Ilu jest tam strażników?

– W budynku jest dwunastu lub więcej. Lecz tylko kilku w audytorium. Komisarz nie ufa własnym wilkom.

– Możesz mnie tam zaprowadzić?

Pickering pokręcił głową.

– Przykro mi, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Maya kiwnęła głową i ruszyła dalej.

– Niech pani zapamięta moje nazwisko – odezwał się jeszcze raz mężczyzna. – Jestem Pickering. Przyjaciel Gabriela.

Stała u szczytu schodów. Oddychała równo i szykowała się do długiego, nieprzerwanego ataku. Zarówno jej ojciec, jak i Mother Blessing zawsze czynili wyraźną różnicę między obserwacją a postrzeganiem wroga. Większość obywateli spędzała życie pasywnie, obserwując to, co się dzieje wokół nich. W trakcie walki trzeba posługiwać się wszystkimi zmysłami i koncentrować na przeciwniku, przewidując jego następny ruch. Maya pokonała pierwsze przesłanie schodów powolnym krokiem, niczym uczeń, który nie bardzo chce wracać do klasy. Potem usłyszała czyjeś ruchy poniżej i rozpędziła się, przeskakując po dwa stopnie naraz. Jeden z przybocznych strażników komisarza szedł z mozołem na górę i zupełnie go zaskoczyła, wbijając głownię miecza między jego żebra. Kilka sekund później dotarła do korytarza na parterze i pobiegła w stronę dwóch kolejnych wilków. Pierwszego z nich cięła w szyję, wykonała unik przed ciosem pałką i przebiła brzuch drugiego.

Ściskając kurczowo miecz, wbiegła do audytorium. Jeden z wilków znajdował się blisko frontowej części sali. Dźgnęła go i skoczyła na podest. Komisarz zaczął wstawać od biurka i sięgał po rewolwer. Zanim jednak zdążył wycelować, Maya machnęła mieczem w dół i odrąbała mu dłoń. Komisarz zaczął wydzierać się niemiłosiernie, ona jednak zadała drugi silny cios i uciszyła go na zawsze.

Obróciła się. Przed nią siedział Gabriel, przywiązany do fotela na kółkach.

Otworzył oczy, kiedy przecinała sznurki, którymi były spętane jego ręce.

– Nic ci nie jest? Możesz wstać?

Gdy Gabriel otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, w głębi sali wykładowej dobiegł skrzypiący odgłos. Czterech uzbrojonych mężczyzn weszło do pomieszczenia, a po kilku sekundach było ich już więcej. Sześć wilków spoglądało na nią. Siedem. Osiem. Dziewięć.

Gabriel wstał z wózka inwalidzkiego i zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę mężczyzn.

– A co z jedzeniem? – zapytał na głos. – Teraz, kiedy komisarz nie żyje, możecie mieć tyle jedzenia, ile zechcecie. Magazyn jest po drugiej stronie dziedzińca.

Wilki spojrzały po sobie. Maya sądziła, że zamierzają zaatakować, lecz mężczyzna stojący najbliżej wyjścia wymknął się z sali. Pozostali opuścili broń i ruszyli pospiesznie za nim.

Gabriel dotknął ręki Mai, potem się uśmiechnął, jak gdyby znów byli na poddaszu w Chinatown.

– To naprawdę ty, Mayu? Czy może po prostu to kolejny sen...

– To nie sen. Jestem tu. Odnalazłam cię.

Maya wsunęła miecz do pochwy i objęła ukochanego. Stwierdziła, że znacznie schudł. Jego ciało było teraz słabe i kruche.

– Nie możemy tu zostać – rzekł Gabriel. – Kiedy podzielą się żywnością, przyjdą po nas.

– A zatem oni są tacy jak ludzie w naszym świecie? Odczuwają głód i pragnienie?

– I są śmiertelni.

Maya przytaknęła.

– Widziałam egzekucję na dziedzińcu szkoły.

– Ci ludzie nie pamiętają przeszłości – wyjaśnił Gabriel. – W ich pamięci nie ma takich uczuć jak miłość czy nadzieja ani żadnego rodzaju szczęścia.

Gabriel przełożył rękę na jej ramię, a Maya pomogła mu wyjść z sali wykładowej. Potem szli korytarzem i minęli ciała dwóch mężczyzn, których chwilę wcześniej zabiła.

– W jaki sposób się tutaj dostałaś? Przecież nie jesteś Travelerem.

– Wykorzystałam punkt przejścia.

– Co to znaczy?

Maya opowiedziała mu o zegarze słonecznym cesarza Augusta oraz o podróży do Etiopii wraz z Simonem Lumbrosem. Postanowiła jednak nie wspominać o ataku Tabulów na Vine House i o tym, że jego przyjaciele Free Runnerzy o mały włos nie zginęli. Czas na tego rodzaju nowiny przyjdzie, ale nie teraz, kiedy muszą uciec.

Gabriel otworzył drzwi do pokoju, w którym stały rzędy zielonych szaf na dokumenty. Zatęchły zapach przypominał Mai stare książki, pleśniejące w piwnicy. Jedynym źródłem światła były dwa płomienie gazu, wychodzącego z rur wyrwanych ze ściany.

– To nie wygląda bezpiecznie – powiedziała zaniepokojona Maya. – Powinniśmy się wydostać z tego budynku.

– Na tej Wyspie nie ma miejsca, w którym można byłoby się ukryć. Musimy znaleźć przejście prowadzące z powrotem do naszego świata.

– Ale to może być gdziekolwiek.

– Komisarz patroli twierdził, że legendy o Travelerach zawsze wiązały się z tym pomieszczeniem. Przejście znajduje się tutaj. Wyczuwam to.

Gabriel chwycił metalowy stół i przesunął go w stronę drzwi.

Wydawało się, że odzyskuje siły, kiedy sięgał po pudła i krzesła, i ustawiał je na stole. Całymi tygodniami Maya wyobrażała sobie tę chwilę, kiedy ona i Gabriel znów będą razem w tym osobliwym świecie. Lecz co się stanie teraz? Kiedy Simon Lumbroso po raz pierwszy powiedział jej o punkcie przejścia, podkreślił wtedy z naciskiem: Musisz wrócić tą samą drogą, którą tam dotrzesz. Maya nigdy nie rozważała ewentualności powrotu przez mroczną rzekę. Czy mogła opuścić ten świat

razem z Gabrielem, czy też zostanie uwięziona w tym wymiarze?

Kiedy Gabriel skończył barykadować drzwi, ruszył pospiesznie obok szafy na dokumenty w kierunku biurka stojącego pośrodku pomieszczenia. Nagle zatrzymał się i wpatrywał intensywnie w półkę z książkami, ustawioną przy ścianie.

– Widzisz tę czarną linię? To może być coś.

Wyciągnął naręczę szkolnych dzienników i rzucił je na blat stołu. Potem odsunął na bok regał, odsłaniając ścianę. Uśmiechnął się do Mai, jak student matematyki, który właśnie rozwiązał trudne równanie.

– Nasza droga do domu...

– Co chcesz przez to powiedzieć, Gabrielu?

– Właśnie tu. To jest przejście.

Zarysował kontur palcem wskazującym.

– Widzisz to?

Maya pochyliła się do przodu, lecz nie dostrzegła niczego poza spękany tynkiem. W tym momencie wiedziała już, wiedziała bez słów, że go utraci. Szybko zrobiła krok w tył, ukryła się w cieniu, żeby nie mógł odczytać myśli z jej twarzy.

– Tak – skłamała. – Widzę.

Od strony wejścia do szkolnego archiwum dobiegły głuche odgłosy. Wilki otworzyły drzwi na kilka centymetrów i teraz przeciskały się przez szczelinę, odpychając barykadę.

Traveler wziął ją za dłoń i trzymał mocno.

– Nie lękaj się, Mayu. Przejdziemy do innego wymiaru razem.

– Coś może pójść nie tak. Możemy się rozdzielić.

– Zawsze będziemy razem – odparł z przekonaniem Gabriel. – Obiecuję ci, że bez względu na to, co się wydarzy, zawsze będziemy razem.

Zrobił kilka kroków do przodu, potem zobaczyła, jak jego ciało przenika przez tynk, jak gdyby był to wodospad z ukrytą za nim pieczarą. Pociągnął ją za sobą. Chodź ze mną, moja miłości. Ale jej ręka uderzyła o twardą powierzchnię ściany, a palce Gabriela wysunęły się z jej dłoni.

Wilki napały po raz ostatni i w końcu otworzyły drzwi na oścież. Barykada ustawiona naprędce przez Gabriela wywróciła się i wszystko uderzyło teraz o podłogę. Maya odsunęła się, stojąc pomiędzy dwoma rzędami półek z segregatorami. Słyszała głośnie oddechy i złowieszcze szepty. Wojownik zwykle wybiera znajomy teren do walki, lecz ci mężczyźni dokonywali wyboru, kierując się gniewem.

Odczekała pięć uderzeń serca, potem weszła do bocznego przejścia. Mężczyzna, który znajdował się o jakieś dwanaście metrów od niej, trzymał stalowy drąg z ostrzem noża przywiązany na końcu. Maya wróciła na poprzednie miejsce pomiędzy dwoma szeregami szafek, gdy drugi mężczyzna z oszczepem ominął barykadę.

Jej ręce poruszały się bez udziału myśli. Rzuciła się do przodu, wycelowała miecz między oczy jednego z mężczyzn, potem wykonała szybki ruch nadgarstkami i odbiła ostrze oszczepu w dół. Przydepnęła ostrze nogą, przytrzymując je przyziemi, następnie pchnęła głownię miecza ku górze, wbijając ją w tors przeciwnika.

Martwy mężczyzna upadł na plecy, lecz przestał już istnieć w jej umyśle. Wysunęła dwie szuflady i wykorzystała je jak stopnie, po których weszła na górę szafki. Znalazła się w przestrzeni o wysokości około metra między wierzchołkiem szafki a stropem, obserwując, jak następny z atakujących ostrożnie posuwa się przejściem. Czas zwolnił. Miała wrażenie, że obserwuje wydarzenia przez szczeliny na oczy wycięte w masce.

Kiedy napastnik z oszczepem dotarł do martwego kompana, zeskoczyła za nim i cięła go w plecy wzdłuż kręgosłupa. Drugie ciało padło w tym samym miejscu, a w pomieszczeniu zapanowała cisza.

Maya opuściła szkołę i szła ulicą w kierunku wykręconego znaku stop. W odległości jakichś stu metrów ogromny płomień gazu drżał niczym płomyk świecy przy otwartym oknie. Zatoczyła powoli koło i obserwowała badawczo nowy świat. Nie stanowiło już różnicy, czy pójdzie w lewo, czy też w prawo. Wilki patrolowały każdą część Wyspy. Sporadycznie mogła natrafić na jakąś kryjówkę, ale byłoby to jedynie interludium w niekończącej się bitwie. Dwójka mężczyzn uzbrojona w pałki i noże pojawiła się na drugim końcu ulicy.

– Tam! – wykrzyknęli. – Ona jest tam! Znaleźliśmy ją!

Po kilku sekundach dołączyła do nich kolejna trójka. Otoczyli gazowy płomień i stanęli w kręgu światła.

Stojąc samotnie, Maya pojęła w pełni znaczenie swego wyboru. Być może była uwięziona w tym świecie gniewu i nienawiści do chwili, kiedy zostanie unicestwiona. Przeklęci ciałem. Tak, to była prawda. Ale czy zostanie również zbawiona?

Maya przypomniała sobie, co Gabriel powiedział jej o tych ludziach – że nie ma w nich pamięci przeszłości. Ona jednak wciąż pamiętała swoje życie w czwartym wymiarze. Był to świat pełen niezwykłego piękna, lecz jednocześnie wypełniony błahymi pokusami oraz fałszywymi bogami. Co było rzeczywiste? Co nadawało znaczenie życiu? W chwili śmierci wszystko ulegało zatraceniu, poza miłością. Miłość dodawała sił, leczyła rany i napełniała człowieczeństwem.

Pięciu mężczyzn rozmawiało z sobą, przygotowując plan ataku. Maya wyciągnęła miecz i zakręciła nim młynek tak, żeby światło płomienia odbiło się od główki.

– Chodźcie! – zawołała. – Jestem gotowa was przyjąć! Chodźcie tu do mnie!

Gdy mężczyźni nie ruszali się z miejsca, wyprostowała się, zaciskając obie dłonie na rękojeści miecza i koncentrując energię w łydkach. „Zbawiona przez krew” – pomyślała Maya.

Wzięła głęboki oddech i pobiegła w kierunku wilków, a jej cień przesuwiał się po nierównej nawierzchni ulicy.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Słowo od autora.	4
Dramatis personae.	5
Prolog.	7
1.	20
2.	26
3.	30
4.	33
5.	37
6.	46
7.	51
8.	60
9.	64
10.	74
11.	79
12.	88
13.	95
14.	108
15.	113
16.	121
17.	131
18.	140
19.	149
20.	160
21.	169
22.	173
23.	177
24.	182
25.	188
26.	200
27.	210
28.	213
29.	218
30.	221
31.	227
32.	230
33.	234
34.	244
35.	254
36.	258
37.	262
38.	266

[39. 277](#)

[40. 285](#)

[41. 296](#)

[42. 301](#)

[43. 306](#)